

A 89.

MICHAŁ SYNORADZKI

HETMANI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA



WARSZAWA
E. WENDE i S-ka
(T. Hiż i A. Turkull)

A 89



78114

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Gedroycia w Białymstoku



FUW0458826

W-22/77/78114

Druk Synów St. Niemiry. Warszawa, pl. Warecki 4.



I

Godzina ciężkiej próby wybiła dla Stefana Czarnieckiego, gdy mu wypadło, po oddaniu Krakowa Szwedom, przesiadywać beczynnie w Siewierzu. Kraj cały płonął, wrzał, we krwi się pawił, chmury klęsk się nad nim spiętrzyły, grożąc niechybną, jak się zdało, zatrącią, — a on, wojownik, na świat wszystkim sławny, odwagi i Marsa polskiego koroną zwany, musiał z założonemi rękoma wyczekać sposobnej do Ojczyzny ratowania chwili.

Zali chwila taka nadejdzie? Wszak wszystkich niemal ogarnęło zwątpienie? Umysły, pod nawalą nieszczęść, które od lat kilku nie przestawały gnębić Rzeczypospolitej, porwało jak gdyby obląkanie i to do tego stopnia, że wyciągano ręce ku Szwedom, poddawano się im z bezmyślnością. Nie brano w rachubę, że Karol Gustaw zgubę Polski postanowił, że sojusznikami jego byli zdrajcy, którzy Ojczyznę w ustach jedynie mieli. Klęski przyprawiły umysły o stępienie, a zły przykład z góry zachwiał i osłabił serca. Warszawa wzięta, poddał

się Kraków, Litwę zaprzedał najeźdźcy Radziwiłł, król uszedł z kraju, Chmielnicki z Buturlinem pod Lwowem... Wobec tak fatalnego zbiegu rzeczy, już na nic się nie oglądano, nie słuchano głosu czci i sumienia, nie wierzono, a nawet za szaleńców uważano tych, którzy w zgodnem zjednoczeniu sił ratunek pewny wskazywali.

Bo, na szczęście, byli i tacy. Stanowili wprawdzie garść nieliczną, w porównaniu do zastępu onych oszołomionych klęskami i podszeptami judaszowemi, lecz w każdym razie istnieli, a to dla umysłów głębszych i serc w miłości dla Ojczyzny wiernych było świadectwem, że nie wszystko jeszcze stracone, było gruntem, na którym wspierali nadzieję wybawienia kraju z fatalnej toni. Do mężów z takim sercem i takim umysłem należał przede wszystkim pan Stefan Czarniecki, niedawno godnością kasztelana kijowskiego obdarzony. Ten bohater z krwi i ducha ani na chwilę nie poddał się zwątpieniu. Nawet wtedy, gdy, po przegranej pod Wolą Straszową, pospolite ruszenie odbiegło króla a część chorągwi kwarcianych, z poduszczenia Tyrawskiego i Prackiego, zawiązała konfederacyę, z powodu rzekomo zaległego żołdu, potem zaś przeszła na stronę Karola Gustawa, — nawet wtedy otuchy nie stracił i niezłomnie ufał, że nadejdzie chwila upamiętania, a z nią odrodzenie Rzeczypospolitej.

Wierzył i czekał w Siewierzu, siedząc tam z częścią trwającego w wierności dla Jana Kazimierza wojska, zabezpieczywszy się od zakusów

szwedzkich solennym traktatem. Bezczytność mocno go trapiła. Od wczesnej młodości włożywszy się do prac rycerskich, nabywszy doświadczenia w szlachetnym kunszcie wojennym pod hetmanem Koniecpolskim, jako towarzysz, rzec można, iż od-tąd dnia jednego bez mozołu żołnierskiego nie spędził. To poloru marsowego szukał, porucznikując pod Marcinem Kazanowskim, i wtedy tak godnie się odznaczył przy dobywaniu Smoleńska, że mu król nieboszczyk, Władysław, przywilejem pod Szemtowem, pięćset łanów w powiecie starodubowskim, przy Popowej górze, nadał; to prażył z wojewodą Lubomirskim Tatarów pod Ochmatowem, a Kozaków pod Starczem i Kumejkami; to pod Stefanem Potockim, synem hetmana, znów ze zbuntowanym Kozactwem u Żółtych Wód się porał, wprawdzie nieszczęśliwie, bo klęska tam naszych dotknęła, wskutek czego do jasyru się dostał, który w Tauryce odcierpieć mu przyszło; to pod Beresteczkiem, jako pułkownik hetmański, a poniekąd namiestnik hetmana, walczył; to pod Batowem na godność oboźnego koronnego oraz na starostwa: piotrkowskie, kowelskie, kaniowskie i ratnińskie zarabiał; to wreszcie pod Inowłodzem, Opoczmem i w wielu inszych miejscach Szwedów tłukł i tak im się dał we znaki, że na samo jego nazwiska wspomnienie skóra na nich cierpła. Król szwedzki i przez listy osobiste, i przez Wittemberga na swoją chciał go przeciągnąć stronę, wielkie nagrody obiecywał, nie mogąc zaś tego dopiąć, łotrów na życie jego nasadzał...

Nieustannie w obozach, bitwach i pochodach, krwi dla miłej Ojczyzny nie szczędząc, doczekał się siwizny, lat pięćdziesięciu i sześciu, które na podziw dziarsko dźwigał, a tem się rad chwalił, że nie świetnością rodu, nie fortuną, lecz zasługą własną sławy dobrej i znaczenia się dobił. Powtarzał też często:

— Ja nie z soli, ani z roli, ale z tego, co mnie boli, urosłem!

Do onych cnót rycerskich, — do męstwa nie-
dośćignionego, umysłu bystrości, do czujności żo-
rawiej, oraz inszych wielu, przydać trzeba jeszcze
sumienia niepokalaność, serce gołębie, Boga nade-
wszystko i Ojczyznę po Nim miłujące. Wierzył głę-
boko, z całą szczerością ducha, i zawsze, przy każ-
dej sposobności przykładem pobożności staropol-
skiej świecił. Nigdy się nie zdarzyło, żeby do bo-
ju stawał, nie otworzywszy wprzód sumienia swe-
go przed kapłanem. Wzorem chrześcijańskiego ry-
cerza i dobrego Ojczyzny syna był ten mąż, takim
do zgonu dotrwał, w takiej aureoli potomności się
przedstawia.

Nie dziwota, że nawykłemu do ustawicznych,
forsownych obrotów rycerskich panu kasztelanowi
ckniło się w Siewierzu, wzdychał, pomrukiwał, wy-
rzekał, raz wraz mówił do pana Stanisława War-
szyckiego, kasztelana krakowskiego, który z nim to
przymusowe wypoczywanie dzielił, że nawet jasyr
w Tauryce równie mu nie dopiekl, jak kwatery
w Siewierzu.

— Rozleniwie się, rozpróżniacze, rdza mnie

stoczy chyba... — te słowa od niego słyszał pan kra-
kowski, przy każdym spotkaniu.

Inszy uznalby taką rzekomo bezczynność mo-
zołem i skrętem za katy, bo, ściśle biorąc, pan ki-
jowski chwili nawet darmo nie tracił. Ustawicznie
wojsko lustrował; moc listów odbierał, to od króla,
ze Śląska, to od wiernych jego stroników z róż-
nych stron Rzeczypospolitej, na które musiał od-
pisywać; pragnąc wiedzieć, ile można dokładnie, co
się dokoła dzieje, rozsyłał na wszystkie strony po-
stańców, a zaczerpnawszy wiadomości, komu nale-
ży ich udzielał: słowem, owo próżnowanie było
w gruncie rzeczy pracą i to pracą ciężką. Wszak-
że dla pana Czarnieckiego tego rodzaju zajęcie nic
nie ważyło, bo jeno w obozie, na polu bitwy, w po-
ścigu za nieprzyjacielem trud zacny, w całym tego
pojęcia znaczeniu, widział.

Pan krakowski, skoro zauważył, że towarzy-
szowi na wyrzekanie się zbiera, co prędzej do sza-
chów go ciągnął, w tej grze bowiem Czarniecki miał
upodobanie, a że grał szczęśliwie, tedy rad do niej
siadał; wówczas twarz mu się rozchmurzała
i o skargach mowy nie było. Wprawdzie, prze-
grywając, nosem czmychał trocha, ale ostatecznie
humoru nie tracił.

— Dorzeczna to gra — powiadał, gdy się o sza-
chach zgadało — całe dorzeczna, chociaż pogań-
skich Indyów jest wymysłem. Poznał Henryk, ma-
zowieckie książe, syn Krzywousta, że właśnie ona
rycerskiemu narodowi pasuje, boć sam przecież był

rycerzem hektorowego męstwa i umyślnie do kraju swego ją przywiózł z Ziemi Świętej.

Razu pewnego, właśnie gdy obaj kasztelani do gry ulubionej zasiedli, pan krakowski, figury ustawiając na szachownicy, *babę* (królowę) wylotem kontusza na ziemię spomknął, co widząc, pan kijowski rozśmiał się i rzekł:

— Źle się dla waści batalia zapowiada.

— A to czemu? — zapytał pan krakowski, nie zrozumiawszy słów Czarnieckiego.

Tedy pan kijowski, palcem strychując ku uronionej figurze:

— *Baba* na ziemi — omen porażki niezawodny...

Wargi odął pan krakowski, a podnosząc figurę, dodał:

— Ktoby w gusła podobne wierzył!

— Jakże, dobrodzieju, to waszmość w znaki wieszczbiarskie nie wierzysz?

— Znak znakowi nie równien...

— A owe, na firmamencie niebieskim dostrzeżane?

Warszycki głowę nachylił i odparł:

— Takie całę insza kategoria...

— Ludzie jednak i niebieskie omina lekceważą — powoli rzekł Czarniecki, kładąc dłonie na poręczach krzesła. — Klęski, które nas dzisiaj ze wszech stron gnębią, opasawszy, niby pierścieniem żelaznym, od wschodu, północy, zachodu i południa, były z wszelką dokładnością znakami z firmamentu zwiastowane, mimo to nikt się nad niemi nie za-

stanawiał. Gadano o nich trocha, dziwowano się i na tem koniec. Gdyby zaś je do serca wzięto, rozważono dokładnie, można byłoby, nie mówię — odwrócić zło, bo dopustu, od Boga przeznaczonego, moc ludzka odwrócić nie zdoła, ale przynajmniej tak się przygotować, żeby klęska nie dusiła nas nazbyt dotkliwie... Mniemam też, że Bóg do pokuty, do upamiętania się przez znaki różne zwykł wzywać świat grzeszny i wtedy dopiero karę zsyła ostatecznie, gdy ludzie miłościwych upomnień zrozumieć nie chcą...

— Ależ bo — wtrącił pan krakowski — zazwyczaj takich znaków wyrozumieć trudno...

— Jeno nie owych, które łośkiego lata się ukazały. Chyba je waszmość pamiętasz?

— Słyszałem tylko o nich, alem oczyma własnemi nie oglądał.

— Ja też, co prawda, na sztychu je tylko obserwowałem, lecz całę dokładnym. Owóż, dobrodzieju, było to jakoś w czerwcu. Nad nosem zachodzącego słońca widziano krzyż, przemieniający się w serce, które mieczem przeszyte, stanęło pod jednym okiem. Pod drugim zaś okiem twarzy słonecznej widziano uzbrojoną rękę, jabłko trzymającą. Wznosiło się to jabłko ku czołu słonecznemu, rozdzieliwszy się na cztery mniejsze, które, gdy wypłynęły nad tarczę słońca, przedstawiły różgę...

— Jakaż stąd kalkulacya? — zagadnął pan krakowski.

— Jak dzień jasna. Uważ tylko, dobrodzieju: Mieliśmy na karku Chmielnickiego i Tatarów,

a o Szwedach też napomykano. Otóż: słońce zachodzące imainowało Rzeczpospolitę, której krzyż zawsze w oczach i w sercu zaszczytem. Krzyż, w serce mieczem przebite obrócony — znaczył wiarę świętą, w sercu prawowiernych Polaków przeżoną od zamachu na nią nieprzyjaciół, inowierców i pogan. Ręka zbrojna z jabłkiem, które się w cztery małe obróciło — to potencie owych nieprzyjaciół czterech, na rozszarpanie Rzeczypospolitej godzących. Wreszcie cztery jabłka, w różgę obrócone — znaczyły chłostę blizką Rzeczypospolitej, ukaranie za grzechy, ale nie zgubę, nie zagładę...

— Istotnie, kalkulacya jasna...

— Jasna, natomiast myśmy byli ciemni, na znak tak widoczny całkiem nieczuli! To też cierpim, wijem się z bólu w jarzmie klęski i zamiast do rozumu przyjść, w większej jeszcze ślepcie się pograżamy, zwracając się o ratunek do wroga, zamiast do prawowitego naszego monarchy...

Warszycki szepnął, wzdychając:

— Stało się!

— A stało się! — podchwycił Czarniecki. — I teraz nic nam innego nie pozostaje, jedno modlić się do Boga, iżby nam co prędzej łuski zaślepienia z oczu spadły... Wierzę, ufam mocno, że to nastąpi, chociaż wszystko zdaje się przeczyć temu...

— Przyznam się waszmości, — rzekł Warszycki — iż chwilami zwątpienie i mnie ogarnia, bo... kiedy złe rozlało się tak szeroko, o hamulec trudno...

— Na Boga! nie praw waszmość takich rzeczy — przerwał żywo Czarniecki. — Jeszcze go-tów w utrapioną godzinę wymówić... Nie przyznawaj się do słabości, odpędzaj myśli zdrożne... Przenajświętsze imię Jezus! Jeżeli do takich serc zwątpienie się zakrada...

Wstrząsnął się pan kijowski, z miejsca porwał i szybkimi krokami jał mierzyć komnatę.

— Myśleć przecie można... — mruknął stropiony Warszycki.

— Nie można! Nie wolno! Sama myśl o tem jest grzechem, zdradą, zbrodnią... — przerwał Czarniecki, brwi zsuwając i czoło marszcząc.

— Otóż masz! Zaraz dekret i szubienica! — skrzywił się pan Warszycki, nieco dotknięty.

Spostrzegł pan kijowski, iż go krewkość nazbyt uniosła, zbliżył się przeto do Warszyckiego i, ściszkając go, mówił serdecznie:

— Wybacz waszmość, towarzyszu i przyjacielu, uraziłem cię bez zamiaru, Bóg mi świadkiem. Taka to już żołnierska natura — rąbie prosto z mostu, bez jedwabnych powijków zrzuca z języka, co czuje... Ha! gadam po obozowemu, bom w obozach wyrósł, daleko od światowego lustru... Ale bo też sameś waść dał powód: jak można obwiniać się o coś podobnego?! Mnie nigdy myśli takie nie napastują.

— Toś doprawdy szczęśliwy... W takim składzie rzeczy, wśród takich okoliczności... przyznaj waszmość... cudu chyba trzeba...

Czarnecki rękę jedną za pas zasunął, a druga w górę wznosząc, rzekł głosem uroczystym:

— Bóg czyni cuda, a ja w Boga wierzę...

Warszycki głowę skłonił — przez chwilę komnatę zalegało uroczyste milczenie. Czarnecki przysunął się do otwartego okna, wsparł się o nie ramieniem, a skrzyżowałszy ręce na piersi, zapatrzył się w krajobraz.

Zamek biskupów krakowskich, którzy po Zbigniewie Oleśnickim, razem ze stolicą biskupią, Księstwo Siewierskie także dziedziczyli, *cum jure gladii* nawet, a który posiadacz obecny, biskup Piotr Gembicki, szczerzy, niewyczerpany w hojności dla Ojczyzny, patryota, panu kijowskiemu do rozporządzenia oddał — stał na wyniosłości, wśród dużego stawu, z okien tedy jego górnych można było szerokie ogarniać przestrzenie. Czarnecki zapuścił w nie wzrok swój orli, patrzył z natężeniem, jakby planując pogrom wrogów i odbudowanie Rzeczypospolitej, nie owej znekanej, steranej, podkopywanej samowolą i prywatą, ale pełnej chwały, wzbudzającej cześć i trwogę wśród narodów całego świata. Poetą był ten wojownik wielki z usposobienia, wiadomo przecież, że nawet w cierpieniach cielesnych ukojenie znajdował, gdy mu na harfach lub cytrach przygrywano. I w tej chwili, obcując duchem z Chrobrymi, Krzywoustymi, Jagiellami, świętymi budowniczymi potęgi Ojczyzny, czuł, że balsam jakiś spływa na jego zranione serce, że nowe przybywają mu siły, nowa otucha.

Postać jego, zawdy imponująca majestatem, ja-

ki wola silna, niepokalanością opromieniona, dokoła siebie roztacza, wydawała się w tej chwili jeszcze wspanialszą. Nie był olbrzymem, wzrost nieco więcej niż mierny posiadał, a czuło się w nim olbrzymia. Szczupłe członki nabrały trwałości spiżu, wyprostowały się barki, wielka zaś głowa, z twarzą ospowatą o rysach surowych, wyrazistych, z szeroko zatoczonym czołem, podniosła się dumnie. Koronowała tę piękną głowę wysoko podgolona i mocno oszroniona czupryna; z pod kształtnego, z rozdętymi nieco nozdrzami nosa wysuwał się wąs zawieszony, aby się połączyć z długą, na piersi spadającą, brodą. Na czole niewiele było zmarszczek — za to jaśniała szeroka blizna z pod Beresteczka, również blizna zdobiła lico. Znak ostatni był pamiątką po krwawej bitwie z Bohunem pod Monasterzyskami. Czarnecki walczył wtedy bez szyszaka i hełmu. Kula kozacka rozerwała mu policzek, przebiła podniebienie, aż je musiano sztucznym zastąpić. Od tego czasu Czarnecki mówił chrapliwie, tak niewyraźnie, że trudno go było zrozumieć. Z pod brwi krzaczastych, nawistych, patrzyły oczy duże, siwe, blasku pełne, świdrujące ludzi na skroś. Przy zwykłym usposobieniu wodziła z tych oczu do broć i słodycz, inszym razem widniało w nich skupienie, a podczas walki skryły w nich pioranowe płonęły...

Stał tak w zamyśleniu, wreszcie odstąpił od okna i, zwracając się do Warszyckiego, rzekł:

— Grzeszniśmy wielce, wini pełni, ale przecież nie do tego stopnia, żebyśmy na banicy z oblicza

świata zasługiwali. Więc odejmie Bóg prawicę karzącą, kres położy klęskom i pogodę na niebie naszym roztoczy; my zaś, łaski doznawszy, zaniechamy grzechów, a przedewszystkiem onych waśni, onej prywaty i swywoli, z których wszelkie płyną nieszczęścia.

— Obyż się złote słowa waszmości spełniły! — westchnął Warszyci i zaraz zapytał: — Dobrze, iżem sobie przypomniał... Kiedyż waszmość ekspedycyę do Częstochowy zamierzasz wyprawić?

— Jutro. Listy do przeora Kordeckiego już w pogotowiu. Byleby Oleńka, babskim zwyczajem, znów do odwłoki się nie przyczyniła.

— To stolnikowa stanowczo Siewierz opuszcza?

— Cóżby tu robiła? Wcale niepotrzebnie przyjeżdżała, natarłem jej za to uszu dobrze. W taki czas podróże odprawiać i jeszcze tam, gdzie nieprzyjaciel grasuje, — koncept podobny w szalonej tylko głowie mógł się zrodzić, albo... w babskiej!

— Nie krzywdź waszmość córki. Z afektu dla rodzica to uczyniła — zauważył Warszyci. — Przytem okazała odwagę nielada. Waszmość rad być winieneś, cnoty swoje wiernie odradzające się w potomstwie widząc...

Z kolei pan Czarniecki westchnął i rzekł z żalem w głosie:

— Cóż z tego, kiedy one cnoty nie mogą należeć ujścia właściwego, ile że w niewieściej są umieszczone powłoce. Synaczkciem nie obdarzyło mnie niebo...

Czupryny podgolonej musnął i weselej już mówił:

— Oleńka, dobrodzieju, jak słusznieś waszmość zauważył, odwagę posiada nie białogłowską. Od maleńkości hajdamactwo w niej siedziało, męska raczej natura, a nie niewieścia. Insze już w pędractwie do fatalaszków, tkliwości i tym podobnych rzeczy się zwracają, w niej zawdy męskie upodobania się odzywały, jakoby w nie swojej skórze siedziała. Do łuku się rwała, bandolet jej pachniał, a ze stajni nie można było jej wyciągnąć... I taką już pozostała. Kulą nosy świecom obciera, jak nic, z chartami goni, a gdyby jej pozwolono, z oszczepem na maruchę poszłaby ochotnie. *Hie mulier*, dobrodzieju! Pomnę, razu pewnego, wyjeżdżam w Dzikie Pola, a ona w bek. Pytam: — Co ci? — Ona zaś: — Żałuję, żem się w męskim stanie nie urodziła, bobym ojcowskiej chwały i dzieł jego uczestniczką być mogła... *). Taka z niej łasica.

— Uważam, że stolnik musi tańcować, jak mu zagra — roześmiał się Warszyci.

— Gdzie zaś, przy małżonku ona synogarlica. Żyją z sobą po Bożemu, nic do życzenia. Czasem strzeli jej coś do głowy, jak teraz oto. Stolnik przywiózł ją do Czarnicy, bo mu się uprzykrzała. — Matka — prawi — sama tam siedzieć musi, niechże ją — tem sieroctwie pocieszę. — A wiedziała, że mat-



entyczne.

ka nie sama, bo Leszczyńska *) już od miesiąca u niej bawi. Taki z niej frant. No, co prawda, stolnik z królem musiał wyciągnąć, więc nic złego, że do matki pośpieszyła. Wysłałem też do Czarny brata, pana Piotra, bo w czasie niepewnym męska opieka konieczna. Piotr żonę swoją tam przywiózł, żeby komput niewieści był pełen, a moja Oleńka, ni stąd ni zowąd... do Siewierza prysnęła. Nie mogę przecież tutaj jej trzymać, sam nie wiedząc dnia ani godziny; że zaś okazya mi się zdarza do Częstochowy, odeślę ją przy sposobności. Z Częstochowy do Czarny niedaleko.

— Cóż waszmość przeorowi odpisujesz, wolno wiedzieć? — zagadnął pan krakowski.

— Zapytywał, jak rzeczy stoją, a także zali Szwed Jasną Górę zaczepić się odważy... Odpisałem szczerą prawdę: szatan jeszcze Szwedowi pomaga, ale my nie wyrzekamy się nadziei i przy niej trwamy. Odpisałem dalej, że wielce to kruche problem, iżby Szwed Jasną Górę pomiął, przeto należy się mieć w pogotowiu. Listy zawiezie Pasek, szlachcic z Rawskiego. Młody to wprawdzie kawaler, trzydziestki nie sięga, ale żołnierz dobry, pewny, bystrego objęcia, w wojnie zaprawny, bo ją już kawał czasu praktykuje.

— Znam go trocha ze słyszenia. Pono lizska

*) Konstancya Leszczyńska, druga córka Czarnieckiego, małżonka krajczego koronnego, który potem województwo podlaskie otrzymał.

z niego, na wszystkie nogi kuta, z każdej tarapaty wykaraskać się umie, a odważny na podziw...

— Wierny konterfekt waszmość, dobrodzieju, skreśliłeś. Taki on jest kropla w kroplę. A co najważniejsza, że polegać na nim można w zupełności. Dlatego powierzam mu Oleńkę. Zawiezie ją do Czarny, a sam pojedzie na Jasną Górę i tam zostanie.

— A ~~to z~~ jakiej znów racyi?

— Z takiej, dobrodzieju, że gdyby Szwed pod Jasną Górę podstąpił, będzie miał w nim przeor głowę do rady i rąk parę sprawnych. Przydam mu jeszcze trzech towarzyszków, których sobie sam wybierze. Klasztoru nie zrujnują, a w razie czego wielce się przydadzą.

— To waszmość seryo przypuszcza, że Jasnej Górze grozi niebezpieczeństwo od heretyka? Cóż Ojcowie Paulini w takim razie poczną?

— I bardzo przypuszczam. Wprawdzie Karol Gustaw, wstępując w granice Rzeczypospolitej, uroczyście zapewnił, iż wiarę naszą katolicką uszanuje, ale to jego zapewnienie wiatrem na piasku było pisane. Widzimy, jak szanuje: w kościołach żołdactwo swoje rozstawia, które tam najhaniańbniejszych sprośności się dopuszcza, plebanie napada, grabi, pali, a księżom palce w kirki od muszkietów wkręca, żeby z nich wyznanie o skarbach kościelnych taką torturą osiągnąć... Z tego można wnosić niemal na pewno, że Jasnej Góry nie ominie, ile, że o bogactwach klasztoru tego więcej głoszą, niż prawda. Ba! wszakci pono już dwa razy tam się ono here-

tyckie nasienie wybierało: po zajęciu Wielkopolski zdrajca Radziejowski ich tam zaprowadził, ale tak się stało, że musieli wprzód zająć Kalisz, Koło, Łęczycę, Łowicz i Warszawę; drugi raz w trzy tygodnie z Krakowa pociągnęli i tym razem jednak coś im w drogę weszło... Wszystko tedy za tem przemawia, że świętego miejsca nie zaniechają...

— Ojcowie Paulini chyba im furty nie otworzą...

— Tak się spodziewam, a nawet pewien jestem tego. Kordecki przecie teraz przeorem, a jest on nie tylko zakonnikiem świętobliwym, lecz także ducha posiada żelaznego... Taki cudami słynącego przybytku nie wyda na pohańbienie heretykom...

— A gdyby do oblężenia przyszło?

Zamyślił się Czarniecki.

— Do oblężenia przyjść bardzo może — rzekł po chwili — bo Szweda, jakom już rzekł, Kordecki dobrowolnie nie wpuści, a dla heretyka nasze świętości niczem. Wiadomo też, że ku Najświętszej Pannie dziwną zawziętość szatańskie nasienie czuje... Co zaś do obrony... klasztor warowny i zapaśny, to prawda, nie tak jednak warowny, żeby mógł się długo ludzkimi siłami bronić. Wszelako tu znów, dobrodzieju, powtórzę: Bóg cuda czyni. Gdzie, jak gdzie, ale w miejscu tak świętem, cudu pewniej spodziewać się można. Nie po to chyba Najświętsza Panna Jasną Górę za swój przybytek obrała i na cały świat rozslawiła, żeby ją teraz heretyk miał shańbić. Zważ też waszmość, że, gdyby się dowie-

dziano, iż Szwed Jasnej Górze zagroził, cała Rzeczpospolita jako jeden mąż z obroną pośpieszy.

— Amen! — rzekł Warszucki — ale zawdy miejmy nadzieję, że do tej ostateczności nie przyjdzie... W każdym razie, dobrze waszmość czynisz, panów towarzyszków Ojcom Paulinom posyłając.

Zabrali się przyjaciele znów do szachów.

Pod koniec gry nowa zjawiała się przeszkoda, w postaci córki Czarnieckiego, pani stolnikowej Branickiej. Była z niej kobieta w lat kwiecie, niedawno zamężna, do ojca podobna nie tylko z rysów, ale nawet z ruchów, mowy i usposobienia. Pięknością nadzwyczajną się nie odznaczała, natomiast miała w sobie coś takiego, co ludzi jedna, za serce chwytła i do szacunku skłania. Patrzyła pogodnie, mówiła śmiało, otaczał ją wdzięk kobiecy i urok młodości, lecz obok tego czuło się w niej coś męskiego, rycerskiego nieledwie, zwłaszcza gdy brwi czarne zsunęła, jak ojciec i jak on w poważne zamyślenie wpadła. Leciuchny meszek na wardze górnej, zarzys wąsika przypominający, bardziej jeszcze to jej usposobienie energiczne uwydatniał.

Zbliżywszy się do siedzących przy szachach, rzekła:

— Chociaż nie wołana, z sukursem przybywam. Nie wiem tylko, po której stronie stanąć...

— Juścić po mojej, mościa stolnikowo, bo mnie godny jej rodzic, wedle zwyczaju, do muru przycisnął i odetchnąć nie daje — odparł pan krakowski, nie podnosząc oczu od szachownicy. — Sam zawdy

wywołam lichu z lasu, na utrapienie własne, żeby się zalterować i wstydu najeść... Taki ze mnie statysta!

— Prawda, że ojczyk pana kasztelana do muru przycisnął, ale może rada jeszcze się najdzie — nadmieniła stolnikowa, rozpatrując się w grze, którą niemniej od ojca zabawiać się lubiła. — Dobry żołnierz nigdy otuchy nie traci.

— Patrzącież ją, konsyliarkę! — fuknął Czarniecki, nie srożąc się jednak, bo już był przeciwnika bez ratunku osaczył. — A wieszże jejmość, moja pani córko, że w sroki nie orzą? A znasz przysłowie: „nie suwaj tam nosa, gdzieś nie dał grosza?”

— Wiem, ojczulku, ale i to wiem, że dobry chrześcijanin uciemieżonym pomagać winien, ja zaś mam serce chrześcijańskie...

— Serce chrześcijańskie! — dworował pan kijowski. — Oto mi kapelan, z katechizmem występuje! Ja waćpani natomiast powiem, iżbyś się w materję O. Piekarskiego nie wtrącała. Grzeszysz tem podwójnie, potrójnie, ba, poczwórnje nawet! *In primis* — świętokradztwo popełniasz, bez powołania funkcj duchownych się podejmując; *item* — faryzeuszem się stajesz, gdyż nie chrześcijańska zasada tobą kieruje, jeno poduszczenie szatańskie czynienia bliźniemu na złość; *item* — przeciwko rodzicowi bunt podnosisz; wreszcie — małżeńskim obowiązkom się przენiewierzasz, bo serce twoje małżonka ordynansów przedewszystkiem słuchać winno...

To rzekłszy, *drabika* (pionka) posunął i, zwracając się do Warszzyckiego, zapytał:

— A teraz, co będzie?

— Dla Boga! — mruknął Warszzycki—pastwisz się waszmość nade mną, jak kat nad dobrą duszą... Com ci winien? Zalim Szwed, albo ordyniec? Chyba do *kuchni* z królem uskoczę...

Jakoż schował króla do *kuchni* — co insi rozszowaniem nazywali — ale pan kijowski tylko się roześmiał i zawołał:

— Tum cię czekał, dobrodzieju! Stawiam oto *babę* i *met* (mat)! Ano, mościa konsyliarko, radz teraz.

Zatarł dłonie.

— *Caput!* Wiszę za obiedwie nogi... — mówił pan krakowski, głową kręcąc. — Prawda, *met* finalny, bez regresu. Victor z waszmości na wszystkich polach, przyjacielu miły...

— Za późnom przyszła — wtrąciła stolnikowa.

— Kusi cię, kusi przeciwko rodzicowi, — rzekł Czarniecki — oto córka! oto wdzięczność i afekt dziecięcy! Nie zazdroszczę stolnikowi, jeżeli i dla niego równy sentyment okazujesz...

— Stolnik się na mnie nie skarży i z pewnością nie wypędzałby mnie, gdybym się do niego na Śląsk, gdzie przy królu jegomości bawi, udała, jak mnie ojczyk z Siewierza wypędza.

Palcem jął świdrować po czole pan kijowski, mówiąc przytem:

— Którędy do Siewierza zajechała! Niczem Makiawel, dobrodzieju! Aliści daremne twoje zabiegi, mościa pani: dekret zapadł, musisz do Czarncy wracać i kwita.

— Nieodwołalnie, ojczyku? — zapytała stolnikowa z prośbą w głosie, pilno w oczy rodzica patrząc.

— Jakże chcesz inaczej, córuchno, nie tu po tobie — odparł Czarniecki, nie bez tkliwości poglądając na faworytkę. — Miło mi ciebie pod bokiem mieć, ale wyznam otwarcie, iż w danym razie zawadą mi jesteś. Wejdz w położenie i zrozum. Chwilowo skrępowany będąc umową z jegomością królem szwedzkim, z rękoma założonemi siedzieć muszę. Długo to trwać nie może. Czasu wojny pioruny z jasnego nieba padają, wiadoma to rzecz, i tu lada moment stać się może coś niespodzianego, co bieg spraw dotychczasowy do góry nogami wywróci. Gdy ogień pod stopami, każdy ręce wolne mieć winien, tem bardziej wódz... Ty, Oleńko, dystraktem byłabyś mi w danym wypadku, uwagę miałbym rozproszoną...

— Takci jest, mościa stolnikowo dobrodziejko, — potaknął Warszycy — mądrość przez usta jej rodzica płynie...

— Ojczyk zawdy jak dziewczkę płochliwą mnie traktuje,—rzekła z dąsem stolnikowa—a jabym do prawdy i w bitwie się przydała. Gdyby mi jeno było wolno...

— Otóż to właśnie, że ci nie wolno, że ci, dobrodzieju, nie przystoi do spraw płci białogłowskiej przeciwnych się mieszać — przerwał pan Czarniecki. — Coby na to stolnik powiedział, gdybym narażać ci się pozwolił? Rozważ jeszcze: matka w Czarncy sama...

— Jest tam przecież Kostusia i stryj Piotr — podchwyciła stolnikowa.

— Naści kłopot! Jak to jej żołnierskie przygody pachną. Chyba kur zapiał, gdyś się rodziła. Ale co tu długo gadać: w Siewierzu zostawać nie możesz i punctum. Jeżeli chcesz koniecznie wojny zakosztować, to daj sukurs przeorowi Kordeckiemu, skoro Szwed pod Jasną Górę podstąpi. Czarnca od Częstochowy niedaleko: jedźcież wówczas z Piotrem do klasztoru i brońcie go od heretyka.

Mówił pan kijowski żartem, ale stolnikowa inaczej to wzięła; spoważniała, zamyśliła się.

— Pewnaż to, że Szwed na Jasną Górę się waży? — zapytała.

— Niestychane byłoby świętokradztwo, bezecne uroczystych przyrzeczeń starganie, ze strony króla jegomości szwedzkiego, — odparł Czarniecki posępnie — ale odszczepieniec na nic nie zważa, wszystko dla zadowolenia chciwości podeptać gotów, honoru nie wyłączając. Jasna Góra słynie ze skarbów, tedy nęciła Szweða od samego początku inwazyi. Miarkuję, że pokusi się o jej zagarnięcie teraz snadniej, gdyż gwałtem pieniędzy na opędzenie potrzeb mu wojennych potrzeba.

— Panienska Najświętsza nie dopuści znieważenia polskiej stolicy swojej! — zawołała stolnikowa z mocą, przyczem w oczach jej zamigotały błyski groźne.

— I ja w to wierzę, — rzekł Czarniecki — właśnie przed chwilą panu kasztelanowi mniemanie takie wyraziłem. Klasztor wprawdzie nie nadto wa-

rownym, lecz przeorem tam ks. Kordecki, którego serce w potrzebie za najsilniejszą warownię stanie. Ochroni on miejsce święte od pohańbienia, w czym się też pomocy Pani Anielskiej niechybnie spodziewać może!

Wszedł pokojowiec, oznajmiając:

— Pan Pasek życzy widzieć się z jego miłością panem kasztelanem...

— Puszczajcie go, o nim właśnie myślę—rozkazał Czarniecki — w samą porę się zjawia.

Do komnaty wszedł pan Jan Chryzostom Pasek, towarzysz pancerny, człek młody, lat dwudziestu czterech lub sześciu. Prezentował się ujmująco. Mimo młodości, doświadczonego żołnierza już z pierwszego spojrzenia zdradzał. Jakoż mógł się nazwać doświadczonym, bo nader wczesnie dom rodziców opuścił i odtąd nieustannie w obozach czas pędził, służąc Ojczyźnie miłej całym sercem i duszą. Trafił na czasy burzliwe, mógł zatem swoje porywy waleczne zaspokajać do sytości. Naturę miał trochę awanturniczą, nieokiełznaną, wczasami gardzącą; zawdy przygód niebezpiecznych szukał, a w każdej potrzebie na czoło się wysuwał. Szczęście dziwnie mu sprzyjało, więc przy męstwie, umysłu bystrości i obrotności nadzwyczajnej, siła dokazywał. Niepodobieństwa dla niego nie istniały, na zdumiewające imprezy się porywał i zawdy niemal cało wychodził, lub najwyżej z lekką kontuzją.

Uspodobienia był nieco szorstkiego, rubasznego, bo to za życiem obozowym idzie, a jednak życzliwością ludzi się cieszył. Płeć białogłowska mile na nie-

go poglądała, on też serce na wdzięki niewieście miał, by wosk, miękie. Wysoki, smagły, barczysty, z setnym już wosem, który z fantazyą do góry podkręcał, z twarzą przyjemną, na której poczciwość wypisana była, niby inkaustem na białej karcie, z oczyma jasnymi, zuchwale a podczas groźnie potrząceni; zręczny przytem, kompanista niezrównany, rezonat w każdej materyi, nie dziw, że otoczenie sobie jednal i serca niewieście pograżał. Szczery, prawdę w oczy rąbał, lecz w potrzebie umiał miłodowemi słowy sypać, chytrze się przycziąć. W fortelach nieprzebrany, znajdował w każdej przygodzie właściwy. W bitwie nieznużony, w pochodzie niestrudzony, tańcować mógł całą noc, pieśni i fraszki jak z rękawa sypał, a pił na umór, lecz tylko w dobranej kompanii. Słowem, chłop był na schwał — do tańca i różańca. Poczciwości wiernie się trzymał, za przyjaciela dałby się w sztuki porąbać, na krzywdę ludzką patrzeć nie mógł spokojnie, natychmiast się o nią ujmował.

Wojak zapalony, Czarnieckiego admirował nad wszystkich hetmanów, jeszcze w domu rodzicielskim siedząc, więc też, w świat ruszywszy, pod jego znak się zaciągnął, inszemu wodzowi podlegać nie chcąc. Czarniecki, żołnierskiego ducha znawca, rychło go dojrzał, a raz wyróżniwszy, miał na niego oko i często funkcyę mu poruczał doniosłe, pewnym będąc, że zawód go nie spotka.

Znalazłszy się przed wodzem, Pasek skłonił się obecnym szarmancko, wyprostował, potem głowę nieco w tył odrzucił i rzekł:

— Wedle rozkazu J. W. Pana, na godzinę przychodzę.

Pan kijowski z upodobaniem na niego pojrzał, uśmiechnął się i naraz trocha się zastanowił. Wydało mu się, że na twarzy towarzysza postrzega wyraz jakiś niezwykły. W rzeczy samej: Pasek był czegoś rozstrojony, czemś wzburzony — oczy mu płonęły, czoło sfałdowało, przygryzał wąsa, w głosie nawet drżenie pewne słyszeć się dawało. Utaił Czarniecki spostrzeżenie swoje na razie i skinieniem łaskawem przybyłego powitał.

— Rad waćpana zawsze oglądam,—ozwał się—boś żołnierz godny, syn Rzeczypospolitej prawy, a w dodatku tę zasadę wyznawasz, iż „wojsko — to szkoła życia, chorągiew zaś matka.“ Przeto cię miłuję i cenię, czego nowy dowód ci dam, zawierając miszę nielada wagi.

— Życia mi nie starczy na wyrażenie wdzięczności za osobliwą łaskę J. W. Panu!—zawołał Pasek, chyląc się i kolana znamienitego wodza ściskając — rozkaż jeno, a w ogień skoczę i bodaj Lucypera z niego wyciągnę...

— Obcesowy kawaler z pana Paska — rozśmiała się stolnikowa.

— Gorący zaiste, — dodał pan krakowski — a z oczu mu patrzy, iżby się na taką nawet imprezę rzucił.

— Nieomylnie, wiem, że z niego determinat okrutny — potwierdził Czarniecki, potem znów do Paska się zwrócił w ten kształt: — Do piekieł się waćpan nie wyrывaj, Lucypera nie szukaj. Mamy

tu, w granicach Rzeczypospolitej, grasantów z jego ramienia, z tymi nam się sprawiać, ogień, przez nich rozniecony, gasić. Wiem, żeś w gorącej wodzie kąpany, tedy czuję, że markotno ci siedzieć w miejscu i na rdzewienie szabli patrzeć...

— Co prawda, to prawda: zakaty ciężko, J. W. Panie... — mruknął Pasek.

— Ręka na szwedzką skórę świerzbi?

— Kaducznie świerzbi, J. W. Panie!

— Rozumiem to, ale tak się ułożyły rzeczy, że do czasu smakiem się obywać trza, dobrodzieju! — westchnął Czarniecki. — Cóż robić... człowiek musi się stosować, *ut fata trahunt*... Aliści *nil desperandum!* Wszystko ma swój koniec, i te nasze rekolekcy skończą się wreszcie, a mniemam, że rychło to nastąpi.

— Dałby Bóg jak najprędzej, J. W. Panie! — z kolei Pasek westchnął.

— Zanim jednak to nastąpi, — ciągnął pan kijowski — dam waćpanu okazyę zaczerpnięcia tchu, a to w takim sposobie. Uważ i zakonotuj w pamięci, dobrodzieju. Dobierzesz sobie trzech kompanów (a miarkuj żołnierzików godnych, którzyby mojej szkole famy nie zepsowali), wszystka czterech weźmiecie każdy swoich pacholików i czeladź, i w takiej oto paradzie panią stolnikową koronną, córkę moją, do Czarnicy odwieziecie.

— Zaszczyt niemały, J. W. Panie — zauważył Pasek — ale zasługa żadna. Prosta przejażdżka tylko...

— Zwolna, dobrodzieju, niewszystka w tem

mieści się funkcyja. Z Czarncy, udacie się waszmość panowie na Jasną Górę. Odwieziecie listy ode mnie przeorowi i tam do jego dyspozycyi zostawać będziecie....

— Znów na rekolekcyach... — podjął Pasek głosem żalonym.

— A to z waćpana na juszkę szwedzką chciwiec zawzięty, gorzej pijawki. Wypuścisz jej jeszcze dowoli, mości cyruliku, kto wie, czy właśnie na Jasnej Górze taka okazya się nie trafi...

— Wolnoż wiedzieć, jakim sposobem, J. W. Panie?

— Takim, że się chmury nad tem miejscem świętem gromadzą i jest prawdopodobieństwo, iż Szwed na Jasną Górę nastąpi.

— Zie sto tysięcy dyabłów, heretyk przeklęty! Tożby go chyba, takiego a takiego syna, ziemia żywcem pochłoneła! — huknął Pasek, nie mogąc wstrzymać oburzenia.

— Sprawiedliwieby się stało — wtrącił Warszzycki.

— Instrukcye szczegółowe jutro waćpan otrzymasz wraz z listami — dodał jeszcze Czarniecki.

— To już jutro ten kawaler srogi ma mnie z Siewierza uwieźć? — zapytała stolnikowa.

— Jutro, pani córko. Inaczej nie może być. Jakże, mości towarzyszu, rad jesteś z funkcyi?

— Każdy rozkaz miłości waszej ze szczerem ukontentowaniem pełnię — odparł Pasek z ukłonem.

— Gotuj się zatem do drogi...

Pasek znów się skłonił, ale nie odchodził. Pochrząkiwał, ociągał się, czuprynę gładził.

— Co ci? — zagadnął Czarniecki — miarkowałem, żeś przyszedł nie w swoim sosie, a i teraz miarkuję, że cię coś dusi... Gadajże, jeżeli tak.

— Juści prawda! — odparł Pasek i naraz wybuchnął: — Jakże ma być człowiek spokojny, jeżeli tego przedawczyka, zdrajcę, judasza, rozbójnika, święta ziemia nosi! Łotr z pod ciemnej gwiazdy! Urwaniec z szubienicy! Kat niewinności i siwego włosa! Niech jeno w ręce mi wpadnie, a na wolnym ogniu go przypiekę, pasy z niego zedrę i do otchłani piekielnej wyekspeduję!

— Dla Boga, co się stało!! — przerwał Czarniecki.

— Hamuj waćpan uniesienie — przestrzegął pan krakowski.

— Uniosłem się, to prawda, — rzekł Pasek — za co przepraszam uniżenie. Ależ bo, miłości wasze, nie wiecie, jaką barbarę ten niecnota Prac-ki popełnił... Włosy na głowie powstają...

— Prawże uczciwie, nie rzucaj się, niby szczuka w wieńcierzu... — upominał znów Czarniecki.

— Trudno o spokój, gdy się okrucieństwo takie ma przed oczyma... Nie, ja tego, jak należy, nie opowiem. Najlepiej będzie, jeżeli ich mość dobrodziejstwo sami skargi tych nieszczęśliwych wysłuchają...

— Jacy nieszczęśliwi? Gdzie są? Na co się skarżą? Mości towarzyszu, czy to nie miód przez ciebie gada? — dopytywał Warszzycki.

— U burgrabiego są. Przyjechali umyślnie na to łotra się użalić, nie wiedząc, że przedawczy-

kiem już ostał i duszę szatanowi, w szwedzkiej postaci, zapisał.

— Pracki? Podstoli Pracki?

— On, psi syn! U burgrabiego są. Skarbnik Drozdowski, szlachcic godny, posesyonat, córka jego, panna Krzysia, istne truchlątko i sąsiad ich, Balcerowicz, pisarz ziemski...

— Chodźmyż, ojczyku, do burgrabiego, — rzekła stolnikowa — miarkuję ze wzburzenia pana Paska, że musiało się stać coś niezwykłego...

— Zbrodnia, mościa dobrodziejko, okrucieństwo niesłychane! Że też piorun siarczysty infamisa przedtem nie rozszczepił...

— Prowadźże waćpan — ozwał się Czarniecki, srożąc oblicze. — Pracki... hm! taki niecnota gotów na wszystko.

Mieszkał pan Paweł Mielczarek, burgrabia zamku siewierskiego, w oficynach, skromną modą, celibatowi statecznie wierność dochowując, chociaż pięć krzyżyków dawno już był przekroczył. Gość liczniejszy w kwaterze kawalerskiej zawdy skwers wywołuje, cóż dopiero, jeśli spadnie tam niespodzianie, jeśli z gospodarzem nietylko nie jest w konfidencyi, lecz zgół do znajomych nawet jego nie należy, na dobitkę — jeżeli śród grona swego pleć białogłowską liczy... Tedy pan Mielczarek, zaskoczony nagle, kręcił się niby mucha w ukropie, a kłopotem dotkliwiej odczuwał, gdyż jakkolwiek twarde prowadził życie, przecież obowiązkom gościnności, które do narodowych praw polskich należą, nie był obcy. Ale jeżeli przyjazd nieznanego szlach-

cica, z córką i sąsiadem, głowę mu skotłował, to zjawienie się stolnikowej i kasztelanów całkiem go, jak to mówią, z pantaląku zbiło. Nie wiedział postarzały w samotności poczcwiiec, gdzie tak dostojne osoby ma posadzić, zapomniał poprostu języka w uściech. Odgadł frasunek burgrabiego Czarniecki, przeto, żeby go ośmielić i do równowagi przyprowadzić, po ramieniu go trzepnął i odezwał się przyjaźnie:

— Nie czyńże sobie waćpan, panie Pawle, zamęt, myśmy tu do ciebie przygodnie, jeno się rozpytać, co za krzywda się stała tej kompanii godnej, że aż, jak słyszymy, do nas z użaleniem przybyła?...

Burgrabia ręce rozkrzyżował, oczy do góry wznosił.

— Krzywda o pomstę do nieba wołająca! Crimen straszliwy! — odparł, a wskazując na tuż stojącego szlachcica, dorzucił: — Pan pisarz ziemski, Balcerowicz, świadek niesłychanego tego okrucieństwa, najlepszym będzie w tej mierze relatorem.

Balcerowicz, na którego w tej chwili spojrzenia wszystkich się zwróciły, sprawiał wrażenie uosobionej poczcwiwości. Średnich lat, zażywny, pleczysty, powolny w ruchach i mowie, łagodność i spokój miał w rysach twarzy i w dużych, jasnych, jakby z podziwieniem wciąż patrzących oczach. Należał do tych ludzi, którzy, Pana Boga chwając, siedzą w zagrodzie swojej, nie radzi z niej się wychylać, nie ciekawi poznać szerokiego świata. Szkół

wiele nie wahał, nad księgami nie ślęczał, ale rozum miał prosty, zdrowy, sąd o rzeczach jasny i trzeźwy. Nie narzucał się nikomu swoją osobą, nie wrywał ze zdaniem, nie szukał zaczepki; owszem, ustępował, dopóki mógł, spokoju i zgody z sąsiadami przestrzegając. Lecz zaczepiony niesłusznie, umiał się postawić i warchołowi dobre dać pamiętne. To też nazywano go „zichapekiem“ i chyba nieznający go bliżej ośmielił się w kaszę mu dmuchnąć.

Znalazłszy się wobec kasztelanów i stolnikowej, stropił się w pierwszej chwili, kłaniał się, jąkał, krztusił, lecz rychle się połapał i w ten sens powód przyjazdu do Siewierza wyluszczać począł:

— Za jubileusz poczytuję dzień dzisiejszy, gdyż w dniu tym mam szczęście przed oblicznością tak znamienitych osób stawać, a prawdziwie błogosła-wiłbym *Fatum* do ostatniego życia momentu, gdyby to w inszych okolicznościach się przytrafiło. Powiedział pan burgrabia, iż krzywda, o pomstę do nieba wołająca, mnie i godnego sąsiada mego, pana skarbnika Drozdowskiego tu sprowadziła i prawdę powiedział. Krzywde wyrządził podstoli Pracki panu skarbnikowi tak wielką, że trudno w mowie ludzkiej należeć słów dość silnych na jej wyrażenie. Jakże! Bezecnik on, który, jak słyszę od pana burgrabiego, zdradą, złamaniem wierności Ojczyźnie także się pokalał, w dzień biały ośmielił się napaść na dwór bezbronnego obywatela, żonę i syna jego zamordował po zbójce i byłby jeszcze córkę porwał,

gdyby Opatrzność temu nie zapobiegła, mnie na miejsce krwawego gwałtu posyłając...

— Jezu! Marya! — zawołała stolnikowa Brannicka, dłonie załamując. — Żonę i syna, powiadasz waszmość, zamordował?

— W dzień biały... — mruknął niemniej poruszony Warszzycki.

— Kołem go połamać! Smołą oblać i żywcem prażyć! — rzucił Pasek, zaciskając pięści.

Czarniecki, którego twarz ponsem ze zgrozy się powlekła i straszna po prostu się stała, rzekł chrapliwie, brodę motając:

— Praw waszmość składnie, mości pisarzu, iżbyśmy zdarzenie wyrozumieć mogli... Tak myślę, że powodem całej sprawy była spódniczka panny skarbnikówny?

— Właśnie, mości dobrodzieju — potaknął Balcerowicz. — Pracki już dawno o rękę panny skarbnikówny zabiegał, a że go czarna polewka spotkała, tedy gwałt obmyślił i spełnił go, chociaż zamiaru głównego nie osiągnął...

Tu pan pisarz w szczegóły się wdał, z których się okazało, iż podstoli Pracki nietylko po rękę skarbnikówny sięgał, ale także po jej oprawę, gdyż panna była posażna, szła za nią wioska piękna, w wyśmienitej glebie i gotowizna znaczna. Skarbnik Prackiego nie lubił, podstoli bowiem znany był z warcholstwa, z charakteru gwałtownego, dzikiego, rozpasanego, ale ostatecznie woli córki nie krępował. Panna jednak niedość, że serca do Prackiego nie czuła, lecz formalnie patrzeć na niego nie

mogła. Wstrętem ją przejmował, obawiała się go i bynajmniej abominacyi nie tała. Pracki już samą opinią wichury szalonego do siebie zrażał. Wiedzano, że skrzywdzić bliźniego nic u niego nie znaczyło; chodziły pogłoski, że pierwszą żonę swoją tyranizacją do grobu przywiódł, że ją więził, w zamknięciu trzymał, bił, katował, dobrego słowa nie dawał, najniesłuszniej w świecie o niewierność posądzając. W obejściu przytem z ludźmi był nieznośny, wszystkich traktował z góry, butnie, lekceważąco, a o lada błahostkę awantury krwawe wyprawiał.

Taki konkurent na powodzenie liczyć nie mógł żadną miarą, to też Krzysia — takie imię nosiła skarbnikówna — z miejsca go odpaliła, gdy z oświadczeniami wystąpił. Pracki wszakże się nie zraził, śmiechem rekuzę przyjął i nieustannie skarbnikównie się narzucał. Trafiał mu skarbnik do rozumu, perswadował:

— Zaniechaj waszmość, panie Sebastyanie, zachodów niewczesnych, wyraźnie przecież widzisz, iż z tej mąki chleba nie będzie. Gdzie woli Bożej niema, tam człowiek nie podola, a ja Krzysi zmuszać nie będę.

Pracki i te perswazyje śmiechem zbywał, raz wraz do Glinna zajeżdżał i pannie się naprzykrzał, powtarzając:

— Nie taki ja, żeby się lada kąprysem zrażać. Woda kamienie wierci, kroplami cierpliwie na jedno miejsce padając, — ja też statecznością serce

panny Krzysi zdobędę. Z rekuzą nie mógłbym spokojnie żyć na świecie.

Przyjeżdżał tedy do Glinna, oświadczyły ponawiał, aż razu pewnego skarbnik grzecznie, ale bez ogródek, niewłaściwe postępowanie mu wytknął. Podstoli w cholereę wpadł, dalejże na skarbnika z obelżywemi słowy. Przyszło do ostrego starcia, skarbnik tedy powiedział:

— Wiedźże, mości podstoli, iż teraz, chociażby się Krzysia do ciebie nawróciła, jabym swego pozwolenstwa nie dał. Szalony z waści człowiek — wyrodnym byłbym ojcem, krew własną takiemu powierając, na którego sumieniu śmierć już pierwszej małżonki cięży...

Zatrząsł się Pracki z pasyi, omal go krew nie zalała. Odjeżdżając z Glinna, już w progu, taką groźbę skarbnikowi rzucił:

— Odjeżdżam z tego domu pohańbiony i spowtarzony, ale nie mniemaj, mości skarbniku, iżbyś mnie złamał. Chcesz wojny? Będiesz miał wojnę. Obaczmy, kto górę weźmie. Nikt się pochwalić z mego upokorzenia nie może i nie zdarzy się to, jako żywo, nigdy! Czołem, mości skarbniku, rychle dam znać o sobie...

Wiedział skarbnik, że z Prackim gra niełatwa, tedy na ostrożności się miał, ale jakoś podstoli przycichł i o Glinnie jakby zapomniał. Bogu dziękował skarbnik, skoro zaś wieść się rozeszła, że Pracki do chorągwi Czarnieckiego się zaciągnął, miarkował, iż upamiętanie na niego przyszło.

Pracki jednak o upamiętaniu nie myślał i wciąż

żądzą pomsty płaął, chwili właściwej wyczekując. Dopóki pod żelazną dłonią Czarnieckiego zostawał, sposobność się nie zdarzała. Niebawem uprzykrzył sobie służbę twardą, wraz z Tyrawskim skłonił chorągwie kwarciane do konfederacyi, za pozór niewypłacanie żołdu podając, a następnie na stronę Szweda je przeciągnął. Nie wiedział o tem skarbnik, a nawet do głowy mu nie przyszło, iżby Pracki do zdrady się mógł posunąć. O taką przewrotność go nie posądzał.

Tymczasem podstoli, na stronę szwedzką przeszedłszy, miał do pewnego stopnia ręce rozwiązane. Szwedzi popleczników swoich nie kontrolowali, obojętnie patrzyli na największe ich wybryki. Zresztą, sami dopuszczając się gwałtów niesłychanych, musieli też tolerować gwałty tak im potrzebnych sojuszników. Pracki tedy gospodarował ze swoją chorągwią, jak mu się żywnie podobało, a łotrowska to była gospodarka, zbójecka w całym znaczeniu. Najeżdżał dwory, wioski palił, grabił, co się dało, a tłumaczył te bezprawia barbarzyńskie tem, iż poczucie miłości Ojczyzny nakazuje mu zaślepionych obywateli do Karola Gustawa nawracać, w którym jedyny ratunek Rzeczypospolitej spoczywa. Tak oto po szelmowsku gospodarując, wciąż miał w pamięci skarbnikównę, a despekt, jakiego w Glinie doznał, do którego sam przecież doprowadził, drażnił go, niby zadra, w żywe ciało wszczepiona.

Nie byłoby może przyszło do tak okropnej tragedyi, a przynajmniej rzecz jeszczeby się na czas jakiś była odwlekła, gdyby nie Floryan Maciuta,

istny zły duch podstolego. Ten Maciuta, frant nad franty, zaprawny we wszelkich niecotach, zetknął się był kiedyś z podstolim, przypadł mu do smaku i tak go sobie zjednał, że stał się jego doradcą zaufanym, prawą jego ręką. Opowiadał się był z Litwy, gdzie pono w procesie miał znaczne dobra, ale łącznie można się było domyślić, że dobra owe istniały na księżycu, a mniemany ich posiadacz należał do arcyłotrów, którzy po to chyba na świecie się trzymają, aby ludzi na pokuszenie wodzić i dobrem ich nędzny swój żywot wspierać. Prawdopodobnie niejedna kondemnata nad nim wisiała, więc i nazwisko zapewne nosił zmyślone.

Owo tedy Maciuta, tak opanowawszy podstolego, już go z opieki swojej nie wypuszczał. Zamieszkał u niego, włóczył się z nim wszędzie, do wszelkich awantur pobudzając. On również skarbnikównę mu przypominał, podrywając złośliwie, czem zawsze do pasyi ostatniej doprowadzał Prackiego i w postanowieniu zemsty go utrwał. Jakoż razu pewnego tak go podbechtał szydyczkami przycinki, że podstoli, pięścią w stół uderzywszy, zawołał:

— Masz wiedzieć, że na swoim postawię, choćby jutro! Powiadasz, że kunktuję z braku śmiałości? Inszemu lebbym rozszczepił, ale ciebie oszczędzę, żeby słyszeć, jak odszczekujesz z pod ławy posądzenie. Sprawiaj ludzi, jutro w drogę. Pannę zagarniem, skarbnikowi komory przetrząsnem, w drodze powrotnej ślub w pierwszym spotkanym kościele od klechy wymuszę.

Maciuta, na zbójeckie wyprawy łasy, aż ręce

zatarł, tak mu bezecna awantura była po myśli. Naza-
jutrz tedy, wzięwszy z sobą kilkunastu ludzi, wy-
próbowanych w tego rodzaju okazyach, do Glinna
się udali.

Przybywszy na miejsce, Maciuta z ludźmi do
śpichlerzy szturm przypuścił, a podstoli, jak w dym,
do dworu. Skarbnik, w pierwszej chwili, nie umiał
sobie zdać sprawy z tego, co się dzieje — mnie-
mał, że to Szwedzi go najechali — chwycił tedy
szablę, syn jego również, aż tu w progu podsto-
lego spotykają, który, śmiejąc się szatańsko, woła:

— Ano, skarbniczeńku, stawam na słowie. Nie
chciałeś, więc sam sobie wesele wyprawię, a wasz-
mość kapelę zapłacisz. Dalej, bez ceregielów! Opór
daremny, widzisz waszmość, żem nie z próżnemi
rękoma... Gdzież panna Krzysia?

— Mości podstoli, — krzyknie skarbnik obu-
rzony — waćpan w szaleństwie widocznie!... To
gwałt, wiolencya, protestuję!

— Owa! tyle sobie robię z waścinych prote-
stów! — na to Pracki. — Przyrzekłem, że za de-
spekt odpłatę sobie wymierzę, a ja słów na wiatr
nie rzucam, gęby na cholewę nie wywracam. Za-
bieram pannę, po stułę z nią pojedę, a ludzie nasi
tymczasem się tu zabawią...

Odrzącił zastępującego mu drogę skarbnika i do
izb się miał, gdy mu skarbnikowicz z boku szablą
zajechał.

— Młokosie! — syknął przez zaciśnięte wargi
podstoli — i ty chcesz *pro memoria*? Naści, sko-
ro się upierasz...

Zamachnął się i ciał tak okropnie, że młody
Drozdowski, niby drzewina, siekierą rażona, padł
bez ducha, a krew obluźgała osłupiałego ojca. Pod-
stolego krwi widok bardziej jeszcze rozjuszył —
wpadł do dworu szukać panny, która z matką w iz-
bach górnych się zatarasowała. Skarbnik stał chwi-
lę, niby w posąg zamieniony, patrząc wzrokiem błę-
dnym na zwłoki syna i dopiero widok pożaru, wznie-
conego przez najeźdźców, z oszołomienia go wy-
wiódł. Jęknął wtedy ciężko, z ust mu się wyrwało:

— Krzysia, dziecko moje! — poczem za pod-
stolim skoczył.

Pracki rychło niewiasty odszukał.

Zanim skarbnik nadbiegł, on już drzwi wywa-
żył, a stanąwszy przed wylekłemi matką i córką,
wołał:

— Mościa panno, bądźże rada, nie strój fochów,
do ślubu jedziem w tym momencie.

Sunął ku Krzysi, którą matka piersią własną
zasłaniała, rzuciwszy napastnikowi w oczy:

— Człeczce bez serca i sumienia, opamiętaj się!
Po moim trupie chyba ją dostaniesz!

Pracki, któremu szatan zmysły oplątał był do
cna, krzyknął groźnie:

— Mościa pani, nie igraj ze mną, musi się stać,
jako chcę!

Wyciągnął rękę ku Krzysi, co widząc, skarbnik-
kowa z kruciczki, ku obronie pochwyconej z izb dol-
nych, wypaliła, w twarz prosto mierząc podstolego.
Kula czapkę jeno przestrzeliła napastnika i w więk-
szy jeszcze szal go wyprowadziła.

— Byka za indyka, mościa pani! — wydarło mu się z ochryplej gardzieli, znów szablą śmignął i nowe morderstwo popełnił, trupem kładąc skarbnikowę.

Krzysia omdlała, w tej chwili właśnie nadbiegł skarbnik, a tuż za nim Maciuta, wołając do podstolego:

— Nic tu po nas, Sebastyanku, odwrót czyśmy co żywo, kaduk królewczyków nasła!...

— Ani myślę bez panny ruszać, — rzekł Pracki — pomagaj, razem ją uniesiem...

Ale Maciuta za rękę go chwycił i szepnął wyraziście:

— Zaniechać dziś jej musisz, Sebastyanku, bo nóż na gardle... Żegockiego dyabli tu przynieśli... każdy moment życiu grozi...

Przemocą niemal wyciągnął podstolego zausznik i tyłami, przez ogrody, z dworu wyprowadził; umknęli sami, ludzi swoich na pastwę obrońców skarbnika zostawiwszy.

Z sukursem zaś pośpieszył pan Krzysztof Żegocki z Babimostu, szlachcic możny, patriota niezachwiany, który już od niejakiego czasu Szweda, jak i gdzie mógł urywał na własną rękę, zebrawszy dość znaczny zastęp ochotnika. W chwili napadu Prackiego na Glinno znajdował się pan Krzysztof we wsi sąsiedniej, Borowicach, które Balcerowicz trzymał. O Prackim dał mu znać jeden z ludzi skarbnika, chyłkiem się wymknąwszy, a Żegocki w te pędy z pomocą skoczył do Glinna. Z hołotą Prackiego sprawił się piorunem, wszyscy niemal w jego ręce się

dostali, ale sam herszt zbójecki i Maciuta ująć zdołali. Pogoń, we wszystkie strony za nimi wysłana, z niczem wróciła — przepadli, niby mary.

Żegocki i Balcerowicz, zgrozą zdjęci na widok gwałtu krwawego, przyrzekli sobie, iż z podstolego przy pierwszej sposobności odwet należny, bodaj bez sądów, ściągną i zapewnią o tem złamanego nieszczęściem skarbnika oraz córkę jego, która, do przytomności wróciwszy, większy hart ducha niż ojciec okazała. Skarbnik bowiem, acz nie rozpaczął głośno, lecz na umyśle jakby się zachwiał. Patrzył dokoła ze zdziwieniem, milczał, słowa przez dwa dni do nikogo nie przemówił. Sprowadzony z Piotrkowa cyrulik krew mu puścił i dekokt jakiś w miodzie zadał. Czy to wskutek onych leków, czy też natura przemogła, dość, że po dwóch dniach ocknął się, jakby ze snu ciężkiego, lecz z trudnością zdawał sobie sprawę z tego, co się stało. Przy pomocy Balcerowicza i Żegockiego pogrzeb godny małżonce i synowi wyprawił, przyczem zachowywał się niezwykle obojętnie, lży jednej nie uronił.

Po obrzędzie żałobnym, Żegocki Glinno opuścił, Balcerowicz atoli pozostał, sąsiedzki bowiem obowiązek nakazywał mu zaopiekować się skarbnikiem i córką jego. Trzeba dodać, że skłaniało go do tego coś więcej jeszcze — afekt ku Krzysi, który od dawna żywił, czego wszakże dotychczas nie miał śmiałości wyznać.

Krzysia wdzięcznie przyjmowała pomoc sąsiada, a Balcerowiczowi serce się rozplýwało z błogości, gdy mu wdzięczność ciepłemi wyrażała słowy.

— Panno skarbnikówno, — odpowiadał, płacząc się zmieszany — ja to dziękować winienem, że służby moje powolne raczycie przyjmować. Szczęśliwym się czuję, na cośkolwiek przydać się mogąc. Wierzaj mi waćpanna: najśłodszą ordynaryą dla mnie jest, że pod rozkazami waćpanny służyć mogę. Gdybym jeszcze balsamu pociechy mógł wam dostarczyć... ale tego dobrodziejstwa Bóg nasamprzód a potem czas jest szafarzem.

— Zacny z waćpana człowiek i sąsiad godny — szeptała skarbnikówna, mile na niego patrząc — do śmierci nie zapomnę przysługi.

Balcerowicza jakby kto bakalią karmił, w oczach mu się mąciło ze wzruszenia, dreszcze rozkoszne go przechodziły, radby w tej chwili plackiem do nóg słodkiej panny upaść i wołać:

— A mojaś ty! Pragnę wiernym twoim służką pozostać, póki tchu w piersiach, rzeknij jeno słowo...

Cisnęły mu się wyrazy do ust, ale się wstrzymał, rozumiejąc dobrze, iż nie pora po temu; zresztą tak wysoce poważał skarbnikównę a osobę swoją w porównaniu z nią tak nisko stawiał, iż w duchu zuchwałym się nazywał.

W kilka dni po pogrzebie skarbnik jakoś się rozruszał, chociaż do usposobienia zwykłego nie wrócił. Oświadczył stanowczo, iż na Prackiego skargę osobiście Czarnieckiemu zawiezie, wciąż bowiem w tem mniemaniu trwał, że podstoli pod Czarnieckiego rozkazami zostaje. Wybierać się też począł niezwłocznie w drogę, wszystko zaś czynił dzi-

wnie zrywczco, gorączkowo, z roztargnieniem, bez należytego ładu i przezorności. Krzysia z Balcerowiczem zastanawiali się nad tym projektem, nieco wahali się z początku, lecz Balcerowicz wymiarkował, że może dobrze się stanie, jeśli skarbnik na czas niejaki Glinno opuści, gdzie go na każdym kroku napastowały wspomnienia krwawe.

— Mniejsza — mówił do Krzysi — o onego zbója, podstolego, bo temu prędzej czy później na zasłużony koniec przyjdzie; ale głównie o pana skarbnika mi idzie. Wciąż nieswój, bredzi chwilami, co, przyznam się waćpannie, o niepokój mnie przyprawia. Podróż do Siewierza może się skutecznym lekiem na zboląły umysł okazać. Tu siedząc, wciąż nieszczęście ma przed oczyma, ustawicznie o niem jeno myśli. W podróży i ludzi nowych się spotyka, i sama zmiana miejsca coś znaczy. Jedźmy zatem. Wprawdzie nienazbyt będzie przezpieczna droga przed Szwedem, ale mam nadzieję, że bez szwanku do Siewierza się dostaniem.

— Ufam waćpanu nieograniczenie — rzekła Krzysia.

— Panno skarbnikówno! — wyrwało się wtedy Balcerowiczowi — jam oddawna wasz, sercem i duszą, a temi słowy uczyniłaś waćpanna sobie ze mnie najwierniejszego niewolnika. Gdybym mógł, gdybym się odważył...

Uciał, przestraszywszy się, że aż tyle powiedział, lecz Krzysia spojrzała mu w oczy wdzięcznie i zapytała:

— Dokończ waćpan. W przyjaźnielstwie otwar-

tość pierwszy warunek, a waćpana za takiego liczę, który nikogo urazić nie zdolen...

Balcerowicz jednak już pohamował wezbrany sentyment, więc głową jeno wstrząsnął i odparł:

— Et! czasem człowiekowi uroi się jakieś nicpotem, które, gdyby na jaw z wnętrza duszy wyciągnął, mógłby szkodować niemało. Może kiedyś przypomnę waćpannie, co mi się niekiedy roi, ale teraz... myślny lepiej o podróży.

Nie wybrali się jednak tak rychle. Skarbnika bole w krzyżach chwyciły, musiał się do łóżka położyć i dryakwi zażywać. Na dobitek bezsenność go trapiła. Musiała Krzysia po całych nocach, z Balcerowiczem na przemiany, przy nim wysiadywać i wciąż mu odczytywać z Pisma Świętego opowieść o Hiobie, którego Bóg nieszczęściami dotykał, aby go tą drogą do nagrody niebieskiej przygotować. Tę opowieść dziwnie sobie upodobał, słuchając jej, powtarzał słowa nawiedzanego klęskami męża Bożego, jakby je chcąc dobrze zapamiętać.

Po tygodniu dźwignął się skarbnik — ruszono wtedy w drogę i szczęśliwie do Siewierza dotarli.

— Zaprawdę, dobrodzieju — odezwał się Czarniecki, gdy Balcerowicz do końca opowieści dobiegł — historia niepowszednia i chyba kamień trza mieć w piersi, żeby się nią nie poruszyć. Pracuki... Pracki! A, wywołaniec z piekła! Robota wedle jego miary. Patrząc na niego, zawdy tak sobie myślałem, że po to żyje, aby ludziom doskwierać. I Maciutę tego pomnę. Abominację wzbudzająca postura! Jaka zapamiętałość! Najazd na bez-

bronnego w dzień biały, dwie zbrodnie krwawe, jedna po drugiej! Na to trzeba wyzbycia się wszelkich uczuć, łotrostwa najwyższej próby...

— Na miecz katowski nieodwołalnie zasłużył! — wtrącił pan krakowski.

— Miecz katowski żadna kara w porównaniu do spełnionych zbrodni! — zapalał się Czarniecki. — Zdrajca-przedawczyk, gwałtownik, łupieżca i morderca w jednej osobie. Piszę się na zdanie pana Paska, że skórę z niego drzeć, w smołę prażyć, na ogniu wolnym przypiekać, cześć mu wprzód odebrawszy... Nie uniknie on łoża madejowego i smoły wrzącej w piekle, do którego tak gorliwie się spობi, ale krzywda stałaby się sprawiedliwości ludzkiej, gdyby z tego świata bez pokarania odszedł.

— Więc ściagać go, uchwycić i pokarać! — rzekła twardym głosem stolnikowa Branicka.

Niecierpliwie się poruszył pan kijowski.

— Powiedziała, co wiedziała! Tu, dobrodzieju, ze składem okoliczności trzeba się rachować, a okoliczności tak fatalnie się skalkulowały, że panu skarbnikowi wygodzić na razie nie mogę. Wprawdzie z pod władzy królewskiej się wyłamał, jako zdrajcę-żołnierza mam wszelkie prawo ściagać go i karać, ale wobec sprawy Ojczyzny ratowania, poniechać go muszę. Chyba, że mi trafunkiem w ręce wpadnie. Wówczas na nic oglądać się nie będę. Jednak, co się odwlecze, to nie uciecze, nosi on — poniosą i jego. Broni teraz, ufny w opiekę króla jegomości szwedzkiego, a raczej w opiekę Lucycpera, którego klientem jest gorliwym, i mniemam,

że wielu jeszcze grzechami sumienie już zbrukane zbluzga — ale potęga szwedzka równie szybko prysnie, jak urosła, wtedy pana podstolego do porachunku zaprosim. Nie zapomnę o nim, tak mi Jezu pozwól zbawienia dusznego doczekać. Radbym to przyrzeczenie moje panu skarbnikowi powtórzyć, a także kondolencyę mu wyrazić. Gdzież jest?

Balcerowicz i Mielczarek spojrzenia kłopotliwe zamienili, a bystry umysł Czarnieckiego w lot odgadł, jakie znaczenie w nich się mieściło.

— Czy pan skarbnik do tego stopnia na rozumie podupadł, że traktować z nim o rzeczy nie sposób? — zapytał.

— Właśnie po przyjeździe do Siewierza oszalał więcej niż kiedykolwiek i tak się odzywa, jakoby pamięć stracił — odparł Balcerowicz ze smutkiem. — Przebłąski zdrowego rozumu są, ale... Może to zaćmienie rozsądku chwilowe, tak też pannie skarbnikównie tłumaczę. Nowy cios spotkałby biedaczkę, a nie wiem, czyby jej sił starczyło do zniesienia i tego nieszczęścia...

— Trzebaż temu radzić za świeża, trzeba ratunku szukać — przerwała stolnikowa, silnie wzruszona. — Mamy tu przecież medyka doświadczonego i szczęśliwego w uzdrawianiu...

Wzrok proszący zwróciła ku ojcu, który rzekł:

— Zobaczmyż się nasamprzód z panem skarbnikiem, a tymczasem Fabrycy niech będzie w pogotowiu...

— Oznajmię tedy skarbnikowi dostojnych gości — szepnął Balcerowicz, poczem do izby sąsiedniej się udał, stąpając jak mógł najciszej.

— Okrutne ciosy spadają na ludzi — ozwała się stolnikowa, głębokiem przejęta spólcuciem dla skarbnika i jego córki.

— Tak to bywa — zauważył pan krakowski — nieszczęście nie samo przychodzi, mościa dobrodziejko, zazwyczaj ze wszech stron człowieka osacza.

— Krzyże to są Pańskie, grotty z nieba zsyłane, które trza znosić po chrześcijańsku: w cierpliwości i pokorze... — westchnął Czarniecki, również zaspiony.

— A! Pracki! Pracki! A ekstrakcie wszelkiego łotrostwa! A ześlijże go, Panie Jezu miły, na moje podwórko! — mruknął Pasek, węża targając za pamiętala.

Drzwi się właśnie otworzyły — wszedł skarbnik Drozdowski, prowadzony przez córkę, a za niemi Balcerowicz, z głową opuszczoną, przygnębiony, ledwie hamujący wybuch żalu.

Skarbnik kroczył ociężale, apatycznie, jedną ręką na ramieniu córki się wspierając, drugą na lasce. Wysoka jego postać przygarbiła się, głowę na pierś miał zwieszoną, oczy w pół przymknięte, na twarzy suchej, zapadłej, rozlana była jakby senność. Córka wiodła go z troskliwością najtkliwszej opiekunki; smętna jej, pełna niewysłowionego cierpienia twarzyczka wyrażała oraz wielką, silną miłość dziecka dla rodzica, miłość stateczną, zdolną do ofiar i poświęceń wszelkich. Doprowadziwszy oica do krzesła przy stole, nieśmieie, a nawet z rodzajem

obawy pewnej, spojrzała na obecnych dużemi, błękitnemi, ze śladami łez świeżo otartych oczyma.

Sam odgłos nieszczęścia, jakie Drozdowskich nawiedziło, zjednał im kasztelanów, stolnikowę i wszystkich zresztą mieszkańców Siewierza, a spólcucie wzmógł i pogłębił widok nieszczęśliwych. Jakoż nie można było patrzeć bez wzruszenia na onego starca, z wypełzłą już z włosów głową, z długim, mlecznym wąsem, z głębokimi bruzdami na czole i twarzy pożółkłej; jak również na oną panienkę z pobladłemi jagodami, przypominającą w tej chwili kwiat, nagłym i przedwczesnym chłodem zwarzony. Ciosy niespodziane otoczyły ich jakimś majestatem, wobec którego serca zacne nie mogły się ostać obojętnemi, zwłaszcza, że oboje, ojciec i córka, nie miotali się rozpacznie przeciwko niebu, a klęski, pomimo ich ogromu, znosili z tą godnością, jaką daje człowiekowi wiara żarliwa, głęboka.

Znać też było, że nieszczęście w nierównej mierze oddziaływało na ojca i córkę. Skarbnik, acz mężczyzna wiekiem i doświadczeniem zahartowany, całkiem mu się poddał, do tego stopnia, że złamało go ono zupełnie. Krzysia niemniej je odczuła, niemniej ją ono zgnębiło, ale na wytrwałość bohaterską się zdobyła. Cierpiała ze słodyczą anielską, ze spokojem, pomnym na obowiązki, z przytomnością duszy ufającej w sprawiedliwość i pociechę Bożą. Nigdy trzpiotem nie była, odznaczała się zawsze rozwagą, łagodnością i dobrocią — teraz zalety owe rozwinęły się jeszcze bardziej, dojrzały, obdarzając ją nadzwyczajną niezłomnością ducha.

W milczeniu poglądali obecni na tę parę żalobną, spólcucie, poszanowanie wielkiej niedoli, zamykały im usta.

Krzysia, przywiódłszy ojca do krzesła, szepnęła mu:

— Ojczulu, pan kasztelan kijowski... powitać trza...

Skarbnik głowę podniósł, dłoń z ramienia córki zdjął, o stół ją wsparł, potoczył oczyma po obecnych, a było to jego spojrzenie dziwnie spokojne, jakby czemś zmrożone, jakby zamarłe. Tak wodząc wzrokiem, na osobie Czarnieckiego się zatrzymał i powtórzył, niby echo:

— Pan kasztelan kijowski... powitać trza...

Następnie podniósł dłoń, po czole ją przesunął, jakby usiłując coś przypomnieć, wreszcie ozwał się słowy z Pisma Świętego:

— „Mąż był w ziemi Hur, imieniem Hiob, a był to mężczyzna szczery i prosty, i bojący się Boga, odstępający od złego...

Dnia pewnego przybieżał poseł do Hioba, mówiąc mu:

— Przypadli Sabejczycy i zabrali wszystko, czeladź mieczem pozabijali, ja jeno przyszedłem, abym ci to oznajmił...

A gdy ten jeszcze mówił, drugi poseł przyszedł i rzekł:

— Ogień Boży spadł z nieba, uderzywszy na owce i sługi, spalił je, wybiegałem się ja sam, abym ci oznajmił.

A gdy ten jeszcze mówił, przyszedł inny i rzekł:

— Znała wiatr gwałtowny przypadł od strony pustyni i zatrząsł czterema węglami domu, który, obaliwszy się, przytłukł dzieci twoje, i pomarły...

Tedy Hiob wstał i rozdarł szaty swoje i ogoliwszy głowę, upadłszy na ziemię, pokłonił się Panu i rzekł:

— Nagom wyszedł z żywota matki mojej i nago się tam wróć. Pan dał, Pan odjął, jako się Panu upodobało, niech będzie imię Pańskie błogosławione...“

Powiedziawszy to, skarbnik przysiadł na krzesło, znów głowę na piersi zwiesił i powieki przymknął.

Wstrząsające, rzewne wrażenie sprawiły te słowa, wyrzeczone przez starca, o zachwianym widocznie rozumie. Krzysia spojrzała błagalnie po obecnych, jakby ratunku wzywając, pan kasztelan kijowski brodę coraz gwałtowniej tarmosił, Warszyci brwi zsunął i wargi wydał, stolnikowa chusteczkę do oczu przykładła, Balcerowicz i Mielczarek pochrzakiwali, a Pasek dreptał w miejscu, klnąc Prackiego półgłosem w żywe kamienie.

— Ojczulu — szepnęła raz jeszcze Krzysia, przysunawszy usta do ucha zdrętwiałego starca — w Siewierzu jesteśmy, pan kasztelan kijowski życzy z ojczulem mówić...

— Pan kasztelan kijowski... — znów powtórzył skarbnik — w Siewierzu jesteśmy... A! wiem... To Pracki, to on szatan, który na głowę Hioba kłęski

sprowadził... Ale Hiob, chociaż go szatan „zaraził wrzodem bardzo złym, od stopy nogi, aż do wierzchu głowy jego, tak, że ropę skorupą oskrobywał, siedząc na gnoju,“ rzekł: — „Jeśliśmy przyjęli dobra z ręki Bożej, zlego czemuśmy przyjmować nie mieli...“

Uniósł się potem nieco w krzesło i dodał żałośnie:

— „Przecż nędznemu dana jest światłość, a żywot tym, którzy są w gorzkości dusze? Którzy czekają śmierci, a nie przychodzi, jako wykopywający skarb... I bardzo się wesela, gdy najdą grób... Pierwej niżeli jem — wzdycham, a jako wzbierające wody, tak ryczenie moje. Bo strach, którego się lękał, przyszedł na mnie, a czegom się obawiał, przydało się. Milczałem, byłem spokojny, a przyszło na mnie zagniewanie...“

Zamilkł, w krzesło się znów osunął i w senność popadł.

Krzysia usiłowała bodaj iskrę przytomności z przygnębionego umysłu ojca wykrzesać, lecz skarbnik, jeżeli odpowiadał, to albo wciąż słowy z Pisma Ś-go, albo zupełnie bez ładu i składu.

Czarnecki, widząc oplakany stan skarbnika, jak mógł pocieszał Krzysię, acz w duchu przyznawał, że marna to była pociecha. Rzekł wreszcie:

— Całem sercem współczuję nieszczęściu i Bóg świadkiem, radbym najszczerzej ulgę jaką przynieść. Na teraz jedno tylko powiedzieć mogę: bądź wacpanna spokojną, zdaj się na wolę Opatrzności, w rozpacz ani zwątpienie nie wpadaj. Rodzic wacpanny

zdrożony, przytem żal wciąż nim jeszcze miota, więc nic dziwnego, że trocha bredzi. Skoro wypocznie, sił nabierze, to i do rozumu wróci. Jeno wacpanna spokoju i ufności w miłosierdzie Boże nie trać. I to jeszcze powiem, — nie wrywajcie się z Siewierza dopóki się coś statecznego nie obmyśli. Wygody wam tu nie zbraknie, medyk sprawny, jak rzadko w kunszcie swoim wyćwiczony, jest pod ręką. Uczyni się wszystko, co w mocy ludzkiej, żeby pana skarbnika na nogi postawić.

Wyszedłszy z mieszkania burgrabiego, gdzie stolnikowa jednak została, pragnąc skarbnikównie w starunku około ojca pomagać i chociaż słowy ją umocnić, szepnął do Warszzyckiego:

— Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek czuł się tak wzburzonym. Oto tragedye życia! *Sunt lacrimae rerum!* A! Pracki! Czekaj judaszowe nasienie! Z oczu go nie spuszczę, i jeżeli wcześniej karania nie odbierze, ja się stanę mścicielem tych nieszczęśliwych...

— On skarbnik, widzi mi się, całkiem kiepski — zauważył Warszzycki.

— Chybać Bóg nie pogębi więcej biedaka i rozum mu przywróci. Fabrycy majster całą gębą, zna swoją sztukę na wylot, obaczmy, co powie...

— Szkoda byłoby dziewczyny. Całe gładka i sama dobroć z jej oczu wyziera. W razie czego, sierotąby ostała...

— Ha, musiałyby sobie radzić. To szczęście, że onego Balcerowicza ma w odwodzie. Szlachcic, ile miarkuję, pocziwy i nie od dziś ma się ku niej.

Fabrycy, medyk istotnie wyćwiczony, przytem traktujący sztukę swoją z zamiłowaniem, gdy go Czarniecki o zdanie co do zdrowia skarbnika wypytywał, znacząco głową kręcił i ramiona podnosił.

— Nic odrazu powiedzieć nie można — mówił. — Stary człek, rozum wstrząśnięty bardzo silnie. Zadałem mu lek uspokajający, krwi upuściłem, bo to grunt, ale...

Znów głową trząśł z powątpiewaniem.

— Wyteż mózgownicę i dołóż wszelkiego zachodu, a sowitą nagrodę otrzymasz. Lubisz ty nasze polskie dukaty, kukło włoska, niechże cię ta obietnica zachęci.

Włoch — bo z italskiej ziemi był rodem medyk — pogardliwie się skrzywił.

— Dukatów nigdy nie odrzucam, na to kwoka grzebie, żeby ziarno siakie takie naleźć — odparł — ale i bez nich uczciwie około szwanków ludzkich chodzę. Ten szlachcic... hm... stary już, w takim wieku trudno zaćmienie rozumu odpędzić. Zachodu nie poskapię, wszelako... nie przyrzekam nic.

Fabrycy — co się rzadko medykom zdarza — nie zwykł był umiejętności swej przeceniać, wolał zawsze, odpowiedzialności w razie wypadku unikać, chorobę groźniej przedstawić; lecz co do skarbnika nie przesadzał, gdyż o przyprowadzeniu go do zdrowia mocno wątpił. Po lekach zadanych, starzec nieco pamięć odzyskał, można było od niego słowo jakieś rozsądne wyciągnąć, i to przecież nie tentowało Fabrycego, wciąż głową trząśł, powtarzając:

— Łudzić się nie trza, poprawa chwilowa, nadto

jest wiekowy. Na takie rozumu roztarganie mądrość ludzka rady nie ma. Bóg tylko pomódz tu może. Człowiek śmiertelny i ułomny cudów sprowadzić nie zdolen.

O. Piekarski, Jezuita, kapelan i przyjaciel serdeczny pana kijowskiego, słuchając tych wynurzeń Włocha, ozwał się:

— Skoro taki dekret zapada, dlaczego nie wypełnić go w całym znaczeniu? Sposobność się po temu zdarza jak najlepsza.

Rozmowa toczyła się przy wieczerzy, do której liczne zawsze grono zasiadało, więc oczy wszystkich zwróciły się pytająco ku ks. kapelanowi, a Czarniecki zagadnął:

— Dałeś nam jegomość problema, dajże i rozwiązanie.

Wówczas ks. kapelan, niegdy sam żołnierz, a potem przez lat wiele nieodstępny Czarnieckiego towarzysz w ustawicznych pochodach, obozach i walkach, więc szorstki trocha i rycerskim porywom łatwo unosić się dający, nigdy jednak z krzywdą świętego powołania, wybuchnął gorąco:

— Mają oczy a nie widzą! Mają uszy a głuchymi pozostają na pobudki Boże! Tobież mi przyszło mówić tak, J. W. kasztelanie kijowski, hetmanie nad hetmany, tobież mam tłumaczyć *larum*, które wprawdzie nie Archanioł Michał, lecz słodki Archanioł Gabryel uderza?! Zaprawdę grzeszni być musimy wielce, jeżeli brzasków Bożych, tak doraźnie wskazywanych, widzieć nie chcemy...

Wytrzymał nieco ks. kapelan, a następnie już łagodniej prawil:

— Oburzyły się serca nasze na wiadomość o srogiej krzywdzie, jaka godnego i spokojnego obywatela, pana skarbnika Drozdowskiego, ze strony zdrajcy bezecnego i przedawczyka szwedzkiego spotkała; każdy z nas radby skołataniem nieszczęściem starcowi ulgę jaką przynieść, każdy też niechybnie, w miarę możliwości, do ukarania zbrodni się przyczyni: ale żaden z nas nie wskazuje — gdzie przede wszystkim o pociechę i ratunek udać się należy, chociaż tu obecny medyk wyraźnie o tem napomknął. Rzekł on przecież: „Bóg tu jedynie pomódz może“ — tedy niechaj pan skarbnik przedewszystkiem się zwróci do najdobrotliwszego, w miłosierdziu niewyczerpanego Ojca; niech się zwróci do Bogarodzicy, tej słodkiej zawdy Orędowniczki, Pośredniczki i Pocieszycielki strapionych. Umiłowała osobliwie Królowa Niebios Polskę, gdyż serca narodu naszego najgorętszym, najżywszym afektem dla niej pałają, to też chętnie i hojnie za afekt i cześć nam płaci, a zapłata ona ujawnia się w postaci cudów, których udający się do Niej doznają. Cuda owe najliczniej, zaiste falą nieprzerwaną, spływają z Jasnej Góry, tam bowiem Pani Anielska stolicę swoją ufundowała, tam się mieści Jej wizerunek najprawdziwszy, ręką Świętego Ewangelisty malowany na cyprysowej deszczulce, stanowiącej część stołu, przy którym onego czasu w Nazarecie Święta zasiadała Rodzina. Zatem na Jasną Górę niech podąży pan skarbnik, tam protekcyi niech błaga Tej Matki Zba-

wiciela, a ufam, że suplika bezowocną nie zostanie. Sposobność, powtarzam, zdarza się po temu, gdyż pan kasztelan kijowski towarzyszków z pod znaku swego tam wysyła. Niechże oni odwiozą pana skarbnika z córką, chociaż tak uważam, że pan Balcerowicz równie mógłby tej misji dopełnić.

Ksiądz kapelan umilkł, a Czarniecki ręce do góry wznosił, wołając:

— Złote słowa! Dyamentowa rada! Oczy nam jęgomość otworzyłeś! To się nazywa sprawę przeniknąć, jasno ją przedstawić, jądro treści wyłuskawszy.... Wstyd mi doprawdy, że sam, rozumem własnym, na tę myśl nie wpadł, chociaż, jako katolik dobry, więc najgorliwszy Pani Anielskiej wyznawca, służka i adorator, powinienem był jej się chwycić... Przewina to z mojej strony, której sobie nie podaruję i dyscypliną a także suchotami ją skarczę. Trzebaż skarbnikównie i jej opiekunowi przygodnemu niezwłocznie radę ks. kapelana powtórzyć, inniemam, że ją wypełnią również bez ociągania. Idzie tylko o to, żeby dostępu na Jasną Górę Szwed nie zatamował...

— Dobrze się to składa, bo i ja pragnę Jasną Górę nawiedzić — dodała pani Branicka. — Po drodze mi będzie. Pragnę też, czego mi chyba ojczyk nie zgani, czas jakiś panem skarbnikiem i jego córką zaopiekować się. Ludzkość to nakazuje. Siedzibę ich, ono Glinno, ileśmy słyszeli, Pracki ze swymi łotrami splondrował, część budynków z dymem puścił, przeto trza wszystko do porządku doprowadzić, z czem skarbnikównie samej uporać się będzie tru-

dno. Lepiej też się stanie, gdy pan skarbnik miejsce niedawnych zbrodni, które tak srodze serce jego zakrwawiły, z oczu na czas jakiś straci. Więc uważam, że najwłaściwiej uczynię, skarbnika z Krysią z Jasnej Góry do Czarnicy zabierając. Obowiązek chrześcijański spełnię i sercu dogodzę, bom szczególnie skarbnikównę upodobała.

— Zamiar całe przedni — rzekł pan kijowski — nic przeciwko temu mieć nie mogę. Ale Balcerowicz... ten nie będzie się cieszył z twojej ofiary... Wyraźne to przecież, że go skarbnikówna pograżyła z kretesem.

— Na Balcerowicza inny spada obowiązek: niech z Jasnej Góry do Glinna jedzie i ład należyty tam sprawi, a potem, do czasu powrotu skarbnika, niech gospodarstwa doziera.

— Plan niczego — pochwalił pan krakowski — ale stolnikowa dobrodziejka masz wyruszyć jutro, kto wie zaś, czy skarbnik, po lekach zadanych, może na niewygody podróży się narażać?

— W tej mierze decyduje Fabrycy — nadmienił Czarniecki, oczy na Włocha zwracając.

Włoch przez chwilę rozważał, wreszcie odezwał się:

— Podróż nienadto daleka, zresztą, jeżeli odbędzie się bez pośpiechu gwałtownego i w wygodzie, złych skutków nie sprowadzi. Może jechać śmiało...

— Niechże zatem będzie, jak moja pani córka wykoncypowała: na Jasną Górę, a potem do Czarnicy. Może też Szwed tak rychle na miejsce święte

nie uderzy, ale i w takim razie dacie sobie radę. Oleńce na fortelach i stanowczości nie zbywa, przysięga będzie miała pod ręką Paska i trzech jeszcze towarzyszy. Pono wybrał Pasek Kościuszkiewicza, Ołtarzewskiego i Zaruckiego — a o lepszy wybór trudno. Wszystkie czterej próbanti i ryzykanti pierwszej wody, głowy mają na karkach, ręce pewne i doświadczone. Z takimi żołnierzami bezpieczeństwo jest wszelkie — można przy nich spać najspokojniej, nawet gdyby Szwed ze wszystkich stron zagroził.

Mówił to pan kijowski wesoło, dłonie zacierając i brody pomuskując, a O. Piekarski dorzucił:

— Bezpieczeństwo w tym razie tem pewniejsze, ile, że nad podróżnymi Bogarodzica, przez wzgląd na ich intencję pobożną, także swoją opiekę roztoczy.

— Nieomylnie! Nieomylnie! Kto z Bogiem — Bóg z nim. Zawiadommyż skarbnikównę i Balcerowicza, co z naszej rady wypadło. Pasek również wcześniej o tem wiedzieć powinien. Skwasi się poczciwy pan pisarz, jeżeli nie jawnie, to w duszy, ale oponować nie będzie. Pasek za to ferworu nabierze. O, tak! Temu opiekuństwo panny skarbnikówny w smak pójdzie. Łasy on, szelma, na wdzięki niewieście, kochliwy, jak rzadko kto ... Byle gładsza twarzyczka o zapamiętanie go przyprawia, a cóż dopiero tak wdzięczny obrazek, jakim jest skarbnikówna. Ołtarzewski też nie drewno. Musisz, Oleńka, baczenie na tych szalawitów dawać pilne...

Śmiał się pan kijowski, oczyma mrugał i po bio-

drach się uderzał, co dobry niezwykle humor u niego oznaczało, Branicka zaś, poważnie usta odąwszy, zapewniała:

— Pod moją komendą zostają panowie towarzysze, a ja potrafię ich utrzymać na wodzy. Ze mną nie żarty, oho!

„Nie niszczyć książek“

II

W okazałym definitarzu jasnogórskim, podczas rady nadzwyczajnej, zwołanej przez samego prowincyała, panowała atmosfera przygnębiająca, niemal bolesna. Oblicza zgromadzonych Ojców były mocno zasepione, umysły wszystkich tłoczył ciężar smutku, targał niepokój, w sercach osiadła trwoga. Na niektórych twarzach widniało rozgądkowanie, w wielu oczach jaśniały łzy.

Na wezwanie przełożonego stawili się wszyscy, od najmłodszego do najstarszego; ci nawet, których sędziwość o niemoc przyprawiła, zwlekli stare kości i o kijach przydreptali na ów wiec niezwykły. Według starszeństwa zasiedli dokoła długiego stołu, tworząc, w białych swoich habitach, jakoby wieniec lilij białych, z siedmdziesięciu kwiatów złożony. Miejsce pierwsze zajmował prowincyał, O. Teofil Bronowski, starzec suchy, z twarzą zwiędłą, zapadłą, pożółkłą, z oczyma małemi, bystremi, rzucającymi spojrzenia przenikliwe. Twarz owa, spojrzenie, ruchy szybkie, głos ostry, wszystko to świad-

czyło, że prowincyał był przełożonym energicznym, stanowczym, że posiadał zdanie własne, od którego nie zwykł odstępować. Jakoż istotnie odznaczał się niezłomnością charakteru, uporem, nawet, w pewnych razach, do dziwactwa dochodzącym. Naprzeciwko prowincyała siedział przeor, O. Augustyn Kordecki; dalej uczony O. Andrzej Gołdnowski, pisarz ksiąg kościelnych, pogromca heretyków (pono aż trzy tysiące tych zbłąkanych, za przyczyną Bogarodzicy, na łono Kościoła katolickiego nawrócił...); dalej O. Jan Stradomski, słynny kaznodzieja, dalej O. Ludwik Czarniecki, O Hilary Sławoszewski, O. Ignacy Mielecki, O. Adam Stypulski, O. Daniel Rychtarski, O. Zacharyasz Małachowski, Ojcowie — Piotr Lasota, Sebastyan Stawicki, Marcelli Dobrosz, Maciej Błęszyński, Bracia—Benedykt Jarczowski, Marcelli Tomicki: wreszcie inni, których nazwiska nie zdobyły sobie jeszcze większego rozgłosu, ale którzy, na równi z najzasłużeńszymi, najwierniej służyli Bogu i Maryi w tem miejscu świętem, przez Nią szczególnie upodobanem, z którego na bogobojną Polskę, i nawet na świat cały, spływała moc wiary i cudów.

Białe postacie Ojców cześć budziły, owiane były niepokalanością, świętością, tchnęło od nich namaszczenie, powaga i dobroć gołębia. Znajdowały się pomiędzy nimi oblicza iście posągowej piękności, apostołskie, łaską Bożą widocznie naznaczone. Lecz w onym czcigodnym różańcu zakonnym postać przeora, O. Augustyna Kordeckiego, odrazu zwracała oczy i przykuwała je do siebie. Był przeor wie-

kiem nieco już posunięty, pięćdziesiątkę przekroczył, lecz lata nie odjęły mu czerstwości. Wysoki, trzymał się prosto, poruszał z umiarkowaniem, z godnością, w głosie jego donośnym, przekonywającym, słyszałeś jakby dźwięk srebra. Włos na głowie miał już dobrze srzonym przyprószone, również pasma białe gęsto przewijały w brodzie długiej, na piersi spadającej. Oblicze szczupłe, nieco zakłęśte, z rysami wyrazistemi, pociągało dziwnym spokojem i słodyczą; duże, czarne oczy płonęły ogniem wiary i nadzwyczajnego hartu ducha. Dość było spojrzeć na tę postać wyniosłą, żeby w niej przeczuć niepospolitej miary kapłana i obywatela, jednostkę Bogu miłą i Bogiem natchnioną, rycerza Chrystusa i Maryi, a zarazem dzielnego syna Ojczyzny.

Jakoż ks. Kordecki łączył w osobie swojej niezwykle cnoty i zalety. Świecił przykładem jako kapłan, jako zakonnik, jako obywatel, jako człowiek. Wywodził się z rodziny mieszczańskiej, w miasteczku Iwanowicach osiadłej, powołanie uczuł nierychle, — dopiero w trzydziestym roku życia uczynił profesję, i imię chrzestne Klemensa na zakonne Augustyna zmienił. Przywdziawszy habit zgromadzenia Ojców Paulinów, z całą żarliwością oddał się sprawom powołania, nie zapominając jednak, że posiada obok tego obowiązki względem Ojczyzny. Acz nie uczony, bo w księgach nie zatapiał się zbyt, miał ową wrodzoną bystrość pojęcia, której z ksiąg zaczerpnąć nie można, którą atoli daje znajomość życia, głębsze wnikanie w treść sprawy wszelkiej. Spo-

wiednik nieporównany, najtwardszego grzesznika potrafił do skruchy przywieźć, najzapamiętalesze serce rozbroić. Dar słowa posiadał w wysokim stopniu — przemawiał wyrazami prostemi, lecz z taką mocą, z takim namaszczeniem i słodyczą, że porywał, przekonywał, podbijał słuchaczy. Coś niezemskiego otaczało go, rozporządzał, zda się, w stosunkach z ludźmi, jakąś potęgą nie z tego świata, wpływem tak stanowczym, że ulegali mu wszyscy. Zgromadzenie oceniało jego zalety, więc powierzano mu godności poważne. Przeorował nasamprzód w Oporowie, potem w Pinczowie, a na Jasnej Górze już po raz wtóry na to stanowisko go powołano, właśnie w tym ciężkim dla Rzeczypospolitej czasie, kiedy na nią klęski ze wszech stron spadały. Jako przeor, rządził w klasztorze mądrze, roztropnie, z miłością ojcowską, przysparzając zgromadzeniu cnotliwego pożytku, a przedewszystkiem dbając o pomnożenie chwały Królowej Niebios, która ze szczytu Jasnej Góry rozaczała opiekę nad całą Polską.

Takim mężem był ks. Augustyn Kordecki, przeor wsławionego cudami klasztoru, kapłan natchniony, wierny syn Rzeczypospolitej.

Podczas onej rady nadzwyczajnej w definitywie, ks. Kordecki na równi z innymi Ojcami był zasępiony. O. prowincyał przywiózł złe wieści, dla klasztoru wielce groźne, i zażądał od Ojców niezwykłego poświęcenia. Wiedziano już dawno, że Szwed, opanowawszy Poznań i Kalisz, zbliżał się już do Wielunia, główny dowódca sił nieprzyjacielskich

w Wielkopolsce, stary wojownik, generał Burhard Miller, głośno o zamiarze zajęcia Jasnej Góry mówił. Przestrzegł o tym zamiarze O. Paulinów król Jan Kazimierz, lecz, gdy się prowincyał udał do niego, pragnąc wyjednać jakąkolwiek pomoc do opatrzenia twierdzy; gdy mu przedstawił, że klasztor nie posiada funduszów na utrzymanie stosownej załogi, w razie napaści nieprzyjaciela, usłyszał ze strony króla odpowiedź wcale nie pocieszającą:

— W danym razie nic wam, Ojcowie mili, poradzić nie mogę. Położenie moje, sami zresztą wiecie, fatalne, oplakane. Sam zmiłowania Bożego czekam i wy również musicie się udać o pomoc do Boga...

— Przecież wydać klasztoru na łup heretykom niepodobna! — rozpaczal prowincyał.

— A któż o tem mówi?! — oburzył się król. — To się stać żadną miarą nie powinno, żadną miarą! Czyńcie, co można, szukajcie środków, zabiegajcie. Jeżeli gwałtowne nastąpi oblężenie, postaram się o odsiecz. Powtarzam... zwróćcie się do Boga.

Odpowiedź króla przywiózł O. prowincyał na Jasną Górę niezwłocznie, jeszcze przed dwoma z górą miesiącami. Przeor nie spodziewał się lepszej, ale rąk nie opuścił. Postanowił w żadnym razie Szweda do klasztoru nie wpuścić i już wcześniej odpowiednio przygotowania poczynił. Wprawdzie klasztor miał rzekomo zapewnioną przez Karola Gustawa nietykalność, ale Kordecki w ową salwę-gwardyę nie wierzył. Gromadził tedy w klasztorze środki obronne, żywność, broń, amunicyę, rozpisywał listy

na wszystkie strony, wzywając pomocy dla zagrożonego miejsca świętego. Gdy o zamachu szwedzkim coraz uporczywiej mówić zaczęto, prowincyał polecił ubezpieczyć w pewnym miejscu kosztowności klasztorne. Więc kielichy, złoto, srebro, klejnoty, wszystkie zresztą droższe naczynia i sprzęty, częścią zatopiono w wodzie, częścią przewieziono do lasów i tam ukryto. Jeden tylko wizerunek cudowny Bogarodzicy został na miejscu, jako największa tarcza klasztoru i jego mieszkańców.

Te środki ostrożności zarządzono już w sierpniu. Kordecki jednak nie przestawał w dalszym ciągu czynić przygotowań obrończych, krzątał się raźnie, z dobrą wiarą, a tak roztropnie, taką umiejętność przytem okazując, jak gdyby od maleńkości rycerskie rzemiosło praktykował. Nie zrażając się niczem, kołatał, gdzie tylko mógł, przedstawiając niebezpieczeństwo klasztoru, niezupełnie bezskutecznie, bo stąd i zowąd napływała to broń, to amunicya, to żywność, wreszcie pieniądze. Tak, na przykład, pan kasztelan krakowski nadesłał złotych 300 i dwańście wielkich armat, które bardzo się klasztorowi przydały. Werbował też ks. przeor ludzi. W miarę zbliżania się Szweda, chroniły się na Jasną Górę rodziny szlacheckie i już z pięćdziesiąt ich się w murach klasztornych zgromadziło. Załogę klasztorną wzmocnił ks. przeor do 160 ludzi, przeważnie z chłopów okolicznych.

O Szwedach mówiono wciąż, ale jakoś nie śpieszyło im się zaczepiać Jasnej Góry stanowczo. Kordecki mimo to nie spuszczał z nich oka, umacniał

i zaopatrywał klasztor tak gorliwie, jak gdyby nieprzyjaciel miał nazajutrz się zjawić. Obecnie, w końcu października, znów zjechał na Jasną Górę prowincyał, tym razem oświadczając, że Szwedzi nieomylnie lada dzień nadcigną, król ich bowiem rozkazał jenerałowi Millerowi klasztor zająć, jako twierdzę pograniczną ze Śląskiem, i załogę w nim silną osadzić.

— W takim stanie rzeczy—mówił prowincyał—trzeba również obraz święty zabezpieczyć. Nie można przecież narażać takiego skarbu, żeby go dłonie heretyków, tych najzawziętszych wrogów Maryi, zbezczęścić miały...

— Zabezpieczyć? — powtórzył ks. przeor. — Wolnoż wiedzieć, w jaki sposób wielebność wasza dokonać tego zamierza?

— Rozumiem, że najlepiej go będzie wywieźć na Śląsk, do Lublińca, gdzie w zamku grafa Cellarego, osobliwego przyjaciela i dobrodzieja zgromadzenia naszego, pewnie mieć będzie schronienie...

Twarz przeora spochmurniała, zamyślił się, a po chwili zapytał:

— Wasza wielebność oznajmia mi o tem, jako o dekrecie postanowionym?

— Miałżebyś, *charissime*, co do zarzucenia tej myśli?

— Mniemam, że bądź co bądź należałoby nie ominąć zdania Ojców...

— To się rozumie! To się rozumie! Formalność przedewszystkiem. Racz tedy, *charissime*, zwołać Ojców na radę, czasu nie tracąc.

Ojcowie zgromadzili się niezwłocznie, lecz projekt prowincyała nie znalazł poparcia. Wysłuchano go w milczeniu głębokiem, które samo przez się stanowiło protest. Prowincyał, widząc, że spotka opór, bardziej jeszcze do swego zamysłu się zapalił i jął go uzasadniać gorąco.

— Inaczej być nie może — prawił, wyrzucając rękoma, a na zapadłe policzki krew mu nabiegła. — Widzimy, jakich bezeceństw świętokradczych dopuszcza się heretyk w innych świątyniach... Na stajnie je przemienia, na szynki, rozpusty się w nich dopuszcza najwyuzdańszej — to samo spotkać może Jasną Górę. Musimy zabezpieczyć obraz święty od wszelkiego wypadku, a jakże to uczynić, jeżeli nie przewożąc go tam, gdzie ręka świętokradcza nie sięgnie? Graf Cellary pewny, Szwedzi mu nie zagrażają, a w razie czego, potrafi obronić skarb sobie powierzony.

— *Reverendissimus* wybaczy, że ośmielę się nadmienić iż my również nie poskapimy bodaj ostatniego tchnienia w obronie skarbu świętego — szepnął przeor.

— Ależ *charissime*, — przerwał niecierpliwie prowincyał — nie jesteśmy żołnierzami; klasztor, przy silniejszym nacisku ze strony Szweda, który, słysząc, ciągnie z mocą wielką, podda się, ulegnie...

— Wasza wielebność zaleciłeś trzymać się wszelkimi siłami, my rozkaz ten spełnimy najściślej — wtrącił przeor — a zda mi się, że uda nam się, przy pomocy Boga i Najświętszej Panienki, nie wpuścić heretyka na miejsce święte...

— Nie raz już przecie zbrodnicze dłonie targały się na Jasną Górę, zawdy jednak doznawały porażki sromotnej, zawdy Marya pośpieszyła z cudowną obroną swego wizerunku i miejsca świętego — zauważył O. Gołdonowski.

— Przyznaję — rzekł prowincyał — iż Marya zawdy stawiała w obronie klasztoru i wizerunku cudownego, lecz pamiętajmy, że dotychczas porywał się na Jasną Górę łotrzyki, rabusie, zawdy zniemacka i zawdy stosunkowo w małej liczbie... Obecnie rzecz się ma inaczej: wiemy, że heretyk armuje się na przybytek Boży, wiemy też, że ciągnie z siłą wielu tysięcy. W takim wypadku grzechem byłoby nie zabezpieczyć przenajcenniejszego ze skarbów klasztoru, jakim jest niewątpliwie wizerunek Bogarodzicy....

— Tedy *reverendissimus* z góry przeznacza nasze schronienie na łupież szwedzką? — podjął przeor — Jakże to pogodzić można z zaleceniem obrony, ile możliwości ludzkiej starczy?

— Bronić się trzeba, to mus, to obowiązek, lecz należy przewidywać, co się najprawdopodobniej stanie... Szwed wszędzie górą. Nie ostała się Warszawa, nie ostał się Kraków, cóż dopiero mówić o Jasnej Górze, która z tak warownymi miastami nawet w porównanie iść nie może... Poleciałem ci, *charissime*, trzymać się jak najdłużej, gdyż tym sposobem można będzie wyjednać u Szweda możliwie korzystne warunki kapitulacji, można będzie wyjednać chociaż względne poszanowanie klasztoru i kościoła.

— Wówczas te warunki rozciągną się także i na obraz cudowny...

— Nie jest to pewnem. Szwed postanowił zając Jasną Górę nietylko jako punkt obronny, ale nadto ma oskome na dobro klasztorne, na zgromadzone skarby, które przecież nie są własnością naszą, lecz Pani Anielskiej. Nie nalazłszy skarbów, będzie się starał wszelkimi sposoby od nas je wymusić; dlatego, kto wie, czy się nie pokusi o wzięcie w areszt cudownego wizerunku, który będzie trzymał dopóty, dopóki go złożeniem skarbów nie wykupimy. Kalkulacja prosta, jasna, niby światło gromniczne...

— Wielebność wasza sięga przezornością swoją daleko i głęboko,—co do mnie jestem mocno przekonany, wierzę w to, że do takiej ostateczności nie dojdzie. Heretyk klasztoru nie dostanie, obroni go cudownie Marya. Zresztą pewnem jest, że na wieść o nastąpieniu Szwedów na Jasną Górę, poruszy się cała Rzeczpospolita. Wszyscy staną, jako jeden mąż i zgniotą heretyka.

— Ależ obecnie przy Karolu Gustawie znaczna większość kraju stoi, przytem każdodziennie nowych zyskuje stroników...

— Królowa Anielska sprawi, iż łuski z oczu zasłepionych spadną, iż zwrócą się oni na drogę właściwą, ku prawowitemu monarsze...

— Tak się stanie! — poparł gorąco przeora O. Gołdonowski. — Nie powinniśmy pozbawiać się najpewniejszej obrony, najpotężniejszej tarczy, jaką posiadamy w wizerunku cudownym...

— Nie powinniśmy! — powtórzyli jednomyślnie Ojcowie.

— Przy nim czujemy się bezpiecznymi, z niego sływa otucha, z niego moc spływie zwycięska — podchwycił Kordecki. — Z jakąż wiarą w cudowność wizerunku chroni się do klasztoru szlachta z rodzinami i służbą! Z jakąż wiarą spogląda na niego załoga! Niech gruchnie wieść o wywiezieniu obrazu, upadną serca, obrona klasztoru stanie się niemożliwą.

Tak przemawiali inni Ojcowie, lecz prowincyał Bronowski uparł się i trwał przy swoim.

— Nikt o wywiezieniu obrazu, prócz was, Ojcowie, wiedzieć nie będzie, wiedzieć nie powinien. Uczyni się to w największej tajemnicy, nocą, a na miejsce prawdziwego wizerunku wstawi się zapasowy, boć posiadamy taki od wypadku. Wysłuchałem waszych racyj, Ojcowie mili, ale nie przekonały mnie one. Wizerunek zostanie przewieziony do Lublińca i to niezwłocznie, nocy dzisiejszej. Sekretu zalecać wam, Ojcowie, nie potrzebuję. Wymaga tego dobro zgromadzenia. Przeto niech ks. przeor zechce zająć się tą sprawą, oraz wyznaczyć jednego z Ojców, który wizerunek cudowny do Lublińca odwiezie i tam przy nim, jako strażnik depozytu świętego, ostanie. Tak się stać powinno, tak też się stanie. Powtarzacie Ojcowie mili: *qui confidit in Domino, nunquam confusus est*. A któżby temu przeczył? *Bóg tego nie opuści, który się na niego spuści* — zasada to chrześcijańska, grzechem byłoby podawać ją w wątplenie. Lecz w danym razie na Opatrzności Bożej jedynie

polegać i środków ostrożności, przez rozum dyktowanych, nie przedsiębrać, byłoby większym grzechem. Zresztą powiedzcież, Ojcowie moi, dla czegoż się do obrony przygotowujecie? Jeśli z taką pewnością wierzycie, iż wizerunkowi, pozostawionemu na Jasnej Górze, nic się nie stanie, — również wierzycie, iż moc Pani Anielskiej ochroni was od przedsiębrania środków ludzkich... A jednak zataczacie działa, wmacniacie mury i załogę? Gdyby można mieć pewność niezbitą, iż Szwed klasztoru nie dostanie, wówczas zabezpieczanie obrazu nazwałbym sam zbytęczą, niewczesną nawet troskliwością. O. przeor dufa w to i, daj Boże, aby się jego spodziewania ziściły, ale rachuby ludzkie omylne są. Pamiętajcie, że jeżeli ciężką byłaby strata klasztoru, lecz do powetowania, to strata wizerunku cudownego, spalenia go przez heretyków, niczem wynagrodzićby się nie dała. A w obecnych kolizjach wszystko przypuszczać można i trzeba...

Prowincyał otarł pot ze skroni i dalej rzecz prowadził:

— Wiara wiarą, przezorność przezornością. Powiadacie: w opresjach bywał cudowny wizerunek i zawdy ocalał... Wiem, że był zagrożony już w zamku bełskim przez Tatarzyna; wiem, że targnęli się na niego husytowie, wespółek z niecnej pamięci rycerzami polskimi — Jakóblem Nadobnym z Rogowa i Janem Kuropatwą z Łańcuchowa; wiem, iż zagrażali mu jeszcze — i pan z Karnowa, w błędach lutrzańskich zapamiętały, i on Zbrożek niecnota, który na Węgrzech od katowskiego miecza zginął, i lu-

dzie górscy, i Mansfeld, on pryncypał rebeliantów cesarskich. Prawda jest, — ocalał z tych wszystkich opresyj wizerunek, ale niezawsze bez szwanku. W zamku bełskim strzałą tatarską ugodzony został, husytowie mieczami go rąbali, czego dotąd ślady pozostają na szyi i obliczu Bogarodzicy, niczem się zamalować nie dające. Świętokradcy cudownie ukarani zostali ślepotą i paraliżem śmiertelnym, lecz despekt despektem pozostał. Na równi z wami pewny jestem, iż, gdyby Szwedzi poważyli się wizerunek obrazić, także Pani Anielska nie omieszkaby karę na nich spuścić: to wszelako nas nie upoważnia do narażania wizerunku, do wystawiania go na próbę. Racye moje zatem są głębokie i uzasadnione. Oponujecie mi, czemu się wcale nie dziwuję, bo rozumiem dobrze, iż ciężko wam ze skarbem tak droгим się rozstawać, ale przecież rozłąka to chwilowa. Skoro heretyk Jasnej Górze zagrażać przestanie, powróci jej kleynot najcenniejszy na miejsce dawnej chwały.

Mówił prowincyał z coraz większą żywością, własnymi podniecając się słowy, a serca Ojców coraz większem napełniały się strapieniem, które też na ich obliczach się ujawniło. Zazwyczaj spokojne i pogodne te oblicza szeptniały, z oczu patrzyła obawa bolesna, drżały wargi, po policzkach lży się toczyły, z piersi wyrwały się westchnienia, a nawet łkania stłumione.

Przeor bystrem spojrzeniem obrzucił zgromadzenie, słowa protestu i teraz jeszcze z ust mu się wyrwały, lecz nie wystąpił z niemi, pomny, iż posłuszeństwo względem przełożonych jest prawem

życia zakonnego świętem, niezłomnem, niewzruszonym, i że w tej chwili on przykład dać powinien. Cóżby zresztą mógł powiedzieć na obronę swego protestu, jaką przedstawić rękojmię? Ową wiarę głęboką w nietykalność Jasnej Góry? Owo przeczucie prorocze, iż Pani Anielska cud nad zniekaną Rzeczpospolitą okaże? Prowincyał nie zaprzeczy, iż stać się to niewątpliwie może, ale z okolicznościami po ludzku rachować się każe. A z ludzka rzeczy biorąc, słusność była po stronie prowincyała. Więc przeor już nie próbował dekretu przełożonego zwalczać, natomiast widząc frasunek Ojców, uważał za właściwe wzmocnić ich serca, pokrzepić ich na duchu. Ozwał się przeto:

— Stanie się wedle mądrych i roztropanych słów waszych, *reverendissime*, — obraz dziś, nocą, wysłemy do Lublińca, O. Romualda przydawszy mu za strażnika. Z boleścią rozstaniemy się z kleynotem, chwałą i tarczą Jasnej Góry, jak to przed chwilą czytający w sercach naszych wielebny rządca prowincyi naszej zauważył; lecz miejmy nadzieję, że sieroctwo nasze potrwa niedługo, że wizerunek sercom naszym drogi, w większym jeszcze majestacie powróci, a także, iż Jasna Góra nic wskutek jego nieobecności nie ucierpi. *Sursum corda*, Ojcowie mili! Zaiste, wnieśmy serca, nabierzmy otuchy i wierźmy, że, chociaż święta relikwia w inszem znajdować się będzie miejscu, Pani Anielska stolicy swojej polskiej nie opuści, płaszcza opieki swojej nam nie uchyli. Wierźmy w to, wierźmy silnie, całą duszą naszą, całym istnieniem naszym. Żywot wieczny da-

wa wiara, lecz nie bez uczynków zacnych, bo martwa na szlaki niebieskie nie zaprowadzi. Żądamy cudu od Królowej Niebios, wobec grozy heretyckiej, spodziewamy się go: tedy zasłużmy na ową łaskę uczynkami, zasłużmy ofiarą serc naszych, zasłużmy tęgością ducha naszego, a spotka nas ta chlubna i słodka zapłata.

— Amen! — dokończył O. prowincyał, znak dając, iż rada skończona, poczem, rozmówiwszy się jeszcze z przeorem o sprawach natury więcej poufnej, opuścił klasztor, sam przodem dążąc do Lublińca.

Ojcowie, przed nikim ze świeckich osób nie zdradzając zapadłego postanowienia, jęli niezwłocznie przygotowywać się do wysłania cudownego wizerunku. Tajemnicy nie można było inaczej utrzymać, jak ogłosiwszy, iż resztę kosztowności klasztornych prowincyał na Śląsk wywieźć polecił. Istotnie też, wraz z wizerunkiem pozostałe jeszcze kosztowności wysłać miano.

Gdy noc zapadła, Kordecki udał się do kaplicy. Ojcowie mieli się tam w czas pewien zgromadzić, aby modlitwą pożegnać perłę relikwii klasztornych.

Była kaplica owa już od lat dziesięciu niemal, w r. 1644, przebudowana i znacznie rozszerzona, gdyż dawna potrzebom wiernych i godności miejsca nie odpowiadała. Przebudował ją, rozszerzył oraz wspaniale przyozdobił Maciej Łubieński, arcybiskup gnieźnieński, prymas Korony Polskiej. Dzieło przebudowy trzy lata czasu zabrało, lecz uskutecz-niono je z wielkim starunkiem. Wtedy to kaplica zyskała ową kratę żelazną, oddzielającą część przy-

budowaną przybytku od dawnej; ściany zostały pokryte malowidłami, wyobrażającemi, z jednej strony łaski cudowne Bogarodzicy, uciekającym się do Niej świadczone, a z drugiej cuda, przez innych Patronów klasztoru dokonane; wizerunek cudowny przystrojono w bogate zasłony; na ołtarzu stanęły, w podwójnym rzędzie, lichtarze srebrne i także, misternej roboty, świeczniki; posadzkę wyłożono marmurem, dwoistej barwy. Arcybiskup kosztów nie szczędził, O. Paulini równie szczerze ku chwale Pani Anielskiej groszem szafowali, więc kaplica zajaśniała pięknnością i bogactwem, podziw budząc ogólny. Najwięcej zaś podziwiano ową kratę żelazną, w warstach mistrzów gdańskich ręcznie wykutą, istne cacko, arcydzieło, świadczące o wysokim stopniu rozwoju rzemiosł czasu owego, o niepospolitej kunsztowności, poczuciu piękna i smaku meyrstrów.

Arcydziełem też był ołtarz, z hebanu wyrobiony, przy którym kapitele i gzemsy dolne z czystego srebra w Gdańsku, równie jak i krata, wykute, dodano, oraz zdobiące ołtarz dwa posągi Świętych, także srebrne. Te ozdoby nieco z późniejszego czasu pochodziły. Fundował je w znacznej mierze Jerzy Ossoliński, kanclerz koronny. Kosztowała ta fundacya kanclerza więcej stu tysięcy złotych. O. Paulini uzupełnili ją, udzielając ze skarbcza klasztornego tysiąc dziewięćset grzywien srebra, na co musieli otrzymać pozwolenie króla Jana Kazimierza i Jana de Tores, arcybiskupa adryanopolskiego, który wówczas był nuncyuszem apostolskim. Temu lat cztery dopiero odbyło się poświęcenie onej pobożnej funda-

cyi Ossolińskiego, dokonał zaś tej ceremonii książę prymas Łubieński, w gronie pięciu innych biskupów polskich. Mnóstwo znakomitych dostojników narodu zjechało wtedy na Jasną Górę, a wiernych, nietylko z Polski, ale także z krain zagranicznych, przybyło więcej nad 400,000. Jednocześnie poświęcił książę prymas nowowzniesioną zakrystyę, a nad nią skarbiec większy, co już O. Paulini sami, z własnych zasobów, fundowali. Ołtarz Ś-go Czesława w zakrystyi wzniesiono nieco później, w lat trzy — ten poświęcił biskup heliopolitański, Ludwik Stempkowski.

Cisza głęboka zalegała przybytek Maryi, mrok tu panował, rozpraszany jedynie blaskiem lampy, zawieszanej przed ołtarzem, która wydawała się śród ciemności owych różą złotą, wykwitłą w powietrzu, tryskającą snopami promieni, rozłamujących się w czerwone smugi. Nie przenikały te smugi świetlne po za kratę, lecz zwracały się ku ołtarzowi, pełzały po jego ozdobach, mieniły się w rzeźbach kolumn, migotały w srebrze lichtarzów, świeczników i posągów, drżały na świetnych, złotem dierzganych, oponach obrazu, zbiegały się po malowidłach ściennych, sięgały wotów, rozwieszonych z obudwóch stron ołtarza. Większość znaczną tych ofiar pobożnych usunięto, zwłaszcza kosztowniejszych, lecz część pozostawiono, bo nie godziło się zupełnie ogołacać cudownego miejsca ze świadectw jego potęgi i chwały. Wszakże i to, co zostawiono, znaczną przedstawiało wartość: były tam kordy proste, węgorzową skórą ościągnięte i w jaszczur oprawne; były kule, przez

chromych, uzdrowionych cudownie, zostawione; strzały tatarskie, wyjęte z ran, które stałyby się śmiertelnymi, gdyby nie orędownictwo Paniunki Jasnogórskiej; serca, głowy, ręce ze złota i srebra ulane, również o łaskach Królowej Anielskiej świadczące; okowy, składane przez uwolnionych z jasyru więźniów, i mnóstwo innych przedmiotów. Najwięcej zaś widniało tabliczek srebrnych, z wrytymi na nich napisami, opowiadającemi, od kogo pochodzą i na jaką pamiątkę je tu złożono.

Z pomiędzy wyliczonych dokumentów nieprzebranego miłosierdzia Bogarodzicy, wyróżniał się jeden niepozorny, ze szczególną troskliwością przez O.O. Paulinów przechowywany: była to gromnica, w połowie już spalona, ulepiona niezbyt zręcznie. Przysłał ją tu, w Bogu spoczywający, ks. Piotr Skarga Pawężki, ze zgromadzenia O.O. Jezuitów, kaznodzieja złotousty, piorun na heretyków, najtroskliwszy opiekun wszelkiej nędzy, kapłan w świętobliwości niemal niedościgniony, który już za życia łaskami niebieskimi słynął, a po śmierci żywotem rajskim niewątpliwie nagrodzony został. Sam, własnemi rękoma ją ulepił, w chorobę zapadłszy, z której już nie wyszedł, i na Jasną Górę przysłał, prosząc, by podczas solennych modłów, na jego intencję odprawianych, płonęła. O.O. Paulini zastosowali się do tej prośby i oto tak się stało, że gdy kaznodzieja tchnienie ostatnie wydawał, gromnica jego, płonąca w tej chwili na ołtarzu, zgasła sama, bez czyjegokolwiek dotknięcia. Podwójną tedy wartość miała dla O.O. Paulinów: jako pamiątka po

mężu świętym, oraz jako świadectwo cudownego zdarzenia.

Przeor Kordecki, znalazłszy się w kaplicy, odeknął kratę kunsztowną, wszedł po za nią, złożywszy przed ołtarzem krótką adorację, za pomocą przykłonienia i strzelistego afektu, odsunął firanki, obraz zasłaniające, a następnie spuścił malowidło zewnętrzne, które w dół się zapadło z głuchym łoskotem, powtarzanym smętnie i przeciągle przez echa w każdym zakątku kościoła. Wrócił potem przed ołtarz, spojrzął na wizerunek cudowny, rozpostarł ręce i upadł krzyżem na stopniach, szepcząc:

— Zdrowaś Marya, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś między niewiastami...

Modlił się z żarliwością serc wielkich, serc wezbranych, opancerzonych potęgą wiary, nadziei i miłości, modłami swemi pragnąc wyjednać u Pani Anielskiej przebaczenie za despekt, jakiego się względem Niej dopuścił O. prowincyał, acz bezwiednie, w zamiarach najlepszych.

Bo za despekt dla Królowej Nieba poczytywał ks. Kordecki uwięzienie wizerunku cudownego z Jasnej Góry, za brak ufności w Jej łaskę, u Jej dla klasztoru i narodu polskiego afekt macierzysty. Zawdy roztropnie ze wszystkimi ziemskimi okolicznościami się liczący, w danym razie od rachub zwykłych, światowych, odstępował i z inszych szlaków na stan wypadków oraz bieg ich przyszły patrzył. Fundamentem życia i wszystkich jego czynności, w pojęciu tego mnicha, dalekiego od uczoności, nie posiadającego pojęcia o zabiegach dyplomatycznych

i zawikłaniach wielkiej polityki, była wiara, ufność w potęgę Boga i Maryi. Naród, w jego mniemaniu, grzeszył brakiem tej wiary i ufności, zapomniał o obowiązkach względem Nieba, stąd klęski na niego spadły. Jediną drogą odwrócenia tych klęsk, odbudowania narodowej mocy i blasku, było nawrócenie się do obowiązków, zjednoczenie się pod sztandarem, na którym jaśnieć będzie godło, zesłane ongi cudownie Konstantynowi: „Pod tym znakiem zwyciężysz!”

Pewnym był ks. Kordecki, że zjednoczenie to nastąpi. Wszystko zdawało się temu przeczyć, on jednak, patrząc na tryumfy szwedzkie, na coraz tłumniejsze opuszczanie Jana Kazimierza przez naród, nie tracił otuchy i chwili ocknienia się powszechnego oczekiwał cierpliwie. Chociażby cała Rzeczpospolita poddała się Karolowi Gustawowi, nie podda się Jasna Góra. Jeżeli heretyk, rozruchwalony powodzeniem, o polską stolicę Pani Anielskiej się pokusi, jeżeli dłoń świętokradzką na miejsce święte ściągnie — on, mnich prosty, stawi mu opór, a mając za puklerz wizerunek cudowny, nietylko sam zwycięży, lecz całą Rzeczpospolitą z odrętwienia i ślepoty wyrwie, wskazując tryumf na drodze obowiązku. Wizerunek Maryi stanie się owem Konstantyna Wielkiego *labarum* cudownem, na którego sam widok pierzchały zastępy nieprzyjacielskie, z którego na rycerstwo sływało męstwo niezłomne, niepokonane, wszystko gromiące.

— Gdy przyjdzie chwila — tak rozważał w ser-
Hetmani.

cu swem, nieprzebranem w wierze gorącej, jaką pierwsi chrześcijanie się szczylic i z jaką umierali na arenach cyrków rzymskich, szarpani przez lwy nubijskie — podniosę święte moje *labarum* z wizerunkiem Maryi, wtedy strach zdejmie wroga, a w narodzie przemówi sumienie głosem donośnym. I ocknie się naród, i pozna obowiązek, i stanie ramię przy ramieniu, i zwycięży! Larum wówczas zagra świat cały na cześć Pani Anielskiej i na cześć ludu, który, ulegając przeznaczeniom ludzkim, może błędzić, w grzech popadać, lecz, usłyszawszy hasło właściwe, wraca na stanowisko, otrząsa się z błędów i staje w blaskach chwały!

Pewność zwycięskiej obrony Jasnej Góry i zjednoczenia się narodu pod sztandarem Maryi czerpał ks. przeor z jasnowidzenia, z proroczego przecucia. Coś mu szeptało w duszy, że ten jego naród ukochany tylko wskutek nagłego ogromu klęsk popadł w oszołomienie, lecz niech jeno zagrzmią litaury hetmańskie, wnet się ożywi i dzielność sobie właściwą okaże. Atoli hasło owo powinno być nie ziemskiego pochodzenia; Polska wiarą powstała, przy wierze w potencję wzrosła, przez oziębienie wiary grozę upadku na siebie ściągnęła, więc odrodzić się musi tylko przez wiarę. Tak Bóg chce, tak postanowił i dlatego usiłowania hetmanów świeckich, wodzów nawet takiej miary, jak Czarniecki, zostawały bez pomyślnego skutku. Z Jasnej Góry dopiero ozwie się pobudka zwycięska, zagra ją mnich skromny, w ubogim gnieździe mieszczańskim zrodzony.

W rozważaniach swoich do tego punktu doszedłszy, trwożę uczuwał przeor Kordecki, w pierś się bił i wołał ze skrucą:

— Panie! przebacz mi, grzeszę, rozumiejąc o sobie tak zaszczytnie, jakobyś mnie do przeprowadzenia wielkiego dzieła wybrać raczył... Przebacz, Panie, ułomność ducha i w zapalczywości swej mnie nie karaj... Oto nieszczęścia Ojczyzny mnie obłąkały, iżem się ośmielił oczy podnieść na dostojęństwo hetmana zastępów Twoich... Nie karaj mnie, Panie, w gniewie Twoim, a raczej drogę racz wskazać, po której mi iść, by się stało wedle woli Twojej... Przyczyń się do prośb moich Maryo, Bogarodzico-Dziewico, błaga Cię sługa Twój, błaga strażnik i kasztelan polskiej stolicy Twojej...

A gdy tak się kajał strwożony, zdało mu się, iż słyszy głos hen, w górze, rozbrzmiewający jakby dźwiękami trąb archanielskich:

— Sługo Boży, wierny sługo Pani Anielskiej, nabierz serca, niech spokój wstąpi w duszę Twoją. Albowiem nie grzeszne są myśli twoje, lecz czyste i godne. Natchnienie Boże w tobie gra, idź za tą pobudką. Dawida powołał Pan ku zwyciężeniu Goliata, dziś chce, iżbyś się ty Dawidem wobec wrogów Rzeczypospolitej okazał. Weźmij tedy procę twoją, wyrzuć z niej kamyk wiary, a ugodzisz heretyki i odszczepieńce, iż skruszoną zostanie moc ich. Jako Piotr z Amiens, pustelnik ubogi, lecz przeniknięty promieniem Ducha Bożego, chadzał po krainie francuskiej i wołał, a na głos jego powstały

Gotfredy, Tankredy i Serca Lwie, tak i tobie przeznaczono. Wołaj, broń Jasnej Góry, a na głos twój, na widok niezłomności twojej, powstaną również w Polsce Gotfredy, Tankredy, Lwie Serca, rozwinięte skrzydła Orzeł Biały i pogromiony zostanie wróg, a chwała dawna Ojczyznę twoją otoczy...

Głos ten, słyszany wyraźnie po wielekroć, rozpraszał obawy i wątpliwości wszelkie — przeor Kordecki czuł się wówczas niepokonanym, czuł, iż jest istotnie narzędziem w ręku Boga, procą Dawidową, którą dłoń Maryi kieruje. I teraz, korząc się przed Orędowniczką Niebieską, a rozważając zbieg okoliczności, takiego doznawał uczucia, jakby mu kto do strwożonej, rozżalanej duszy balsam kojący sączył, jakoby mu na piersiach pancerz dobrej otuchy wyrósł, a u ramion skrzydła wybijały, które ludzi w sfery czynów nadzwyczajnych unoszą i w bohaterów przeistaczają. Naród wezwanie Królowej Niebios usłyszy, porwie się, wstrząśnie, jako Samson biblijny, z więzienia wrogów wyprowadzony, i starga hańbiące okowy, które w tej chwili sam sobie na ręce i nogi wkłada. Usłyszy naród pobudkę Bogarodzicy! W piersiach polskich zagra duch Chrobrowy, każdy mąż stanie się Zawiszą Czarnym, pierzchną z oblicza Ojczyzny wrogi, natomiast zajaśnieje ona kwiatami słodkich tryumfów...

Modląc się tak i marząc, nie słyszał przeor szmeru, jaki sprawiali przybywający do kaplicy Ojcowie i Bracia, — oni zaś, przeczuwając, iż nie w ziemskich buja krainach, nie śmiąc mu przerwać

świętych zachwyków, pokłękli tuż za nim i również w cichości zasyłali modły do Bogarodzicy. Dopiero twarde brzmienia zegarowe, wydzwaniające z wieży drugą godzinę po północy, wyrwały przeora marzeniom. Uniósł się z ziemi, szepnął O. Romualdowi, iżby światła na ołtarzu zapalił, a gdy ten spełnił polecenie, rozpoczęła się Msza Święta.

Odprawiał ją sam przeor, lecz bez organu, bez kotłów i trąb, bo pożegnanie cudownego wizerunku musiało się odbyć bez zwracania uwagi świeckich mieszkańców klasztoru. Śpiewu nie wystrzegano się — chóry nocne przepisywała reguła. Więc po Mszy przeor zaintonował starodawną kantyczkę:

„O Gospodzie uwielbiona, nad niebiosa wywyższona!”

Ojcowie zaś skwapliwie ją podchwycili:

„Stwórce-ś swego porodziła, mlekiem-eś Go swem karmiła...”

Niezwykle rzewnie brzmiała w tej chwili adoracja Maryi, smętkiem bowiem były przepełnione serca zakonników. Pieśń opowiadała tryumfy Pani Anielskiej w wyrazach:

„Co Ewa smętna straciła, Tyś przez Syna naprawiła,
Bramą-ś się stała do nieba, smucić nam się nie potrzeba.”

Lecz wyrazy te inaczej dźwięczały zwykle, a inaczej dziś. Zwykle wyrzucały je piersi śmiało, silnie, — a dziś z niepewnością, jakby trwożnie; zwykle radowały one myśli śpiewaków, — dziś przygnębiały ich.

Przeor po tej pieśni zaintonował więcej odpowiadającą nastrojowi Ojców:

„Gwiazdo morza głębokiego, Matko Boga Najwyższego,
Panienko bądź pozdrowiona, Furto rajska otworzona...

Ta kantyczka rozgrzała śpiewaków; zwłaszcza z przejęciem odśpiewali strofę:

„Rozwiąż związki zadłużonym, przynieś światłość zaślepionym,
Odpędź od nas, co jest złego, a daj nam chcieć co dobrego.
Iżeś Matką, niech poznamy, gdy się więc modlisz za nami,
Niechaj Cię Syn Twój wysłucha, ku nam grzesznym skłoni ucha“.

Atoli kantyczka trzecia:

„O Matko Miłościwa, Panno Litościwa,
Panno Urodziwa,
Maryo—módl się za nami!“

doprowadziła do najwyższego wybuchu uczuć. Łkania tłumione już znać było w strofach:

„Nasza Orędowniczko, nasza Pośrednco,
Nędznych Pomocnico,
Maryo—módl się za nami!
Świata Podziwienie, grzesznych Wybawienie,
Smutnych Pocieszenie,
Maryo...“ —

Gdy zaś przysły wyrazy:

„Do Ciebie wdychamy i z płaczem wołamy,
Ratunku żądamy,
Maryo...“ —

zadrżały głosy, zatrzęsły się usta, pochyliły głowy, wzniosły ręce i istotnie płacz się rozległ w kaplicy, jęki ciężkie i wzdychania, jak gdyby tej gromadce mnichów białych mogiła zabierała, co najdroższego mieli w świecie. Żaden się nie oparł wybuchowi temu: młodzi, z nowicyatu niedawno wypuszczeni, płakali jednakowo z sędziwymi, o wypelzłych głowach, starcami.

Przeor Kordecki, sam do głębi wzruszony, potrafił jednak zdobyć się na względny spokój, chociaż oczy jego lśniły się też od łez, a fałdy na czole zdradzały frasunek niezwykle. Po odśpiewaniu pieśni, już równowagę duchową odzyskał, zwrócił się do Ojców z twarzą pogodną i łagodnie ich krzepił:

— Czołem biję przed afektem, jaki dla Panienki okazujecie, raduje mnie wielce, iż trzódce tak głębokich adoratorów Maryi przewodzę, mimo to powiadam wam: miarkujcie strapienie wasze, ofiarowawszy je woli Najwyższego Pana! Mocy ducha, hartu woli, a przedewszystkiem wiary żarliwej, nieograniczonej, najgorętszej, oto czego wymagam, oto w co uzbroić się winniście, wobec czasu próby, który się zbliża. Cokolwiek wypadnie, bądźmy jako owi święci młodziankowie, w piec gorejący wrzuceni. Jak oni wśród płomieni nie przestawali chwalić Pana, tak i my w dniu próby wytrwałość i wiarę okażmy!

Ucichły łkania i żale, Ojcowie, z kornem poddaniem się woli przełożonego, wizerunek cudowny z ołtarza zdjęli i do podróży przygotowali, inny na jego miejsce, łudzaco do oryginału podobny, wsta-

wiając. Potem na własnych barkach wynieśli ten klejnot relikwii jasnogórskich z kościoła i na wozie, w czwórkę rosłych, silnych bułanków zaprzężonym, umieścili, razem z resztą kosztowności klasztornych. Owe dwie skrzynie ukryte były pomiędzy mnóstwem worów ze zbożem, warzywem, owocami i innymi leguminami, które rzekomo przeor jasnogórski krewniakom swoim, na Śląsku zamieszkałym, posyłał. Na worach usadowił się O. Romuald, powozić miał sławetny Jacek Brzuchański, dostatni mieszczanin ze Starej Częstochowy, organista przy kościele Świętej Barbary, trocha także malarz i kawał wierszoklety.

Znaną był postacią ów sławny Jacek, nietylko w Częstochowie, ale szeroko naokół. Lat sześćdziesięciu wieku doczekał się w zdrowiu czerstwem, rzeźkości takiej, że niejednego, znacznie młodszego, mógł w danym razie przeskoczyć, a przytem otaczała go widocznie i łaska Boża, i życzliwość ludzi, bo wiodło mu się we wszystkim: szanowali go i poważali sąsiedzi dalecy i blizcy, a nawet bracia szlachta miała względy dla niego, wyróżniając z pomiędzy innych łyków. Względy owe zjednał sobie nie dostatkami, ale poczciwością i zasługami dla klasztoru. Organistą był z dziada-pradziada—ważny ten urząd kościelny bowiem w jego rodzinie z ojca na syna przechodził nieodmiennie. Powiadano, że Brzuchańscy zjawili się w Częstochowie jednocześnie z O.O. Paulinami i tak się z nimi zżyli, że niepodobna było sobie wyobrazić kościoła jasnogórskiego bez któregośkolwiek z Brzuchańskich przy organach.

Trza dodać, że nie należeli do organistów-rzemieślników. Traktowali swój zawód poważnie, z zamiłowaniem, z przejęciem nawet. Coś artystycznego było w ich naturze. Jacek, naprzykład, po za organami, na których grał z przedziwną sprawnością, znał się doskonale na wszystkich niemal instrumentach dętych i rzniętych. Obok tego wielce łatwo mu przychodziło koncytować melode z własnej głowy, wcale udatne. Równie łatwo i z upodobaniem koncytował pieśni religijne, zwłaszcza kolendy, oraz dyalogi dla żaków, trocha uciészne i trocha tklive, czerpiąc do nich treść z Pisma Świętego i żywotów Wybrańców Pańskich. Gdy go proszono, chętnie pisał rymowane oracye, weselne, kuligowe, pogrzebowe, toasty, epitafia — słowem starożytnie panny z Helikonu na zawołanie mu służyły.

Arkana kunsztu malarskiego przeniknął wcale dokładnie, ale tylko rzeczy religijne malował. Wiele kościółków wiejskich obrazami przyozdobił, w niejednym klasztorze znajdowały się na ścianach lub sklepieniach korytarza, refektarza, zakrystyi lub definitarza dzieła jego ręki. Z osobliwym upodobaniem zwracał się do tematów, grozą przejmujących: do męczarni, zadawanych Świętym Wyznawcom przez pogan, do kar piekielnych i t. p. Jego Śmierć, malowana na chorągwiach pogrzebowych, w postaci kościotrupa z kosą w ręce, grozę wywoływała wśród maluczkich.

Posiadał tedy Jacek zdolności i możeby się one rozwinęły, gdyby się znalazł wśród warunków sprzy-

jających; atoli warunków tych brakło. Samouczkiem był i pozostał, a jako taki, zaprzepścił w sobie iskrę Bożą. Bez wskazówek, bez wykształcenia, wystrzelić ona płomieniem, rozgorzeć nie mogła. Niemniej jednak wśród swoich za pełnego talentów uchodził, sława jego rozbrzmiewała na cały powiat. Chlubił się z tego, mile słuchał pochwał dla siebie, chociaż zarozumiałym nie można go było nazwać. Do sławy wszechświatowej nie miał pretensyi, wystarczała mu sąsiedzka, powiatowa i to, że na chwałę Bożą zdolności spożytkowywał.

Klasztorowi oddany był całą duszą. Przy organach u Świętej Barbary spędził lat czterdzieści. Na Jasną Górę, gdzie grywał jego rodzic, nie kwapił się. Po śmierci ojca, syna swego tam umieścił, sam pozostając na starem miejscu, do którego się przywiązał nierozdzielnie i tylko w wyjątkowych razach synowi pomagał lub zastępował go w zupełności. Pracą i statkiem fortunki przysparzał wciąż, a pocziwością i sercem miłość i szacunek ludzi coraz większy sobie zjednywał. Dzieci wypromował pięknie. Oprócz syna, zgodnie z tradycją rodzinną na organistę wykierowanego, miał dwóch jeszcze: jeden, w wojsku kwarcianem, pod panem Czarnieckim, sprawie publicznej służył, drugi, kapłan, na probostwie siedział. Córka — jedynaczka, za mieszczanina dostatniego wyszła.

Powiada przysłowie: *nomen est omen* — otóż przysłowiu temu figura Jacka Brzuchańskiego przeczyła. Nietylko, że się peryferyą nie odznaczał, lecz prezentował się jako staruszek szczupły, kościsty

a wysoki. Twarz miał zawsze pogodną, uśmiechniętą pod wąsem, dla ludzi dobre słowo i żart rubaszny, z oczu tryskała dobroć, krotofilnością zabarwiona. Z postawy mogłeś od spojrzenia wyczytać, jakim jest wewnątrz, w sumieniu i usposobieniu swoim, ten — jak się nazywał — „sługa Maryi i klasztoru jasnogórskiego,“ którego też O.O. Paulini rzetelnie cenili i zaufaniem szczególnem obdarzali, czego dowodem wymownym było, iż jemu uczestnictwo w odwiezieniu obrazu powierzono.

Wprawdzie nie wiedział Jacek, jakiego właściwie skarbu jest spółstrażnikiem, przeor bowiem nawet tak doświadczonemu przyjacielowi klasztoru tajemnicy zabezpieczenia wizerunku cudownego odkryć nie mógł i nie chciał. Chodziło przecież o sprawę niezmiernie doniosłą, sprawę narodową. Zawiadomił tylko Jacka, iż ma odwieźć, wespół z O. Romualdem, resztę kosztowności klasztornych. Stary organista wszelako czuł się dumnym, że go Ojcowie do takiej funkcji używają i ważnością zadania cały się przejął. Sam tedy plan drogi nakreślił, sam wybrał kilkunastu ludzi, z okolicznych wsi klasztornych, do eskorty, sam ich opatrzył i uzbroił. Przeor zamierzał z początku eskortę z załogi klasztornej wysztyfować, boć żołnierz, w razie wypadku, sprawniejby się z napastnikiem uporał; lecz Jacek słuszne racje nalazł po temu, iż zamiaru poniechał i bezpieczeństwo przesyłki na jego zdał głowę.

— Załogi osłabiać w takiej porze żadną miarą nie można — mówił Brzuchański — o nastąpieniu heretyka już wróble u Świętej Barbary świegocą,

więc załoga niech się gotuje, aby jak należy zakalkować takim gościom. Roboty ma podostatkiem. O. wielebny, toćże powtarzamy nawet w naszym sławetnym staniku mieszczańskim: „Zastaw się, a postaw się;“ przeto zastawmy się do ostatniej dudy, do ostatniej piszczałki, a postawmy się odrazu wisielakom heretyckim tak, żeby nasza gościna ich prawnukom jeszcze się śniła. Niech nas poznają, psu-braty! Mnie do Lublińca mieszczańców kilkoro i chamiątek wystarczy. Upatrzyłem sobie chłopów schwalnych, co potrafią nietylko cepem albo widłami obracać, z nimi dam sobie radę. Może też uda nam się przemknąć bez przygody. Lubliniec nie za górami, a kapka oleju jeszcze się w mózgownicy starego Brzuchały ostała... Widno to nawet z mojej postury. Powiadają: „Brzuch tłusty — łeb pusty,“ a że na mnie jeno skóra i kości, więc wszystek tłuszcz chyba w mózgownicy się trzyma.

Przeor, znając Jacka z tej strony, iż mu na roztropnej bystrości nie zbywa, łącno ustąpił, wbijając starego tym sposobem jeszcze bardziej w ambicję.

Skoro już wóz był naładowany, przypadła do niego Kostucha, stara żebraczka, baba bezzębna, wiecznie wykrzywiona, rozczochrana, kołtuniasta, w ostatnich łachmanach, od niepamiętnych czasów przy klasztorze się kołacząca i z łaski O.O. Paulinów utrzymująca nędzny swój żywot. Przypadła, jak zawsze, śmiejąc się, podrygując na jednej zdrowej nodze (na drugą od jakiegoś przypadku ochro-

miała), i nuż seplenić zwiędłymi wargami, takie ruchy czyniąc, jakby się na wóz wedrzeć chciała:

— Książę przeorze, złocisty, dyamentowy, a ja? Na Bóg miły... wszystko, co najlepsze, wywozicie z klasztoru, jakże tedy może być, żeby Kostucha zostawać miała...

— Odczep się, stara! — mruknął Jacek — że też zawdy ci we łbie pstro... Nie pora na krotchwile...

— A ty miechodmuchu, dławidudo-kochanku, nie sroź się i nie wtykaj palca między drzwi! — obruszyła się rzekomo baba. — Patrzcie-no, jaki mi senator! Że mu Ojczaszek przeor pozwolił z końskich zadów ćmy oganiać, to zaraz ludźmi ponie-wiera... — zwracając się zaś do przeora, trzepała: — Książuleczku wielebny, rozkaż temu wydmipiszczalce, żeby i mnie zabrał. Musi zabrać. Jakże? Szwed, na Jasną Górę wtargnąwszy, nasamprzód urodę moją najrzy, a najrzawszy, niechybnie zabierze, na uradowanie swego króla jegomości... Tak, zabierze, jako żywo, a co klasztor i O.O. Paulini bez Kostuchy poczną? Co?

Ujawszy się pod boki, przechylała się na tę i na ową stronę, wciąż śmiejąc się, głową trzesąc i podrygując.

Odsunął ją łagodnie przeor, gestem dał poznać, iż nic tu po niej, następnie raz jeszcze wóz przy świetle latarni, z troskliwością dobrego gospodarza, obejrzał, westchnąwszy — pobłogosławił ów taborek niepozorny, przydając w głos krótko:

— Z Bogiem... Niech Pani Anielska czuwa nad wami i szczęśliwie do celu doprowadzić raczy...

Śmignął Jacek biczem, cmoknął na konie, wóz potoczył się zwolna ku bramie, Królewską zwanej, niebawem znikł po za nią, aby na mostach zwodzonych zatętnić głucho. Ojcowie Paulini śledzili go pilnie, z osłupieniem niejako. Serca zamierały pod białymi habitami, piersi żal rozsadał, doznawali przygnębiającego uczucia sieroctwa. Stali w takim odrętwieniu długo, dopiero przeor z onej bezradności bolesnej ich wyrwał, przemawiając półgłosem, lecz wyraźnie:

— Bądź wola Twoja...

Pochylili głowy Ojcowie zrozumiałwszy, że przeor temi słowy twardy obowiązek im przypomina, udali się do klasztoru, aby modlitwą i rozmyślaniami pobożnym ukoić frasunek.

Przeor jeszcze pozostał, a opodal nieco, w załomie muru, przycupnęła stara Kostucha, która jednak w tej chwili o zwykłych krotochwilach uciesznych nie myślała. Kosturem kreśliła po piasku zygzaki, oczy, bezmyślnie wytrzeszczone, w ziemi miała utkwione, dziąsłami bezzębnymi mełła, coś pomrukując niezrozumiałego. Ks. Kordecki, nie zważając na nią, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, z czołem pofałdowanym, starał się wzrokiem swoim bystrym przeniknąć ową szarzyznę przestrzeni, jaka poprzedza świtanie, a uchem chciwie łowił echa taborku, coraz mniej wyraźne. Biała jego postać na ciemnym tle murów warowni klasztornej rysowa-

ła się fantastycznie. Wreszcie rzucił dłońią, przesunął ją po czole, jak gdyby odpędzając myśl nie miłą i zwolna zwrócił się ku klasztorowi, spowiniętemu jeszcze półmrokiem.

Zatrzymał się nieco przed kaplicą, na której, zewnątrz, wymalowany był wizerunek Najświętszej Panienci, wedle wzoru, zostawionego na deseczce cyprysowej przez Świętego Łukasza, uwożonego w tej chwili do Lublińca, na Śląsk. Przed onem malowidłem ściennem, okolonem gankiem kamiennym, zawsze, dniem i nocą, płonęła lampa wielka, przypominając mieszkańcom klasztoru i pątnikom, z dała przybywającym, iż w tem miejscu Pocieszycielka strapionych doznaje osobliwej, nieustannej adoracyi. Przysunęła się do przeora Kostucha, a całując rękaw jego sukni, zasepleniła nieśmiało:

— Ojcie najwielebniejszy, złocisty, dyamentowy... wybaczcie... ale roi mi się po głupiej mojej głowie, iż niedobrze się stało...

Spojrzał na nią ks. Kordecki przenikliwie.

— O czem mówisz, stara? W zagadki się bawisz, myśli mi macisz, a masz wiedzieć, że porę wybrałaś niewczesną — rzekł surowo.

— Ojcie najwielebniejszy, nie gniewajcie się, nie karajcie; — trzepała baba pokornie, z rozżaleniem w głosie — mizerne ja stworzenie, nędzne, nikczemne, ale przecież wiernie i gorliwie służę Najświętszej Paniencie i klasztorowi już tyli czas, więc wszystko, co chwały Panienci dotyczy i dobra Ojców, dobrodziejów moich, mocno mnie obchodzi...

Nie powinnam do takiej śmiałości się posuwać i rozważać w niemądrości mojej, co na radzie Ojcowie ułożyli, wiem—ale nie mogę się oprzeć, iżby przed Ojcem przeorem najwielebniejszym się nie poskarżyć...

— Koszałki-opałki pleciesz, — ramionami wzruszył przeor — lepiejbyś oto pacierz zmówiła, a nie wtrącała się do nieswoich rzeczy.

— Ojcie najwielebniejszy, co klasztorne, to moje. Przyrosłam ja do tych murów, umiłowałam je w sieroctwie swoim, żyćbym bez nich nie potrafiła... Wszystko, wszystko mnie obchodzi, co się tu dzieje. A! ten ks. prowincyał! Jakże mógł taką krzywdę wyrządzić? Co my teraz bez cudownego wizerunku poczniemy?

— A ty... skąd wiesz? Kto ci powiedział? Szpiegowskiego rzemiosła się jełaś? — ostro przemówił ks. Kordecki.

Przypadła do kolan jego stara i, obejmując je, szeptała niemal ze łkaniem:

— Ojcie dyamentowy, złocisty, gdzie mi tam kunszty nikczemne praktykować... Ot, siłę lat prze-wiekowałam na tym świecie, alem jeszcze ani oczu, ani uszu, ani pomiarkowania nie straciła; tedy usłyszawszy jedno, a postrzegłszy insze, przewąchałam pismo nosem i wiem, że Jacek z O. Romualdem nie-tylko sprzęt drogi do Lublińca wywieźli... Ojciec prowincyał tak postanowił, stać się wedle jego woli musiało. Ha, trudno — przełożeńska wola święta... Wszelako uważam, iż nie należało wizerunku cu-

downego na taki czas z klasztoru się pozbywać, nie!

Przeor podniósł ją z ziemi, rozejrzał się dokoła i, nachyliwszy się do jej uszu, rzekł dobitnie, rozkazująco:

— Ani słowa o tem nikomu! Rozumiesz, stara? Nikomu! Sekret to, tajemnica, od której zachowania bardzo, bardzo zależy... Ani słowa, ani pary z ust! Jeżeli ci chwała Pani Anielskiej miła, jeżeli serce dla klasztoru żywisz — milcz! Trzymaj przy sobie, coś wyszperała, zapomnij o tem. W grzech popadniesz ciężki, śmiertelny, jeżeli tajemnicę zdradzisz...

— Ojcie najwielebniejszy... ja nikomu, ja tylko przed waszą miłością... ja zaprzysięgnę... — belkotała stara, zatrwożona surowym tonem przeora.

— Ufam ci, wierzę — przerwał ks. Kordecki. — Ukorz się przed Najświętszą Panią, błagaj ją, żeby cię w postanowieniu umocniła. Masz zapomnieć o tajemnicy pochwyczonej, zrozum dobrze...

Naraz, podejrzeniem tknięty, zagadnął:

— A może już poniewczasie cię upominam? Może już komu wypaplała?

Patrzył na nią przytem badawczo, nie bez obawy.

— Nikomu, Ojcie złocisty, nikomu słowa nie pi-snęłam!—zapewniała gorąco, pięścią kościstą w pier-si suche się tłukąc. — Przed wami jeno, dobrodzie-ju osobliwy, zwierzyć się chciałam, bo mi żalność ser-

ce rozsadzała... Teraz milczeć będę, jako grób, męki najsroźsze tajemnicy mi nie wydra...

— Pamiętaj!—rzekł ks. Kordecki, dłonią wzniesioną gest ostrzegawczy czyniąc, następnie odszedł, śpiesząc do modłów, których pora właśnie przypadała...

III

— Ależ szczęście dopisuje ci szalenie, mości podstoli! Skubnąłeś mnie dziś porządnie... Basta! Nogi ściskam za taki honor. Zabieraj wygrane dusie i wiedz, że nierychło mnie skusisz do próbowania się z tobą. Sto pięćdziesiąt dukatów... Imaginacye wszelką przechodzi takie szczęście...

To rzekłszy, graf Weyhard gromadę złota, nie bez widocznego rozdrażnienia, ku podstolemu Prac-kiemu odsunął, kubki z kośćmi o ziemię rzucił i ogromny roztruhan wina, korzeniami zaprawnego, wychylił. Osunął się potem w krzesło, nogi wyciągnął i sapał głośno, jak gdyby chcąc tym sposobem pasyę z siebie wydychać.

Pracki obojętnie dukaty zgarnął, mruknawszy:
— Nie zawadzą. Od przybytku głowa nie boli...

Wstał potem, rozprostował się energicznie, aż w nim kości zachrzęściały, a zwracając się do Maciuty i swój kielich podstawiając, rzekł:

— Nalej, panie Floryanie, gardło mi do cna wyschło przy onem kosterstwie.

— Nic to złego, Sebastyanku, — ozwał się Maciuta, lejąc płyn rubinowej barwy z gąsiora — nie jest zupełnym szlachcicem, kto pragnienia w każdym momencie nie uczuwa. Szlachcic winien tedy wszelkich po temu używać sposobików, aby gardziel zawdy sprawiedliwie łaknęła. Pij, Sebastyanku, na zdrowie i na intencję ponownego oskubania jasnego grafa...

— Gębę masz niesforną, mości Maciuto, po szelmosku gadasz... — burknął Weyhard.

— Bywa ona niesforna, mości grafie, ale w tej chwili z niczem szelmoskiem się nie wyrwała — odciał Maciuta buńczucznie.—Przegrałeś, wasza miłość, półtorasta dukatów? Albo to w takim czasie dla waszej miłości co znaczy? Furda! Żeby to się przytrafiło wówczas, kiedy wam żupy wielickie odebrano, a! nie odezwałbym się takim kształtem...

— Niesmaczne masz waćpan krotochwile, mości Maciuto!—rzucił Weyhard, szarpnąwszy się w krzesło, mierząc jednocześnie mówiącego wzrokiem posępnym.

— Wówczas — ciągnął swobodnie Maciuta, jak gdyby tej uwagi nie słyszał — krucho było z jasnym grafem. Czasy się zmieniły. Dziś przecież wasza miłość jesteś radcą stanu i wojny króla jegomości szwedzkiego, dowódcą przedniej straży wojsk jego, pułkownikiem konnego i pieszego pułków... To nie bagatel, mości dobrodzieju! Z nikim się taki potentat nie liczy, natomiast każdy się z nim rachuje. Wyciągnął wam podstoli półtorasta dusiów... furda! powtarzam. Kiwniesz graf palcem — a natychmiast

ten marny Wieluń, w którym teraz oto siedzim, półtora tysiąca i więcej dostarczy...

— Osy są w języku waćpana — mruknął już łagodniej Weyhard.

— Ale dla waszej miłości, grafie — prowadził Maciuta, z pod oka na Weyharda pozierając — furda i Wieluń. Nie ogląda się na takie mizeractwo ten, kto lada dzień dukaty korcami będzie mierzył, a warami pereł i inszych klejnotów komory swoje aż do powały zapcha...

— Co waćpan wygadujesz? — uśmiechnął się graf.

— Jakto co? Najprawdziwszą w świecie prawdę. Ciągniemy przecież do Częstochowy, a mnichy na Jasnej Górze skarby mają nieprzebrane...

— Targować skórę na niedźwiedziu niezdrowo, mości Maciuto — zauważył Weyhard, już całkiem rozchmurzony. — A nuż nas mnichy do klasztoru nie wpuszczą? Bardzo to możliwa rzecz, bo słyhać wszakże, iż przeor Kordecki twierdzą na gwałt umacnia, a to twarda sztuka. Zresztą — dodał, głowę na prawe ramię przechylając — chociażby nawet wpuścili, ich skarby należą przedewszystkiem do króla jegomości, Karola Gustawa...

Maciuta wargi wydał, rozśmiał się i szydercze spojrzenie Weyhardowi posłał.

— Jakżeby nie wpuścili waszej miłości, który z nimi w konfidencji jesteś oddawna i dobrodziejstwa im świadczyłeś, pisząc się osobliwym adoratorem Przenajświętszej Panny? — rzekł, słowa cedząc powoli. — Jeżeli nie wpuszczą, temci dla nich

gorzej. Wszak wasza miłość prowadzisz cztery tysiące sprawnego żołnierza i działa masz: taki argument ugłaska przeora, chociażby nie wiem jaki był twardy. No, a znalazłszy się w klasztorze, musisz wasza miłość królowi jegomości one skarby, o których nadzwyczajne rzeczy opowiadają, ubezpieczyć. Bezpieczeństwo zaś najpewniejsze będzie, jeżeli je we własnym trzosie umieścisz... oczywista, pozwalając i nam, równie wiernym sługom króla Karola Gustawa, pożywić się trocha... Jakże po szelmowsku gadam?

Przymrużył oczu i patrzył na Weyharda. Ten roześmiał się, po kolanie go trzepnął, dodając:

— Szpakamiś waćpan karmiony! Dostańmy się tylko do klasztoru, a chyba i waćpan narzekać nie będziesz.

Dźwignął się z krzesła ociężale, zatarł ręce i chodząc po komnacie szerokimi jął krokami, poświśtując jakąś swawolną piosnkę czeską.

Bo Czechem był Jan Weyhard, hrabia Wrzeszczowicz, a chociaż niedawno jeszcze, jako w Polsce osiadły, do tego katolik, za dobrego patryotę polskiego się opowiadał, jednak z chwilą wkroczenia Karola Gustawa w granice Rzeczypospolitej, widząc przewagę szwedzką, chorągiewkę zwinął i najwierniejszym stronikiem najeźdźcy został. Miarkować można z tego o jego istotnej wartości moralnej.

Jakoż był z niego człowiek przewrotny, fałszywy, lekkomyślny, a przedewszystkiem na grosz chciwy i zarozumiały. Trzy lata temu, Sejm warszawski oddał mu w dzierżawę wielkie żupy sol-

ne, interes, jak wiadomo, prawdziwie złoty, z którego można było fortunę zbić magnacką; on jednak tak szalenie grosz trwonił na życie zbyt kowne, na wszelkiego rodzaju hultajstwa, że nie mógł opłaty dzierżawnej, stosunkowo niewielkiej, uiszczać. Odebrano mu przeto dzierżawę, co go ogromnie rozgniewało i w uczuciach rzekomo patryotycznych ochłodziło. Skarżyć się też zaczął na niewdzięczność Rzeczypospolitej, a najazd szwedzki nastreczył mu sposobność do zemsty za ową jakoby niewdzięczność. Niezwłocznie Szwedom ofiarował usługi, które Karol Gustaw skwapliwie przyjął.

Taki człowiek dla niego był nabytkiem pożądanym. Znał kraj doskonale, znał obyczaj narodu, miał stosunki znaczne. Nazwisko, uświetnione tytułem grafa, także coś ważyło. Zamianowano go tedy „radcą stanu i wojny“, dano pułki pieszy i konny, a generał Burhard Miller, główny dowódca sił szwedzkich w Wielkopolsce, powierzył mu komendę przedniej straży swojej i polecił zająć Wieluń, skąd miał baczenie dawać na granice Śląska.

Jenerał Miller miał poleczone zająć Częstochowę i twierdzę jasnogórską załogą osadzić, jako punkt pograniczny. Pono myśl tę podsunął królowi sam Miller, wódz dobry, sprawny, w bitwach szczęśliwy i głośny nawet ze swego szczęścia, chociaż polityk cale nieosobliwy. Słyszając o bogactwach klasztoru jasnogórskiego rzeczy niestworzone, zapragnął je zagrabić, a że właśnie z kasą wojenną Karola Gustawa było krucho, łatwo go namówił, żeby ją poratować onemi skarbami. Inni utrzymywali, że Mil-

lera skusił do tego kroku Weyhard, który też ofiarował się pierwszy do klasztoru zapukać, na co się stary jenerał chętnie zgodził, nie chcąc przyjmować na siebie, mimo, iż był heretykiem zatwardziałym, całej odpowiedzialności tego świętokradztwa.

Bądź co bądź, głównym powodem zamiaru opanowania Jasnej Góry była chciwość. Skarby O.O. Paulinów miały w sobie ową siłę magnetyczną, łąkomił się na nie i Karol Gustaw, i Miller, i Weyhard zarówno. Ten ostatni niewątpliwie najwięcej się przyczynił do rozniesienia w Szwedach chciwości świętokradzkiej, a Miller rad był niezmiernie, słysząc, że mu obiecuje swemi rękoma dla niego kasztany z ognia wyjmować. Już upoważnił był Weyharda do zajęcia klasztoru, a właśnie graf lada dzień miał po to z Wielunia wyciągnąć.

Lecz chociaż sam na tę sprawę dzwonił najgłośniej, gdy przyszło do stanowczego kroku — uczuł jak gdyby onieśmienie. Sumienie się w nim odezwało. Aliści odezwało się nie do tego stopnia silnie, żeby chciwość przewyciężyć. Na tyle poczciwości człowiek ten, zużyty rozpustą, zaślepiony samochwalstwem, wyziębiony z uczuć i przekonań, zdobyć się nie był zdolny. W sercu jego godność ludzka, popędy szlachetne zupełnie prawie zamarły, na uczucia religijne również nie było tam miejsca. Katolikiem był rzekomo, a wraz ze Szwedami wydrwiwał obrzędy katolickie, plebanie łupił, nad kapłanami się znęcał. Zawahał się z rozpoczęciem bezecnego świętokradztwa, lecz chwilowo. Wmawiał w siebie, że losy rzucone, że lepiej przecież, je-

żeli się skarby klasztorne jemu w znacznej części dostaną, że wreszcie on najłatwiej z O.O. Paulinami może się porozumieć i ułożyć, a w tych pełnych fałszu sofizmatach uniewinnienie swoje widział.

Zawsze lekkomyślny i zarozumiały, teraz również z góry powodzeniem się cieszył. Był pewny, że zakonników przekona i bez trudności klasztor zajmie. Pozostawał przecież zawsze w dobrych z nimi stosunkach, a to przyznać trzeba, że istotnie dawniej dla klasztoru okazywał się szczodrym. W ostateczności — ma cztery tysiące wojska i działa.

Gdy tak rozważał i kombinował, przyszło mu na myśl, iż dobrze byłoby poprzednio dowiedzieć się przez zaufanego — jak naprawdę stoi sprawa obrony klasztoru? co przeor Kordecki zamierza? co uczynił? Ów zaufany ktoś mógł też, zręcznemi posługując się słowy, drogę dla niego utworować. Zaczął tedy szukać zaufanego a oczy jego wówczas zwróciły się na Prackiego i Maciutę, którzy ze swoją bandą łotrowską, nazywaną przez nich szumnie „oddziałem wojska kwarcianego,“ chociaż w rzeczy samej utworzoną była trochę z szumowin tego wojska, a więcej z łotrów rozpasanych, nic już do stracenia nieposiadających, do jego komendy się przyłączyli. Pracki niezaszczytnej roli wywiadowczej podjąć się nie chciał, odmówił stanowczo, tłumacząc się, nie bez słuszności, iż zanadto był znany jako otwarty stronik Karola Gustawa, mógłby przeto popsuć dyplomatyczny zamysł Weyharda; natomiast Maciuta bez wahania się zgodził pojechać do klasztoru, wstąpić tam pod jakim zręcznym pretek-

stem, rozpatrzyć się, wyciągnąć zakonników na zwierzenia i dobrze ich dla Weyharda usposobić.

Lubił Maciuta wszelkiego rodzaju awantury, a z tego podstępu obiecywał wyciągnąć korzyść dla siebie znaczną. Weyhard zapłacić mu za to musiał, a po zajęciu przez niego klasztoru, przypomni mu tę swoją zasługę.

Właśnie dnia tego, w którym Prackiemu szczęście kosterskie tak posłużyło, wybierał się Maciuta w drogę. Weyhard przypomni mu o tem.

— Dostańmy się tylko do klasztoru! — powtórzył, zatrzymując się przed nim — ale skoro już o tem się zgadało, pamiętaj waszmość, mości Maciuto, że rozkaz wymarszu mamy nie od dzisiaj!..

— Doskonale pamiętam — odparł Maciuta — ta — i gotów jestem do drogi, choćby zaraz, ale...

— Cóżes znowu waszmość wymyślił?

— O pustym trzosie jechać nie sposób.

— To się rozumie — westchnął graf, przeczuwając, że mu Maciuta dobodzie. — Masz tu waćpan dukatów dziesięć i... wracaj jak najprędzej z dobrą wieścią.

Maciuta ramionami poruszył, roześmiał się drwiąco.

— Czego się waćpan śmiejesz, do kaduka? Bierz pieniądze i spraw się gracko...

— Wasza miłość miałbyś sumienie z dziesięcią dukatami człowieka na taką imprezę wyprawiać? — podjął Maciuta, oburzenie udając.

— Mało ci? Dziesięć dukatów za mało? Bójże

się waszmość Boga, żyłujesz nielitościwie, po żydowsku doprawdy...

— Bez pięćdziesięciu dukatów jechać ani myśle. Rzemiennego dyszla, obyczajem szlacheckim, użyć tu nie można, a po gospodach miejskich i karczmach wsiowych drożyzna, wiadomo przecież, niesłychana. Za wszystko na wagę złota płacić trza. Pięćdziesiąt dukatów, jak nic, się rozejdzie.

Za głowę się ułapił Weyhard.

— Co waćpan wygadujesz? Pięćdziesiąt dukatów... Gdzie je wydasz? Na co? Z dworem wyruszasz? Jużes przecie całe sto, rzekomo na tę imprezę, wyciągnął...

Maciuta narzekaniami temi wzruszyć się nie dał, uśmiechał się złośliwie, palcami po stole bębnił, głową wstrząsał.

— Nic nie pomoże, — rzekł, gdy Weyhard umilkł i sapał ciężko, zalterowany — pięćdziesiąt dusiów graf dobrodziej dać musisz i kwita. Marna to zapłata, ba, nawet żadna, za narażenie sumienia szlacheckiego...

— Skądże znów waćpan narażanie sumienia szlacheckiego wyciągasz? Takżeś trafił! Nie narażasz waćpan nic. Przewietrzysz się oto, na zdrowie ci taka wycieczka pójdzie. Będziesz mnichom afekt przyjacielski opowiadał, więc cię z otwartymi rękami przyjmą, ugoszczą po królewsku. A mają czem — dostatku wszelkiego tam w bród, miody i małmazye najprzedniejszych gatunków...

Skrzywił się Maciuta, dłonią machnął.

— Wodę warzyć, woda będzie! — ozwał się

trocha cierpko. — Nie psowaj sobie, wasza miłość, języka, to się na nic nie zdało. Stanowczy jestem w pomysłeniach i uczynkach.

— Ależ waćpan skórę z żywego ciała ściągasz! — perzył się jeszcze Weyhard, lecz już do trzosa sięgając. — Zważ, że się tej wycieczki dla dobra spólnego, jako sługa króla jegomości Karola Gustawa, podejmujesz... No, przytem tych zabiegów waćpana nie zapomnę i w porze właściwej najjaśniejszemu monarsze je przedstawię, wtedy też nagrodę otrzymasz sprawiedliwą.

— Mości grafie, zaniechajmy kramarstwa, niegodnego obywatelów naszego stanu. Wasza miłość wyluszczasz mi racye doprawdy śmieszne. Onej garści dukatów, którą już od waszej miłości otrzymałem i której teraz żądam, za nagrodę cale nie uważam. Chybabym kapki oleju we łbie nie miał, gdybym za taką marność imprezy tak ważnej się podejmował. Sumienie tu, powtarzam, na szwank wystawiam i głowę narażam, bo, między nami mówiąc, szpiegowską funkcję wypełnić zamierzam, to raz, a powtóre, niech się na Jasnej Górze znajdzie taki jespian, który mnie, wiernego sługę króla jegomości szwedzkiego zna, wówczas wolność moja, jeżeli nawet nie życie, będzie zagrożona. Mnichy, wiemy doskonale, Jana-Kazimierza wciąż się trzymają. Jechać pomiędzy oną zaślepioną zgrają, to jakby zdrową rękę w gniazdo os sować. Temu wasza miłość nie zaprzeczysz. Owóż, taka sztuka warta złotego plastra, grubo nasmarowanego, nie jakimis tam stu lub dwustu dukacinami, ale pełnym

worem. Zresztą, o co waszej miłości idzie? Dasz wasza miłość nie ze swojej kieszeni, jeno z kieszeni królewskiej. Z lichwą sobie ten wydatek odbierzesz...

— Na dwoje babka wróży — mruknął Weyhard, licząc żądane dukaty.

— Odbierzesz, wasza miłość — powtórzył Maciuta, śmiejąc się — wiem-ci ja, że w tej mierze skrupulant z waszej miłości wielki. Co tu długo gadać: polujem na grubego zwierza, tedy za cztery litery poczytać należy takiego, któryby się przy takiej okazji nie pożywił...

— Gdyby tak każdy myślał, jak waćpan, cóżby się Karolowi-Gustawowi ostało?

— Korona, mości grafie, i laury zwycięstwa!...

— Naści, na, nienasytku! — przerwał Weyhard, podsuwając dukaty nie bez złości. — Machaj teraz do klasztoru, jeno rażno, i wracaj bez mieszkania. Sam wiesz, że dużo na pośpiechu zależy.

— Nie mnie uczyć, jak się trza sprawiać w takich okazyach — odparł Maciuta, zgarniając dukaty powoli i obojętnie — bez przechwałek mówiąc, probant ze mnie, wyczwaniona sztuka, przebiegłości zawdy zapas mam. Bądź wasza miłość spokojny. Do czego się Maciuta weźmie, to przeprowadzi, jak nie można lepiej.

— Okaże się to — mruknął Weyhard. — A teraz pożegnam waszmość panów. Setniem utrudzony, spocząć muszę, bo mi się wprost oczy kleją...

Pracki z Maciutą do swojej kwatery się udali. Podstoli, zawsze zgryźliwego usposobienia i żół-

ci pełen, dzisiaj więcej był niż kiedykolwiek nasepiony. Nie rozchmurzyła go ani wygrana, ani wino, którem się obficie podlewał. W kwaterze się swojej nalazłszy, znów o gąsior trunku zawołał i pił chciwie, jak gdyby go zgaga nadzwyczajna paliła. Patrzył na niego Maciuta z ukosa, milczał, wiedząc, że podstolego, od czasu wyprawy krwawej do Glinna, chwile pasyi ostatniej napadały, w takich zaś razach najlepiej było na oczy mu się nie nastęrczać, a przynajmniej słowami go nie zaczepiać. Burzył się o lada co, unosił, sprzętami rzucał, gotów był najniewinniejszego człowieka rozszcepić. Maciuty nawet nie oszczędzał, chociaż ten osobliwą miał nad nim przewagę. Milczał tedy Maciuta, powoli do podróży zamierzonej się przygotowywał, szablę opatrywał, pistolety, na co podstoli z pod brew zmarszczonych poglądał.

Łacno było można się domyśleć, że awanturnika sumienie gryzło. Jakoż istotnie, chociaż podstoli we wszelkiego rodzaju ekscesach był zaprawny, to jednak ów napad na dwór skarbnika, zamordowanie dwojga ofiar, wstrząsnęło nim niezwykle. Starał się uniewinnić sam przed sobą, tłumaczył sobie, iż odwet wziął jeno za despekt doznany, za wzgardę i poniżenie, — ale sumienie zaprzeczało wszelkim wykrętnym racyom i powtarzało z surowością nieubłaganego sędziego:

— Winien jesteś! Niczem nie zmażesz krwi, przelanej niewinnie!

Taka walka wewnętrzna toczyła się w nim nieustannie, dniem i nocą, a zagłuszyć jej nie mógł

ani gęstemi kielichy, ani szalonemi wyprawami. W nocy zwłaszcza, ledwie oczy przymknął, wnet stawali przed nim skarbnikowa i skarbnikowicz, krwią zbroczeni, a wznosząc dłonie ku niebiosom, wołali głosem przejmującym, grobowym:

— Na sąd cię Boży pozywamy, zbrodniarzu!

Zrywał się wówczas podstoli, światło niecił i albo pił na umór, dopóki pamięci zupełnie nie zalał, albo dosiadał konia i gnał na oślep, do zupełnego wyczerpania sił.

— Gdybym przynajmniej co wskórał! — mówił do siebie. — Ale nic! nic! Naznaczyłem się jeno krwawem, bratobójczem piętnem zbrodni, straciłem spokój i bezpieczeństwo, bo nie sposób, żeby skarbnik zadośćuczynienia szukać nie miał. Na dobrą sprawę... każdy mnie może, jako zbója, ująć i pod miecz katowski oddać... Dziewka koniec końców tryumfuje—odtrąciła mnie, odepchnęła, wzgardą mi w ślepie bluznęła i pewnie przechwała się teraz z mojej poniewierki...

Rozmyślając tak, wpadał w wściekłość, zębami zgrzytał i, wygrażając pięścią, dodawał:

— Mościa panno... z nami nie kwita! Nie z takich ja, żeby mnie można było w kaszy zjeść... Duszę zaprzepaścił dla ciebie, więc moją musisz być, posiąć cię muszę! Skarbnik... sądy... dekrety... co mi tam! Furda wszystko! Na nic się oglądać nie będę, a na swoim postawię... Sądy? Od czegoż pieniądz? Za złoto zrobić można wszystko, można oczyścić się z wszelkich zarzutów... Sumienie? I ono fraszka! Kościół ufunduję, klechom modlić się, wy-

prosić przebaczenie grzechów każe. Nie ja jeden tak czynię. Gryzę się, trapię? Bo głupi jestem! Sumienie? Ot, sam w siebie wmawiam, że sumienie mnie nęka... Nie sumienie to, jedno zawód, jedno pudło, jedno on tryumf upartej dziewczki. Skoro ją posiądę, spokój wróci, prysną wszelkie zgryzoty i dopusty...

Czasem, gdy przypomniał, iż to Maciuta do zbrodniczego kroku go podmówił i przywiódł, wybuchał z oskarżeniem przeciwko niemu, — ale Maciuta zawsze potrafił atak odwrócić, zawsze obroną wychodził ręką. Pomagała mu w tej mierze dziwna bezczelność i szyderstwo.

— Zbabiłeś, Sebastyanku, na szczęt zbabiłeś! — mówił wtedy z flegmą. — Cóż, u kaduka, z ładą fraszki wielkie czynisz rzeczy... Każda liszka na swoją stronę ciągnie, inaczej nie może być, tedy skarbnik może o waści gadać, jako o krzywdzicielu i zadoścuczynienia szukać; ale, wzięwszy pod ścisłą kalkulację, sprawa inaczej się przedstawia. Kto tu kogo zaczepił? Kto całą awanturę wywołał? Nie waść przecież, jeno skarbnik. Mógłżeś waszmość ścierpieć czarną polewkę? Jako żywo nie! Waść, Sebastyanku, honoru swego broniłeś, a że do gwałtownego starcia przyszło... trudno, człowiek krew ma w żyłach, nie wodę, ani oliwę. Na psy zeszlaby godność szlachecka, gdyby nią pierwsza lepsza dziewczka poniewierać miała bezkarnie... Powiesz: rodzic ma prawo losem dziecka rozporządzać? Nie zaprzeczę temu, jedno nadmienię, iż nie ma prawa krzywdzić przytem na honorze kogo-

kolwiek. A skarbnik właśnie, rekuzując waści, skrzywdził cię. Albożeś waść, Sebastyanku, sroce z pod skrzydła wypadł? Albożeś nie *bene natus* i nie *possessionatus*? Albożeś zasług dla Rzeczypospolitej nie położył? Nic waści zarzucić nie można, wszystko za tobą przemawia, a tu naraz... harbuz! I żeby to jeszcze od kogo! Drozdowscy, prawda, godna szlachta, ale też nic nadzwyczajnego. Tandem, Sebastyanku, punkt po punkcie rozważając, słusność po twojej stronie się okaże.

Kalkulacya faryzeuszowa przekonać Prackiego nie mogła, ale go uspokajała, przynajmniej na czas pewien.

— Wybacz waszmość, panie Floryanie,—przepraszał Maciutę — sam czuję, iż nadto do serca tę głupią awanturę biorę. Taka już moja natura.

— Otóż to! — potakiwał Maciuta. — Nature masz waść nadto wszystkim się przejmującą. Żle to jest. W życiu trza, mospanie, wszystko na rozum brać, a serce trzymać na wodzy. Kto tak postępuje, zawdy wygrywa...

— A co waszmość o skarbniku powiadasz? — zapytał podstoli. — Nie da on mi spokoju pewnie?...

— Nie zawracajmy sobie tem głowy, Sebastyanku. Zacznie on, bronić się będziemy, a rozumem, że damy sobie radę. Uładzi się to jakoś. W końcu przyjdzie do tego, że weselisko z panną Krysią waść wyprawisz i potomstwa dorodnego się

doczekasz. Bo przecie swego dojść trza, skoro się już tyła poświęciło...

— Oczywiście! — zapewniał podstoli — i właśnie to mi najbardziej doskwiera, że sprawa w zawieszeniu pozostaje. Skarbnik, mój mosanie, bądź co bądź, górą...

— Przyjdzie kolej na waszmości, jeno trza okazyę wydybać. Na cierpliwości nikt jeszcze nie stracił, a lepiej smakuje owoc, gdy się na niego czas jakiś czeka.

Dnia onego, kiedy się Maciuta w celu szpiegowskim na Jasną Górę wybierał, Pracki od samego rana zamierzał z nim o nieszczęsnej sprawie pomówić, ale nie wiedział, od czego zacząć. Wychylał tedy kielich za kielichem, po izbie chodził gorączkowo, pochrząkiwał, mruzczał, miejsca sobie znaleźć nie mógł. Wreszcie, stanąwszy przed Maciutą, zagadnął go od niechcienia:

— Waszmość ruszasz zaraz?

— Słyszałeś waść przecież, że Weyhard pili — odparł Maciuta — to też kunktować tu nie można. A możebyś i waszmość, Sebastyanku, wybrał się ze mną? Raźniej byłoby w godnej kompanii...

— Pozostawiam dla waszeci ten... honor — rzekł Pracki szyderczo. — Dziwno mi nawet, że się waść misyi podobnej podjąłeś... Zresztą wyraźnie i waszeci, i Weyhardowi, powiedziałem, iż uczestniczyć w tej wyprawie nie chcę i nie mogę.

— A dlaczego się waszmość dziwisz, iż ja się tej misyi podejmuję?

— Nikczemna jest! haniebna!

Roześmiał się Maciuta w głos.

— Ejże, Sebastyanku, w piętę waść gonisz... Gdzie tu haniebność? gdzie tu nikczemność? Fortel żołnierski i kwita. Czasu wojny dużo rzeczy uchodzi...

— Gadaj asan zdrów! Tego inaczej nikt nie nazwie.

— Przekora z ciebie, mój podstoli, zawdyś na udry szedł, nawet ze mną.

— Umiesz ty wykręcać wszystko, niegorzej patrona trybunalskiego, mości Floryanie, ale tu mnie nie przekonasz. I jeszcze ci powiem, że źle Szwed czyni, Jasną Górę najść zamierzając...

Maciuta pod boki się ujął i, tak stojąc przed Prackim, zapytał:

— A waści co do głowy strzeliło? He? Może waść, Sebastyanku, chcesz zwinąć chorągiewkę i przed Janem Kazimierzem plackiem upaść? Byłaby to chimera, na którą zdrowy rozum z pewnością się nie pisał...

— O nawróceniu się do Jana Kazimierza mowy być nie może, ani mi w myśli powstało coś podobnego. Jan Kazimierz przepadł z kretesem, nie uratuje go nic. Szczęście przy Karolu Gustawie, więc kto się rozumu nie wyżył, przeciwko wodzie płynąć nie będzie...

— Skoro tak, dlaczegożby Jasnej Góry Karol Gustaw zająć nie miał? W pełnym jest prawie, jako zwycięzca, zagarnąć wszystkie grody i zamki...

— Jasna Góra grodem, ani zamkiem nie jest. Miejsce to święte, cudami na świat cały wstawio-

ne, a jako takie, wolne być powinno od zakusów szwedzkich. Wyraźnie przecież Karol Gustaw, wkraczając w granice Rzeczypospolitej, ogłosił, iż religię, wszelkie nasze prawa, przywileje i obyczaje uszanuje...

Zastanowiły te słowa Maciutę, pojrzał na Prackiego przenikliwie i głową kręcąc, rzekł:

— No, no! anim się spodziewał usłyszeć od waści, Sebastyanku, takie rzeczy... Musiałeś chyba dzisiaj wstać z łóżka lewą nogą, albo co... Opa miętaj się, wejdz w siebie i precz odegnaj chimere, która ci na nos siadła. Bo gdzież tu *sensum quintum*, proszę? Bronisz mnichów jasnogórskich, a przecieżeśmy współek niejedną plebanijkę przetrząsnęli, a podczas i do kościołka się zazierało... Skądże nagle taka rewokacya?

— Insza rzecz zwykłą plebanię przetrząsnąć i do zwykłego kościoła zajrzeć, a insza na Jasną Górę się porwać. Cudowne miejsce jest.

— Ależ my Jasnej Górze cudowności ująć nie myślimy, zakrzątniem się jeno trocha w skarbcu, ulżymy ciężaru mnichom i będzie po krzyku. Zrozumże waść należycie, iż to w gruncie rzeczy czasu wojennego żaden crimen, żadna wiolencya. Nie mówię, w czasie spokojnym, — ale wojna swoje prawa ma.

— Waści, panie Floryanie, dyabłu patronować! — mruknął podstoli.

— Dlaczego nie? Chętniebym się podjął, za sowitą zapłatą — rozśmiał się czelnie Maciuta. — Wracając do materyi, o której rzecz, powiem wa-

ści, Sebastyanku, otwarcie, iż nawet żak z infimy słuszność tu mi przyznałby. Król jegomość szwedzki, zajmując Jasną Górę, w niczem jej honoru nie naruszy. Miejsce cudowne cudownem ostanie, jeno mnichy trocha schudną, co im nie zawadzi, bo wiadomo, iż opływają w bogactwach wyżej czubka golonych swoich pałek. Odbiją oni to sobie rychle, przecież do ich klasztoru dniem i nocą rzesze pątników z ofiarami płyną. Zresztą postawię waści jeszcze argument, którego już nie przełamiesz. Rzeczpospolita, prawie wszystka, króla jegomości szwedzkiego za swego pana uznała, nie tak-li?

— Cóż z tego?

— Jeżeli tak, to król jegomość szwedzki ma wszelkie prawo od obywatelów wszelkich stanów żądać pomocy i sposobów, celem zapewnienia krajowi pokoju i dobra. Owóz szlachta daje nam pomoc orężną, krwi nie szczędzi, znosi cierpliwie kontrybucye; mieszczaństwo również ofiary ponosi; *ergo*—dlaczegożby duchowieństwo miało być w ekstrordinaryjnym wypadku od ciężarów wyłączone? Przecież zdarzało się nieraz, iż Rzeczpospolita także do niego o pomoc się zwracała, a nikt tego za zbrodnię nie uważał? *Periculum in mora* dużo tłumaczy. Skarbcza jasnogórskiego w takich wypadkach nie pomijano, owszem, udawano się tam najpierw, mnichy zaś cale nie protestowali. Dziś właśnie zachodzi taka potrzeba nadzwyczajna. Cóż waść na to odpowiesz, Sebastyanku? Teraz chyba przeczyć nie będziesz?

Pracki wytrzymał go wzrokiem przez chwilę,

następnie usta skrzywił, splunął i rzucił wzgradliwie:

— Tfu! do kopy dyabłów! zakatysz waść, panie Floryanie, mocny w języku... Wiercił, wiercił, aż wywiercił, co chciał.

— A widzisz waszmość! — zawołał z przechwałką Maciuta. — Kapitulować musiałeś i tyle.

— To nie kapitulacja. Zmilkłem jeno przed tyrkotliwością waścina.

— Tak, a ponieważ *qui tacet, consentire videtur*, zatem śmiało za tryumfatora uważać się mogę.

— Niekoniecznie — zaprzeczył podstoli. — Zmilkłem dlatego, że nie mam ochoty gardła sobie psować. Rozumiesz, co ja myślę, ale mi słusności nie przyznasz, bo spodziewasz się przy zajęciu Jasnej Góry i swój trzos nabić. Wiedz jednak, iż przy swoim ostaję i powtarzam: targnięcie się na miejsce cudowne królowi jegomości szwedzkiemu nic dobrego nie przyniesie — *qui gladio ferit, gladio perit...*

— Tego znów nie rozumiem?

— Kombinuj waść, może dojdiesz. Taki łebak wszystko w mignieniu oka na wskroś przejrzeć powinien.

— Ostawajże waszmość przy swoim, a ja swego nie odstąpię. Zresztą, co mnie obchodzą zamysły króla jegomości szwedzkiego? Wszedłeś między wrony, krakaj jak i ony. Stronikiem Karola Gustawa jestem, będę jego rozkazów słuchał. Odpowiedzialność za wszelkie obroty nie na żol-

nierza, ale na wodza spada.. Oto moja ekskuza, jeśli, ogółem biorąc, ekskuzy tu potrzeba. A że przy sposobności pożywić się, uskubnąć coś na swój rachunek pragnę? W tem złego nikt nie dojrzy. Zwyczajna to rzecz na świecie.

Usiadł Maciuta, węzełka jakiegoś dobył, rozwinął go, wyszperał kitajki czarnej skrawek i oko lewe nim sobie zalepił. Potem, również z onego węzełka, garść konopi wyciągnął, rozwichrzył, poczercił nieco, do barwy włosów swoich przystosowując, i brodę sobie z tego uformował, którą jakowąś mastyką przytwierdziwszy dokoła oblicza, stanął przed podstolim i zapytał:

— Jakże metamorfoza? Poznałbyś waść mnie, Sebastyanuku, na drodze spotkawszy?

— A waści na co maskara?

— Nie zapustny to czas, nie kuse dni wprawdzie — odparł Maciuta — ale dobrze jest i w inszej porze zapusty sobie przypomnieć. Tak przeformowany, bezpieczniejszym będę w onej wyprawie, która, jako waszmość dobrze rozumiesz, do bezpiecznych nie należy, ile, że sam, bez pacholika nawet, jadę.

Podstoli wpatrywał się w niego przez chwilę.

— Niewyczerpany jesteś w conceptach, panie Floryanie, przyznaję, całkiem inszą posturę z siebie uczyniłeś. Zmień jeszcze głos, a rodzona macierz cię nie pozna.

— Zmieni się w potrzebie, ba, nazwisko także sobie inakże przypnę... bodaj... Sołtykiewicz Prot... Jak uważasz, Sebastyanuku?

— Komediant z waszmości urodzony! Jak gdybyś nic inszego w życiu nie czynił, jeno hece pokazywał...

— Tedy Sołtykiewicz, Porajem się pieczętujący — prawil z zadowoleniem Maciuta. — Szlachcic godny, posesyonat z Podlaskiego, któremu inwazye nieprzyjacielskie siła majątności zniszczyły... A dokąd jadę? O tem w drodze pomyślę. Bywaj tedy, Sebastyanku, zdrów, ciepło mi się trzymaj, chandry pozbądź, niechaj cię w dobrem usposobieciu za powrotem najdę.

Wyciągnął ręce na pożegnanie, uściskali się, podstoli go odprowadził aż za próg kwatery. Tam odezwał się z przymusem, głosem zniżonym:

— Przy sposobności, staraj się, panie Floryanie, języka zasięgnąć, o... już chyba wiesz, co mam na myśli...

Uśmiech złośliwy wygiął usta Maciuty.

— O skarbniku i Krzysi? Zgadłem? — zapytał.

Podstoli głowę skłonił potwierdzająco.

— Bądź spokojny, Sebastyanku, waścine dobro przedewszystkiem na sercu mi leży. Tyle już razy przekonałeś się, jako masz we mnie oddanego na śmierć i życie przyjaciela. Ślubu z sobą przed ołtarzem nie bralim, na braterstwo nie przysięgalim, samo się ono pomiędzy nami zawiązało, a nic trwałszego nad związek, któren sam przez się przychodzi. Bądź waszmość spokojny, do grobowej deski twój jestem z kośćmi, tak mi Boże dopomóż — amen. Ano, *vale et me ama...*

W chwilę potem opuszczał Maciuta Wieluń, a doprawdy, ona kitajka na oku i broda suta, na piersi spadająca, zmieniły go bardzo. Potrafił też twarzy odpowiedni wyraz nadać tak, że niepodobna było poznać w nim szalonego zabijaki i gwałtownika, dla którego ani sprawiedliwość, ani sumienie — słowem, ludzkie, ani Boże względy nie istniały. Prezentował się statecznie, jako szlachcic zamożny, bo i konia miał pod sobą przedniego, i ubiór, jak na podróż, przystojny. Szabla turecka, z głównią srebrem zdobną, pistolety w olstrach nieladajakie, ruchy umiarkowane, poważne, pewność siebie, — wszystko to składało się na postać, zaufanie budzącą. Przytem nie śpieszył się, ludzi nie szukał, ani ich unikał, spotkawszy zaś kogo, umiał przemówić takim kształtem, że najmniejsze podejrzenia nie budził.

O dwie mile od Częstochowy wypadł mu popas w karczmie niepozornej, u skraju lasu położonej. Buda to była drewniana, stara, w ziemię jednym bokiem wparta, ze strzechą wyszarpaną, mchami porośłą. Przed drzwiami kałuża błyszcząca, w niej kaczkę się chlupotały rozkosznie, owdzie gromada śmieci, gdzie kury gospodarzę prowadziły; para kóz zbiedzonych, z zapadłemi bokami, wskazywała dowodnie, że karczma w arendzie była żydowskiej. Jakoż Maciuta, do izby karczemnej wszedłszy, znalazł w niej za szynkwasem smagłego jakiegoś Srula z Surą i gromadą bachorząt, wszystko obdarte, wychudłe, lekliwe, ze strachem poglądnące na gości, w zatłuszczonych łapserdakach

i przydeptanych pantoflach. Zaduch w tej izbie panował nie do wytrzymania, niechlujstwo z każdego wyzierało kąta. Maciuta, w życiu awanturnikiem przyzwyczajony do wszelkiego rodzaju niespodzianek, całe się nie zraził onym pozorem sromotnym, huknął z góry:

— Żydzie! owsa i siana dla konia, a dla mnie kąta wyszukaj godziwego! Tutaj, w tym gnoju, przecież podróży nie przyjmujesz...

Ruch się zrobił w karczmie, rwetes niemal, bachelory za piec się cisnęły, sam arendarz wysunął się co żywo z pó za szynkwasu i w pałak zgięty, z jarmułką w rękach, do ziemi się kłaniając, nuż trzepać:

— Aj! aj! prawdziwy szabas dla mnie, że takie godne osobe, takie jasny wielmożny pan wojewoda wstąpić tu raczył... Ny, ale teraz zły czas, szelmowski czas, prawdziwy, z przeproszeniem jasnej osoby pana kasztelana, psi czas... Nic się nie zarobi, wszystko darmo biorą... Całkiem skapcaśniały jestem w taki paskudny czas... Skąd tu owsa wziąć? gdzie siana szukać?

— Głupiś, poganinie niecnoto! — przerwał te wynurzenia Maciuta — dla mnie należć się musi wszystko, czego zażadam. Płacę, rozumiesz taki a taki synie?!

Po trzósie się uderzył obiecująco — Żyd też natychmiast zmienił front.

— W tym momencie wszystko dla godne osobe jasnego senatora się najdzie, musi się należć...

Ryfka, skocz do godnego kunia jasnego pana, taki kuń, on potrzebuje szlacheckie wygodę mieć...

Maciuta sam konia dojrzał, potem znów izby, gorzałki i jajecznicy zażądał.

Żyd w piersi się bić poczał, pejsy rozpaczliwie szarpał, strapienie okazując:

— Ny, z gorzałką kłopotu niema — echt gdańska jest i piernik toruński się najdzie; jaj Ryfka wyszpera też; miodu rarytnego udało mi się w loszku jaki garniec przechować: ale godna osoba chyba musi w tej izbie wypocząć...

— Inszego kąta nie masz, poganinie? Przecież alkierz jaki być musi...

— Jasnemu panu powiadać nie trza, wszystko jasny pan rozumem delikatnym widzi, jak na dłoń. Alkierz jest, bardzo porządny, bardzo piękny alkierz — ale tam teraz jakaś pani stara z młodą panienką siedzą...

— Co za pani? Jak się zowią?

— Skąd mam wiedzieć? Podróżna pani, ot, zwyczajnie, na popas wstąpiła...

— Z młodą panienką, mówisz? Z córką pewnie?

— Może to być... Bardzo prześliczna panienka, jak kugel weselny rumiana...

Maciuta myślał przez chwilę, potem, musnąwszy wąsa, wprost ku drzwiom alkierza podążył, i bez wahania, zapukał dyskretnie.

— A kto tam? Czego chcesz, Żydzie? Jezu, Marya, jaki natrętny, obyczajny grzecznego nie zna

i przeszkadza nie wołany... — odezwał się głos niewieści, piskliwie zawodzący.

— To nie Żyd, mościa dobrodziko — rzekł Maciuta — to podróżny ośmiela się do łaski dobrodziki udać i...

— Podróżny? Żebak pewnie? — przerwał głos z odcieniem pasyi. — Jezusie Nazareński! że też przed owem gałgaństwem, co to ni sieje, ni orze, jeno do cudzego worka garść wyciąga, spokoju w żadnym świata kącie należeć nie można... Matko siedmiu boleści i wielkiego miłosierdzia! jak grzyby po deszczu wyrastają oni łuszczybochenkowie, którym się bujawka raczej na powrozie u sośniny, niż wspomóżenie należy. Czekaj, kochasiu marynowany, pójrzę ja ci w ślepie i odrazu poznam, co wartasz...

— Otom trafił na sekutnicę jakąś, — pomyślał Maciuta, nie zrażony wybuchem złego humoru nieznanomej jejmości — ano, ugłaska się dobrodzika chyba, omyłkę postrzegłszy.

Stał przed drzwiami, już się nie odzywając, ani dobijając. Tymczasem w alkierzu naprzód łoskot odsuwanych stołków dał się słyszeć, potem ciężkie człapanie i sapanie, wreszcie drzwi się rozwarły, a w nich ukazała się postać niewieścia niezmiernie otyłości, istny kafar, z twarzą tak rozlaną, że narazie nietylko rysów, ale nawet oczu i nosa dopatrzyć było trudno. Dopiero uwagę skupiwszy, spostrzegano się pomiędzy wzdętymi, niby poduszki, policzkami, nos ciekawie zadarty, mocno czerwony, jakby z alkiermasu wyjęty, a pod czołem niewiel-

kie, zamglone oczy, z ogłupiałym, tępym wyrazem. Głowa tej postaci zdawała się wprost z korpusu wyrastać, gdyż obwisłe podbródki szyję bardzo krótką zupełnie zasłaniały. Całość tych kształtów potwornych sprawiała wrażenie przykre, a to tem bardziej, ponieważ łatwo można było pomiarkować, że jejmość z szóstym grzechem głównym się nie liczy.

Wiek nieznanomej jejmości, sądząc z kosmyków włosów, dobrze siwych, wyzierających z pod rozwiązanego i na bakier przekreconego czepca, musiał być poważny. Ubrana była bez wytworności, lecz dostatnio, wspierała się, chodząc, na grubej trzcinie, w drugiej ręce trzymała chustę kraciastą, którą co chwila pot kroplisty z czoła i twarzy ocierała. Stanąwszy we drzwiach, z ustami do łajania mniemanego żebraka gotowemi, naraz jakby osłupiała, postrzegłszy osobę, której całkiem się nie spodziewała. Maciuta zaś, kłaniając się z powagą, pierwszy się odezwał:

— Czołem przed jejmością dobrodziką uderzam i za natrętność przepraszam. Nie mam zaszczytu być jej znajomym, ale w podróży wiele się wybacza... Zatrzymać się musiałem w tem karczmisku nikkzemnem, bo szkapa mi się setnie wyciągnęła, że ani rusz dalej bez wytchnienia; sam też czuję potrzebę odzyskania wigoru, po całodziennem harcowaniu. Judasz tutejszy gwałtem w gnojowisku i zaduchu chciał mnie ulokować, przeciwko czemu rebelizowałem się, a mając wiadomość, iż w alkierzu kwaterują właśnie godne osoby, równie jak i ja, podróż odbywające, przeto ośmielałem się zanieść do

nich suplikę, zali mi nie pozwolą ukontentować się towarzystwem swoim, czego gdybym dopiął, uniknąłbym oraz musu duszenia się w onym chlewie, dla chamów przeznaczonym...

— Jezusie Nazareński! Matko siedmiu boleści! Świętaż Patronko moja, Doroto! To waszmość podróżny także? Kochasiu marynowany! A proszę! A pozwól waszmość! A raczże! — zaskrzeczała jejmość, usuwając się z progu. — Ciasno nam tu będzie, bo ciasno, ale jakoś damy sobie radę... Proszę, uprzejmie, uniżenie proszę... Jakże, w podróży (pięknieś to waćpan, kochasiu marynowany, wykoncypował) siła się wybacza... Właśnieśmy dary Boże pożywały, rade będziemy gościowi... Bez ceremoni, kochasiu marynowany, siadaj, wypoczywaj i nie gardź wdowim poczęstunkiem... Zośka, nie strój gapia i pomagaj pani matce w przyjęciu zanego gościa... Czegożeś oczy wywalila i patrzysz, niby ciele na malowane wrota?

Wyrazy ostatnie były zwrócone do hożej, ferytycznej panienki, najwyżej lat siedmnastu, która, siedząc przy stole, obficie zastawionym przeróżnymi zapasami spiżarnianemi, wydobytemi z tobołków podróжных, wsparła drobniuchne dłonie, o przedziwnie wytoczonych paluszkach, na desce stołowej i wyprężywszy niezwykle kształtną figurkę, z radosnem jakimś rozciekawieniem przypatrywała się Maciucie prześlicznemi chąbrowemi oczyma, od których wspaniale odbijał rumieniec świeżego liczka i długie, ciężkie warkocze jasnych, z popielatym odzieniem włosów.

Na tle ciasnego, zadymionego i brudnego alkierza, chociaż, trza przyznać, o całe niebo różnił się od izby karczemnej, — obok tak potwornej postaci, jaką była stara jejmość, panienka, obdarzona od natury urodą i wdziękiem, wydawała się jeszcze cudniejszą. Maciuta, rzuciwszy na nią okiem, aż się zastanowił. Była to bowiem piękność tak wabna i uroczą, a tak zarazem skromną, szczerą i dziecięcoco naiwną, że przebojem ujarzmiła serca, budząc w nich conajmniej żywe uczucie sympatyi. Usposobienie szparkie, wesołe, figlarne, nieskażone sztucznością, zdradzające duszyczkę czystą, niedotkniętą chorobliwem tchnieniem świata, ani zawodami życia, podnosiło wdzięk tego kwiatka swojskiego.

— Zośka! — powtórzyła stara jejmość, głos podnosząc i trzcina o podłogę stukając — rusz-że się wrono, nie widzisz, że trafunek szczęśliwy godną nam w podróży kompanię zdarzył? Skaranie Boże z tą dziewuchą, — rozparła się i zęby suszy w najlepsze, wstydu rodzonej matce przyczyniając... Zakrzatnij się, mówię, wedle posiłku, bo jegomostek, słyszałaś przecie, głodzi się od rana...

Panienka, na równe nogi skoczywszy, jęła porządkować na stole zapasy, których taka moc była, że nietylko na troje, ale na dziesięcioro osób starczyłoby aż nadto. Krzątała się zaś zgrabnie, swobodnie, ujawniając tym sposobem, iż w domu z założonemi rękoma nie siedziała i mimo lat młodych, już praktykę gospodarską posiadała w znacznej mierze. Krzątając się, rzucała spojrzenia przelotne na

Maciutę, krzywiąc trocha noskiem, jak gdyby chcą przez to wyrazić:

— Wolałabym gościem młodego i dziarskiego chłopca, a nie takiego oto brodacza...

Maciuta z upodobaniem patrzył, okiem niezalepionem kitajką, na przesliczną panienkę, a korzystając z chwili, w której stara jejmość zatamowała gderliwość, zajęta usadowieniem się na ławie, zagadnęła:

— Więc córkę jejmość dobrodziki mam zaszczyt oglądać?

— A córkę, córkę, kochasiu marynowany — odparła stara, postępując z utrudzenia. — Drugi z kolei ś. p. nieboszczyk mi to zawalisko ostawił, a sam powędrował na tamten świat, gdzie mu, myślę, Bóg, sprawiedliwy sędzia, moich udęczeń nie przebaczy...

Westchnęła baba i głową ogromną kiwać zaczęła, przygotowując się widocznie do obszerniejszych zwierzeń; Maciuta wszakże ją uprzedził, skłonił się dwornie i tym kształtem osobę swoją rekomendował:

— Pozwolisz, jejmość dobrodzika i panna Zofia, iż, zanim w dalszą konfidencyę wejdziem, która, gorąco tego pragnę, aby najdłuższe przetrwała lata, wprzód poznać się dam z nazwiska. Sołtykiewicz Prot jestem, Porajem się pieczętujemy, a siedzim od wieku w dobrach dziedzicznych na Litwie...

— Patrzajże, kochasiu marynowany — rzekła stara — słyszysz Zośka? Zapamiętajże dobrze, bo u mnie pamięć, z kłopotów i umartwień, krucha.

Więc tedy Sołtykiewicz? Z Litwy? Prot waćpanu na Chrzcie Ś-tym dali? Piękne imię... Jezusie Naza-reński! żaden z moich nieboszczyków tak pięknego Patrona nie miał... A jakże honorować?

— Strukczaszy, mościa dobrodziko... — odparł bez namysłu, Maciuta.

— Strukczaszy... patrzajże, kochasiu marynowany... A wolno spytać (bo to w podróży, jak sam jegomostek nadmieniał, wola się wybacza): żona ty, czy... jakże tam?

— Niestety! mościa dobrodziko, dotychczas jeszcze się wola Boża we mnie nie odezwała...

Stara jejmość tak żwawo poruszyła się, że aż ława zatrzęszczała.

— Zośka! słysz, wrono utrapiona, kawalera gościmy!... — krzyknęła z ożywieniem. — Matko siedmiu boleści! może to przeznaczenie... Zośka! a zakreć się żwawie, nie dziamgaj, niby mucha w smole...

— W tym momencie wszystko będzie gotowe, matuś — zapewniła milutkim głosikiem panienska.

— Patrzajże, kochasiu marynowany... Więc jakże? A! prawda: Poraj, Sołtykiewicz... dobra na Litwie... niechybnie znaczne? I strukczaszy? Piękny tytuł... — mruczała stara, wdzierając się do Maciuty. — Poraj? A wiesz, jegomostek, że to zdarzenie osobliwe... Mój czwarty z kolei ś. p. nieboszczyk także Poraja w herbie nosił i także z Litwy się wywodził...

— Czwarty z kolei?

— Zmarło się nieborakowi wcześniej i teraz chyba za strapienia, jakie mi w życiu przyczynił, karę na tamtym świecie cierpi... — prawiała stara. — Bo trza jegomostkowi wiedzieć, żem wdowa po sześci ś. p. nieboszczykach... Po sześci, kochasiu marynowany, och! Jezusie Nazareński i Matko wielkiego miłosierdzia...

— Po sześci? — zagryzając wargi, aby ukryć cisnący się na nie uśmiech, powtórzył Maciuta.

— Tak, jegomostku drogi, po sześci — westchnęła stara. — Substancya jest, nie chwalcę się, nawet zacna, w gotowiznie i w dobrach, ale cóż z tego, kiedym sama, jak palec, sierota-wdowa, ludzka poniewierka i obmowa. Ciężki to stan wdowieński, kochasiu marynowany, osobliwie z taką wroną zatraconą na karku, jak ta moja Zośka... Nie wyimajesz sobie jegomostek, co to za hajdamaka, jaka przekora...

Nachyliła się do Maciuty i głos zniżając, dołała:

— Co waćpan powiesz, kochasiu marynowany... lat ośmnaście jej dopiero, a już na chłopów zerka! Zamażby się w jednej chwili wydała...

— Nic dziwnego, jejmość dobrodziko... — wtrącił Maciuta.

Stara rękoma zatrzepała.

— A! nie gadaj tak, kochasiu marynowany, nie gadaj! Zamaż takimu smarkaczowi? Koza jest, wrona, fafel! Zresztą porządek wszędzie musi być, porządek zaś każe: po starszemu na gałąź...

Maciuta nie mógł stłumić ironicznego uśmiechu

tym razem, pośpieszył jednak osłonić się dyplomatycznie, przyznając:

— Słusznie dobrodzika mówisz — zawdy pierwszeństwo należy się starszym.

— Słysz Zośka, wrono utrapiona? — wrzasnęła stara. — Uważaj, co jegomostek powiada... Złote słowa, kochasiu marynowany... Owo co jest — po starszemu. Ja jej zresztą nie bronię, — zwierzała się dalej poufnie mniemanemu strukczasemu — niech się wydaje zamaż z Panem Bogiem... I pobłogosławię, i wiana nie pożałuję, ale przecież sama bez oparcia nie mogę ostać... Prawda?

— Niechże matuś prosi pana strukczaszego — wtrąciła Zosia, wskazując przygotowany posiłek.

— Wyguzdrałaś się nareszcie, kozo przekorna... Więc tedy, więc proszę, przysuń się jegomostek i nie gardź wdowieńską nędzą... Aby na ząb, aby... jak to w podróży... Naprzód robiła zakropić. Ratafijka? A może dzięgielówki? Mnie bo najlepiej skutkuje piołunówka z tatarakiem, potem dopiero kapki czego innego mogę pokosztować... W ręce waszeci, panie strukczaszy, kochasiu marynowany!

Machnęła baba gorzały kubek bernardyński z przedziwną wprawą i jąła zmiatać śliwki suszone, gruszki w cukrze obwarzane, gomółki, półgęski, z taką żarłocznością, jak gdyby tydzień się głodziła.

— Królewski bankiet! — chwalił Maciuta — a już co nalewka delicya, mocia dobrodziko...

— Prawda? Ano, to na drugą nogę, kochasiu marynowany... Bez ceremonii, bardzo proszę...

Znów palnęła, tym razem ratafii, a potem, bez wzdargania, coraz to kubek wychylała, tłumacząc się tylko:

— Nie mniemaj jegomostek, żebym upodobanie do trunków miała. Boże mnie od nałogu zachowaj. Ale w podróży trza się pokrzepiać... Wyznam też waszmości, panie strukczaszy (co tu zresztą ukrywać przed polityczną osobą!), że mi wdowieństwo tak doskwiera, iż poniewoli otuchy sobie przydawać siaką taką kapkę muszę.

— Słusznie, słusznie — przytakiwał Maciuta — zdrowie przedewszystkiem, solą ono dla życia jest. To nie towar, który możnaby w pierwszym lepszym kramie za dydki kupić, ale skarb od Boga, którego ochrona pod utratą zbawienia człowiekowi nakazana. Wyraźnie tak Pismo powiada.

— Otóż to, kochasiu marynowany, złote słowa jegomostka! — skwapliwie, z rozpromienieniem, podchwyciła baba. — Słyszysz Zośka, wrono utrapiona, jak pan strukczaszy mądrze kalkuluje? A ty mnie, smarkaczu, zawdy wstrzymujesz, zawdy chcesz przez androny jakoweś zdrowia uszczknąć...

Naraz przypomniała sobie jejmość, że się jeszcze nowemu znajomemu nie przedstawiła. Stropiona, po biodrach się uderzyła i starając się błęd naprawić, nuż pytłować:

— Gadu-gadu, a psy w krupiech... Taka to moja głowa, przez one melankolie i frasunki wdowieńskie, że podczas pamięć całkiem tracę. Co też jegomość o mnie sobie pomyślisz, iżem się nie odprezentowała? A przecież na polityce się znam...

— Nie stracona rzecz, mościa dobrodziko, dość pojrzeć na osobę, żeby się upewnić, iż godną krew ma się przed sobą...

— Aż miło dyskurs tak roztropny prowadzić, z waszmości nielada bywalec, panie... jakże mu?...

— Sołtykiewicz Prot, strukczaszy z Litwy, Poraja mamy w kleynocie — dopomógł Maciuta.

— Prawda, kochasiu marynowany... Głowo ty moja, głowo wdowieńska, na szczęt pamięć z niej ucieka... A mnie, proszę jegomości, po szóstym ś. p. nieboszczyku, podsędkową Krysicką zwa i tytułują. Na chrzcie Dorota-Balbina mi dano. Wdowa jestem, kochasiu marynowany, sierocki żywot w Rakowicach prowadzę, majątności nienajgorszej, do której Bąki, Zawiszyn i Cebrzyk należą. Z taką substancją białogłowie samotnej uporać się niełatwo, ile że po nieboszczykach interesa powikłane zostały. Rozpacz prawdziwa! W dodatku z tą oto wroną utrapioną krzyż Pański znosić muszę...

Wrona utrapiona odważyła się wtrącić:

— Ależ matuś, jam nie taka przecież ostatnia...

— Chwal się, chwal, skrzeko, a taki mi słów do gęby nie weprzesz — przerwała jejmość z przekornością rozklekotanej gawędziarki. — Prawda u mnie grunt, szczerłość wprost z serca na język płynie. Nie widzę też potrzeby przed panem strukczaszym, osobą stateczną i polityczną (a na ludziach się znam, oho!), tać, iżesz ty nie taka kuropatwa w owsie, za jaką chcesz się udać. Głupi cię kupi, ale mądrej głowie dość dwie słowie. Taka odrazu pomiarkuje, coś ty za ziółko...

— Młodość, mościa dobrodziko... — nadmienił tonem pobłażliwym Maciuta, lecz podsędkowa i jemu mówić nie pozwoliła.

— Co to młodość, kochasiu marynowany, albowiem ja już taka stara? — prawiała dosadnie. — Wdowieństwem mnie Bóg dotknął, wszelako rzeškość mi pozostała, owa rzeškość dojrzała, która najlepiej w stanie małżeńskim smakuje. Waszmość, panie strukczaszy, czuję to, do tego gatunku ludzi należysz, z którymi konfidencya osłoda żywota stać się może, więc bez ogódek waszmości się zwierzam, kochasiu marynowany...

— Matus! — usiłowała pomiarkować niewczesne wynurzenia panienka — pana strukczaszego nic nasze sprawy domowe nie obchodzą...

— Co to nie obchodzą? Patrzajże jegomość, jaka z niej wrona utrapiona! Nie obchodzą! Matka chce sobie ulżyć frasunku, a ona nawet tej pociechy broni... Doloż moja wdowieńska, dolo nieszczęsna!... A nie powiedziałam waszmości, kochasiu marynowany, że z niej ziółko? Patrzysz — zda ci się, że to niewiniątko, trusia, synogarliczka, sama dobrotka, duchniczka jaka, a w rzeczy samej cyga jest, która jeno o padwanach myśli, o kokoszeniu, o przychętках pieszczonych, na kontempt matce. Bo zważ, kochasiu marynowany: Bywa — siedzę ja, melankolią zdjęta, gorzkie łzy na sieroctwo moje wylewając, ona zaś, miast także łzę uronić, kant wyciąga, fertyczy się, trefikami mnie częstuje, świegota jedna! Zdarzy Bóg kogo statecznego w dom --

ona zawdy na sztych wychodzi i jak balluarda sterczy, mnie oczom ludzi zasłaniając. Jakże to nazwać? Z domu chce się wypierzyć na gwałt, a przecież tyli rozum mieć winna, że nie córka przed matką, ale matka przed córką idzie. Na świecie takie prawo jest, od wieków wiecznych, i basta!

Oskarżana tak srodze panienka ramionami wzruszała, czerwieniła się, niby wiśnia, śnać bolejąc w duszy, że matka tak niewłaściwie przed pierwszym na drodze spotkanym się rozwodzi, lecz wcale nie okazywała, iżby ją wyrzekania matki bodły. Nie o siebie jej szło, jeno o matkę. Widocznie słodką miała naturę, bez żółci, bez zawziętości, bez kaprysów, chociaż ją matka nieopatrznie wprost sardzami przed obcym malowała.

Jakoż sąsiedzi Rakowic dobrze wiedzieli, iż wojszczanka (gdyż urząd wojskiego piastował nieboszczyk ojciec Zosi — Adam Łoziński) rzadką dobrocią się odznaczała, tyranizację matki, pragnącej za jakąbądź cenę jeszcze wydać się zamaż, przytem niewiasty swarliwej, z anielską znosiła cierpliwością. Podsędkowa kochała córkę, ale, będąc Herodem w spódnicy, zaprawiona na kilku małżonkach, których trzymała pod pantoflem w całym znaczeniu, kochała ją despotycznie, uważając za przeszkodę do upragnionego maryażu. Dziewczę miało usposobienie żywe, swawolne nieco, szczere, pocziwe, — ale zalotności, przekory, ale zarozumiałości, chęci narzucania się, nie było w niem ani śladu. Młodziuchne serduszko wzdychało do świata, lecz marzenia

te były czyste, jasne, bez cienia namiętności. Rada była się trzpiotać, słowo ciepłe usłyszeć, a matka wręcz ją przed ludźmi ukrywała, strofując na każdym kroku.

A jednak Zosia, w takiej kurateli najpiękniejsze lata pędząc, nie stetryczała, nie zgorzkniała, nie sposepniała, nie zniechęciła się do matki. Znosiła wszystkie jej wybryki z rzadkiem poddaniem, zawsze dopisywał jej humorek naiwny, nigdy jej na myśl nie przyszło skarżyć się na jarzmo domowe. Gdy jej podsędkowa dokuczyła nad miarę, wyplakała się w kąciку, pomodliła, następnie, oczka otarłszy, biegła do sadu, na pole, do izby wreszcie czeladnej, i tam, na pociechę, śpiewała teksty światowe, jak gdyby nic jej do szczęścia nie brakowało. Uniewinniała nawet nieznośny despotyzm matki, jej skargi nierozsądne na ciężki żywot wdowieński uważała za słuszne, nie roztrząsając ich wcale; często starała się wmówić w siebie, iż jest rzeczywiście złą i niewdzięczną córką, dopatrywała w swoim, pełnem dobroci, postępowaniu niepopelnionych grzechów.

— Musi chyba we mnie jaki grądal niesforny siedzieć — mówiła wtedy, wzdychając — że nie potrafię matusi dogodzić. Trudno, taka już na świat przyszlłam!

Często prosiła Boga, iżby matce nowego męża zdarzył, bo czuła, że wówczas, lepiejby jej było w domu, a może też wtedy i ona mogłaby się pomiędzy ludźmi swobodnie rozejrzeć, a rozejrzawszy, znaleźć serce jakie pokrewne... Pierwszeństwa, co

do zamażpójścia, bynajmniej sobie nie rościła — owszem, wciąż przez podsędkową do znudzenia powtarzaną zasadę: „pierwszeństwo w tej mierze zawsze matce się należy,” za najśluszniejszą w świecie poczytywała.

Taki oto stosunek zachodził pomiędzy panną Zofią a jej matką, kobietą w rzeczy samej zamożną, bo chociaż podsędkowa na powikłane interesy narzekała, jej sprawy majątkowe znajdowały się w zupełnym porządku i pozwalały jej się zaliczać do wcale zamożnych ziemianek.

Maciuta skarg podsędkowej słuchał z początku cierpliwie, ale, widząc, że uprzejmość jego pobudza gadatliwość jejmości i jakieś nadzieje w niej, całkiem nierozsądne, nieci, postanowił się od tak miłego towarzystwa odczepić. Posiliwszy się przeto arcysmakowitemi wiktuałami wdowy dostatecznie i bez ceremonii, odezwał się rzekomo z żalem:

— Z ciężkiem sercem przychodzi mi pożegnać podsędkową dobrodzikę, z którą kompania tak wielkie sprawia ukontentowanie, że trudno mi słów dobrać na wyrażenie tego, lecz drogę mam przed sobą niekrótką...

— I my jeszcze — odrzekła podsędkowa — dwie mil opętanych na Jasną Górę mamy, czas więc i na nas... Zośka, skocz żwawo, niech konie zajeżdżają...

Wspomnienie Jasnej Góry uderzyło Maciutę, zapytał szybko:

— To pani podsędkowa na Jasną Górę? Pewnie z intencją pobożną?

— Nie zgadłeś jegomostek. Z intencją do tego cudownego miejsca co roku wprawdzie jeżdżę, tak, co roku regularnie, od śmierci ś. p. ostatniego mego męża; prawdę mówiący i teraz intencję wiozę — ale właściwie tym razem bezpieczeństwa w klasztorze od Szweda szukam... O heretykach w okolicach Rakowic (niedaleko te moje Rakowice, wszystkiego mil pięć od Częstochowy) gęste już gadki chodzą, że plondrują dwory coraz bliżej, tedy rozmyśliłam, iż trza mi w swoim sieroctwie wdowieńskim obronę naleźć. Słyszę, ten i ów, fa-mułę zabrawszy, pod pieczę Matki Boskiej się u-da-je, przeto i mnie to samo uczynić należy... Powia-dają wprawdzie, że heretyk względu na miejsce cudowne mieć nie będzie, że spróbuje także Jasną Górę zająć, ale nie chce mi się w to wierzyć. Zresz-tą może nawet poganin da się uwieść pokusie czar-towskiej i do klasztoru zapukać, ale niepodobna rzecz, żeby mu O.O. Paulini bramy otworzyli.

— Przytem, cudowne miejsce jest — mruknął Maciuta.

— A rozumie się! I jak jeszcze cudowne! Dru-giego takiego w świecie nie naleźć. Więcem wszyst-ko zarządziła w majątnościach, jakom sobie w bie-dnej mojej, skolatanej głowie wdowieńskiej ułoży-ła: sreberko i gotowiznę w miejscu bezpiecznem się pochowało, ze śpichlerzy usunęło się wszystko, co-by oskomę heretykom czyniło, a sama z Zoską na Jasną Górę... O.O. Paulini gościny wdowie opusz-czonej nie odmówią, pamiętam przecież o klaszto-

rze, nie skąpię dla cudownego miejsca... Jakże je-gomostek mój zamysł uważasz?

— Cale roztropny, jabym na miejscu podsęd-kowej dobrodziki nieinaczej uczynił... — pochwa-lił Maciuta. — Szwedowi się nastęrczać u siebie w domu, w jej położeniu, niebezpieczno, a w klasz-torze, chociażby nawet i do kapitulacyi przyszło, nic osobom tam schronionym nie grozi, bo O.O. Pau-lini zawarują niewątpliwie wszelką dla nich rewe-rencyę...

— Tak samo, kubek w kubek, i ja rozważa-łam — zawołała podsędkowa, uradowana pochwa-łą. — Ano, skoro jechać musim, na drogę kapka nie zawadzi. W ręce waszmości!

Potem jejmość, przywdziewając z trudnością okrycie, gadała, jakby do siebie:

— Dwie mile, nic wprawdzie nadzwyczajnego, ale samym białogłomom jechać cale nie rażno, jesz-cze w taki czas niepewny... Cóż robić — trzeba krzyż Pański dźwigać! Bodaj psi jedli sieroctwo wdowieńskie, lepiej było całkiem ze stanu panień-skiego nie wychodzić!

Maciuta, usłyszawszy, że podsędkowa na Jasną Górę dąży, jakoś nie śpieszył się z pożegnaniem. Pomagał matce przy ubieraniu się i pakowaniu to-bolków, wsadził ją i córkę do ogromnej, niby arka Noego, kolasy na pasach i dopiero, gdy przyszło do zamykania drzwiczek, rzekł dyskretnie:

— Niewiele zбочę z mojej drogi, jeżeli panią podsędkową dobrodziejkę odprowadzę na moim pod-

jezdki. Myślę nawet, że dobrze będzie i mnie samemu cudowne miejsce nawiedzić... Niechże panie jadą spokojnie. Za kolasa podążę, w razie czego można na mnie liczyć...

Podsędkowę jakby kto na sto koni wsadził — plasnęła w tłuste dłonie, rzuciła się na siedzeniu, aż kolasa jękała, i zawołała:

— Zbawco! dobrodzieju! jakże mam waćpanu, kochasiu serdeczny, podziękować... Odprowadzisz, powiadasz? Do klasztoru wstąpisz? Niechże ci Bóg płaci.... Ale po co masz waszmość tłuc się na podjezdki, toć w kolasiu miejsca dość... siadajże z nami, panie strukczaszy.... Zośka! słysz, usuń się...

Maciuta nie dał się prosić, konia opiece woźnicy porучzył, a sam do kolasy siadł, nie pozwalając wszakże, iżby Zosia uprzywilejowane miejsce opuszczała.

— Jakieżby ze mnie był kawaler, — nadmienił żartobliwie — gdybym na coś podobnego zezwolił? Gdyby jeszcze wiek mój za potrzebą wygod nadzwyczajnych przemawiał, ale przecież do sędziwości mi daleko. Chyba, że pozór mam kościanego dziadka w oczach pani podsędkowej dobrodziki.

— Gdzie zaś, w imię Ojca... co też jegomostek wygadujesz! — zaoponowała energicznie Krysicka. — Skądże takie przypuszczenie? Owszem, dość okiem rzucić, iżby powiedzieć, jako nie żaden szczypek z waszeczki, ale chłop schwalny, w siłę pełności, nie oszczędzały nawet jeszcze. A już co na polityce się znasz, to znasz. Siedźże, kochasiu ser-

deczny, gdzie chcesz, Bogu dziękuję, że nam takiego kortegiana zdarzył, bo to i droga śmignie piorunem, bez znudzenia, i bezpieczeństwo będzie... Ano, nie kwaśmy grochu, Walek... ruszaj!

Woźnica huknął z bata, konie, dobrze opasłe, ruszyły rączo.

Podsędkowa w siódmym była niebie. Zawdy była jak najlepszego o sobie mniemania i teraz uroilo jej się w licznych „pukaniach“ rozmarzonej głowie, iż konkurenta złowiła. Mizdrzyła się do Maciuty, słodko na niego poglądała, na słówka wyciągała, wciąż przymawiając Zosi:

— Jeny ty, frycko, wrono utrapiona, nie imaginuj, że to twoja gwiazdeczność na pana strukczaszego wpłynęła... Nie taki z jegomostka łakomiec, żeby po niedowarki, tobie podobne, sięgać, co innego mając do rozporządzenia. Uznawca to jest, bywalec, a takiego lada przepłoniem liczkami, lada siewką nie upłosisz. Jeny szalałowie na fafalki-szuszfalki i bębny gomonne leca; statek nie łąteczka, ale innego lustru szuka i dobrze okrzyż rozpatrzy, zanim do afektów swoich sięgnie.

— Mocia dobrodziko, — wtrącił Maciuta — suplikuję pokornie, iżbyś panny Zofii posądzeniem nie obarczała. Panna podsędkówna daleka jest od myśli nierozważnych.

Skrzywiła się Krysicka niemiłosiernie i podchwyciła:

— Zaraz posadzała! Skądżeż posadzanie albo przesydzanie jegomostkowi do głowy, kochasiu

marynowany, przyszło? Jako matka, winnam baczenie na dziecko rodzone dawać, żeby imaginacyę niedoświadczoną od płochych porywów odwrócić... Dziwno mi, że jegomostek inaczej moje słowa zrozumiałeś...

— Ależ, pani podsędkowo dobrodziko... z najlepszego serca...

— Oho — przerwała jejmość, coraz bardziej nadąsana — już i serce na stole. Szparko waćpan sadzisz, kochasiu marynowany... I to jeszcze powiem, iż się Zośce tytuł podsędkówny nie przynależy. Rodzic jej, ś. p. Łoziński, drugi z kolei mój małżonek, od którego, nie obmawiając, wiele mi przyszło ciężkości znosić, wojskim był. Podsędka Krysickiego na szóste pokaranie doczesne Bóg mi zesłał...

— Nie wiedziałem, mościa dobrodziko, za co uniżenie przepraszam...

— Otóż to, zawdy lepiej, jeżeli się czego nie wie, świadomych zapytać, żeby baków nie palić...

— Żle! — pomyślał Maciuta. — Drażliwy babsztył, ani jej dotknąć... Gotowa mnie z kolasy na drogę wyeksmitować... — a w głos dodał: — Pani podsędkowo łaskawa, prawda jest, że statkowi nie przystoi na wiatr słowa rozrzucać, ale tu wprost nieporozumienie zachodzi, które wszakże obrażać honoru jej nie powinno. Siak, czy tak, panna Zofia córką jest waćpani. Ośmieliłem się napomknąć, iż jej główka daleka jest od myśli nierozważnej, lecz to nie znaczyło, iżbym w jej obronie stawał, czego zgoła nie było potrzeby, bo nic tu jej nie groziło,

ani grozi. Ściśle biorąc, siebie na widoku miałem. Pragnąłem mianowicie wyrazić, iż, lubo głowę przed urodą i zaletami panny wojszczanki uchylałem, to jednak słusność mi każe godną jej macierz przede wszystkim admirować...

— A! a! chyba, że tak... Znaczy się, żem ja jegomostka źle zrozumiała — rozbrojona zręcznym komplementem zawołała podsędkowa. — Wybacz, panie strukczaszy, w podróży głowa się kołomaci, a ja i bez tego pełno mam frasunków. Samo wdowieństwo żółcią poi, a cóż dopiero, gdy się jeszcze taką kożę przekorną ma na karku...

— Śmiało się zaś wyznawam z admiracyą dla dobrodziki — prowadził Maciuta — z racyi koligacyi, jaka, uważam, między nami zachodzi...

— Koligacyi? — powtórzyła podsędkowa. — Niceś waszmość nie wspominał...

— Ale pani podsędkowa wspomnieć raczyła...

— Ja? Ejże, jakoś dogadać się nie możemy...

— Za pozwoleniem. Z ust własnych podsędkowej dobrodziejki słyszałem, iż któryś z jej małżonków Porajem się pieczętował...

— Ano tak, czwarty z kolei, Borejko Sylweryusz, patron trybunalski...

— Dla Boga! — wykrzyknął Maciuta, podziw nadzwyczajny udając — przecucie mnie nie omyliło... Już bo przyznać trzeba, że w sentencyach naszych słusność niewzruszona spoczywa. Mówimy: „Góra z górą się nie zejdzie a człowiek na człowieka swego zawdy natrafi.“ Sprawdziło się

to na nas, mocia dobrodziko. Toż to moja cioteczna za Borejką była także, jeno on pono na kresach rotmistrzował i tam głowę położył...

Kłamał Maciuta czelnie, jak z nut, gdyż na rękę mu było do krewniactwa z podsędkową się przyszyć, ale jejmość nie przypuściła, iżby tak, z pozoru, stateczny szlachcic, mógł fałszem manewrować. Więc, za dobrą monetę wymyśli wzięwszy, formalnie w zachwytyt wpadła i nuż się nad szczęśliwym trafem rozwodzić:

— A widzisz jegomostek! A prawda, kochasiu marynowany! Więc koligacya między nami jest... Daleka wprawdzie, ale zawsze... Temci lepiej... Z koligacyi konfidencya przychodzi, a z konfidencyi coś się innego może wykrzesać... Ja także odrazu miarkowałam, że się do siebie przybliżym... Słysz, Zośka, wrono utrapiona, jegomość pan strukczaszy nasz koligat... Fortunne zdarzenie, sprawiedliwie fortunne... Z koligatem zawdy śmielej się gada i... szczerzej...

— Niewątpliwie, mocia dobrodziko — odparł sentencyonalnie Maciuta — koligacya szczerześć pomiędzy ludźmi funduje i afekta umacnia...

— Otóż to! otóż to! afekta umacnia... Złote, dyamentowe słowa: afekta umacnia. Co to jednak znaczy przeczucie... Pojrzawszy na jegomostka, odrazu, jakby mnie ktoś na ucho szepnął, pomyślałam: Nie wiatrowa to będzie znajomość, nie na bystrej wodzie pisana... Tak, tak... góra z górą się nie zedzie, a każda Marta znajdzie swego Gotarta...

— Gorąca baba! — rozśmiał się w duchu Ma-

ciuta — słowem się ozwać, a w tym momencie gotowa przed ołtarzem ślubować. Ależ przytrafunek dobrze mi posłużył... Pretekst mam na Jasną Górę, że nie można lepszy — jakże: krewniaczkę odwożę. Śmiało teraz mogę mnichom w oczy patrzeć i bez ściągnięcia podejrzeń, ich zamysły penetrować... Muszę przyznać, że mnie nawet i szydła gołą.

IV

Ks. przeor Kordecki czynił w dalszym ciągu wszystko, co w mocy ludzkiej leżało, aby miejsc, łaskami Paniienki Najświętszej tak osobliwie wstawione, od szponów szwedzkich zabezpieczyć. Pomagała mu w tem serdecznie szlachta, garnąca się z rodzinami w mury klasztoru. W liczbie onych pomocników miejsca najprzedniejsze zajmowali: pan Zygmunt Mosiński, pan Mikołaj Nowina-Krzyżtoporski z Bogdanowa, pan Jan Ogończyk-Skórzewski, wreszcie — Stefan Poraj-Zamoyski ze Strzelca, miecznik sieradzki, i pan Piotr Czarniecki, brat rodzony kasztelana kijowskiego. Wszyscy odznaczali się dobrą wolą i doświadczeniem w kunszcie rycerskim, lecz dwaj ostatni szczególnie się pod tym względem wyróżniali, tudzież zaletami umysłu i charakteru. Nieustraszenie mężni, położenie obejmowali w lot i łatwo się wśród najgorętszego boju orientowali, a nawet wówczas świetnie im się w głowach rodziły pomysły. Potrafili przemówić do podko-

mendnych, rozgrzać ich, przykładem własnym zapalić. Spiżowi to byli zaiste mężowie, hart ducha posiadali granitowy, a obok tego, jak przystało na rycerzy chrześcijańskich, rycerzy z pod znaku Orła Białego i Królowej Niebios, serca mieli dobroci pełne, gołębie. To też ks. Kordecki ufał im bezgranicznie, polegał na nich, zamysły im swoje powierzał, do nich się przedewszystkiem zwracał.

Pan miecznik sieradzki mirem wśród braci szlachty się cieszył, a zdobył sobie zachowanie nie, jak wielu — „papką, czapką i solą,“ bo ani znakomitością rodu nie jaśniał, ani fortuną wielką, przytem miał kark twardy, prawdę w oczy każdemu rzucał i w obcowaniu był trocha szorstki. Niezlomność przekonań, ukochanie sprawiedliwości i miłość Ojczyzny zachowanie mu wyrobiły. Przed trzema laty, posłując na Sejm z Ziemi Sieradzkiej, bronił gorliwie Radziejowskiego, odsądzonego od podkanclerstwa, oburzony surowością i stronnością dekretu marszałkowskiego. Wtedy też hardo się stawiał samemu Janowi-Kazimierzowi. Lecz skoro się niegodziwość Radziejowskiego okazała, natychmiast go opuścił i wszystkie usiłowania ku obronie Ojczyzny zwrócił. Postawę miał pan miecznik sieradzki niepozorną — wzrostu był średniego, twarzy śniadej, z surowym wyrazem, patrząc, oczy przymrużał, a mówiąc, gestykulował doraźnie jedną ręką, drugą pod bok się ująwszy, lub za pas trzymając wsuniętą.

Pan Piotr Czarniecki, starszy nieco od brata, kasztelana kijowskiego, cale był do niego podobny,

i z usposobienia, i z pozoru. Tylko rubacha w nim siedział potrosze, więcej się gniewem w danym razie unosił, ale na chwilę. Z bratem, pod jego dowództwem, w wielu uczestniczył wyprawach i sposób wojowania od niego przejął. Na Jasnej Górze takim sposobem się znalazł, ponieważ — o czym kasztelan jeszcze nie wiedział — w Czarnicy już był niepotrzebny. Kasztelanowa, z córką, Konstancją Leszczyńską, krajczynią koronną, wezwane przez krajczego, udały się na Śląsk, gdzie się dwór królewski zbierał; stolnikowa Branicka bawiła w Sievierzu, u ojca i — jak mniemał — zapewne też na Śląsk pociągnie. Czarnca, posiadając zameczek warowny i załogę silną, z wypróbowanym wodzem, opieki jego również nie wymagała, tembardziej, że nie było obawy, aby Szwed lub stronicy jego ośmielili się zamach uczynić na posiadłość obywatela i hetmana tej miary, jakim był kasztelan. Wobec tego, pan Piotr, nie lubiący z założonemi rękoma siedzieć, a słysząc o zagrożonej Jasnej Górze, jak w dym tam się udał z małżonką, Misiowską z domu, a ks. Kordecki z otwartemi rękoma takiego przyjął gościa.

Wkrótce nadciągnęła do klasztoru stolnikowa Branicka, ze skarbnikiem Drozdowskim, Krysią, Balcerowiczem i czterema towarzyszami pancernymi w eskorcie. Stropił się pan Piotr, gdyż mniemał, że synowica szyki mu pogmatwa, że będzie musiał do Czarnicy się wrócić i tam siedzieć, wskutek czego słodkie ordynanse Królowej Nieba, do których tak wzdychał, w razie nastąpienia Szweda na Jasną

Górze, go ominą. Stało się jednak inaczej. Stolnikowa Branicka szczerze się ze składu rzeczy uradowała i oświadczyła, że już teraz nie ruszy się z klasztoru, dopóki los tego świętego miejsca się nie rozstrzygnie.

— Ba! — próbował oponować pan Piotr — a jeśli do oblężenia przyjdzie? Ks. przeor Jasnej Góry Szwedowi nie odda, będzie jej bronił do ostatka...

— Rozumie się, że i my z nim razem — na to stolnikowa.

— Pięknie rzekłaś, ale trza wiedzieć, mościa synowico, że oblężenie inaczej z blizka wygląda, niż w opowieści. Kule wtedy grają, z harmat i muskietów, krew się leje, śmierć grozi ludziom lub niewola, a od tego was, rodzaj białogłowski, zaraz mdłości biorą, zaraz strachy, ochy, płacze... Do wyciągania kantów, przebierania paluszkami na lutni, do tańca i oczkiem strzelania, mistrzynio jesteście i w tych kunsztach hetmaństwo przy was po koniec wieku ziemskiego ostanie; ale w wojnie, z pozwoleniem i uczciwszy uszy, — nic po was. Ciężaru przyczyniacie i zamętu...

Popatrzyła na niego stolnikowa przenikliwie i ręce założywszy na piersiach, a głową w tę i ową stronę chyląc, odparła:

— A tak, a tak! My nic inszego nie umiemy, jeno bawić się, jeno lzy ronić, jeno za piecem siedzieć i bakaliami się raczyć...

— Widzisz, sama przyznajesz...

— Właśnie, że nie przyznaję. W inszym na-

rodzie może istotnie rodzaj białogłowski do niczego niezdolny inszego nad to, żeby chuchraćkiem i zabawką być doma mężowi; ale my, Polki — nie! My potrafię dzielić trudy z naszymi ojcami, małżonkami i braćmi wszędy. Wanda nam przykład dała, a myśmy jej córki nieodrodzone, wstydu jej pamięci nie przyniosłyśmy i po skończeniu świata nie przyniesiem...

— Dla Boga! — mruknął pan Piotr, niby zafasowany, a rad w duszy — to ty, Oleńka, naprawdę zamyślasz tu ostawać, nawet podczas obłężenia?

— Zamyślałam i przekona się stryj, iż ani ciężarem nie będę, ani zamętu nie przyczynię.

— Zawdy byłaś oczajduszą, jeno hajdawery ci włożyć i na konia sięść, ale... co kasztelan na to powie? Zmiłujże się, odpowiedzialność za ciebie na mnie włożył...

— Pan ojczyk nic nie powie, pan ojczyk przyzwolenstwo mi dał. Świadkiem pan kasztelan krakowski...

Wtedy pan Piotr ręce rozłożył, głowę pochylił, dodając:

— Ano, w takim razie nic nie poradzę. Skoro przyzwolenstwo masz, ostawaj. Jak sobie pościesz, tak się wyśpisz. Zuchujesz teraz, ale, gdy harmaty zaczną gadać, gdy rannych i umierających przed oczyma będziesz miała, gdy ci przyjdzie koniny spróbować, a może i bez tego się obywać — duch ci się stłucze...

— E! stryjcę miły, co do koniny — na ucztach

hetmańskich ją podają, jam zaś córka hetmańska...

— Na wszystko masz odpowiedź. Idź teraz szarpinę skubać i pierze drzeć. Tam ty będziesz i czasu obłężenia hetmaniła!

— Najdę ja dla siebie wtedy inszą robotę, oho! — odparła stolnikowa, poczem, uściskawszy pana Piotra, zajęła się urządzeniem mieszkania dla siebie, Krysi i skarbnika, którym się, jako zamierzała, opiekowała z całą tkliwością przeznaczonego serca.

Skarbnik Drozdowski do zdrowia zupełnego nie przychodził, rozum miał wciąż zamroczony, lecz już gorzej nie upadał. Zachowywał się spokojnie, milcząc, nikomu nie zawadzał, córki słuchał bez oporności, zawsze ze słodkim rozrzewnieniem na nią poglądając. Balcerowicz, któremu stolnikowa napomykała, iżby do Glinna jechał, substancyi skarbnika dozorować, odbudowawszy, co należało, odpowiadał:

— Pani stolnikowo dobrodziejko, nie stanie się Glinnu krzywda, wszystko przed odjazdem obmyśliłem, iżby tam starunek był należyty. Skoro pan stolnik z panną Krysią tu zostają na czas jakiś, niechże i mnie wolno także pozostać. Mniemam, że w takim czasie usługa przyjacielska nie powinna być odtrącana...

Rozumiała stolnikowa powody, skłaniające pana pisarza do pozostawiania — i nie próbował go od zamiaru odwodzić. Krzysia również nic przeciwko usługom Balcerowicza nie miała, owszem, za-

gadnięta w tej mierze przez stolnikową, odparła nie bez silnego rumieńca:

— Ojciec pana pisarza bardzo lubi...

Ks. Kordecki nie był w zupełności responsem pana kasztelana kijowskiego, przez Paska przywiezionym, zadowolony — spodziewał się jakiejś dośladniejszej pomocy, jakiejś bardziej stanowczej obietnicy, wszelako Czarniecki tak jasno i dowodnie przedstawił mu bezradność swoją w danej chwili, że narzekać nie mógł. Z przysłania towarzyszków pancernych szczerze się uradował, potrafił bowiem odrazu wymiarkować, jak cenną taka pomoc stać się dla klasztoru może. Więc też, listy kasztelana odczytawszy, rzekł do Paska:

— *Contra vim mortis, non est medicamentum in hortis...* Przeciw srogiej Libitynie niema rady w medycynie. Pisze mi pan kasztelan, że jest skrupowan ze wszystkich stron, trudno przeciw wodzie płynąć. Nawet ekskuzować się nie potrzebował, bo słowo tak godnego i pobożnego męża ma większy walor od dyamentów i złota. Ale też w skromności swojej przesadził. Jakże może utrzymywać, że żadnej pomocy dać mi niezdolen, skoro mi ją już ofiarować raczył, przysyłając waszmość, panie Janie, i twoich zacnych komilitonów. Skarb to, skarb w takim razie każdy rycerz z eksperyencyą i detreminacyą. Ciebie, panie Janie, i rodzinę swoją znam. W Bielinach, pod Rawą, u godnego rodzica twego, pana Wawrzyńca, nieraz z ukontentowaniem gościłem, a pani Wawrzyńcowa już za mego przeorstwa Jasną Górę odwiedzała... Wiem i od

nich, i od inszych obywateli, jak pięknie się w zawodzie rycerskim promujesz, oraz to, że pan kasztelan ceni cię i wyróżnia, chwalebłą przyszłość wróżąc. Sam on, w tym oto liście, świadectwo ci takie wypisał, że nie trzeba lepszego. O towarzyszkach również z aplauzami prawi. Tyś ich, pono, wybrał — no, bystre masz oko. Tedy wdzięczen jestem panu kasztelanowi, nieskończenie wdzięczen, tembardziej, iż mi znajomka wynalazł. Chwała niech będzie Bogu i Najświętszej Pannie!

Pasek ucałował dłoń przeora i kolana jego uściśnął.

— Postaramy się, ja i towarzysze, żeby wielebność wasza powodu do skargi na nas nie miał... — odparł.

— Nie mnie, kochany panie Janie, zasługiwać się będziecie, ale wszyscy razem Królowej Anielskiej. Com ja? *Pulvis sum*, proch marny, pacholek Jej najnikczemniejszy... Tylko, panie Janie... wiadomo, iż niemiała taka praca, za którą nie idzie płaca... *Est labor ingratus, quem praemia nulla sequuntur*. Otóż, co do tego, trza odrazu szczerze się porozumieć, prosto z mostu. Żołdów nadzwyczajnych się nie spodziewajcie. Nie mówię, aby klasztor wywdzięczyć się za zasługi wasze nie umiał, ale....

— Ojczye wielebny! — przerwał żywo Pasek — a do kogóż to jegomość mówisz? Jakto, mielibyśmy się sprzedawać, mielibyśmy dla chwały i w obronie Pani Anielskiej stawać za pieniądze, za marną zapłatę ziemską?! Cofnij, wasza wielebność, te sło-

wa, które mi żółć wzburzyły! Polak jestem i katolik — chluba to, zaszczyt nad zaszczyty, iż mogę siły swoje mizerne ordynansom Królowej Nieba poświęcić, w dodatku na miejscu, które Ona za stolicę swoją obrać raczyła...

Uśmiechnął się przeor i uściśnął głowę rycerza.

— Gorąca krew, ale zacna krew! — rzekł. — Chociaż byłbyś dla mnie obcym, całogobym cię przejrzał z tego protestu. Takes się zaperzył, mój junaku, żem o siebie się uląkł... Nic to, nie powadзим się, chociaż nie zrozumiałeś mnie dokładnie. Chciałem wyrazić, iż pracę waszą klasztor będzie się starał ocenić przedewszystkiem uznaniem i szacunkiem; że się postara o wszelkie dla was wygody, o tyle, oczywista, o ile to będzie możebnem; ale, iż musicie rozkazów słuchać tych, którym dowództwo tu przypadnie. Tedy przedewszystkiem, jako przeor, nie mogę zwierzchnictwa się wyzbywać i decyzja zależeć będzie ode mnie. Po za mną zaś stać będą: pan miecznik sieradzki i pan Piotr Czarniecki, rodzony waścinego „trzepaki,“ jak go, słyszę, nazywacie...

— Byle nie Szweda! byle nie Szweda! Ojciec wielebny... — zawołał wesoło Pasek.

— Chodźże waść, panie Janie, oprowadzę cię wszędy, pokażę, co zrobione, panom miecznikowi i Piotrowi zaprezentuję, a następnie kwaterę tobie i towarzyszom wyznaczę...

Wychodząc z celi, zagadnął jeszcze ks. Kordecki Paska:

— „Byle nie Szweda!“ — rzekłeś. To tak ich nienawidzisz?

— Tak nawidzę ścierwów, że prac ich będę, aż drzazgi będą leciały! — mruknął ze srogą miną Pasek.

— No, no! — zauważył przeor — jatek urządzić nie będziem, jeno się bronić, w razie zaczepki. Pamiętaj o tem, mości towarzyszu!

Palcem na nosie Paskowi pogroził i udał się z nim obejrzeć przygotowania obronne.

Coś we dwie godziny potem, siedział Pasek z trzema towarzyszami w izbie baszty prawej, gdyż tam kwatera im wypadła. Rozejrzawszy się w umocnieniu klasztoru, w zapasach nagromadzonych, zgola we wszystkim, co ks. Kordecki ku obronie miejsca świętego przedsięwziął, doświadczeni ryccerze nadziwić się nie mogli roztropności i przezorności zakonnika, który, chociaż od spraw tego świata daleki, duszą całą służbie Boga i Matki Zbawiciela oddany, nadzwyczajne talenty żołnierskie okazywał.

— Ani poznać Jasnej Góry! — prawił Pasek, pociągając piwo grzane, śmietaną dobrze zabelone i suto kostkami sera przykraszone. — Nieraz przecież tu się bywało, bądź z obojgiem rodzicami, bądź z samą panią matką, która rzadki rok bez nawiedzenia tego miejsca się obejdzie. Pomnę, temu roków pięć, wyrwałem się od chorągwi do Bielin, które od dłuższego czasu pan ojciec dzierżawą trzyma. Skorom wypoczął mało-wiele, wybralim się z panią matką na Jasną Górę, tak miarkując, aby na

Boże Wniebowstąpienie tu stanąć. Jechała matka, ja szedłem piechotą, a konie za mną prowadzono, na których miałem nazad powracać. Gorąco było srogie. Nazad powracając, spadły śniegi i szkody poczyniły wielkie, bo żyta już na ten czas kwitły. Śniegi upadły po kolana koniowi, kwiat powarzyły, sady i insze drzewa owoce popsowały, bo leżały tydzień. I tak nie było w tym roku żadnego, albo mało co, z żyta pożytku, i insze zboża nadwyreżyły znacznie. Nastąpiła potem drogość zbóż wielka i ucisk na ludzi...

— Ciężki to był rok dla całej Rzeczypospolitej, aleśmy nie byli jeszcze w takich opałach, jako dziś... — zauważył Ołtarzewski.

— Niezupełnie sprawiedliwieś rzekł, Franusiu — nadmienił Herakliusz Zarucki — bo już wówczas Chmiel ze swojemi sztukami wystąpił.

— Wystąpił, ale nas jeszcze ze wszęch stron nie osaczono — bronił się Ołtarzewski.

— Wiadoma rzecz, o Szwedach jeszcze nie było słyhać — podjął znów Pasek. — Mniejsza zresztą, jak stały tego roku sprawy publiczne, tędy zmierzam, iż, nawiedzając często Jasną Górę, dziś taką zmianę widzę. Ongi kontemplacya święta tu panowała, słyszałeś jeno pacierzów szepty, czuleś kadziła wonne. A dziś? Wprawdzie na uroku świętym miejsce to nie straciło, bo stracić nie może; klasztor ostał klasztorem a kościół kościołem; pielgrzymi wciąż zewsząd zdążają, w nabożeństwie, w chwale Bogarodzicy przerwy niema. Lecz bramy już nie są na ścieżaj rozwarłe, już się na pątników bache-

nie daje, żeby przypadkiem wilcy w owczych runach podstępnie się tu nie dostali, a w dodatku, już nietylko dymów kadziel się dowąchasz: proch tu czuć, oręż gęsto pobrzękuje, człowiek ucha nadstawia, rychło-li surmy bojowe grać zaczną i paszcze harmat gadać po swojemu...

— Tak ci — potwierdził pan Ambroży Kościuszkiewicz — obozem pachnie najwyraźniej...

— Właśnie — podchwycił Pasek — i to obozem tak urządzonym, że najsprawniejszy oboźny lepszego nie rozplanowałby... Sporo tu szlachty się zebrało, co w ogniu bojowym bywali, ale sami panowie bracia wiecie z doświadczenia, że pospolitaki żołnierza regularnego żadną miarą nie zastąpią, a już co rady u nich w kreśleniu planów wojennych nie szukać. Radzi się wprawdzie ks. Kordecki przedewszystkiem takich mężów rycerskich, jak pan Piotr Czarniecki, pan Stefan Zamoyski, pan Mościński, Krzyżtoporski, Skórczewski i insi; wszelako przekonałem się, iż głównie sam o wszystkim decyduje, sam wszystkiego dogląda, on — mnich, on — który prochu nie wahał, w obozach nie bywał... Czy to nie dziw? Czy to nie osobliwość? I wszystko mu idzie, jak gdyby hetmanił od kolebki!

— Mąż jest Boży, tedy Boże natchnienie na niego spływa... — wtrącił małomówny Kościuszkiewicz.

— Miło spojrzeć na jego zabiegi, każdy szczegół ma w głowie. Wiwendy przysposobił moc; wody w razie oblężenia nie zbraknie, bo do studni klasztornej ze źródeł podziemnych napływa; prochu

młyn prochowy wciąż zapasów nadrabia; ołowiu, broni wszelakiej dostatek mnogi; harmaty wyrych-towane dokumentnie, że chociażby w tym momen-cie z nich grać; mury, wyłazy, mosty zaopatrzone... Hetman, hetman najprzedniejszego kalibru!...

— To też go Ojcowie Paulini wyróżniają i co raz na przełożństwo powołują — rzekł Zarucki.

Zachnął się niecierpliwie Pasek i rzecze:

— Trafiliś w sedno, panie Herakliusz! Co in-szego geniusz rządzenia mnichami mieć, a co insze-go geniusz hetmana rycerskiego. Dwa to są kunszty całkiem różne... A właśnie ks. Kordecki geniusz rycerski okazuje...

— Jak uważasz, panie Janie, — zagadnął Kościuszkiewicz — zali Szwed się odważy na Jasną Górę?

— Słysząc o tem coraz uporczywiej. Ks. Kor-decki niedowierza, ale, gdyby do tego przyszło, bro-nić się będzie do tchu ostatniego...

Głową wstrząsnął Kościuszkiewicz.

— Broń mnie, Boże, od roli kruka — powie-dział — lecz, po ludzku rzeczy biorąc... klasztor sil-nego oblężenia chyba nie strzyma. Czyni O. przeor, co można, przezorność i roztropność okazuje rzad-ką, gdy jednak Szwed z mocą nastąpi wielką, gdy kolubrynami olbrzymiemi pocznie szturmować, gdy się do podkopów weźmie, kto wie... Znasz przysło-wie: *nec Hercules contra plures...*

— Wyplujże, wypluj, panie bracie, takie przy-puszczenia i nie prezentuj się z niemi!... — przerwał zgorszony Pasek.

— Zmiłuj się... w klasztorze, jak obecnie, pół tysiąca ludzi zdolnych do obrony nie naliczysz...

Pasek pięścią o stół uderzył, przydając do-bitnie:

— Basta i punctum! Ani słowa więcej w tej materii! Przysłani jesteśmy od naszego hetmana do rozporządzenia ks. przeora, nie nam deliberować, co się stać może, jeno rozkazów jego słuchać... Dy-scyplina żołnierska, karność, mości dobrodzieju! — tem stoją armie, tem wygrywają się batalie! Klasz-tor się ostoi największej mocy, bo ma protektorkę w Pani Anielskiej. Tak powiada ks. Kordecki, a nasz obowiązek szlachecki i katolicki wierzyć temu, gdyż inaczej heretykami się okazać...

— Słusznie, Jasieczku, trzymam z tobą całą duszą — rzekł Ołtarzewski. — Jakże to mości pano-wie? — starce, niewiasty, dzieci, z całą ufnością pod płaszcz Panienki się garną, a my mielibyśmy wątpić, my — żołnierze? Słyszeliście panią stolnikową Bran-nicką?

— Toż to białogłowa! — zawołał Pasek ze szcze-rem uniesieniem. — Krew ojcowa w całym znacze-niu w niej płynie!...

— Ona słodka skarbnikówna także panienka do rzeczy i nie bez animuszu... — ozwał się Ołtarzew-ski, wdychając nieznacznie.

— Aby przy Balcerowiczu nie wychwalał jej waść nadto zapalczywie — roześmiał się Pasek. — Z cichapek ten szlachcic, chociaż napozór łagodny, niby baranek...

— Waszmość, Jasieczku, nietylko przy nim

komplimenta jej prawisz, ale płomienne pojrzenia na nią rzucasz...

— Całkiem insza kategoria komplimenta prawić i bodaj płomienne pojrzenia rzucać, a insza znów ślepie wywracać białkami na wierzch, wzdychać niby miech kowalski, ręce składać modlitewnie i teksty amoryczne głosem mdlejącym wyciągać, jak to waszmość, Franeczku, czynisz. Ja jeno admirację okazuję, należną każdej pięknej pannie, Boga przez to w Jego tworach chwalać, a waszmość, Franeczku, okazujesz jakobyś dalej sięgał... Tymczasem—nie dla psa kiełbasa, nie dla kota sadło. Na nic twoje wzdychania, bo skarbnikówna Balcerowiczowi sprzyja...

— Sprzyja, albo nie sprzyja — zaoponował Ołtarzewski nachmurzony. — Od przyjacielstwa do głębszego afektu daleko...

Pasek popatrzył na niego i, palcem o czoło pukając, rzekł:

— Kup korzec, Franeczku, i raz przecie nie bądź takim obcesowym. Na którą spojrzysz, już po nim! Któraż to z kolei? Przyznaj się?

Ołtarzewski zaś napuszył się, zarumienił i mruknął:

— Waszmość, panie Janie, spowiednikiem moim nie jesteś... Rozum swój i wolę swoją mam. Jeśli co umyślę, to ciebie, ani Balcerowicza, pytać nie będę...

— Bez poswarków, mości panowie, — przerwał Zarucki — pójdźmy lepiej przejść się, bo duszno w izbie...

— Pójdźmy — zgodził się Pasek — może też coś nowego się dowiemy, bo teraz wszędy: co godzina to nowina.

W całym obejściu klasztornej gwarno było, ruch panował niezwykły i, jak słusznie Pasek zauważył, obok nastroju pobożnego, czuć było w powietrzu niby zapach prochu. Kościół od rana do wieczora zapełniali pątnicy, napływ ich bowiem nie ustawał, nabożeństwa trwały bez przerwy, do konfesyonałów tłoczyli się skruchą zdęci grzesznicy,—jednocześnie przygotowania obronne wciąż postępowały. Wszystko zaś odbywało się składnie, z dobrem porozumieniem, bez zamieszania.

Niestrudzony przeor w dziesięcioro pomnażał osobę swoją. Dopiero co listy rozpisywał, za chwilę widziało się go na chórze, lub na ambonie. To strapionych, którzy po łaskę cudu na Jasną Górę przybyli, krzepi i pociesza,—to nowych gości, przed Szwedem się chroniących, rozlokowywa. W tym momencie nowe zapasy żywności przyjmował, a teraz w gronie szlachty lub na murach jego biały habit i broda siwiejąca migają. Wszędy zaś zjawiał się z twarzą dziwnie pogodną, jasną, opromienioną dobrocią i wyrozumieniem, z okiem bystrem, dostrzegającym, czego inni nie widzieli, ze słowem mądrej rady i ojcowskiego upomnienia. Tchnęły z jego postaci, z obliczności jego, moc, ukojenie, słodycz, głos jego krzepił, spojrzenie podnosiło serca. Wrażenie takie wywierał, nie pozując, nie siląc się na to — ducha miał potężnego, pełnego świętości,

pełnego nadziei, miłości, wiary, on to, przez osłone cielesną się przedzierając, rozbudzał dokoła siebie działanie nadziemskie.

Pasek i towarzysze dostrzegli przeora, stojącego z panem miecznikiem sieradzkim, Piotrem Czarnieckim i kilku jeszcze ze szlachty. Wszyscy przysłuchiwali się z uwagą statecznemu szlachcicowi, z długą brodą i plastrem na oku, który coś poważnie przekładał. Był to Maciuta, niedawno z podsędkową i jej córką przybyły. Ks. Kordecki, zoczywszy panów towarzyszków pancernych, skinął na nich przyjaźnie:

— A pójdźcież, waszmościowie! Jakożeście się zaciągnęli w poczet obrońców Jasnej Góry, przynależy, iżbyście wiedzieli, co tego miejsca dotyczy...

Zbliżyli się panowie towarzysze, a ks. przeor ciągnął:

— Oto pan strukczaszy Sołtykiewicz przywiózł do klasztoru panią podsędkową Krywicką, a wraz z nią wieści o Szwedach, co prawda niezbyt pocieszające.. Racz powtórzyć, panie strukczaszy: kawalerowie ci, że tak się wyrażę, są oficerami załogi jasnogórskiej. Przysłać ich raczył pan kasztelan kijowski, narazie inszej pomocy dostarczyć nie mogąc, a przysyłając, zaręczył, iż Najświętsza Panna chwalebnych defensorów mieć z nich będzie. Tedy ukrywać przed nimi złych, ani dobrych wieści nie wypada...

Maciuta, rzuciwszy okiem na towarzyszków, chrząknął głośno i nieco się cofnął; znajomi to jego

i Prackiego byli dobrzy. Nie okazał wszakże zmieszania i rzekł dobrodusznie:

— A to mnie dziwi, że pan kijowski, z rygoru słynny, jednak nie waha się warunki traktatu łaćmać...

Wszyscy spojrzeli po sobie, Maciuta dalej prowadził, niby żartobliwie:

— Zaraz się wytłumaczę. Pan kijowski ustąpił do Siewierza i nietykalność wojsku swemu zastrzegł, w zamian przyrzekłszy królowi jegomości szwedzkiemu, iż przeciwko niemu nic przedsiębrać nie będzie...

— Cóż to ma jedno do drugiego?—zapytał pan Piotr Czarniecki. — Gdzie Rzym, gdzie Krym, mości strukczaszy?

— Ma i bardzo ma, bo dowiaduję się, iż pan kijowski Jasną Górę wspiera, którą król jegomości szwedzki kazał zająć Millerowi...

— Przysięgam Bogu, zda mi się, doskonale znam ten głos, ale postury nie mogę sobie przypomnieć; — rozważał w duchu Pasek—Sołtykiewicz? Nie. Ochapia mi się jeno: Sołtykiewicza nie spotykałem w życiu swoim...

Tak rozważając, przypatrywał się rzekomemu strukczaszemu z tej i owej strony. Maciuta natomiast, postrzegłszy, iż jego odezwanie się o panu kasztelanie kijowskim wrażenie wcale niemiłe sprawiło, jął się wykręcać zęczenie.

— Jeno nie mniemajcie, waszmość panowie, jakobym do stroników króla jegomości szwedzkiego należał. Wcale nie! Ot, pozwoliłem sobie na żart,

bez urazy niczyjej. Ściśle jednak biorąc, lepiej byłoby, gdyby się Szwedy nie dowiedzieli, iż pan kijowski w jakikolwiek sposób plany ich maści, gdyż mieliby powód do zastawiania na niego pułapek...

— Ostawmy brata mego w spokoju — przerwał pan Piotr Czarniecki oschle — a wróćmy do nowin, jakie waszmość przywiozłeś...

— Ano, jużście waszmość panowie słyszeli. Przejeżdżając przez Wieluń, natknąłem się na grafa Weyharda z Wrzeszczewic, z którym rozmowę miałem. Dowiedział się graf, iż krewniaczkę na Jasną Górę odwożę, tak mi powiedział: „Oznajmij, mości strukczaszy, Ojcom Paulinom, iż Miller ze znaczną potęgą zająć klasztor imieniem króla jegomości dąży. Rozkaz ma nieodwołalny. Wszystkie zamki i twierdze są już we władaniu Karola Gustawa, Jasna Góra tedy wyjątku stanowić nie może, bo to nie klasztor, ale forteca. Ponieważ zawdy w przyjaźnielstwie z Ojcami Paulinami ostawałem i nie wymawiając, niejedna ofiara do skarboxy klasztornej z mojej szkatuły wpadła; ponieważ nadto jestem dobrym katolikiem, *ergo* wyznawcą i czcicielem Najświętszej Panny: przeto w obawie będąc, iżby w razie zajęcia Jasnej Góry przez Millera, heretyka, krzywda się miejscu świętemu nie stała, postanowiłem Millera uprzedzić i sam klasztor zająć. Ze mną, jako z katolikiem, Ojcowie Paulini łącznie porozumieją. Wyraźnie to im waszmość zaznacz, iż bezpieczeństwo ich oraz ochronę miejsca świętego przed rozżartem żołdactwem heretykiem mam na celu...”

— A waszmość, mości strukczaszy, co na to?—

zapytał pan miecznik sieradzki, dłoń za pas wsuwając.

— Siłom perswadowałem i tłumaczyłem, iż nie godzi się na miejsce święte następować. Weyhard przecież jedno i jedno: „Rozkaz nieodwołalny, tak być musi...”

— Szeroko o tem jeszcze król Dawid pisał... — mruknął pan Czarniecki.

— Mości panowie — ozwał się Maciuta, głos zniżywszy i starając się mu nadać ton szczerego przekonania — co tu gadać... Bierzmy rzeczy, jak są. Widać tu przygotowania obronne, lecz, wedle mego rozumienia... klasztor się potędze szwedzkiej nie oprze. Ostałaż się Warszawa, albo Kraków, chociaż w Krakowie pan kijowski się bronił? Nie. Cóż dopiero mówić o Jasnej Górze! Szwedzi kapeluszami was zarzucają, nie wspominając o kolubrynach, których pocisków mury klasztorne nie wytrzymają...

— Ho! ho! — wtrącił Pasek—gorącego Szwed ma w waszmości patrona...

— A waszmość się zastanów, zanim w tak ważnej sprawie słowo rzekniesz! — odciął się szorstko Maciuta. — Wszelkie wasze, mości panowie, usiłowania, nic nie sprawią, przewaga szwedzka nadzwyczajna. Macie tego i owego po trosze, ale to kropla wody przeciw potopowi szwedzkiemu; tam Weyhard cztery tysiące wyborowego żołnierza prowadzi, a Miller, z langrafem heskim i pułkownikiem Sadowskim, mają pod sobą dziewięć tysięcy... To nie wszystko! Z Weyhardem ciągnie oddział Prackie-

go, a z Millerem oddziały Kalińskiego i Zbrozka... Wobec takiej przewagi — szaleństwem jest o obrońnię myśleć...

— Pracki... Pracki... — syknął Pasek do towarzyszków — w jakim towarzystwie kundel się znalazł! Oczywiście, że ów szubienicznik, Maciuta, nie odstępuje godnego kompana...

— Coś waszmość rzekł? — zapytał Maciuta, z błyskiem złowrogim w oczach.

Na to Pasek swobodnie:

— Rzekłem, iż tylko tacy infamisowie, tacy zbroje, jak Pracki i Maciuta, w konfidencyę ze Szwedami wchodzić mogą...

— Nie znam bliżej tych ichmościów — rzekł, siląc się na obojętność, Maciuta.

— No, to wiedz waść, że obadwaj arcyłotrowie są! — wykrzyknął Pasek. — Nietylko zdradą, odstępstwem od króla prawowitego się splamili, ale wprost, jak urwańcy szubieniczni, dwory braci szlachty napadają, żony i synów ich mordują...

— Jeśli tak, to istotnie łotry... — mruknął Maciuta niewyraźnie.

A ks. przeor, który dotychczas milczał, ozwie się:

— Mości strukczaszy, za nowiny dziękuję, ale ze zdaniem twojem, wybaczyć, zgodzić się nie możemy. Niech graf Weyhard z Millerem śmieją się i drwią z naszych zabiegów obronnych, niech nas nie wiem jaką przewagą straszą, — atoli ja, nie rycerz, jeno prosty zakonnik, powiadam: nie stąpi noga szwedzka na Jasną Górę!

— Ojciec wielbny — bąknął Maciuta kwaśno — powiadałem, jak mi rozum zdrowy dyktował... Lepsza słomiana zgoda, niż wojna złota. Rozdrażniejszy opornością Szwedów, klasztor i wszystkich, w nim zgromadzonych, narażacie...

— Nie stąpi noga szwedzka na Jasną Górę! — powtórzył ks. Kordecki z zapalem, przytem twarz mu rozgorzała, oczy zapłonęły, brwi zsunął, a rękę wznosił do góry.

Maciuta usta zaciął, nikt się nie odzywał, milczenie wśród gromadki rozprawiających zaległo jakieś uroczyste. Trwało przez chwilę — przez ten czas przeor stał nieporuszenie, wciąż z dłonią wyciągniętą, niby wzywając niebiosa o potwierdzenie przepowiedni swojej. Zdało się, że wyrósł, zolbrzymiał, że w posąg się przemienił. Wreszcie ozwał się zwykłym, łagodnym tonem:

— Panie strukczaszy, powiedzieliśmy sobie, cośmy powiedzieć mieli. Insze nasze myśli, insze przekonania. Co do mnie, postanowienia nie zmienię, śmierć męczeńska nawet do tego mnie nie zmusi.

Uśmiechnął się i dodał:

— A może też obawy nasze płonne? może król jegomość szwedzki się rozmyśli? Kto wie? Bywa, że opamiętanie przychodzi w ostatniej chwili...

Pociągnął ku klasztorowi, a za nim cała gromadka.

Pasek, który Maciutę ze wszech stron obzierał, zbliżył się do niego i, ramienia dotykając, rzekł półgłosem:

— Panie strukczaszy, na słowo...

Zwrócił się ku niemu Maciuta.

— Sługa waszmości — powiedział, na swobodę się siląc, chociaż wcale mu było nie na rękę owo zbliżenie się dobrze go znającego towarzysza.

— Dziwna rzecz — mówił Pasek, nie zaprzestając pilnego wpatrywania się w twarz Maciuty — nazwisko waszmości zgoła mi nieznane, a tak mi się coś roi, że osobę jego spotykałem...

Dreszcz przebiegł mniemanego strukczaszego, mimowoli ręką za głównię szabli ujął.

— Może podobieństwo? — mruknął. — Gęsto spotyka się ludzi do znajomków podobnych.

— Właśnie w tem osobliwość tkwi, iż oblicze waszmości również nie jest mi znajome, a jednak głos i postawa kogoś mi przypominają...

— Jeśli przypomnienie miłe, rad jestem...

Odchrząknął Pasek, a Maciuta nadmienił:

— Zdarzają się przytrafunki, iż słyszym u obcych głos, podobny do głosu znajomej osoby; sam tego doświadczałem. Razu pewnego omal z tego powodu w awanturę nie zostałem wplątany.

— Sołtykiewicz... Sołtykiewicz... — powtarzał jakby do siebie Pasek.

— Jeśli waszmości o legitymację chodzi, mam żywą, w osobie podsędkowej Krysickiej, koligatki mojej, oddawna O.O. Paulinom znanej dobrodziejki klasztoru, którą na Jasną Górę, wraz z córką, przywiozłem, gdzie bezpieczeństwa od nawały szwedzkiej szuka...

Zastanowiło to Paska, podchwycił:

— Jakże jedno z drugim pogodzić: sam waćpan powiadałeś przed chwilą, iż Jasna Góra przed Szwedem się nie ostoi, a koligatkę swoją tu przywiozłeś? Przezorności w tem nie widzę, ani też, wybacz, panie strukczaszy, troskliwości o bezpieczeństwo krewniaczek...

Namarszczył się Maciuta i rzucił szorstko:

— Waćpan jakobyś na konfesatę mnie brał... Proszę! Z jakiej racyi?

W tym momencie do gromadki, ciągnącej za ks. przeorem, zbliżył się skarbnik Drozdowski, wsparty na ramieniu córki, obok której kroczył Balcero-wicz. Maciuta, spostrzegłszy skarbnika i Krysie, cofnął się, wstrząsnął, pobladł, co nie uszło uwagi Paska.

— Co waszmości? — zapytał, tknięty podejrzeniem. — Rzuciłeś się, jak przez osę ukąszony...

— Żle stąpiłem... — mruknął niewyraźnie Maciuta, przytem chciał się na stronę usunąć, by nie wpaść w oczy Drozdowskich.

Manewr się nie udał, gdyż właśnie wzrok skarbnika na jego twarzy spoczął. Zatrzymał się Maciuta, niby pod wpływem mocy tajemniczej, — skarbnik zaś, oczy szeroko rozwarł, wargi mu się zatrzęsły, głowa zachwiała, dłoń wyciągnął i, wprost mniemanego strukczaszego wskazując, rzekł glucho, a groźnie:

— „I stało się, gdy niektórego dnia przyszli synowie Bozi i stali przed Panem, przyszedł też szatan między nie i stał przed oczyma Jego...“ Powiadam wam: ten-ci jest szatan, którego „zaraził Jo-

ba wrzodem bardzo złym, od stopy nogi, aż do wierzchu głowy jego; któren złupił mnie ze sławy mojej i zdjął koronę z głowy mojej; popsował mnie zewsząd, iż ginę, a jako wyrwanemu drzewu odjął nadzieję moją... Pospołu przyszedli zbójcy jego i uczynili sobie drogę przez mię, i oblegli przybytek mój wkoło...“

Tu skarbnik dłonie podniósł do góry i zawołał z rzewnością wielką:

— „Zmiłujcie się nade mną! Zmiłujcie się nade mną, przyjaciele moi, boć mnie ręka Pańska dotknęła!“

Wrażenie piorunujące wywarła ta scena. Oczy wszystkich zwróciły się na Maciutę, który się zachnął i głosem zdławionym wykrztusił:

— Szaleniec jakiś! Czego ode mnie chce?..

Skarbnik postąpił ku niemu, mówiąc surowo:

— „Uciekajcie od oblicza miecza, bo zemściciel nieprawości jest miecz, a wieście, że jest sąd!“

— Ochrońcież mnie, waszmość panowie, przed tym szaleńcem! — krzyknął Maciuta, głowę tracąc. — Całkiem go nie znam, raz pierwszy w życiu widzę...

— Za pozwoleniem, mości strukczaszy! — huknął mu nad uchem Pasek, ujmując zamierzającego wymknąć się z gromady za bary. — Musim tę gmatwaninę rozwikłać...

— A waszmość znów co? Przyczepiłeś się do mnie, jak smoła do obuwia... Puszczaj, zali nie chcesz, żebym cię rozumu nauczył...

Szarpnął się raz i drugi, lecz Pasek trzymał go,

niby kleszczami, czem do wściekłości przyprowadzony, Maciuta jął się szamotać zapamiętałe. Na złe mu to wyszło, bo podczas owego mocowania się przewiązka z oka i plastr je zasłaniający odpadły, broda fałszywa też się na miejscu nie ostała.

— Szpieg! na Boga miłosiernego, szpieg! — odezwno się dokoła.

— W dyby go! — domagali się co gorętsi.

— Mało w dyby... na gałąź!

A Pasek, poskromiwszy Maciutę i przyjrzwawszy się zdemaskowanemu, zawołał:

— Złowiliśmy ptaszka nielada... tożto arcyłotr. Maciuta!

Przygodę skarbnika znali w klasztorze wszyscy, tedy nazwisko Maciuty również nie było obce. Skoro je Pasek wymienił, przez mignienie oka cisza trwała, jaka zwykle ogarnia gromady, gdy niespodzianie coś nadzwyczajnego na nie spadnie. Wnet jednak otoczono Maciutę ze wszech stron, a każde usta szeptały ze zgrozą i wzgardą:

— Maciuta!... kompan Prackiego!... przedawczyk!... kat niewinnych!...

Pasek, nie wypuszczając z objęć żelaznych łotra, rzekł do niego szydlerczo:

— Mości Judaszu, mości zbójcu, mości służko Belzebuba, zaprzaj się sam siebie, jeśli możesz!

Maciuta stał pośrodku oburzonej, wygrażającej mu pięściami szlachty, niemy, zmieszany, wylekły, jakby błędny, wodząc dokoła roziskrzonym dziko wzrokiem i wargi do krwi kłusząc. Lecz rychło odzyskał równowagę umysłu, bezczelność i pewność

siebie, podniósł głowę, odtrącił Paska i rzekł niemal wyzywająco:

— Puszczaj wasze, do stu tysięcy piorunów! Zali ty na Jasnej Górze rządzisz? Księżę przeorze, gościem waszej wielebności jestem, zatem o obronę proszę...

— Będziesz ty miał obronę, psi synu! — zawołał Pasek. — Księżę przeorze... najlepiej z takim sądem wojennym. Kuli dla niego szkoda, topór również dla godniejszych zostawują; szpieg, odstępcą i wylewca niewinnej krwi szlacheckiej powroza wart! Ale wprzód chyba szarpanie ciała niech wycierpi lub inszy przysmak katowski...

— Na męki go, a potem na powróż! — przytaknęli towarzysze.

— Mości panowie... — wrzasnął Maciuta — protestuję! szlachcic jestem! Gdzie dekret? Jakie macie prawo do mnie bez sądu? *A neminem captivabimus nisi jure victum?* Księżę przeorze, obliguję mocno, zastąp się wasza wielebność za mną... Niewinien jestem... wytłumaczyć się potrafię...

— Nie dla ciebie prawa szlacheckie pisane, pomioście szatański! — ozwał się ktoś.

— Księżę przeorze, na dyspozycję czekamy...

Przeor, który w skupieniu rozważał zdarzenie zaszłe, gestem spokoj nakazał, poczem tym kształtem się odezwał:

— Mości panowie, łaska Boga i Pani Anielskiej czuwa nad nami, skoro pierwszy krok zdradziecki nieprzyjaciela odkryć nam raczyła... Tak jest, zdradziecki powtarzam, gdyż wątpliwości nie

ulega, że ten, który nam się pod fałszywą postacią i nazwiskiem fałszywem przedstawił, z wrogiem Rzeczypospolitej jest w porozumieniu i z jego ramienia działa...

— Księżę przeorze, racz wielebność wasza wysłuchać, a inaczej mnie może osądzisz — przerwał Maciuta, już zupełnie krew zimną odzyskawszy. — Prawda jest: królowi jegomości szwedzkiemu służyć, jak większość dobrych obywateli Rzeczypospolitej, gdyż narówni z nimi uważam, iż jeno ten monarcha potężny klęskom Ojczyzny zaradzić może. On zresztą jest zwycięzcą, siłę jego oprzeć się nie zdołamy! Uznał to przecież sam Jan Kazimierz, kraj opuszczając, a tem samem od przysięgi uwalniając naród. Na Jasną Górę dążyłem jako przyjaciel, jako czciciel miejsca świętego, z przestrogą, z radą dobrą. Wiem, iż klasztor ma być przez Szwedów zajęty nieodwołalnie i ich załogą obsadzony, nietajnem mi było oraz, iż wielebność wasza, księżę przeorze, do obrony się przygotowujesz. Ponieważ przekonany jestem, że żadna siła Szwedom się nie oprze, postanowiłem tedy waszej wielebności rzeczy, jak są, przedstawić i od zamiaru nierozsądnego go odwiódłszy, oszczędzić miejscu świętemu nieszczęścia... Oto wyznanie najszczerze. Tymczasem, za najlepsze chęci, co mnie spotyka? Wzgarda! Uragowisko! Najwyższa obraza!

— Piękne słowa, gładkie słowa, mój mosanie... — wtrącił pan miecznik sieradzki. — Dlaczego jednak waszmość, przyjechawszy, zaręczałeś, iż zgół stronikiem Szweda nie jesteś? Dlaczegoś pod fał-

zywem nazwiskiem i postacią przeznaczoną nam się przedstawił?

— Aha, szpaku, schwytano cię! — rozśmiał się pan Mosiński. — Ciekaw jestem, co teraz zdeklarujesz...

— Stronikowi szwedzkiemu wiarybyście, mości panowie, nie dali — odparł Maciuta, — a co do przebrania... mam nieprzyjaciół, których sobie z racji podstolego Prackiego napytałem... Wobec takiego składu rzeczy, musiałem środki ostrożności przedsięwziąć...

— To żadne tłumaczenie... Księżę przeorze, trza skończyć z nim po żołniersku. Czas wojenny mamy! — zawołał Pasek.

— Szpieg jest najwidoczniej i w dodatku zbój!

— Katowi go, niech z niego pasy drze, a potem obwiesi!...

— Ziemia nie powinna cierpieć podobnego zbrodniarza!...

Tak domagała się szlachta jednomyślnie, a przeor głową wstrząsał, dając do poznania, iż co inszego zamierzył. Jakoż, ku ogólnemu zdziwieniu, odezwał się:

— Mości panowie, jako przełożony tego miejsca świętego, powiadam: człowiek ten odejdzie nie tknięty, dokąd sobie chce...

Maciuta, usłyszawszy decyzję przeora, odechnął, natomiast wszyscy protestować gorąco zaczęli:

— Księżę przeorze, a jakże można! — mówił pan Piotr Czarniecki. — Szpieg wyraźny, a przy-

tem wiadomo waszej wielbności, jakiej zbrodni się dopuścił względem obecnego tu pana skarbnika...

— Spenetrował wszystko, wymyszkował, wypatrzył i z językiem go puszczać?! — dodał pan Krzyżtoporski.

— Najazd spokojnego dworu i morderstwo dwojga osób niewinnych płazem ująć nie może! — utrzymywał Balcerowicz.

— Mości panowie — na to przeor — sądzmy rzeczy spokojnie, bez gorącości. Człowiek ten nie tu takiego nie dostrzegł, coby klasztorowi szkodzić mogło. Jeżeli szpiegiem jest, niech owszem wraca do tych, którzy go wysłali; niech im powie, iż zbromimy się, umacniamy, acz nie wierzym jeszcze, żeby król jegomość szwedzki miał przyrzeczenia danego uroczyć nie uszanować i na zajęcie miejsca świętego się ważyć. Niech powie, iż w żadnym razie bram załodze szwedzkiej nie otworzym; że jesteśmy pełni wiary, iż w danym wypadku obronić się potrafim. Co zaś do zbrodni...

— Na podstolego Prackiego odpowiedzialność za to spada — podchwycił Maciuta — a raczej na pana skarbnika, który do ostatniej pasy podstolego doprowadził...

— Nie badamy o to waćpana, tłumaczyć się nie potrzebujesz — rzekł przeor, zwracając się zaś do innych, tak prowadził: — Co zaś do zbrodni... Bóg jej nie przebaczy, ukaraną zostanie, nie tu na ziemi, to na tamtym świecie, jeśli skruczą szczerą, pokutą twardą, zmazana nie będzie... Wiem, że, po światowemu rzeczy biorąc, inaczej należałoby z tym czło-

wiekem postąpić; ale, mości panowie — to miejsce wyłączone jest z pod władzy świeckiej; tu Boże prawa rządzą, które od grzesznika nie krwi jego, nie mąk wymagają, lecz opamiętania się i nawrócenia. Nie godzi mi się, niewolno mi, kapłanowi, prawo Boga Najwyższego łamać, odstępować od niego, dlatego powtrząm raz jeszcze: człowiek ten odejdzie stąd nietknięty, dokąd chce... Tak się stanie.

W milczeniu głębokiem wysłuchano dekretu przeora i naraz, wśród tej ciszy, ozwał się pan skarbnik, który, patrząc surowo na Maciutę, w tym sposobie mówił, wciąż „Księgi Jobowe“ na pamięci mając:

— „Chwała niezbożnych krótka jest, a wesele obłudnika jako mignienie oka... Jako gnój na końcu zginie, synowie jego będą starci ubóstwem, a ręce jego oddadzą mu boleść jego. Kości jego będą napełnione występkami jego i z nim w prochu spać będą... Chleb w żywocie jego obróci się w żółć żmijową; bogactwa, które pożarł, wróci, z brzucha jego Bóg je wyciągnie. Głowę żmijową ssać będzie i zabije go język jaszczurczy; będzie karan za wszystko, co zdziałał, według zbrodni swoich cierpieć będzie. Gdy będzie czego żądał — nie otrzyma, nic nie ostanie z dóbr jego, będzie się pocił i wielka boleść przypadnie nań... Będzie uciekał przed bronią żelazną a wpadnie na łuk miedziany, pójdą i przyjdą nań straszliwi. Będzie trapien. Odkryją niebiosy nieprawość jego, a ziemia powstanie przeciw niemu...“

Słowa nieszczęśliwego starca padały na mózg

Maciuty, niby krople roztopionego ołowiu; wił się pod grozą straszliwych przepowiedni, niby gadzina, biczem smagana. Lecz serce jego, z uczuć wyzute, nie uczuło żalu, nie zadrgało obawą, wobec stawianej mu przed oczy, nierychliwej a nieugiętej, sprawiedliwości Bożej. Drażniły go, podniecały, przyprowadzały o wściekłość, którą jednak starał się obojętnością pokryć i rzekomem politowaniem nad stanem umysłu skarbnika, bo odrazu pomiarkował, iż Drozdowski na rozumie osłabł. Tedy skoro wyczerpany wzruszeniem starzec umilkł, on rzekł, spółczuciem głos nastroiwszy:

— Wierzajcie, mości panowie, że w położenie pana skarbnika wchodzę i niewymownie mi przykro, że go w tak opłakany stanie spotykam... Praciki zawinił, nie przeczę, chociaż moim konfidentem szczególnym jest, lecz i pan skarbnik się przyczynił do swego nieszczęścia...

— A to bezecność, granice przechodząca! — mruknął Balcerowicz, ledwie stojący w miejscu.

— Trzepnę go! Jak mi Bóg miły, trzepnę! — burczał z drugiej strony Pasek.

Ks. przeor, widząc, że inszych również widok Maciuty podnieca, odezwał się do niego dobitnie:

— Mości dobrodzieju, nic tu po waszeci. Najlepiej zejdź ludziom z oczu... Drogę masz wolną, nikt cię nie wstrzymuje, zatem...

Ręką bramę wskazał.

— Gościnność, co się zowie! — roześmiał się

Hetmani.

bezczelnie Maciuta. — Żle mnie tu oceniono, źle osądzono. Za dobrą wolę znalazłem zniewagę, ale...

Zbliżył się do niego przeor, odciągnął na bok i szepnął z naciskiem:

— Nie durz waćpan świata, umykaj, pókiś cały, a dziękuj Bogu, że z głową na karku. Radzę wejrzeć w siebie, żal wzbudzić za grzechy i inszy żywot rozpocząć, jeśli możesz!

Nacisnął czapkę na oczy Maciuta, śpiesznie ku stajniom podążył, podjezdka swego odszukał, jak najprędzej go okiełznał tak, iż w kilka pacierzy już go na Jasnej Górze nie było. Galopował z całych sił, odgrażając się klasztorowi i wszystkim zebranej tam szlachcie, a głównie Paskowi, który go najpierw podejrział.

— Przy pierwszym spotkaniu zdywiduję go na szczęt! — mówił, zgrzytając zębami. — Zawdym miał abominację do tego młokosa...

Uspokoiwszy się nieco i upewniwszy, że nikt za nim w pogoń nie ruszył, uśmiechnął się.

— Mam szczęście — mruknął — anim myślał, żeby mi się upiekło. A w ciężkiej byłem tarapacie... Hm... Weyhard nie będzie rad wiadomościom, jakie wiozę, za to podstolego uraduję... Dzierlatka jego w klasztorze, jeżeli jej nie usuną — w ręce nam sama wpadnie. Podstoleńku-serdeńko, gratka ci się gotuje, ani przewidujesz jaka! Ba, dobrze za nią zapłacisz, bo przecież bez mojej pomocy się nie obejdzie...

V

Gdy się Maciuta już po za obrębem klasztoru znalazł, przeor, który milczał czas niejaki, wzrokiem go odprowadzając, rzekł do świadków niezwykłego zdarzenia smutnie, z rozżaleniem:

— Bodajbym się omylił, lecz wydaje mi się, że człowiek ten zbawienie duszne lekce sobie waży... Serce w nim skamieniało, w grzechu zapamiętał się do najwyższego stopnia.

— Jak „amen“ w pacierzu, nie minie go kukielka i kąpiel z wrzątku smołowego w czeluściach piekielnych! — mruknął Ołtarzewski.

— Na uczynku schwtany zdrady, okrom tego mając przed oczyma tych, których zbrodniczo pokrzywdził, nie zachwiał się w sumieniu, nawet pomieszania nie okazał... — wtrącił pan Piotr Czarniecki.

— Jeszcze oburzał się, żeśmy mu za to wszystko nie dziękowali...

— I takiego arcycypsa puszczać na sucho!—west-

chnął Pasek. — A toćże szelma więcej się jeszcze uzuchwali i gotów będzie na majestat królewski się porwać...

Przeor zaś, słysząc sarkania, odezwał się łagodnie:

— Obowiązek spełniłem, inaczej się stać nie mogło, wyłuszczyłem już waszmościom dlaczego. Wejdźcie w rzecz i nie naśladujcie Jonasza, który, zamiarów Pańskich zrozumieć nie chcąc, powtarzał: „Słusznie się gniewam aż do śmierci.“ Nie naśladujcie tych, którzy onego czasu wołali: „Oko za oko! Ząb za ząb! Krew za krew!“ — lecz Tego, który na krzyżu modlił się za katów swoich: „Ojcze, przebacz im, albowiem nie wiedzą, co czynią!“ Bóg ustanowił na świecie trybunały i sędziów, sprawiedliwość wymierzających, boć inaczej niecnota zalałaby ziemski nasz padół; ale Maciuta dostał się w ręce moje, kapłana i zakonnika, w miejscu świętem, gdzie sprawiedliwość inaczej się wymierza. Już to samo winno was przekonać, że nierychliwy Sędzia nie żądał jego zguby natychmiast. Może pozostawia mu jeszcze w dobroci nieprzebranej czas do pokuty i skruchy; może zamierza go w inszy sposób ukarać. Niezbadane Jego wyroki... Zawdy On najdobrotliwszym i najwyrozumialszym okazuje się dla ludzi *Ojcem*, dopiero, wyczerpawszy sposoby nawrócenia błędzącego, jako *Sędzia* występuje.

— Najprawdziwsza prawda! — potaknął pan miecznik sieradzki.

— Ukórzmyż się przed wolą Najwyższą, mości panowie, — ciągnął przeor — a w zdarzeniu nie-

zwyczajnem upatrujemy znak pomyślny dla stolicy Pani Anielskiej. Miejmy utuchę, że skoro wrogowi nie udał się pierwszy, tak wymyślny, zakus, — tedy nie udadzą mu się wszelkie insze zamachy, chociażby najkunsztowniej planowane. Do kościoła, mości panowie, na kolana, przed wizerunek Tej, która Rzezypospolitę tak serdecznie umiłowała i która, wspomnicie moje słowa, nie opuści jej w tak okrutnych terminach, jeżeli na wytrwałość się zdobędziem....

Ruszył przodem ku kościołowi, a za nim szlachta, już nie nadasana, nie sarkająca, lecz potulna, przekonana, wierząca, iż zdemaskowanie Maciuty istotnie było dobrą dla Jasnej Góry wróżbą.

Ks. Kordecki, odprawiwszy modły, niezwłocznie ludzi pewnych w różne porzysłał strony, aby powziąć dokładne wiadomości o obrotach szwedzkich. Najsprawniejsi mieli dawać baczenie na Weyharda. Postanowił oraz, iżby strażę odtąd dniem i nocą czuwały na wałach, na basztach, przy bramie i około przeszkód, do wycieczek czynienia służyć w czasie oblężenia mogących; iżby napływających do klasztoru roztropnie kontrolowano i tylko przez trwanie nabożeństwa pozostawać im zezwalało. Nie dotyczyło to rozporządzenie dobrze klasztorowi znajomych i tych, którzy się na Jasną Górę przed Szwedem chronili, lecz ci deklarować musieli, iż całkiem się woli przeora poddają, w razie wypadku pomocy swej ku obronie miejsca świętego nie poskapią, nadto, iż bez wiadomości i pozwolenia ks. Kordeckiego klasztoru nie opuszczą.

— Do ostatka pragnę wierzyć, że Karol Gustaw słowa monarszego nie złamie i, chociażby mu nawet przysła chętką, przez złych doradców podsunięta, wtargnięcia na Jasną Górę, to ją w stanowczej bodaj chwili odrzuci. Aliści — strzeżonego Bóg strzeże. Słyszac groźne zapowiedzi ze wszech stron, miejmy się na ostrożności. Być bardzo może, iż król jegomość szwedzki o niczem nie wie, iż jego rotmistrzowie na swój rachunek chcą grę prowadzić... Jak tam jest, my, czuwając, chwały Bożej i Najświętszej Panienki nie ujmiemy, a pewni będziemy, że nas zniecka Szwedzi nie podejda...

Tak tłumaczył ks. Kordecki rozporządzenia swoje, wszyscy zaś przyznawali mu słusność wszelką, chwalili przezorność, uznając, że śród podobnego rodzaju okoliczności inaczej postępować nie można.

Niezależnie od zarządzonych ostrożności, kołał niestrudzony przeor, gdzie jeno mógł, o pomoc dla klasztoru, świeccy zaś jego pomocnicy, panowie Czarniecki i Zamoyski, również z młodzieńczą krzątali się rzeškością. Towarzysze pancerni i Balcerowicz wielce się okazali przydatnymi, a pani stolnikowa Branicka podziw budziła, dając tak zdrowe rady, jakichby się żołnierz doświadczony nie powstydział, a przytem okazując rzadką przenikliwość i bystrość umysłu.

— Ducha rodzica swego przywiozłaś, mościa dobrodziejko, z Siewierza — mówił ks. Kordecki, słuchając jej dowodzeń, pełnych ufności i zapału — niechby tak każdy myślał, rychło ze Szwedem uczyniłby się skutek.

— Mocna ona w języku, ani słowa — przycinał pan Piotr — widzi mi się wszelako, iż tyle będzie z niej pociechy, w razie czego, ile z onego bębna, który jeno za górą siła łaskoci.

— Nie gadaj tak, panie Piotrze, zaręczam, że ci odwoływać przyjdzie, a to funkcyca całe niemiła i niezaszczytna — bronił przeor Branickiej od rzekomych przekasów stryja. — Jeśli nas oblegnie heretyk, przeskoczy stolnikowa niejednego, a już co do hufu niewieściego, którego rygor na jej barki spadnie (takeśmy się umówili), tym będzie komenderowała, jak ona Hipolita, o której historykowie pogańscy piszą, iż w krainie Pontus Amazonkami na podziw mądrze i walecznie rządziła. Obaczysz waszmość!

Towarzysze pancerni trzymali się najchętniej w kupie, ciągnął też do tej gromadki Balcerowicz, jeśli nie mógł pod słusnym jakim pretekstem przy skarbnikównie pozostawać. Z początku, dopóki skarbnik potrzebował ustawicznego dozoru, łącniej było pocziwemu pisarzowi o taki pretekst; ale na Jasnej Górze Drozdowski ze zdrowiem dużo czuł się lepiej, bo w aptece klasztornej znalazły się dla niego leki przedziwnie skuteczne, do tego stopnia, że senności i osłabienia się pozbył; miewał chwile, w których słowo dorzeczne jedno i drugie powiedział. Nawet zjawienie się nagle Maciuty nie wywarło na starcu złego wpływu, o co się obawiano. Wprawdzie wstrząsnęło nim, lecz raczej dobroczynnie, niż wrogo.

Trza też dodać, iż skarbnikówna z Zosią, cór-

ką podsędkowej, odrazu do siebie przyłgnęły i prawie nie rozłączały się, a na dobytek stolnikowa rada z panienkami przesiadywała.

Wszystko to sprawiło, iż Balcerowicz afekta swoje temperować musiał, chociaż Krysia całe się jakoś niemi nie urażała. Nie mogąc przeto wciąż się bogdance aplikować, przesiadywał z ichmośc pancernymi, do których sympatyę od pierwszego poznania uczuł. Tamci radzi z nim przestawali, więc rychło się pomiędzy ową piątką konfidencya związała. Wprawdzie kochliwy Ołtarzewski, z racyi Krysi, przycinkami go szpilkował i koso na niego poglądał, lecz, z chwilą przybycia na Jasną Górę wojszczanki, zaprzestał niewłaściwych przeciwko panu Sewerynowi wycieczek, znalazł bowiem w Zosi Łozińskiej nowy dla swoich afektów i uniesień poetyckich przedmiot.

Przyjaźń piątkę rzeczoną łączyła z dniem każdym i zespalała coraz silniej. Dziwnem to było trocha, bo każdy z nich inszy temperament posiadał. Więc Balcerowicz, zawdy łagodny, spokojny, wyrozumiały, dobroduszny, sprzecznosc stanowił z krewkim, ognistym, o lada co dyablami sypiącym i szabli się mającym Paskiem; Ołtarzewski na galanta kroił, rymy koncypował, gotów był do malowanego obrazka wdychać i księżycowi przy lutni kanty wywodzić; Zarucki kostycznością i gderliwością się odznaczał; co zaś do Kościuszkiewicza, ten znowu pobożnego i lamentliwego był usposobienia. A jednak z onych kontrastów dziwnie doskonała utworzyła się harmonia, cementem zaś, który sprze-

czne usposobienia spoił rychtownie, była ona szczerą, złota poczciwość szlachecka, była niepokalaność serc, umiłowanie Ojczyzny, była bojaźń Boża. I doszło do tego, że pięciu tych ludzi jakoby się dopełniało wzajemnie. Ledwie się z sobą zetknęli, już się rozumieli, już zadzierzgnęli węzeł serdeczny, już jeden za drugiego dałby się porąbać. Zgoła była to konfidencya szlachecka — bez polerunku, bez uniożności, bez schlebiana i słówek jedwabnych: lecz rubaszna, prosta, otwarta, prawdomówna i głęboka. Taka zażyłość trwa do grobowej deski; w sercu wykwita, tam się rozrasta i przechowuje.

Piątka pobratymców w krótkim czasie zyskała w klasztorze zachowanie. Ceniono ich, szanowano, przeor na narady poufne ich wzywał i z zamysłów swoich się zwierzał. Zasługiwali na to w zupełności, bo zacne to były dusze i doświadczeni żołnierze. Balcerowicz, ściśle biorąc, teraz praktykę rycerską miał rozpocząć, ale, znalazłszy się pomiędzy Czarneckzymi, przejął się atmosferą, jaka ich otaczała, że zaś panowie towarzysze rad i nauk mu nie skąpili, a on miał głowę otwartą i wolę dobną, przeto niebawem pozbył się onych cech, jakie pospolitaka od żołnierza regularnego różniły.

Mieli zwyczaj „piątaki“ — tak ich w klasztorze nazywano — co wieczór, przed udaniem się na spoczynek, po wałach się przechadzać i tam ciąć gawędę, zwierzać się i wynurzać. Pora sprzyjała, bo jesień wciąż trwała pogodna i ładna, noce były księżycowe, a o takim czasie miło gwarzyć z dobrym przyjacielem na powietrzu świeżem. Tedy rozko-

szowali się „piątaki“ do woli nocą gwiaździstą, najchętniej przypatrując się z bastyonu Świętej Trójcy, który od strony Częstochówki zbudowano, rozległemu krajobrazowi.

A było gdzie oko zapuścić i na czym je zatrzymać. Najbliżej wznosiła się Częstochowa z kościołem Ś-go Zygmunta, miasto dość ludne, wałem obwiedzione, połączone z Jasną Górą ulicą Panny Maryi, ćwierć mili długą, na połowie której wznosił się kościółek Ś-go Jakuba; nieco ku południowi strzelała wieżyca kościoła Ś-tej Barbary, przy którym nowicyat O.O. Paulinów się mieścił; trocha dalej rysowały się kształty kościołka Ś-go Rocha i zabudowania Częstochówki. Po za tem najbliższem otoczeniem Jasnej Góry, o półtorej mili, wystrzelała ku niebu skała Olsztynu z zamczyskiem i majaczyły wieżyce starożytnego kościoła w Mstowie. Dalej, za temi dwoma punktami, rozkładały się górzyste okolice krakowskie, niezmiernie malownicze, a na zachód, ku Śląskowi i ku północy, widniały olbrzymie ścierniska po zżętych łąkach zbożowych, ograniczone niebotyczną ścianą czarnych borów...

Po nad takim oto krajobrazem panowała skalista wyniosłość, z klasztorem i świątynią, w dziejach Polski wsławionemi. Świątynia owa, z wieżycą wysmukłą, piętrami dźwigającą się ku niebiosom, z lampą, dniem i nocą płonąca u szczytu kaplicy, chroniącej wizerunek cudowny, jak również klasztor, kilku basztami najeżony, zdawały się troskliwie czuwać nad krajem, który ludzkim ulegając błędom, nie sprzeniewierzył się jednak Bogu

i, największych klęsk doznając, zawsze ku Niemu z ufnością się zwracał, zawsze godność zachował, nigdy pięściami groźnie zaciśniętymi niebu nie wygrażał, nigdy godziny zaistnienia swego nie przeklinał nigdy po dobro cudze garści nie wyciągał... Zdawały się czuwać nad krajem Bogu wiernym, strzegącym praw Jego świętych, one gmachy, a światłem wieczyście płonącej u szczytu kaplicy Pani Anielskiej lampy zdawały się wskazywać i przypominać mieszkańcom pobożnej ziemi, gdzie mają szukać umocnienia w wierze, pokrzepienia w nadziei, ugruntowania w miłości; skąd im spłynąć może ratunek w niebezpieczeństwie, pociecha w niedoli, ukojenie słodkie w strapieniu...

Nie dostrzegłeś w gmachach owych, wieńczących szczyt góry skalistej, nic do tyła świetnego, z czego mógłby się chlubić kunszt budowniczy — lecz tchnął od nich urok mistyczny, tak święty, że sam ich widok już z daleka sprawiał wrażenie przejmujące, a w miarę zbliżania się do nich, serca mimowoli napełniały się dobrocią, pokorą i skrucą. Obwiedzone były grubemi murami, w czworogran wyciągniętymi, z czterema narożnemi bastyonami. Trzy z nich: Ś-tej Trójcy, Ś-go Jakuba i Ś-tej Barbary, należały do obwarowań silnych, wykończonych z wszelką przezornością; czwarty, od wschodniej strony, sporo do życzenia zostawiał. Kurtyny, to jest wały wewnętrzne, łączące bastiony, a raczej ich barki, w dobrym znajdowały się stanie.

Szczyty kościoła i klasztoru, krzyżami zakoń-

czone, wieże i kopuły, wystrzelały z po za ciemnych wałów, niby kwiaty z wazonów. Gmach klasztoru, wyciągnięty w czworokąt, kilku wieżami trzypiętrowymi otoczony, posiadał dwa piętra, z których dolne i pierwsze zasłonięte były obwałowaniem głównem całej onej twierdzy. Na lewo od niego się posuwając, znajdowała się wielka sala, w której dysputy teologiczne się odbywały, a także w której zwłoki umarłych zakonników wystawiano, na rozpostartym całunie, drugiego dnia po zgonie, skąd dopiero do kościoła je przenoszono; dalej, wciąż na lewo, wznosiła się kaplica cudownego wizerunku, jeszcze dalej skarbiec z zakrystyą; wreszcie sam kościół, bez wejścia frontowego, gdyż całą ścianę frontową zajmował malunek na murze, wyobrażający Wniebowzięcie Matki Przenajświętszej. Do ściany wydłużonej kościoła, od południa, przybudowano kruchtę, dwie kaplice i dzwonicę; z dachu kościoła śmigwały ku niebu dwie wieżyce — mniejsza, wysmukła i główna, z górą półtorasta łokci wysoko, z zegarem i chórem dla kapeli. Za kościołem i klasztorem, lecz w obrębie głównego obwarowania fortecy, wznosiły się budowle, do potrzeb bądź wojennych, bądź gospodarskich przeznaczone.

Jedno tylko wejście prowadziło wewnątrz twierdzy, ale przez bram kilkoro. Owo wejście jedyne znachodziło się od strony południowej, składało się zaś z dwóch części: przedfrontowej, z dwoma zwodzonymi mostami i potrójnymi bramami, ozdobionymi malowidłami i rzeźbami, wyobrażającymi: Bogarodzicę, Ś-go Michała Archaniola z mieczem ogni-

stym, Ś-go Pawła pustelnika i Ś-go Antoniego opata. Przeszedłszy plac, w cyrkuł wykrojony, murem i kratą otoczony, oraz most na pierwszym przekopie, wchodziłeś w bramę do szańca przedmostowego wiodącej; dalej spotykałeś szaniec; potem wchodziłeś przez bramę płaską na most, nad drugim przekopem rzucony; stąd dopiero do bramy ostatniej, wałowej, głęboko sklepionej. Za tą bramą ostatnią, z obu stron której można było dostać się na wały, znajdował się podwórzec. Z podwórca miałeś dwie znów bramy: prowadzącą na cmentarz klasztorny i do dzwonicy; drugą, obok przysionka kościelnego, prowadzącą na dziedziniec przedklasztorny; ostatnia brama przylegała do budynku, w którym, na piętrze, znajdowały się komnaty królewskie a na dole apteka i szpital. Z tego podwórca inną bramą wchodziło się na dziedziniec, gdzie wznosił się arsenał, kuźnia i stajnie. Do cel zakonnych prowadziła furta, na wprost ściany wydłużonej kościelnego przysionku położona; w gmachu klasztornym, oprócz onych cel, znajdował się olbrzymi definitarz, a pod nim niemniej okazały rektarz.

Tak się przedstawiało rozplanowanie twierdzy wewnątrz. Zewnątrz również przystęp do niej nie był łatwy; otaczały ją bowiem podwójne fosy i palisady; dopiero za temi zabezpieczeniami wznosiły się mury i wały. Trzeba wziąć pod uwagę, że wzgórze, na którym pobudowano twierdzę, było spadziste, strome, opoczyste, więc w razie oblężenia trudno na takiej powierzchni szańce sypać, baterye

ustawiać, podkopy prowadzić. Wszystko to rozważywszy, pamiętając oraz, iż w klasztorze nagromadzono wielkie zapasy żywności, broni, amunicyi, a także, iż wody doskonałej źródło podziemne dawało dostatek niewyczerpany: możnaby mniemać, że twierdza zdoła się trzymać bodaj rok, albo i dłużej. Aliści każdy medal dwie posiada strony, i tu przeto bez odwrotnej się nie obeszło.

Więc nasamprzód, o ile położenie naturalne twierdzy przemawiało na jej korzyść w razie oblężenia — to umocnienia jej nie były w ścisłym znaczeniu dość silne, szturmom regularnym, umiejętnym, gwałtownym oprzeć się dłużej nie mogły. Książęta i monarchowie, od Opolczyka począwszy, który wizerunek cudowny z zamku bełzkiego na Jasną Górę sprowadził i klasztor zbudowawszy, Ojców Paulinów w nim osadził, nie pomyśleli o zabezpieczeniu tego miejsca od napaści heretyków i łotrów, na bogactwa klasztorne łasych. Władysław Jagiełło, jego następcy, senatorowie i magnaci Rzeczypospolitej, adorowali miejsce święte szczerze, wyposażyli i obdarzyli klasztor hojnie, lecz żadnemu z nich do głowy nie przyszło, iż należy go obwarować, chociaż raz wraz Jasna Góra doznawała napaści, że jeno wspomnieć owych bezecników, którzy za husytów się podali (przyczem obraz święty wielkiej doznał poniewierki), albo Ścibora Towarczowskiego, Morawczyka, przywódcę wojska króla czeskiego, Jerzego, który Jasną Górę, miasto Częstochowę i włości okoliczne zrabował doszczętnie. Dopiero Zygmunt III postanowił obwarować Jasną

Górę i w tym celu przysłał z Warszawy swego budowniczego, który plany odpowiednie wykoncypował i nakreślił. Jakoż lata 1624 klasztor i kościół okolone murem, zamknięto bramą od strony Częstochowy. Wszakże wały, przekopy, baszty, bastiony później powstały, za sprawą i sumptem Władysława IV.

Zatem w czasie zalewu szwedzkiego była Jasna Góra umocniona, lecz wiele tu brakło do obwarowania rzetelnego. Posiadając broni lżejszej dostatek, nie posiadała należytej liczby i wielkiego kalibru armat, a załogi, do broni zdolnej — raptem trzystu kilkudziesięciu ludzi, boć zakonników, starców, kobiet i dziatwy niepodobna było brać w rachubę. I w tych warunkach miała wytrzymać napór trzynastotysięcznej armii, doskonale wyćwiczonej, zahartowanej w bitwach, podnieconej chciwością, że już się przemilczy o oddziałach polskich, które ze Szwedami nadciągały...

Zdawał sobie z tego stanu rzeczy sprawę przeor Kordecki; doświadczeni żołnierze, których przecież garść na Jasnej Górze się znajdowała, również wiedzieli, iż klasztor szturmom gwałtownym kilkunastotysięcznej armii może się jedynie oprzeć przy zbiegu wypadków nadzwyczajnych; zakonnicy, spraw świeckich, zwłaszcza obrotów żołnierskich nieświadomi, przeczuwali jednak niebezpieczeństwo wielkie; reszta szlachty, co najwyżej dotychczas w pospolitych ruszeniach uczestnicząca, także uczucia obawy doznawała: mimo to nikomu w głowie nie powstało oponować przeorowi, ustępować z za-

grożonego miejsca. A to dlatego, że przeor był człowiekiem szczerą wiary, głęboko przekonany, iż Pani Anielska powołała go do spełnienia czynu, na który się w tej dobie klęsk nawału nikt zdobyć nie mógł; dlatego, że wszyscy uznawali w nim męża Duchem Bożym natchnionego; że wierzono żarliwie w Boga, w Jego moc cudowną i miłosierdzie; że wiedzano, iż Królowa Niebios, w zamian owej wiary i ufności w skuteczność Jej Orędownictwa do Boga, nie skąpi łask swoich; że wreszcie na Jasnej Górze nie było dyplomatów przebiegłych, frantów przemyślnych, lecz jedyny hetman Boży, z wolą spiżową, sercem niezłomnem i całą duszą ufający mu żołnierze; lecz Bóg i wiara, lecz Najświętsza Panienska i całą istotą oddani Jej wyznawcy. W takim stosunku niepodobieństw niema, rozstroju nie znaleźć, a jeśli ozwie się zwątpienie, obawa, łąco ją zażegnać, przytłumić, odpędzić na cztery wiatry.

„Piątki“ należeli do bezwzględnie wierzących w spodziewania przeora.

— Skoro powiedział, że nie stąpi noga szwedzką na Jasną Górę, to punktum i basta! — perorował po swojemu Pasek. — Dekret nieodwołalny i skończona historia. Nie z siebie to powiedział i powtarza, jedno echem jest głosów archanielskich lub samej Bogarodzicy, która go jasnowidzeniem obdarza.

— Mądrześ to wywiódł, panie Janie — rzekł Balcerowicz — nasz ks. przeor często w jasnowidzenia wpada, osobliwie na ambonie lub, gdy się

rozmodli w kaplicy. Wówczas twarz mu się przeistacza, oczy płoną gwiazdźdźcie, blask z lic bije. Zauważyła to również panna skarbnikówna.

— A wojszczanka nie zauważyła? — zwrócił się do Ołtarzewskiego Zarucki.

— Waćpanu co do panny Zofii? — odciął szorstko Ołtarzewski. — Zawsze musisz swoje trzy grosze wtrącić i to ni w pięć ni w dziewięć, tam, gdzie nie trza. Musiała cię pani matka w trójliściu z ciemierzycą kapać, iż gorycz z cierpkością śliną ci z gęby wypryskuje...

— Macie też się o co wadzić — wtrącił polubownie Kościuszkiewicz. — Wszystkim wiadomo, że przeora niebo jasnowidzeniem nawiedza. Przyznam się waszmościom, iż z początku źłem tuszył o Jasnej Górze; ale kiedym raz i drugi usłyszał przeora, z jaką on mocą zwycięstwo przepowiada; kiedym obaczył, jaką potęgą oblicze jego wtedy jaśnieje: poznałem swój grzech, pokajałem się i odtąd co piątku batożków sobie za pokutę nie żałuję...

— Słusznie, bo wątpienie z dyabła jest, a waszmość wątpiłeś bluźnierczo, panie Ambroży, o czym prawowierny katolik wątpić tu, na Jasnej Górze, nie powinien — nadmienił Pasek.

Kościuszkiewicz, w piersi się uderzywszy, brody pogładził do pasa spadającej.

— *Mea culpa*, zgrzeszyłem, ale nie taję tego, wyznawam upokorzeniu gwoli i pokutę odprawuję —

Hetmani.

rzekł, wzdychając. — Wartoby wszelako, iżbyś i ty, panie Janie, o pokucie pomyślał...

— Ja o pokucie? Za jakie zbrodnie? — podchwycił Pasek.

— Ano — odparł łagodnie Kościuszkiewicz — nie wyrzekałeś, iż przeor Maciutę wolno puścić? A chociaż on dokumentnie przyczynę wyłożył, tyś jeszcze nosem czmychał i dmuchał...

— Czmychał! czmychał! — mruknął Pasek. — Trudnoż świeckiemu, jeszcze żołnierzowi, wszelkie obowiązki i mody duchowne znać...

— Duszycko, trudno, nie trudno, ale skoro się zgrzeszyło, pokutować trza. Jeżeli waszmość, panie Janie, życzysz, batożek mój chętnie ci odstąpię, a nawet sam cię smagać będę, ile, że dokładnie tego może nie wypełnisz...

— Idźże waszmość z taką usługą przyjacielską do ciężkiego pioruna! — rzucił się Pasek.

— A taki z serca radzę, duszycko — westchnął Kościuszkiewicz — i źle waszmość czynisz, panie Janie, zbawienną radę odrzucając.

W ten oto sposób gwarzyli razu pewnego, przechadzając się po wałach. Godzina była późna, dziesiąta wieczorem, a dzień ósmy listopada. Pogoda przez cały dzień dopisywała, ale właśnie około dziesiątej wietrzysko się zerwało, kapuśniaczek mżyć zaczął i oziębilo się nagle.

— Oho! — zauważył Balcerowicz — jesień swoje sztuki zaczyna pokazywać...

— Czas po temu — rzekł Zarucki — waszmość możebyś chciał jesieni bez szarugi? Szukać

takiej w italskiej krainie, ale nie u nas, gdzie północ ma przewagę.

— Pono w italskiej krainie noce jesienne dziwnie bywają cudne — odezwał się Ołtarzewski. — Jeno w gondoli płynąć i serenadom się przysłuchiwać...

— I rytmy koncypować — roześmiał się Zarucki. — Waszmość, panie Franciszku, do swego ciągniesz, niby koza do łożyny. No, mości panowie, dosyć na dziś włóczęgi! Kapuśniak smaga coraz gęściej, a i ziąb chwyta niezgorszy. Tandem — do kwatery!

Szli w milczeniu, jakoś bez humoru, naraz Pasek gestem ich wstrzymał, wyprostował się, uszu nadstawił i szepnął:

— Hola! A to co?

Wszyscy przystanęli, Balcerowicz zapytał:

— Co ma być? Co waści?

Pasek, usta mu dłonią zasłonił, mruknawszy:

— Ani słowa! Słuchać, nie gadać...

Tedy stojąc, jak wmurowani, milcząc, dech wstrzymując w piersi, przysłuchiwali się szmerom ponocnym, wśród których rej prowadził wicher, różnemi tonami zawodzący, i dżdżu pluskot. Rychło atoli na tem tle poczęły występować inne odgłosy, dosadne, charakterystyczne, zbliżające się coraz bardziej ku klasztorowi. Był to głuchy, rytmiczny, stłumiony wilgocią rozkislej od dżdżu ziemi stukot kopyt koni, połączony z brzękiem oręża i poparskaniem rumaków. Ucho bodaj trocha zaprawnego

w obozach żołnierza odrazu rozpoznawało w tem marsz liczniejszego oddziału jazdy regularnej.

„Piątaki“ jęli łokciami się trącać i naszeptywać:

- Rany Pańskie, Szwed nadciąga!
- Jak dwa a dwa cztery, Szwed!
- Kanalia! z mańki nas zająć umyślił...
- Zdrada, napadem nocnym Jasną Górę opanować!

— Alarm należy uczynić, mości panowie...

— I ks. przeora zawiadomić...

Więc rozbiegli się na wszystkie strony, budząc drzemiące straże wołaniem:

— Czuu...waj! Czuu...waj!

Ocknięci wartownicy dalejże to nawoływanie powtarzać i w jednej chwili ze wszystkich ich stanowisk rozlegało się ono donośnie. Również w mgnieniu oka zapłonęły na wałach i basztach beczki smolne, w oknach zabudowań ukazały się światła, z wieżyc kościelnych dzwony na trwogę grać zaczęły. Klasztor, przed momentem spoczywający we śnie głębokim, życiem zadrgał.

Do przeora nie trza było kołatać; ledwie się ozwały pierwsze nawoływania wartowników, jużci jego habit biały na wałach się ukazał; za nim podążyli inni zakonnicy; żołnierze, szlachta, nawet niewiasty, także śpieszyli gromadnie, każdy bowiem o przyczynie alarmu rad był się dowiedzieć. Na twarzach wszystkich malował się niepokój, jeno oblicze przeora jaśniało zwykłą, niezacmioną pogodą.

Pasek pierwszy objaśnił Kordeckiego krótkimi słowy:

— Szwed wali, ks. przeorze dobrodzieju, dlatego alarm podjął...

— Chwali się waści, jeżeli nie fałszywy — zauważył pan Zamoyski.

— Co znowu! — odezwał się pan Czarniecki — towarzysz pancerny, ze szkoły mego miłościwego pana brata, sowizdrzalstwa w takiej sprawie nie dopuściłby się przynigdy!

— Fałszywym nie może być — rzekł Pasek — silna jazda regularna wprost na klasztor następuje. Jeszcze jej nie widać, ale słyhać doskonale. Kogo zaś się mamy o takiej porze spodziewać, jeżeli nie heretyka?

— A nuż król jegomość, Jan-Kazimierz, bądź pan kijowski oddział jaki dla wzmocnienia załogi klasztornej przysyła? — wtrącił pan Mosiński.

— Pomoc wstrzymałaby się do świtania — zaprzeczył energicznie Pasek. — Szwed wali, albo dyabeł, i skończona historia...

Jakby na potwierdzenie domysłu Paska, z po za wałów, na wprost bramy, ozwał się głos niewieści, sepleniący, zdyszany, z którego łącno można było rozpoznać starą Kostuchę:

— Ola! Ola! Rata! Goście idą, służki piekielne, nasienia heretyckie, Szwedy, psie juchy! Książę przeorze złocisty! a niech wasza wielebność nie pożałuje im ołowianego piwka i miodu ogniatego z harmat, organków i muszkietów...

— Skądżeś się tu wzięła o tej porze, szalona

głowo? — rzecze ks. Kordecki. — Umykaj żwawie do klasztoru, most opuścić każę i furtę otworzyć...

— Nie trza, nie trza, ks. przeorze złocisty! — klepała stara — ja tu przy onych szołdrach myskować muszę. Krzywdy mi oni nie uczynią, a klasztorowi i Najświętszej Paniencie więcej się przygodzę, pomiędzy nimi się kręcąc, niż śród murów siedząc...

— Więc to Szwedy, powiadasz? Siła ich? — dopytywał przeor.

— Oni, szelmy zatracone! Chociaż na koniach wała, jednak takie oto babsko kuternogie ich wyprzedziło... Moc ich, lik mnogi, wszystko chłopcy schwalne, z różnami długimi u boku i rozczapierzonemi wiechami pod nosem... A spaśne, brzuchate, że jeno ich kulami szpikować...

— Kto prowadzi?

— I to wiem, a jakże... Prowadzi jaśnie oświecony graf Weyhard z Wrzeszczowic. Oho! sztuka z niego teraz... Zadzierał lba i dawniej, dopóki nie zeszwedział, i z nabożeństwem a ochfiarą na Jasną Górę przyjeżdżał, ale dziś jeszcze więcej hardy...

Stara wybuchła śmiechem i dodała:

— Tożto mu pójdzie po nosie, hi! hi! Nieborak głośno się przechwala, że w klasztorze będzie nocował i do poduszki miód Ojców Paulinów zapijał, a tu naści miód: mosty zwiedzione, bramy za-

parte, a na murach nie moździerze wiwatowe, jeno inaksze przysmaki... Hi! hi! No, spodziewa on się trocha, iż klasztor zostanie obwarowany i zamknięty, wszelako powtarza: „Palcem skinę, słowo rzeknę, na ścieżaj mi bramy rozewrą...”

— Taki pewny? — zagadnął pan Zamoyski.

— A taki, taki! Na własne uszy słyszałam... Hi! hi! dopieroż się rozjadowi, ona kukła z herodowych trocin, skoro się przekona, że nic z apetytu. Prawi: „Wreszcie byle w kotły a surmy uderzyć, byle pogrozić, byle dla postrachu raz i drugi wystrzelić, z mnichów dusza ucieknie i klasztoru panem ostanę...” Ostaniesz ty, Judaszu, panem, ale w piekle, na łożu madejowem!... Ba! otóż ich Ojcowie dobrodzieje macie...

Urwała nagle stara i, niby widmo, zniknęła w fosie, a jednocześnie z ciemnego tła nocy zaczęły się wysuwać szeregi rajtarów szwedzkich i u stóp wzgórza skalistego ustawiać. Można ich było poznać bez trudności, bo światła z klasztoru dosyć po temu przestrzeń rozjaśniały.

Musieli Szwedzi uplanować sobie napad niespodziany; musieli ciągnąć z tem przekonaniem, że napad taki przerazi zakonników i bez walki klasztor im otworzy: gdyż znalazłszy załogę w czynnym pogotowiu, stropili się i po swojemu kłać zaczęli. W chwilę, kilkunastu z nich skoczyło ku bramie, lecz wnet wrócili do gromady z nowem wyzwierzaniem się, napotkawszy most zwiedziony. Nastąpiła narada, ćwierć godziny może trwająca, po upływie zaś tego czasu, wysunęli się ku bramie tręba-

cze, na których czele jechał jeden, wiewając płachtą białą, na rapirze zatkniętą. Trębacze ustawili się przed mostem zwodzonym w szerokie półkole i wydawszy policzki, niby banie, grzmieć poczęli w swe instrumenty. Jakoż brzmienia ponure, chrapliwe, groźne wstrząsnęły powietrzem, a uchwycone przez wicherzysko, rozbieżały się szeroko po okolicy. Okienko nad bramą klasztorną otworzyło się.

— Któż o nocnej porze śmie tak niezwykłym kształtem niepokoić ten przybytek Boży i macić spoczynek mieszkańców tutejszych? — ozwał się głos brata furtyana.

Na to odpowiedział ów z białą płachtą na rapirze:

— Jaśnie oświecony graf z Wrzeszczewicz, Jan Weyhard, króla jegomości szwedzkiego Karola-Gustawa radca stanu i wojny, dowódca przedniej straży wojsk tego niezwykłego monarchy, pułkownik konnego i pieszego pułku, imieniem pana swe go najmiłościwszego i najjaśniejszego, z oświadczeniem mnie tu do przełożenia klasztornego przysła.

Ks. Kordecki wydał rozporządzenie — rzucono, zamiast mostu, wążką kładkę, dla jednej tylko osoby, po której parlamentarz szwedzki się przeprawił, otworzono małą furtę bramy, a wprowadziwszy go, Pasek zabrał się do zawiązania mu oczu. Cofnął się parlamentarz, chciał protestować, lecz Pasek z góry:

— Nie świadom waćpan jesteś mody wojennej? Inaczej poselstwa swego nie odprawisz...

Uległ wysłaniec szwedzki, wtedy dopiero zaprowadzono go do definitarza, gdzie przeor, zakonnicy, przywódcy szlachty i „piątacy“ się zgromadzili. Tam mu z oczu zasłonę zdjęto, ów zaś, wzrokiem tocząc po obecnych, zagadnął:

— A kto tu przeorem klasztoru?

— Jam jest — odparł ks. Kordecki poważnie.

Wtedy parlamentarz przemówił:

— Jaśnie oświecony graf Weyhard, z rozkazu najjaśniejszego i najmiłościwszego króla jegomości Karola-Gustawa, którego rozslawionemu po świecie całym orężowi już wszystka Rzeczpospolita podlega, przybywa zająć Jasną Górę, gdzie ostawać ma jako gubernator tego miejsca, trzymając tyle załogi, ile sam za potrzebne miarkować będzie. Jako dawny i stateczny przyjaciel Ojców Paulinów, zwłaszcza jasnogórskich, nie życzy oporu, gdyż opór najopłakańsze sprowadzi skutki...

Zamilkł parlamentarz i badał wrażenie, jakie sprawiły jego słowa, a przeor zapytał spokojnie:

— Skończyłeś waćpan? Jeśli nie, praw dalej, słuchamy.

— W razie oporu, — podjął poseł — klasztorowi grozi ostateczna zagłada, cztery tysiące żołnierzy bowiem, z którymi graf przybył, niezwłocznie podstąpi pod mury, one zaś niewątpliwie obleżenia twardego nie wytrzymają. A nietylko miejsce święte dozna klęski, lecz wszystkie posiadłości klasztorne w perzynę obrócone zostaną...

— I na to się waży przyjaciel klasztoru, przyjaciel zgromadzenia, katolik, czciciel Najświętszej Panny? — podchwycił z oburzeniem pan Piotr Czarniecki.

— Taki rozkaz najjaśniejszego króla jegomości, Karola-Gustawa — bąknął parlamentarz.

— Jeno zakamieniały heretyk, lub zgoła poganin, mógłby się podjąć funkcji do tyła nikczemnej! — wtrącił pan Mosiński.

— Bez krewkości, panie Zygmuncie! — ostrzegł go przeor, następnie zwrócił się do parlamentarza: — Krótko waćpanu odpowiem: ma graf Weyhard swoje racye grozić nam gwałtem i bezprawiem — my zaś mamy racye nie wpuścić go na Jasną Górę.

Powiedział to ksiądz Kordecki bez podnoszenia głosu, lecz dobitnie, podkreślając wyrazy.

— Z pozorów sądzić nie należy, księżę przeorze — rzekł parlamentarz — nie przeczę, pozor przeciwko grafowi Weyhardowi świadczy, a jednak pełen on jest najlepszych dla klasztoru chęci...

— Szczury truć takimi najlepszymi chęciami! — mruknął Pasek.

— Dowodem tego, że nieinaczej, ta okoliczność, — prowadził parlamentarz, śnać nie dosłyszawszy przycinku — iż graf ma nadzieję, a nawet pewność, porozumienia się zupełnego z Wielebnymi Ojcami. Ufając zaś tak mocno w zgodne załatwienie sprawy, a nadto przez szacunek dla miejsca świętego, czas do namysłu pozostawia i jutro, rankiem, na rezolucję oczekiwać będzie w nowicyacie przy Świętej Barbarze...

— Zgoda na to, deliberacya nigdy nie wadzi! — odparł przeor, następnie głową skinął, dając znak, iż na dziś traktowanie skończone.

Znów zasłoniło parlamentarzowi oczy, przy czem ten znów się dąsał, nadmieniając:

— Krzywdę mi mości panowie czynicie: przecież nie szpieg jestem, ale poseł, posłów zaś na całym świecie w konsyderacyi mają. Wiedźcież nadto, żem Polak, szlachcic dobry i katolik...

— Obrona nic potem, prochu wystrzelonego nie warta — rzecze Pasek. — Posłów w rzeczy samej konsyderują na całym świecie, ale poseł posłowi nie rówien. Żadnemu, w politycznych krajach, głowy nie utną, ani szubienicą go nie poczęstują, lecz co do oczu poselskich — nie każdym wierzą. Bywają, widzisz waćpan, posłowie z tak delikatnym wzrokiem, że się na nim zbyt wiele odbija, gdy funkcję swoją spełniają; skąd wypływają przeróżne impedimenta dla obudwóch stron, przez takich posłów traktujących. Tedy konieczność nakazuje oczy takie od wysiłku uchronić. Powiadasz waćpan dalej, iż Polak, dobry szlachcic i katolik: a tu, u nas na Jasnej Górze, takie mniemanie panuje, że kto swego króla prawowitego opuszcza, z heretykiem się łączy, na Ojczyznę swoją i wiarę następuje: ten zdrajcą jest, przedawczykiem, niecnotą najwyższego stopnia! Skombinuj waćpan jedno z drugim, a przyjdiesz do wniosku, że podobnych tobie strzedz się trzeba najbardziej.

Nie odpowiedział na to parlamentarz, wargi jego zakąsił, a Pasek, ujawszy go pod ramię, do

furty prowadził. Przed samą furką zapytał od niechcienia:

— Słyszę, do Weyharda przyłączył się podstoli Pracki, z nieodstępnym jespalem Maciutą. Prawdaż to?

— Nic waćpanu do tego — odburknął parlamentarz.

— Arcyłotrowie z nich, że pod słońcem równych im niema — mówił z flegmą Pasek. — Może waćpan do ich przyjaciół należysz, he?

— Może... — brzmiała szorstka odpowiedź.

— Dobrze wiedzieć. Muszę się zaraz w wodzie ochynąć, ile, że się waćpana dotykam. Z dołknęcia gnoju, uważ waćpan, zaraza się przyczepia, a już co najmniej swąd od człowieka się rozchodzi....

— Puszczaj waćpan do stu dyabłów rogatych i... wypraszam się od wszelkiej z nim konfidencji! — zawołał gniewnie parlamentarz.

— Nie wpadaj waćpan w cholere, na noc nie niema niezdrowszego — prawil towarzyszy pancerny, oczy mu odsłaniając umyślnie powoli. — Hm... jeśliś przyjaciel albo podkomendny tamtych arcy-psów, to powinszować! Wysoko zajedziesz — kopoliana uprząż na suchej wierzbie cię nie minie...

— Puszczaj waćpan i niech cię najjaśniejszy piorun spali! — krzyknął poseł, a wyrwawszy się z rąk Paska, wysunął się za furkę.

— Ostrożnie! — wołał za nim Pasek — kładka wazka a w przekopie kark można skrócić! W ra-

zie wypadku, nocowałbyś w piekle, zamiast z godnymi przyjaciółmi!

— Nie bój się, zachowam mój kark w dobrem zdrowiu, dopóki ciebie, śmiałku z wyprawionym po szewsku ozorem, nie naznaczę... A stanie się to nieodmiennie, jakim Atanazy Supilski!

— Supilski? Pewnie w herbie masz waćpan wyimaginowany wór, ze srebrnikami Judasza, jako pociotek tego zdrajczyka... Ano, i ta wiadomość się przyda. Żem zaś człowiek polityczny, tedy się waćpanu odrekomenduję... Pasek Jan jestem, towarzysysz z pod znaku pancernego pana kijowskiego... Słyszysz? No, więc zakonotuj w pamięci, jak również, że przy pierwszym spotkaniu wypaluję cię tak, iż ci żaden cyrulik przez całe życie nie będzie potrzebny...

— Pasek? Nie zapomnę o tobie, jako żywo!

— Ja również, możesz być tego pewnym, przedawczyku... Rzeknij to też swoim przyjaciołom godnym, Prackiemu i Maciucie, iż z nimi mam także porachunek: dla każdego kulę chowam, którą im w łeb, jako psom wściekłym, wpakuję, bo szlachetna rozprawa nie dla takich zbrodniarzy i bezecników, jak oni...

— Oblupim cię przedtem ze skóry, zatracony Pasku, ani się spodziewasz kiedy...

Byłby Pasek jeszcze dogadywał onemu parlamentarzowi, gdyby go pan Piotr Czarniecki od furty nie odciągnął.

— Pójdź-że do kaduka! — gromił go przytem. — Żołnierz jesteś, a z nieprzyjacielem w dysputy się

wdajesz, przy otwartej furcie, czasu wojennego... Za to, panie bracie, jak nic — kulą w łeb! Cóżes z nim gadał?

— Dyskursem grzecznym go zabawiałem, iżby mu się szpacyer po kładce nie znudził...

— To szarmant z ciebie. Może go znasz?

— Nie, dopiero teraz mi się zaprezentował i ja jemu.

— Jakaż racya do prezentacyi? — zadziwił się pan Piotr.

— Ano, udał mi się ten Atanazy Supilski bardzo już z tego powodu, że zeszwedział, a przytem dowiedziałem się od niego, iż w komitywie z Pracim i Maciutą jest. Tedy mu obiecałem od siebie płażowanie grzeczne i ślub z suchą wierzwą przy pomocy konopianej stuły... Kompanom godnym jego również upominki przyrzekłem.

— Toście z sobą bardzo foremnie dyskursowali — roześmiał się pan Czarniecki.

— A co tam przeor na jutro obmyślił?... — zapytał Pasek.

— Pójdą do Weyharda bracia Marcelin Tomici i Benedykt Jaraczewski, obadwaj główacze nielada; właśnie przeor ich naucza w celi swojej, jak z nim mówić mają.

— Nie szkodzi, że trocha pokatechizują zdrajcę, chociaż wiem z góry, że go nie nawrócą. Ugrzązł już w niecnocie po uszy...

— Obaczmy, różnie się dzieje na tym świecie — rzekł pan Czarniecki. — W każdym razie przeor od swego nie odstąpi i czuję przez skórę, ba! pewny

nawet jestem, że ani Weyhard, ani Miller, ani Wittemberg, ani sam Karol Gustaw, nie ukąszą Jasnej Góry...

— Chociażby do pomocy regimenty piekielne wezwali! — dokończył Pasek, uderzając pięścią po szabli. — Ja również w to święcie wierzę, a kto inaczej kalkuluje, ten dobrym katolikiem i Polakiem dobrym być nie może!

Nazajutrz, zaraz po rozświetaniu, wspomniani dwaj bracia wyszli z klasztoru, udając się do kwatery grafa Weyharda. Szwedzi, zawiedzeni w spodziewaniach, że to ich na Jasnej Górze nie przyjęto z otwartymi rękami, ani też się ustraszono ich groźnego imienia, rozstępowali się przed nimi, lecz nie szczędzili drwin i przekasów, wprost w oczy rzucających, których zakonnicy jakby nie słyszeli, bo kroczyli powoli, spokojni, z głowami zwieszonymi, z dłońmi, wsuniętymi za fałdy białych habitów.

Weyhard oczekiwał posłów klasztornych niecierpliwie, lecz ich odrazu nie wpuścił. Mimo setnego znużenia, oka nie zmrużył, tak go gryzło rozczarowanie doznane. Jechał przeciw do gotowego, z siłą nieostatnią, z pretekstem tak zręcznie obmyślonym, onej rzekomo ochrony miejsca świętego i Ojców Paulinów, z którymi go zażyłość długi czas łączyła, — i wszystko na nic. Nie udał się lisi wykret, nie pomogły wrzaski trąb — mnichy okazali się przezornymi i zuchwałymi nad wyraz. A tak wiele sobie obiecywał z samodzielnego zajęcia Jasnej Góry... Przedewszystkiem, wydusiłby całą skrzynię dukatów; srebra i klejnoty ze skarbcza,

wzięte przez niego rzekomo w opiekę, ulgnęłyby w jego kieszeni, a jeszcze zasługa wobec Karola-Gustawa... Błogie nadzieje mocno zostały zachwia-
ne na samym wstępie, co go o wściekłość przypra-
wiło.

Rozmyślając nad tem w nocy, trochę się uspo-
koił. Pierwsze koty za płoty. Mnichy przerazili
się, głowy potracili, sami nie wiedzieli, co począć.
Dzień przyniesie mu pomyślną wiadomość. Przeor
widocznie chce wytargować zupełne bezpieczeństwo
dla skarbów klasztoru i osobiste, bo przecież tak
mizernej warowni na skutki oblężenia narażać nie
zechce żadną miarą. Byłoby to poprostu szaleń-
stwem, nierozsądkiem krzyczącym. On, Weyhard,
nie posiada narazie środków oblężniczych, przy-
włókł bowiem z sobą jeno harmatki polowe, ale dość
sprowadzić bodaj dwie tylko potężne kolubryny,
których Szwedom nie brakowało, żeby, w przeciągu
dnia najwyżej, skruszyć źle opatrzone bastiony
i nietęgę mury.

Tak rozmyślając, rozchmurzył się i humoru na-
brał, zaczął podpijać nawet dla fantazyi. Lecz ani-
musz znów prysnął, gdy, po rozświetaniu, przypa-
trzył się ze wszystkich stron twierdzy. Warownia
inaczej mu się teraz przedstawiła. Wprawdzie po-
zoru niezdobytej nie miała, mogła jednak nabawić
kłopotu oblegających. To nie był kurnik mnisi, jak
go Miller szyderczo na niewidzianego nazywał, ale
coś takiego, z czem należało się rachować. I ba-
stiony, i mury, zgoła wszelkie umocnienia, wcale
różny miały wygląd, niż Weyhardowi dotychczas

się zdawało. Więc znów się zasepił graf z Wrzesz-
czewicz, powróciwszy do kwatery, znów kielichy
spełniał, daremnie w nich szukając myśli dobrej.

W takim usposobieniu był, gdy mu oznajmio-
on posłów z klasztoru.

— Upokorzyć ich, niech czekają! — poradził
mu Supilski.

Tego samego zdania był Maciuta, który pod-
szepnął:

— Niech nie myślą, żeśmy tak skwapliwi na
układy. Obiecywać łaskawość, jeśli w pokorę ude-
rzą, ale trzymać pod grozą...

Radę Weyhard uznał za słuszną. Kazał posłom
czekać z ćwierć godziny i dopiero po upływie tego
czasu przyjąć ich raczył, rozparty w krzesle, z gro-
źnie sfałdowanem czołem. Zakonnicy skłonili się
pokornie i adoracją Chrystusa go powitali, on zaś,
nie odpowiadając na pozdrowienia chrześcijańskie,
z góry wsiadł na nich:

— Wiem — przychodzicie przeproszać, eksku-
zować się z niedorzecznego postępku, z uchybienia,
jakiście mi wyrządzili... Doprawdy, rzecz niepo-
jęta, do wiary niepodobna! Tak przyjmować mnie,
czciciela miejsca świętego, który swej szczerzej życz-
liwości i przyjaźni składał zgromadzeniu tak długo
tyle dowodów... Bramy zamykać, mosty zwodzić,
skazywać na niewygodę i to kogo? Wroga? Nie,
tego, który pragnie stać się dla miejsca świętego
i zgromadzenia tarczą ochronną, który pragnie pier-
siami niejako własnymi przybytek cudami wstawio-

Hetmani.

ny i was, Ojcowie, osłonić, przed rozpasaniem heretyków... A, Ojcowie moi, to się nie godzi, tak się nie postępuje! Obraziliście mnie srodze, dotknęliście do żywego...

Tak mówiąc, sapał, pięścią o stół uderzał, brwi srożył i nogą przytupywał, aż ostrogi brzęczały. Urwał wreszcie, przez chwilę mierzył stojących pokornie zakonników wzrokiem jowiszowym, następnie zapytał łagodniej:

— Co mi przynosicie, Ojcowie?

Wtedy Brat Tomicki wysunął się nieco przed towarzysza i rzekł spokojnie, z odcieniem rozżalenia:

— Srożysz się, jaśnie oświecony grafie, i wyrzuty nam czynisz, ale racz w mądrości swojej rozważyć, zali słusznie? zali to my właśnie nie mamy do wyrzutów powodu? Atoli zakonnikom nie przystoi waśń, ni też spierka, tedy, w imieniu przewielebnego ks. przeora i całego zresztą zgromadzenia, ośmielamy się zdumienie najwyższe wyrazić nad tem, co się stało... Jako — pan katolicki występuje przeciw świętemu miejscu, którego sam niedawno był szczególniejszym obrońcą i dobrodziejem hojnym? Jako — ten pan katolicki, przyjaciel i dobrodziej, napada na nas w noc głuchą, z larum wojennem i bramy klasztoru otwierać każe? Jako — ten pan katolicki, ten dobroczyńca i przyjaciel, przez posła swego grozi klasztorowi i włościom zgromadzenia ostateczną zagładą, jeżeli miejsca świętego w ręce heretyków nie wydamy? Zaprawdę i bez urazy, jaśnie oświecony grafie, jest się czemu dzi-

wować, bo rzecz pojęcie ludzkie przewyższa... Mniemamy jednak, iż w sercu twojem, jasny grafie, cześć dla miejsca świętego i życzliwość dla naszego zgromadzenia nie wygasła, a tem mniemaniem ośmieleni, błagamy cię i na wiarę katolicką zaklinamy, iżbyś od żądania zajęcia klasztoru odstąpił, a nam, zakonnikom, pozwolił łaskawie pełnić obowiązki reguły w spokoju, ku chwale Bożej i zbawieniu dusznemu wiernych.

Przestał mówić Brat Tomicki, a na posepnem obliczu Weyharda zawód się wyraził; zapytał pochmurnie:

— Tyle jeno przynosicie?

— Cóż więcej przynieść mogliśmy? — w zamian rzucił pytanie Brat Tomicki.

Weyhard, chociaż burzył się w duchu okrutnie, jednak stłumił wściekłość, twarz dobrodusznie ułożył i, judaszowej polityki się chwytając, mówić począł słodko:

— Nie tajno wam, Ojcowie mili, com zresztą już wam przypomniał przed chwilą i co sami przynajecie, jaki byłem zawsze ku miejscu temu świętemu, wam wszystkim i każdemu z osobna życzliwy, iżem afekt i łaskę swoją okazował niezmiennie, ze szczerego serca i głębokiej pobożności. Teraz, lubo odmiana czasów niedobra nastąpiła, wiedźcież jednak o tem, że ja mojej przyjaźni i starania o was nie odmieniam bynajmniej. Jako przyjaciel też tu przybywam, nie wróg, tedy po przyjacielsku mówię: klasztor mojej dla was wierności polećcie, ani się czego obawiając. Tak nakazuje zbieg okolicz-

ności. Jeśli to uczynicie, pożądanym pokojem i bezpieczeństwem będziecie się cieszyli. W całości i poszanowaniu wszelkie świętości wasze, dobra i włości zachować solennie przyobiecuję, a nawet to przyrzekam, iż swoje i wasze potrzeby kosztem własnym opatrywać będę... Uważcie pilno, jak wam pożytecznie będzie, jeżeli według intencji mojej zechcecie mi polecić klasztor wasz. Patrzcie, iżby was cięższa nawałność nie ogarnęła, boć już-już wisi nad wami Miller-jenerał, człowiek heretyckiej sekty, którego nakazy będą bardzo surowe, ile, że jest od świętej wiary katolickiej daleki, a na nią zawzięty. Jeśli intencje moje poczciwe odrzucicie, z nim do czynienia mieć wam przyjdzie, a wówczas musicie koniecznie znosić to, co on srogi eksaktor zechce; wówczas też, z wielkiego umysłu i ciała dręczeniem, pogardzonej rady żałować będziecie...

Jedwabnemi słowy omotywał umysły zakonników przebiegły łotr, a słowa te, co prawda, nieco ich poruszyły. Lecz nie okazali tego po sobie, skłonili się, za afekt dziękując, Brat zaś Jaraczewski odparł:

— Ukontentowaniem wezbrały serca nasze na wiadomość, iż jaśnie oświecony graf w dawnym trwasz sentymencie dla miejsca świętego i niegodnych sług Pani Anielskiej. Mocno się uradują Ojcowie, skoro im powtórzymy tę dobrą nowinę. Racz pozwolic, panie, abyśmy ją jak najprędzej zanieśli...

— Zostawujecie mnie bez odpowiedzi?—szorstko zagadnął Weyhard.

— Posłami jesteśmy, bez pełnomocnictwa sta-

nowienia o czemkolwiek. Wielebny nasz przeor, po naradzie z Ojcami, zadecyduje w tej sprawie.

— Wszelako jak mniemacie? — dopytywał niecierpliwie Weyhard — chyba ku żądaniu memu się skłoni, innego przecież wyboru tu niema...

Brat Jaraczewski ręce rozkrzyżował, głowę pochylając, a Weyhard, zrozumiawszy ten gest, rzekł wyniośle:

— Tedy czekam na respons, uprzedzam jednak, że na marudztwo nie pozwolę. Albo-albo, wóz i przewóz...

Posłowie najdokładniejszą zdali relację z misji swojej przeorowi Kordeckiemu, który ich w definitarzu, wraz ze wszystkimi Ojcami i szlachtą znacniejszą, oczekiwał. Gdy mówili, jak się Weyhard o dobrych chęciach dla miejsca świętego i zgromadzenia rozwodził, jak o nich zapewniał, odezwały się przebąkiwania mniej doświadczonych i trwożliwszych, aby onych chęci dobrych nie odrzucać i na niebezpieczeństwo Jasnej Góry, mienia klasztornego, życia wreszcie osób, zgromadzonych w warowni, nie narażać. Ks. Kordecki, słuchając tych przyjaznych dla Weyharda wotów, głową wstrząsł i brodę pogładził, aż też ozwał się:

— Pięknie brzmią i mile głaszczą ucho zapewnienia komesa, lecz rozważając wszelkie okoliczności, mniemam, iż trza o nich powiedzieć: *vox, vox, praeſerea nihil*. Żąda Weyhard, iżbyśmy mu zaufali, z tytułu, rzekomo życzliwości i dobrodziejstw, jakie nam dawniej okazywał i świadczył. Roztropność wszelako nakazuje nam pamiętać o starodaw-

nych sentencyach, które uczą: *tempora mutantur, et nos mutamur in illis*, oraz: *vide, cui fide...* Tak, zaiste, baczmy, komu zaufać mamy. Graf Weyhard już nie ten, co dawniej; czasy się zmieniły, wiatr powiał z innej strony, on za powiewem tym poszedł... Gdyby szczerą życzliwością dla nas był przeniknięty, nie podjąłby się funkcyi barbarzyńskiej, a jeśliby się nawet podjął z konieczności, potrafiłby ową konieczność z życzliwością pogodzić. Zali tak uczynił? Gdzie zaś! — obrał drogę podstępna, jakiej się trzyma nieprzyjaciel, który zgubę dla kogo zamierzył. Naprzód wysłał szpiega, boć dziś wątpliwości nie ulega, że on szlachcic, który był pod nazwiskiem fałszywem na Jasną Górę przyjechał, w szpiegowskich zamysłach się tu nalazł,—iżby słabe strony warowni spenetrował i obawę do serc naszych wsączył. Następnie sam przybywa nocą, larum wszczyna okrutne, usiłuje nas przerazić straszliwym wrzaskiem surm bojowych i srogimi groźbami... „Zali dobrowolnie bram nie otworzycie, — prawi — biada wam! albowiem kamień na kamieniu nie pozostanie z miejsca świętego, a włości klasztorne ograbię i z ziemią też zrównam.“

— Prawda najoczywistsza — wtrącił pan Piotr Czarniecki, korzystając, iż przeor nieco przymilkł.

— W baranią skórę chciało się przyoblec wilczysko, ale kłów i pazurów zabaczyło schować — dodał Pasek.

— Głośno się opowiada komes Weyhard,—mówił dalej ks. Kordecki — iż się całkiem Szwedowi

oddał, skoro zaś tak jest, szwedzkiej polityki trzymać się musi, która jest polityką pogańską, zdrady i przewrotności pełną. Patrzcież, Ojcowie i mości panowie: mamy przecież słowo króla jegomości szwedzkiego, zapewniające klasztorowi wszelkie bezpieczeństwo, a jednak dziś widzimy wojsko jego pod murami klasztoru i słyszymy groźby bluźniercze... Jeżeli zaś *salvus conductus* króla samego heretyków na wodzie bieżącej jest pisany, jakże mamy wierzyć zapewnieniom jego gorliwego sługi?!

Spojrzał przeor na zgromadzonych, to powiedział, jak gdyby wzywając ich do wyrażenia myśli o jego racyach, więc O. Gołdonowski odezwał się zaraz:

— Rzetelną usłyszeliśmy prawdę, nie do słów wielebnego przeora przydać nie można, chyba to, że *pecuniae obedient omnia*, a wiemy, iż komes Weyhard okrutnie na złoto łasy... Z tego płynie jeden powód więcej ku umocnieniu nieufności dla zapewnień komesa.

Inni Ojcowie równie przyznali, że Weyhard pod pozorem życzliwości zdradzieckie żywi plany, co słysząc, ks. Kordecki do Zamoyskiego się zwrócił:

— Panie mieczniku sieradzki, racz waszmość rozumienie swoje wyjawić, jak należy począć. My, zakonnicy, spraw światowych, a zwłaszcza wojennych, nie świadomi, mylić się możemy.

Zamoyski wesa podkreślił, jedną rękę o bok wsparł, a drugą gestykułując, przemówił ze zwykłą swadą:

— Wielebny przeor starodawne sentencye, wiel-

ce mądre, nam przypomniał, ja również sięgnę do onego skarbcza mądrości i wyciągnę z niego przestrożę, która zaleca: *videant consules, ne quid res publica detrimenti capiat...* Czuwajcie, powtarzam, Ojcowie, bo konsulami miejsca świętego jesteście, więc o waszą tu sprawę chodzi. Przedewszystkiem uczynicie komparancję między potęgą nieprzyjaciela a możliwością obrony z waszej strony, rozważysz zaś siły i środki, jakimi ku obronie rozporządzacie, wedle tego stanówcie respons dla Weyharda. Jam tu gość, zarówno jak wszyscy insi panowie bracia-szlachta miłośnicy a gościom trudno zdobyć się na radę w sprawie tak ważnej. Wszelako, ośmielony łaskawem zapytaniem wielebnego ks. przeora, wręcz powiem, iż póki ostateczność nie przyjdzie, nie dawajmy ucha żądaniom nieprzyjaciela, haniebną albowiem i niegodziwą jest rzeczą, przez sromotne uleganie, szukać u wiarołomnego wroga niepewnego pokoju. Z własnej woli, z czci i miłości ku miejscu świętemu, schroniliśmy się tu z ukochanemi małżonkami, z najdroższymi dziećmi, polecając się opiece Bogarodzicy; a zatem z wiarą niezachwianą postanowiliśmy żyć z wami, Ojcowie, i raczej z wami umrzeć, jeśli taka wola Boża się okaże, niż przyjąć warunki niewoli nikczemnej lub na zniewagę świętości patrzeć. Ufam gorąco, iż ta Panienska Najświętsza, Matka Boga Najwyższego, która serca nasze natchnęła pragnieniem bronienia Jej czci przeciwko bezbożnym bluźnierstwom heretyków, przybędzie w pomoc zacnym usiłowaniom sług swoich i sprawę obrony słusznej łaskawie wesprzeć raczy.

Szlachta jednomyślnie przyklasnęła panu miecznikowi sieradzkiemu, a ks. Kordecki, dłonie do góry wznosząc, rzekł:

— *Ut in omnibus glorificetur Deus!* Niechaj Bóg we wszystkim będzie pochwalony! Przeto Bracia Benedykt i Marcelin niechaj powiedzą Weyhardowi, iż żadną miarą bram otworzyć mu nie możemy. Aby zaś respons załagodzić, gdyż łąco się domyśleć, iż go o pasyę przyprawi, trza, aby nadmienili, jako bez woli Ojca prowincyała rozporządzać klasztorem nam nie wolno. Co on postanowi w tej sprawie, do tego się zastosujem.

Weyhard powtórnego poselstwa wysłuchał z zacietymi usty, pioruny ciskając z oczu, następnie wręczył posłom pismo, dodając groźnie:

— Słyszeć nie chcę o zwłoce... Macie tu spisane warunki oddania klasztoru, których jeśli nie przyjmiecie, natychmiast włości klasztorne burzyć ze szczeniem zaczne...

Oddali posłowie pismo Weyharda, które ks. Kordecki w głos odczytał, wśród ogólnego milczenia Ojców i szlachty. Opiewało ono, iż z postanowienia króla jegomości szwedzkiego, Weyhard, „najwyższy naczelnik wyprawy, pułkownik legii konnej i pieszej, zawiera umowę z przeorem, podprzeorzym i całym zgromadzeniem jasnogórskim częstochowskim, którą obie strony przyrzekają, we wszystkich jej warunkach i punktach, święcie, sumiennie i niewzruszenie zachować.“ Punktów było ośm, a mianowicie:

Jasna Góra, z klasztorem i wszelkimi obwa-

rowaniami poddaje się na słowo Weyharda królowi jegomości szwedzkiemu i temuż królowi, jako obrońcy swemu najłaskawszemu, cześć oddaje.

Wszyscy, co do jednego, zakonnicy słowem zakonnem i kapłańskim przysięgają i obiecują królowi jegomości szwedzkiemu wierność, uszanowanie i posłuszeństwo, zrzekając się wszelkich związków, spisów, układów i umów z królem Janem Kazimierzem i jego stronikami.

Zgromadzenie uznaje za gubernatora warowni i załogi Weyharda, przyrzekając jemu, oraz jego podkomendnym wyższych i niższych stopni, wszelką wierność, uczciwe porozumienie, uszanowanie, osobliwie zaś posłuszeństwo w sprawach wojny dotyczących.

Zgromadzenie przyjmuje załogę, ze stałą liczbą żołnierzy, która niema być powiększoną w żadnym czasie, chyba, gdyby konieczność tego wymagała.

Działa, prochy, wszelkie zasoby wojenne, wydane być mają Weyhardowi. Ojcowie nic z nich nie ukryją, pod karą śmierci. Również pod karą śmierci, Ojcowie obowiązują się wskazać grafowi wszelkie miejsca podziemne, które dla warowni mogłyby być szkodliwemi.

Święcie przyrzekają Ojcowie nie porozumiewać się z wrogami króla jegomości szwedzkiego, ustnie, piśmiennie, czy jakimkolwiek innym sposobem, — owszem, o wszystkim, cokolwiek działałoby się na szkodę króla szwedzkiego, przyrzekają wcześniej donieść i temu złemu, ile możliwości, zapobiedz.

Wreszcie — wywdzięczając się za umowę dzi-

siejszą, Ojcowie Paulini jasnogórscy pewną sumę pieniężną Weyhardowi wypłacą.

Po wyłuszczeniu tych drapieżnych do niedorzeczności punktów, Weyhard wspaniałomyślnie ofiarowywał Ojcom, zawsze imieniem Karola Gustawa, wszelkie bezpieczeństwo i uszanowanie.

Zatrzęsła się wielka sala definitarza od okrzyków zgrozy, gdy przeor skończył czytanie bezcennego pisma. Chciwość i niecnota Weyharda przezieriała z każdego wyrazu — stawiając takie warunki, zrzucił maskę, okazywał postać właściwą. Zakonnicy, z wyrazem oburzenia na obliczach, poglądali na przeora, wyczekując od niego słowa; szlachta trzaskała w szable, szarpała wąsy i na wały się rwała, wołając:

— Harmatami należy psubratowi odpowiedzieć! Ks. przeorze, pozwól, bo nam dusza wyskoczy, jeśli go prochami za taką zuchwałość nie potraktuję!

Przeor, dłonią milczenie nakazawszy, znów się do posłów zwrócił, mówiąc:

— Musicie raz jeszcze pójść do komesa, aby mu powiedzieć, iż byłoby świętokradztwem, żeby zakonnicy, którzy Bogu jedynie ślubują, przysięgali jednemu laikowi świeckiemu, w duchu światowym; iż byłoby bezbożnem pozwalać heretykom znieważać ich obecnością miejsca poświęcone czci Bożej. Powiedzcie mu jeszcze, że obowiązkiem naszym, zakonników, raczej poledz uczciwie, niż bezbożnym czynem się pokalać. Przeto, chociaż komes grozi, nigdy się do jego wymagań nie skłonim. Odnieście mu to, wyrazu nie opuszczając....

Posłowie udali się do kwatery Weyharda, przeor zaś rzekł do obecnych w definitarzu:

— Proszę z sobą na mury, może się okaże potrzeba uhamowania zapalczywości grafa. Zalecam powściągliwość. Z klasztoru krok zaczepny wyjść żadną miarą nie może. Ano, Bogu się polecamy i Najświętszej Jego Rodzicielce...

Krzyż na piersiach swoich i nad głowami Ojców oraz szlachty nakreśliwszy, pierwszy udał się na wały, białe habity Ojców ciągnęły za nim poważną procesją, szlachta sypnęła się więcej szparko, rzucając czeladzi swojej, puszkarzom i inszej załodze klasztoru pełne znaczenia wyrazy:

— Baczość! Uszy do góry! Pewnie lada moment taniec ze Szwedem się rozpocznie...

Posłowie zastali Weyharda na koniu, objeżdżającego szeregi przygotowanego do działań zaczepnych wojska. Spostrzegłszy zakonników, poskoczył ku nim z kilku oficerami, wołając zdaleka:

— Umowa podpisana?

Brat Tomicki w zamian słowa przeora mu powtórzył.

Sponsował Weyhard, szarpnął uzdę tak silnie, że koń na zadzie przysiadł, następnie ochryplym głosem jął wołać:

— Więc to tak? Więc odrzucacie dobrą wolę moją? Więc wojna? Ha! ha! Słyszycie, moi panowie? — do oficerów swoich to stosował. — Mni chy wypowiadają nam wojnę... Niespodzianka, co się zowie! Doskonale, wojna przecież nasze rzemiosło. Będą mieli tego przysmaku do sytości...

Tak się rozjuszył, że głos mu uwiązał w gardle, lecz rychle tchu zaczerpnął i napadł na niewiedzących co z sobą począć zakonników:

— Jeszcze tu stoją te golone pałki? A, prawda, to posłowie! Wszelka rewerencya dla posłów. Mógłbym się wprawdzie ze względami nie liczyć, bo imaginuję w tym momencie zwycięskiego monarchę, a zwycięzca o względy nie pyta, ale... pal was kat! Więc wojna? Śmiech pusty bierze! Wojna z mnichami? Zaszczytu mało, wszelako, skoro sami nadstawiacie grzbietu, dlaczego wam trzepanki nie sprawić...

— Wypełniliśmy, co nam zalecono, pozwól przeto, jasnie oświecony grafie, iż do klasztoru wrócim — odezwał się Brat Tomicki.

— A idźcie, idźcie na złamanie karku! — roześmiał się szyderczo Weyhard. — Uprzejmiejszym od was się pokażę, bo, w zamian za waszą niegościność, fajerwerek wam urządzę na poczekaniu. Przekonacie się, że galant ze mnie w całym znaczeniu...

Skinął na rajtara, coś mu szepnął, a drab uradowany pobiegł do towarzyszków, wrzeszcząc niezrozumiale.

Zakonnicy już się byli ku klasztorowi zwrócili, gdy przypadł do nich jeden z oficerów szwedzkich. Pijany był setnie, ledwie się na koniu trzymał. W bok uskoczyli zakonnicy, chroniąc się od kopyt rumaka znarowionego przez nieprzytomnego jeźdźcę, oficer zaś, ślaniając się na siodle, pięścią począł im wygrażać, urągać plugawie, wreszcie, dobywszy pistoletu, krzyknął:

— Macie wiedzieć, iż tak to pewna, że klasztor weźmiem bez żadnego zachodu, jak pewnem jest, iż ten pistolet wystrzelę!

Spuścił kurek, ale broń nie wystrzeliła, natomiast koń szarpnął się, dęba stanął, zrzucił jeźdźca i uderzeniem kopyt w skroń życia go pozbawił piorunowym sposobem. Cofnęli się przerażeni zakonnicy, szepcząc do siebie:

— Palec Boży dotknął bluźniercę, a dla klasztoru stąd omen pomyślny...

Weyhard, którego baczności zdarzenie to nie uszło, ile, że się przed jego oczyma tragedia rozegrała, stropił się, zadrżał, ciarki go przeszły. Z konia zszedłszy, przypadł do rozciągniętego na ziemi Szweda, ale po to tylko, aby się przekonać, iż trupa ma przed sobą.

Bracia tymczasem, do klasztoru się dostawszy, w krótkich słowach zdali sprawę z tego, co od Weyharda usłyszeli, nie pomijając dziwnego przytrafunku z saskim oficerem. Jednomyślnie zdarzenie za dobrą wróżbę uznano, a Pasek dłonie zacierając, powtarzał:

— Mają początek! Dobra nasza! Gdyby Weyhard rzetelnym był katolikiem, niechybnieby z onego wskazania Bożego wniosek słuszny osiągnął. Ale w takim niecnocie żadnej wiary niema, więc przestroga Pani Anielskiej, zamiast go poruszyć, więcej jeszcze rozpasyonuje...

Mówił to, stojąc na murze obok pana Piotra Czarnieckiego, który, brwi groźnie zsunawszy, przypatrywał się Szwedom. Kotłowało się pomiędzy ni-

mi, kilkudziesięciu, bądź pojedynczo, bądź małemi gromadkami, zbliżyło się pod opokę, na której wznosił się klasztor i, wymachując rękoma, rzucali obłożonym nieprzystojne wyzwania.

— Boże daj cierpliwość! — pomrukiwał pan Czarniecki, wesa szarpiąc.

Pasek ucha nadstawił, a rozumiejąc mowę niemiecką, straszliwie się rozindyczył:

— Jezu! toćże oni okrutnie na nas wyzwierżają! — jał wyrzekać. — Psie głosy nie idą pod niebiosy, wszelako słuchać ich z klemencyą niepodobieństwo... Bodaj wam pyski Lucyfer ołowiem roztopionym nadział!... Jakże mi ręce świerzbią! Żeby chociaż z hakownicy do nich gruchnąć...

— Ani się waż! — przestrzegał Czarniecki. — Nie wolno strzelać, dopóki oni nie zaczną. Taki rozkaz przeora, a on tu hetman.

W tej chwili płomienie buchnęły obok kościoła Ś-tej Barbary i jednocześnie ktoś krzyknął:

— Nowicyat gore!

— To zapowiedziany przez Weyharda fajerwerk — rzekł ks. Kordecki, z uwagą przypatrując się pożarowi.

— Najwielebniejszy księżę przeorze, — błagalnie odezwał się Pasek — kościół Świętej Barbary palą i nic im za to?...

— Nie kościół, jeno szopy opodal stojące — uczynił uwagę przeor.

— W każdym razie już zaczęli — upierał się Pasek — tedy zagrać im od ucha i skończona parada...

— Strzał pierwszy od nich wyjść powinien — odparł nieubłagany przeor.

— Niedługo będziemy mieli ręce rozwiązane — nadmienił pan miecznik sieradzki — widzę, działa rychtują...

Jakoż niebawem zagrzmiało szwedzkie działko polowe, lecz strzał, skierowany niedołąźnie, żadnej klasztorowi szkody nie wyrządził. Draby szwedzkie pod opoką również zaczęły palić z muszkietów. Wtedy przeor wskazał puszkarzowi działo, pobłogosławiwszy je wprzód, dodając krótko:

— Na nas kolej...

Gruchnął strzał, kula wysmyrgnęła z paszczy armatniej z głuchym sykiem, wpadła pomiędzy szeregi szwedzkie, wierząc w nich wyłom wcale znaczny.

— Myśmy lepsi! — mruknął pan miecznik sieradzki, zadowolony z celnego strzału, przyczem, wsuwając puszkarzowi w garść tynfa, dodał: — Naści za dobry początek, a spisuj się tak zawsze!

Pasek, odetchnąwszy pełną piersią, do hakownicy przypadł, co widząc, pan Piotr Czarniecki roześmiał się:

— Będiesz używał, panie Janie!

— Hulaj dusza! — wykrzyknął Pasek i wnet zmiotł wystrzałem ogromnego draba.

Strzelanina jednak niedługo trwała. Weyhard swojemi polówkami nie mógł klasztoru przerazić, ani zastraszyć. Rychło też kazał odwrót otrąbić i ku Krzepicom zrejterował.

Cofnął się, srodze w zuchwałych spodziewa-

niach zawiedziony. Liczył, że zdoła podejść dobrodusznym, jak mniemał, zakonników, grając komedję serdecznej życzliwości, lub bramy klasztoru, nienawykłe do oporu wojennego, lada wystrzałem dla siebie otworzyć. Wszystkie plany w łeb wzięły. Na dobitkę, ono zdarzenie z oficerem szwedzkim mocno mu w pamięci utkwilo. Byłażby to istotnie przepowiednia dla usiłowań szwedzkich względem klasztoru? Odpychał od siebie to przypuszczenie, zabobonem nazywał, wszelako obawa nurtowała w nim poczęła...

Gryzł go jeszcze wstyd. Sam się prosił na tę wyprawę, upewniając Millera, iż niewątpliwie klasztor opanuje bez zachodu, tymczasem stało się inaczej — habity mnisze tryumfowały. Przygryzać mu będzie Miller rubaszny, ksiązę heski, pułkownik Sadowski, oberszt jeneralny Horn i inni oficerzy również mu nie oszczędzą przekasów, ile, że nie miał u nich zachowania. Lecz graf z Wrzeszczewicz nie należał do skrupulantów, posiadał, jak to mówią, „żoładek strawny“, innemi zaś słowy — duży zapas bezczelności. Tej broni często używał, nawet nie bez skutku. Obecnie znów się do niej ucieknie i wyjdzie z niefortunnej przygody, jak z wielu innych, z honorem, bodaj połatany...

VI

W klasztorze nie spodziewano się takiego obrotu rzeczy, mniemano, że z Weyhardem dłuższa i trudniejsza będzie przeprawa; więc nagły jego odwrót wywołał zdumienie i domysły przeróżne.

— Sprawdziło się tu przysłowie, iż nie każdego kąsa, kto wąsem potrzasa — mówił pan Mosiński. — Srożył się komes, groził i dudy w miech schował.

— Może go sumienie tknęło — odezwał się Kościuszkiewicz.

— Ot, trafiłeś waćpan kulą w płot, panie Ambroży — ramionami wzruszył Pasek. — Sumienie... alboż taki przedawczyk ma sumienie? Liszka z niego czwana — powiedział sobie: kupić, nie kupić, a potargować można; tedy targował, kręcił macał, z mańki zachodził, a widząc, że nic nie wskóra, wziął nogi za pas i hajda!

— Jeszcze go tu obaczym — rzekł pan Czarniecki — bo przecież sam Burharda Millera odwiedziny zapowiedział. Z nim razem nadciągnie.

— Prawdopodobnie — potaknął pan Zamoyski. — Weyhard próbował szczęścia na swoją rękę, próbował psim swędem klasztor opanować, a skoro obaczył, iżemy się na jego sztukach poznali, chwalebnie plecy nam pokazał. Cóż zresztą inszego miał do roboty? Gdyby posiadał był działa i maszyny oblężnicze, z pewnością nie pozbylibyśmy się go tak rychle.

— W każdym razie pierwszy zamach nieprzyjaciela okazał się bezsilnym, spełził na niczem, za co niech będzie chwała Bogu Najwyższemu i Najświętszej Paniencie — podjął ks. Kordecki, który dotychczas nie uczestniczył w rozmowie, wciąż śledząc oczyma znikające w oddali hufce szwedzkie. — Otucha stąd dla nas, ale nie tryumf, bośmy szturmowi nie odparli, ile, że napastnik go nie przypuszczał i przypuszczać nie myślał. Najważniejsza to, iż karty z obu stron teraz odkryte: Szwedzi wiedzą, że klasztor umocniony i od zamiaru otworzenia bram dla nich daleki; myśmy się zaś dowiedzieli, iż lada moment generał Miller ze znaczną siłą pod murami naszymi stanie. Starajmyż się korzystać z każdej chwili. Ja zapukam jeszcze, gdzie jeno będę mógł, o pomoc dla nas; waszmość, panowie miłościwi, którzyście raczyli przyrzec uczestnictwo w obronie, na wypadek oblężenia, rozpatrujcie się w potrzebach, usuwajcie braki, wedle rozumienia waszego. Tymczasem proszę do kościoła. Należy podziękować Pani Anielskiej za dzień pomyślny i błagać Ją o oredownictwo na przyszłość.

Ruszyli wszyscy do świątyni, warty jeno po-

zostały na murach. Niebawem pod stropem przybytku Pańskiego brzmiała rozgłośnie Litania o Matce Bożej, a następnie pieśń rzewności pełna:

Panno niebieskiego tronu, godnaś po Bogu pokłonu,
Tyś jest śliczna, jak lilija, gdy się śród lata rozwija,
Tyś Panno niepokalana, Matka Boża, Gwiazda ranna...

Przeor, kościół po tem nabożeństwie opuściwszy, w celi się zamknął i do świtu rozpisywał listy w różne strony. Więc pisał, nie pierwszy już raz, do króla jegomości Jana Kazimierza i do pana kijowskiego, obudwóch upraszając o pomoc najspieszniejszą, a czynił to raczjéj dlatego, żeby nie mieć sobie, w razie czego, do wyrzucenia, iż żadnego ku zabezpieczeniu miejsca świętego nie przeoczył środka, bo wiedział, że w danej chwili ani król, ani pan kijowski pomocy dostarczyć nie mogą, z przyczyn, które w odpowiedziach na poprzednie listy wyjaślili; pisał do Wittemberga, w Krakowie przebywającego, rzekomo upraszając o list bezpieczeństwa, a w gruncie rzeczy, by zbadać, jakie ma zamiary co do klasztoru; pisał do Weyharda (posyłając mu jednocześnie wizerunek Bogarodzicy, misternie na miedzi wyrzeźbiony), błagając, skoro już wzgląd na zgromadzenie, któremu dotychczas życzliwość okazywał, nic u niego nie waży, — żeby cześć dla Pannienki Najświętszej, której hojne niezbyt dawno ofiary na Jasnej Górze składał, zmieniała jego zamiary; pisał wreszcie do pułkownika Sadowskiego, chociaż ten Czechem był z pochodzenia i błędy Lutra wyznawał, upraszając, żeby nie narażał na zgubę

miejsca świętego, słynnego z odwiedzin monarchów i wodzów nawet cudzoziemskich, tudzież z pielgrzymek Czechów, Morawian, Ślązaków i innych ludów mowy słowiańskiej.

Załatwiwszy się z porozysłaniem listów, w środkach przeciw obłężniczych rozpatrywać się zaczął. Zwiedzał drobiazgową każdą strzelnicę, każdy załamek muru, oglądał zapasy, badał chłopów z wiosek okolicznych, którzy, za pozwoleniem dziedziców swoich, przybywali zaciągnąć się do załogi klasztornej. Właśnie, po wyegzaminowaniu tych ochotników, posilić się zamierzał, gdy mu zaszedł drogę Pasek:

— Cóż tam słyhać, panie Janie? — zapytał towarzysza pancernego przeora.

— Nic złego, ks. przeorze, dobrodzieju, dla klasztoru — odparł Pasek — za to z imaginacją moją w nocy było niezupełnie dobrze.

— Z imaginacją? — powtórzył ks. Kordecki, krotochowile żołnierską przeczuwając. — Czy aby się w niej jakie myśli grzeszne nie zagnieździły?...

— Grzeszne nie, ale całkiem humor burzące. Przedstawiało mi się we śnie, iż Szwedy klasztor oblegli już naprawdę i na mury, szelmy, się dostali, a to za przyczyną ks. przeora dobrodzieja...

— Nie gadaj! — rozśmiał się Kordecki. — Za moją przyczyną? Dałem się oszwabić albo przekupić?

— O! o! zaraz wasza wielbność przypuszczenia snuje, że tak rzekę — niepolityczne. Na oszwabienie możnaby się jeszcze pisać, bo Szwed krwi heretyckiej jest, czyli szwabskiej, więc oszwabienie

w usposobieniu jego leży; chociaż i tu, co do ks. przeora dobrodzieja, zastrzeżenie trza uczynić. Ks. przeor posiada rozum nadzwyczajny, łaską Bożą oświecony, a taka głowa do oszwabienia niełatwa...

— Pochlebca z waści, Salomonem mnie chcesz kreować. Ale praw jeno dalej.

— Co zaś do przekupienia, o tem nawet w krotchwili mowy być nie może. Sama myśl o tem jest bluźnierstwem...

Przerwał ks. Kordecki:

— Ułapiłeś mnie wędką ciekawości i trzymasz, do rzeczy nie przystępując...

— W tym momencie ją z mózgownicy wyluskam, ale naprzód niech się ks. przeor dobrodziej przypatrzeć raczy tym budowlom...

Mówiąc to, Pasek wskazał kramy tandeciarskie, gęsto wzdłuż murów fortecznych ustawione, na pochyłości opoki. Sprzedawano w tych kramach rozmaite przedmioty, przeznaczone do pomnożenia pobożności wiernych, nawiedzających słynne cudami miejsce, jak: koronki, różańce, skaplerze, wizerunki świętych, książki do nabożeństwa i t. p.

— Przypatruję się, ale dojść nie mogę, co w nich tak nadzwyczajnego? — rzekł przeor.

— W samych budowlach nic — tłumaczył Pasek — kramy są, budy zwykłą modą stawiane; mogą one wszelako ułatwić nieprzyjacielowi przystęp pod mury...

Dłonią po czole się uderzył przeor:

— Prawda! prawda! — zawołał. — Mogą, bar-

dzo mogą! Że też nikt na tę myśl nie wpadł... Trzeba je usunąć, zburzyć...

— Nawet nie oszczędziłbym tamtych budowli, bliższych podnóża opoki...

— Rozumie się — przytaknął przeor. — Zaraz wydam rozporządzenia. Oto, co znaczy mózgownica doświadczonego żołnierza; zaraz widać, żeś wyszedł ze szkoły pana kijowskiego.

Uradowany pochwałą Pasek, w ramię przeora całując, dodał:

— Burzenie trza zacząć, chwili nie zwlekając, bo czasu wojennego niespodzianki wyrastają, niby grzyby po deszczu, a nie daj Boże, iżby się sen miał wyśnić, w którym właśnie roilo mi się, jako heretycy pod osłoną budowli onych do klasztoru się dostali...

— Słusznie, natychmiast się weźmiem do dzieła zniszczenia — westchnął ks. Kordecki. — Z bolem serca przystępuję do niego, ale trudno. Chwała Boża, chwała Pani Anielskiej i ocalenie miłej Ojczyzny wymagają poświęceń. Jakom powiedział: przed niczem się nie cofnę, na wszystko się ważę, byle zachować miejsce święte przed zalewem szwedzkim. Czuję, iż stąd wynijdzie głos, który do przytomności obłąkanych powoła; iż stąd wytryśnie źródło światła, który ich serca i umysły oświeci, że opatrzą się w grzechu, wrócą pod rozkazy prawowitego monarchy, króla jegomości Jana Kazimierza, a stanąwszy ramieniem przy ramieniu, jako jeden mąż, usuną zuchwałego najeźdźcę, co honorowi narodu naszego, wolności naszej i świętej naszej wierze katolickiej

zagraża. Boże wielki, wszechmocny, Maryo, Królowo nasza, racz sprawić, iżby się przeczucia moje sprawdziły!...

Wypowiedziawszy to z uniesieniem, przeor skinął na Paska:

— Pójdźmy, panie Janie, do onych budowli.

Pasek zaś rzekł:

— Słowo jeszcze, ks. przeorze dobrodzieju. W tej chwili myśl mi nowa strzeliła, którą pod rozwayę waszej wielbności przedstawię. Krzątamy się tu wcale niczego, przedsiębierzem wszelkie środki ostrożności chwalebnej, przeto godzi się nie zapominać o jednym jeszcze.

— No, no, mów śmiało, panie Janie, przekonałem się, że pożytecznie cię słuchać.

— Owóż, ks. przeorze dobrodzieju, podczas szturmów nieprzyjacieli usiłuje nie tylko mury twierdzy obleganej łamać, ale wielce się stara za pomocą pocisków ognistych zniszczenie po za niemi, wewnątrz warowni szerzyć. Mamy tu, na Jasnej Górze, wiele gmachów murowanych, ale także wiele jest drzewizny, wiele dachów gontowych. O tych trzeba pamiętać. Na wypadek, aby zabieżyć wybuchnięciu pożaru od onych pocisków, w które Szwedzi są dobrze zaopatrzeni, przygotowaliśmy i osęki, i siła płacht, które, wodą zlewane, na dachach rozpostarte, nie będą dopuszczały ognia. Wszystko to bardzo piękne. Wszelako nie zawadziłoby one dachy, gontowe zwłaszcza, pokryć dobrą warstwą ziemi. Opowiadał nam niegdyś w obozie pan kijowski, iż taka warstwa ziemi, dobrze wo-

da zлана, skuteczniej zapobiega pożarowi niż płachty moczone i insze po temu sposoby...

— I sprawiedliwie mówił, skorzystamy z tego środka. Tedy waść, panie Janie, zajmij się zabezpieczeniem dachów, a ja się niewinnemi kramami zajmę. Do roboty, do roboty żołnierzyku miły! Matka Boska zabiegliwość twoją stokrotnie nagrodzi.

Jakoż niebawem z kramów pod murami ślad nie pozostał, a i dachy były możliwie ubezpieczone.

Podczas tych robót, gorączkowo prowadzonych, nadeszła wieść, iż Weyhard, zamiast się opamiętać po ostatnim liście przeora; zamiast, iżby go wizerunek Bogarodzicy, do listu dołączony, skruszył: rozjuszył się ostatecznie. Napadł na włości klasztorne, przeszło czterysta sztuk rogacizny i trzody uprowadził, zaczem zabiegł drogę Millerowi, nagłąc go, iżby jak najspieszniej klasztor zdobył i złupił. Panu Warszyckiemu, kasztelanowi krakowskiemu, który odwodził go od bezbożnego czynu, odpowiedział zuchwale, nie zważając, że do najpierwszego senatora Rzeczypospolitej się zwraca:

— A to niech przyjdzie pan kasztelan bronić, z całą swoją pobożnością, onego miejsca świętego. Wojsko króla szwedzkiego da sobie z nim radę.

Wittemberg pisma przeora bez odpowiedzi nie zostawił; list bezpieczeństwa dla klasztoru przysłał, z tem jednak nadmieniem, iż ma on moc tylko do chwili dalszego postanowienia o Jasnej Górze. Taka

odpowiedź jasno dawała do poznania, iż losy klasztoru są przez Szwedów z góry rozstrzygnięte.

Jeden pułkownik Sadowski, chociaż Czech i wiary luterskiej, wcale zanie sobie postąpił, bo, przeczytawszy pismo przeora, tak doradził zakonnikom, którzy mu je wręczyli, na stronę ich wzięszy:

— Musicie, Ojcowie, przyjąć na barki wasze brzemie wojny, w ten sposób atoli miarkując, żeby zbyt nieprzyjaciela nie rozdrażniać i do okrucieństw go nie pobudzać. Prowadźcie układy jak najdłużej, dopóki nie uzyskacie warunków dogodnych. Tyle jeno wam powiedzieć mogę.

Ów cudzoziemiec i heretyk dalej się posunął w życzliwości dla Jasnej Góry, bo wręcz Millera nakłaniał, iżby klasztoru nie szturmował.

— Wódz tyle sławny, — mówił — którego waleczności tyle twierdz znakomitych uległo, nie przysporzy sobie laurów, dobywając ową warowienkę, przez mnichów bronioną. A gdyby tak, — boć różnie się zdarza na świecie... — gdyby tak, mówię, mnichy przemogli? Wówczas hańbą u potomności, jenerale, imię swoje okryjesz, i słusznie, bo przez gmin nierycerski pokonanym zostaniesz.

— Gorąco coś za mnichami przemawiasz, pułkowniku — rzekł Miller, strosząc ogromne, siwe wąsiska — odkądże ich przyjacielem się stałeś?

— Nie przyjaźń dla mnichów przeze mnie mówi, jeno, jak mniemam, zdrowy rozsądek — odparł Sadowski. — Fortuna kołem się toczy, a ponieważ niewieścigo jest rodzaju, dowierzać jej niepodobna.

Jenerał jesteś tu wodzem; podkomendnym będąc, pójdę, gdzie każesz, ale głosu doradczego mi nie odmówisz...

— Ja również myślę — ozwał się landgraf heski — iż wyprawa na klasztor sensu nie ma. Hrabia Weyhard kurnikiem go nazywa, utrzymuje, że dość pobudki wojennej, aby mnichy, przerażeni, bramy na ścieżaj otworzyli, a tymczasem wyprawa mu się nie udała. Tedy wnioskować można, iż chyba hrabia Weyhard myli się, zapewniając nas, że klasztor to kurnik, który lada kolubryna zburzy, jak również, myli się, co do tchórzliwego usposobienia mnichów...

— Nie mylę się, mości książę — przerwał obecny przy tej rozmowie Weyhard — klasztor istotnie oblężenia nie wytrzyma, załogę posiada nieliczną, niewyćwiczoną, ot... zbieraninę stąd i zowąd. Mnichy są najwyższym strachem przejęci, dowodem tego ich pokorne, rozpaczliwe listy. Obawiają się o skarby swoje, chcą przeto wytargować najdogodniejsze warunki poddania, lecz — przyciśnięci nieco — bramy stanowczo otworzą.

— Dlaczego tobie, hrabio, nie otworzyli? — zagadnął langraf z kolącym sarkazmem. — Jesteś przecie katolikiem, uchodzisz, a przynajmniej dotychczas uchodziłeś, za ich przyjaciela, dobroczyńcę? W takich warunkach traktaty powinny być szybkie i łatwe...

Zaczerwienił się Weyhard.

— Nie używałem, nie mogłem używać argu-

mentów silniejszych, wiesz książę dobrze, iż posiadałem tylko harmatki polowe — odparł.

— Na zburzenie nędznego kurnika i przerażenie tchórzliwych mnichów powinny one wystarczyć — przyciął landgraf jeszcze.

Wtedy Weyhard powstał i rzekł, tłumiąc gniew:

— Nie wiem, z jakiej racji ja, wierny króla jegomości szwedzkiego sługa i oddany wam, mości panowie, sprzymierzeniec, jestem wciąż przedmiotem waszych przekasów. Jeżeli chcecie wiedzieć koniecznie, dlaczego nie nacisnąłem mnichów, jakby należało, to powiem, iż pragnąłem, aby zasługa zajęcia klasztoru i koźyści stąd płynące nie na mnie tylko spadły. Zawsze oddaję, co komu należy, a przecież jest pomiędzy nami rycerz, któremu, dla blasku świetnych jego zasług, trzeba pierwszeństwa ustępować...

Skłonił się Millerowi, chcąc tym sposobem wyrazić, iż pochlebstwo, niezbyt zręczne zresztą, pod jego adresem było wystosowane, następnie, obrzucawszy Sadowskiego i landgrafa wyniosłem spojrzeniem, odszedł napuszony.

Miller, wódz w rzeczy samej doskonały, ale polityk nietęgi, cenił ludzi powierzchownie. Na Weyhardzie nie poznał się. Ponieważ smakował w pochlebstwach, których mu pan z Wrzeszczowicz przy każdej sposobności nie szczędził, ponieważ nadto Weyhard nadskakiwał mu i uniżoność okazywał, lubił go, bronił przed zarzutami innych pułkowników i chętnie podszeptów jego słuchał. A Weyhard

zawsze przyobiecował mu z rad swoich złote góry, co jeszcze więcej Millera do przewrotnego Czecha skłaniało. I tym razem, gdy Weyhard z kwatery jego wyszedł, rzekł do Sadowskiego i landgrafa:

— Cierpicie, panowie, coś do hrabi, a to całkiem dobry człowiek. Bić się potrafi, na rzeczy zdrowo patrzy... Pamiętajcie też, iż zachowanie ma u króla jegomości naszego. Zna kraj doskonale, toruje nam drogę, z rad jego i wskazówek dużo korzystamy. Takich ludzi zrażać nie należy.

— Żebyś tylko generał swego zdania w przyszłości nie zmienił... — uśmiechnął książę heski.

— A to bardzo prawdopodobne — dorzucił Sadowski. — W każdym razie ja opinii mojej co do klasztoru nie porzucam. Wyprawa ta nie podoba mi się, źle o niej wróżę.

— Inaczej będziesz mówił, mości pułkowniku, — rzekł Miller — gdy się w skarbcu klasztornym znajdziemy. Złota, dyamentów, wszelkich kosztowności tam mnóstwo; skarby od wieków mnichy z całej Polski gromadzą. A zważcie, że szlachta okoliczna tam również swoje pieniądze i precyzoza nazwoziła, mniemając, iż na klasztor uderzyć nie będziemy śmieli. Ma nos Weyhard, ćwik z niego, przekonałem się, że umie trafić, gdzie się dobrze pożywić można.

— A zwłaszcza tam, gdzie sam się może obłowić — nadmienił Sadowski.

— Mało wart człowiek, który o interesach własnych nie pamięta — ziewnął Miller. — Zresztą, mości panowie, wyprawa na Jasną Górę postano-

wiona; za dni kilka, ośmnastego, staniemy pod murami klasztoru i przekonamy się, zali Weyhard nas nie bałamucił.

— Z oczu mu bałamuctwo wyziera... — mruknął Sadowski.

— Coś rzekł, pułkowniku? — zapytał Miller niecierpliwie.

— Podziwiam hrabiego Weyharda, jenerale — odparł złośliwie Sadowski — podziwiam jego talenty i gotów jestem rytmny na jego cześć układać, jeżeli sprawdzi się, co nam o Jasnej Górze naopowiadał...

Rozmowę powyższą wodzowie szwedzcy prowadzili już w Wieluniu. Zaraz też do konwentu tamtejszego przedostała się wiadomość o ostatecznym postanowieniu Millera. Przeor konwentu natychmiast zawiadomił o tem ks. Kordeckiego przez O. Jacka Rudnickiego.

— Ośmnastego zatem, tego miesiąca, listopada, będziemy mieli niepożądanych gości? — wypytywał ks. Kordecki posła.

— Wiadomość pewna, Miller się z tem nie kryje — brzmiała odpowiedź.

— Z jakąż siłą ciągnie?

— Z bardzo znaczną. Ma pod sobą 9,000 wojska, 19 dział wielkich, oraz inszy przyrząd oblężniczy. Niedosć na tem: ciągną z nim hufce: Weyharda, landgraфа heskiego, Sadowskiego i dwóch pułkowników Polaków...

— Tak zatem niedawny nasz dobrodziej do tego stopnia się na klasztor zawzjął iż go chce z zie-

mią zrównać — mówił jakby do siebie ks. Kordecki. — Jakże zmienną jest natura ludzka... A cóż na to ks. przeor wieluński?

— Wielebny nasz przeor mniema, iż Jasna Góra żadną miarą takiej sile się nie oprze, przeto doradza, iż trzeba raczej myśleć o wyjednaniu jakiegokolwiek pokoju, niż miejsce święte narażać na szwank niepewnego wypadku wojny. Zgromadzenie może żałować, kiedy już będzie za późno, że zaniechało układów poddania...

Westchnął ks. Kordecki, ręce złożył, czas pewien milczał, oczy mając zwrócone ku wizerunkowi Bogarodzicy, zdobiącemu jego celę. Wreszcie, wskazując ów wizerunek posłowi z Wielunia, rzekł:

— Ma Miller wojska siłę, ma działa i wszelkie przyrządy oblężnicze: my zaś mamy w Pani Anielskiej, Bogarodzicy, nieba i ziemi Królowej, puklerz, który nas od jego przemocy skutecznie zasłoni. Na prochy, muszkiety, kule ogniste, wystarcza modlitwa gorąca serc, szczerze Jej dufających. Usilnie starać się będziem o odwrócenie zamysłów szwedzkich, przeciwko Jasnej Górze powziętych, lecz bram żadną miarą nie otworzymy, chociażby nam groził najsrożej, chociażby najponętniejsze obietnice przedstawiał.

— A gdy do szturmuj przyjdzie? — zapytał cicho O. Rudnicki.

Przeor ręce rozłożył.

— Bronić się będziemy do ostatniego tchu — odparł.

Skłonił się O. Rudnicki, Kordecki zaś, do defi-

нитарza zwoławszy zakonników i szlachtę, niebawem tam podążył.

Już oczekiwano na niego.

Pan Piotr Czarniecki mierzył wielką komnatę szerokimi krokami, nachmurzony, szarpiąc brody; pan miecznik sieradzki wąsa zawzięcie stroszył; zresztą twarze wszystkich, zarówno zakonników, jak szlachty, wyrażały podniecenie nadzwyczajne, które też się ujawniło z rozmów prowadzonych gorączkowo, swarliwie, dosadnymi gestami ilustrowanych.

Z wejściem przeora cisza zaległa. Czarniecki zwawo ku niemu się zbliżył i szepnął z oburzeniem niemal:

— Na Boga! niechże wielebność wasza tęgo, *stante pede* i bez ogródek, głowę zmyje krukowi, co przed czasem kraczą i tym, którym od tego krakania dusza w pięty ucieka... Jakem pocziw, nie myślałem, żeby tchórz miał tak łączny dostęp do klasztoru.

— Co się stało? — zapytał ks. Kordecki, nieco zdziwiony.

— A stało się, ks. przeorze dobrodzieju — rzeczę Pasek, który też się do Kordeckiego przysunął — iż ks. przeor wieluński strachem na Jasną Górę gruchnął, w czem go poparł ten oto szlachcic, który pono z życzliwości dla miejsca świętego, umyślnie z przestroją tu przybył.

Wskazał niemłodego już, przysadkowego konuszowca, z twarzą pocziwą, lecz subtelnego umysłu nie zdradzającą.

Spojrzał na szlachcica Kordecki, uśmiechnął się.

— Znam tego szlachcica: to zacny pan Michał Chlebowski — objaśnił Paska. — Serce złote, ale zastanowienia w głowie omal. Przejmuje się wszystkim, wszystko widzi w nazbyt czarnych, albo nazbyt różowych kolorach...

Pan Chlebowski snać usłyszał, iż przeor jego nazwisko wymienia, bo zbliżył się drobnym kroczkiem, nieco ociężale.

— Służby powinny dla wielebnego ks. przeora, — jął trzepać, sepleniąc niemilosiernie — pod nogi się ścielę, stopki całuję, witam i weneruję... Jeśli się nie mylę, o mnie tu mowa?

— O waszeci, panie Michale, — odparł przeor. — Właśnie pan Pasek, towarzysz pancerny z pod znaku pana kijowskiego, skarży się na waszmości, iż się na Jasną Górę zjechał ze złemi zamiarami...

— Ja? ja? — przerwał Chlebowski. — A to fałsz! A to kalumnia! A to straszna historia! Ja — ze złemi zamiarami? Niech mnie Bóg ciężko...

Pasek nie dał mu dokończyć:

— Żaden fałsz, żadna kalumnia, mości dobrodzieju, jeno szczerą prawdą — rzekł po swojemu, dobitnie. — Jakże? Czyś waszmość nie rozpowiadał, iż Miller ciągnie na klasztor z taką potęgą, że oprzeć się jej żadnym sposobem nie zdołamy?

— Ano, ano... bo prawda, bo prawda! — brotnił się Chlebowski. — Ciągnie! Jak Pana Boga mego — ciągnie. Proszę zapytać O. Rudnickiego, potwierdzi, chociażśmy się nie zmawiali. Siła sro-

ga, okrutna, wiele tysięcy, chłop w chłopa, a wszystko zawzięte, barbarusy, strach spojrzeć...

— Dla szaraka dość komara, by elefanta z niego wymagować — zauważył Pasek.

Rzucił się Chlebowski:

— A waszeć mi... tego... nie przycinaj, bo...

Język mu się zaplątał, z czego ks. Kordecki skorzystawszy, załagodził szorstkie odezwanie się Paska:

— Panie Michale, nie pasyonuj się waszeć, nie ma o co. Anse ma do ciebie pan Jan, że przesadzonymi wiadomościami o siłach szwedzkich serca nasze trwożysz, czego mu za złe brać nie można, bo istotnie przysługę niedźwiedzią miejscu świętemu wyrządzasz.

— Ja nie przesadzam, ks. przeorze, ja... tego... cóżem to chciał powiedzieć?... — bąknął szlachcic zmieszany.

— Przesadzasz, kochany panie Michale, taki już twój zwyczaj, taka natura. O złą wolę cię, Boże zachowaj, nie posądzam, gdyż znam cię aż nadto dobrze. Uważ waszmość, że przesada zawsze nicpotem, a w danym razie całkiem jest grzeszną. Zastanowiwszy się, sam to przyznasz i rankoru do pana Paska mieć nie będziesz, jak również pan Jan do ciebie się przekona. Zgoda, mości panowie! Ani mi się ważcie swarzyć, bo do celi zamknę i na bałtożki z włosienicą skażę...

Uściskawszy ręce obudwóch, w krześle przełożenijszym zasiadł, dłonią o stół uderzył, znak da-

jąc, iż przemawiać będzie, skoro zaś uwaga wszystkich na jego obliczu się skupiła, tak począł:

— Ojcowie wielebni, panowie miłośnicy a goście nasi i łaskawi *auxiliares*. Oto ks. przeor wieluński zawiadamia nas, iż Miller ze znaczną potęgą za dni kilka pod murami klasztoru stanie. Tęż samą nowinę przywiózł pan Chlebowski, niedaleki sąsiad i dobrodziej Jasnej Góry. Ks. przeor wieluński, przerażony oną potęgą Szwedów, radzi nam koniecznie starać się o wyjednanie jakiegokolwiek u Millera pokoju, mniema bowiem, iż ten szwedzki Achilles kolubrynami swemi klasztor w perzynę obróci. Pan Chlebowski również się potęgi szwedzkiej lęka. Przeto o zdanie wasze pytam: Jako myślicie?

O. Gołdonowski, musnąwszy brody białej, odparł:

— Jeszcze onej potęgi nie widzimy przed oczyma i kto wie, czy ją obaczymy. Jeśli zaś ją obaczymy, to znów kto zaręczy, że do oblężenia przyjdzie? Wszak niedawno graf Weyhard armował się na Jasną Górę i tyle skorzystał, że wstydu się najadł. Z Millerem może stać się to samo. Gdyby przyszło do oblężenia, tośmy już zdecydowali, iż bronić się należy, dufając Królowej Anielskiej. Rozum mój drogi innej nie widzi. Bronić się — powtarzam — bronić, trwać do upadłego i modlić się do Bogarodzicy Najświętszej o pomoc, której nam, sługom swoim, nie odmówi.

— Zaiste — odezwał się O. Jan Stradomski, kaznodzieja serdeczny — nic dodać, ani ująć nie można od tego, cośmy z mądrych ust O. Andrzeja

usłyszeli. Nie mówię grzechem, ale zbrodnią byłoby wpuszczać heretyka na Jasną Górę. Wybrała nas Pani Anielska na strażników polskiej stolicy swojej, tedy jakbyśmy przed Nią stanęli, jakbyśmy się tłumaczyli, sprzeniewierzywszy się Jej zaufaniu? Wstręt serce chwyta i dusza mdleje ze zgrozy na myśl samą przemieszczenia!

— Jeno taki układ może stanąć między nami, a Szwedem — podjął O. Ludwik Czarniecki, stryjeczny pana Piotra — żeby heretyk w spokoju nas ostawił. Czego od nas chce? Mamy przecież salwę-gwardyę króla jegomości szwedzkiego? A chociażbyśmy nawet nie mieli, niewolno nam dopuszczać, iżby heretyk obecnością swoją Bogarodzicy bluźnił...

Tak samo przemawiali O.O. Sławoszewski, Małachowski, Rychtarski, Stypulski, Lasota, Stawicki; tak samo ze szlachty: Czarniecki, Zamoyski, Mościński, Krzyżtoporski, piątacy i inni. Lecz znaleźli się pomiędzy zakonnikami, z młodszych zwłaszcza, którzy nieśmiało poczęli się odzywać, iż może ks. przeor wieluński ma słuszość.

— Nasza rzecz modlitwa, służba około chwały Bożej i Panny Najświętszej — mówił jeden — nie przystało nam w szrankach Marsa stawać, wojnę toczyć. Chociażbyśmy umocnieni byli należycie, i wówczas chyba nie dotrwalibyśmy w oblężeniu, ile, że brak nam wcale eksperyencyi. Nie rozjuszać Szwe-da oporem — zda mi się — należy, lecz rozbroić go uległością. Pokora prawem naszym, jakże tedy wojny się imać mamy?...

Za tym głosem ozwały się inne, zakonników i szlachty, również za układami ze Szwedem orędujące, przyczem stawiano argumenta dosadne, z których wnosić należało, że upór zgotuje zgubę klasztorowi, zakonnikom i całej załodze.

Chrzakał pan Zamoyski, słuchając takich protestów, wargi do krwi kąsał pan Czarniecki; Pasek i czterej inni towarzysze ledwie usiedzieć mogli na miejscu, ale nie odzywali się, tylko wciąż spoglądali na przeora, błagając go oczami, iżby zgromił należnie małodusznych. Kordecki zaś słuchał pilnie, z głową opuszczoną i rękoma pod fałdami habitu wsuniętymi; dopiero, gdy lekliwość coraz szerzej rozwozić się poczęła, podniósł głowę, obrzucił wzrokiem płonącym zgromadzenie i, wytrzymawszy przez chwilę, wyrzucił z pełnej piersi:

— „Gdzież jest wiara wasza?“ Zapytuje was słowami Chrystusa, Pana naszego, słowami, które zwracał do strwożonych nawałnością wód uczniów swoich. W Łodzi naówczas był Pan Zbawiciel z uczniami, i zasnął, a nawałność jęła miotać barką. Tedy przelekli się, bo małodusznymi jeszcze byli, i wołać jęli: „Mistrzu! Mistrzu! ginimy!“ A On, ocknąwszy się, zgromił wiatr i wały wodne, i uśmierzyły się, i stało się uciszenie. Tedy rzekł uczniom: — „Gdzież jest wiara wasza?!“

— Nie dlatego wam, Ojcowie i mości panowie, przypominam Ewangelię Świętą, iżbym tyle był zuchwwały i Bogu naszemu, Zbawicielowi, podobnym się czynił, lecz dlatego, iż do każdej duszy wątpiącej należy zwracać ono zapytanie Chrystusa. I na-

leży każdej duszy omdlewającej w zwątpieniu przypominać jeszcze i te Boskie słowa: „Proście, a będzie wam дано; szukajcie a znajdziecie; kołaczcie, a będzie wam otworzono. Każdy bowiem, kto prosi — bierze, kto szuka — znajduje, a temu, co kołace, będzie otworzono. A któryż jest ojciec, którego, gdyby prosił syn o chleb, izali mu da kamień? Albo prosiłby o rybę, izali mu zamiast ryby da węża?”

Więc spełniam obowiązek i przypominam słowa Boskie, bo widzę was opadniętych przez strach zwątpienia. Zastanówcie się bowiem, Ojcowie i mości panowie: wszak ta Jasna Góra jest skarbnicą łask Bożych, perłą świętości Rzeczypospolitej? Wszak słynie to miejsce z cudów rozlicznych i wielkich? A skoro tak jest, skoro najmniejszemu wątpieniu nie ulega, iż Bogarodzica Najświętsza osobliwie do miejsca tego ma upodobanie; skoro je czas pokoju ochrania mocą swoją cudowną: kto śmie, kto odważy się powątpiewać, iż łaskę Swoją stąd odejmie w chwili, gdy przez heretyka zagrożonem zostało?

Bracia w Chrystusie! Ojcowie i mości panowie! wyrzućcie z serc waszych grzech zwątpienia... Uczynimy wszyscy ofiarę ze swego życia na cześć Bogarodzicy, która tyle, tak wielkich dobrodziejstw z tego miejsca na naród polski z hojną łaskawością zlała; która więc dla sług, strażników i obrońców swoich z pewnością w potrzebie nadchodzącej łaskawą się okaże. Czemże jest potęga szwedzka, co mówię — potęga świata całego, w porównaniu z mocą Najświętszej Bożej Rodzicielki? Czemże jest na-

wet potęga żywiołów wszelkich, zastępów piekielnych, a Jej moc? A wy, Ojcowie i mości panowie, którzyście się tu zgromadzili chwalebnie, aby Jej stolicy polskiej bronić, aby Jej cześć od zniewagi heretyków osłonić, wy — śmiecie o wdzięczności, o sprawiedliwości Orędowniczki Niebłeskiej powątpiewać? Bo czemże jest wasz strach przed Szwedem, jeśli nie obwinieniem Świętej Bożej Rodzicielki o niesprawiedliwość i niewdzięczność? Bijcie się w piersi i kajajcie, a mocne poweźmijcie postanowienie, iżby pokusie zwątpienia w przyszłości znów nie dać do serc waszych przystępu...

A to nadmieniam wam: daremnie heretyk będzie się na to miejsce armował, daremnie złość swoją, wraz z kolubrynami, kulami ognistymi rychtować będzie, dopóki serca wasze płonąć będą ogniem świętej wiary w pomoc Pani Anielskiej... *Sursum corda* tedy! Wnieśmy serca! Zwycięstwo wam zapowiadam, jeżeli przy wierze gorącej trwać będziecie!

Głos przeora brzmiał coraz donośniej, oczy jego coraz jaśniej płonęły, na twarz coraz silniejszy występował rumieniec... Porwany zapałem, w olbrzymia się zmienił, zdało się, że to przez jego usta przemawia Anioł Boży...

Gdy skończył, w definitarzu taka zalegała cisza, że można było słyszeć uderzenia serc. I trwała owa cisza chwilę, nikt przemówić nie śmiał, nikt oczu od oblicza przeora odwrócić nie mógł. Dopieroż sam przeor, odetchnąwszy głęboko, przesunął dłonią po

czole, spojrział dokoła i zapytał już zwykłym, łagodnym głosem:

— A teraz, Ojcowie i moi panowie, rzeknijcie, zali słuszność nie po mojej stronie? Zali mamy powodów lękać się najścia heretyka? Zali nie mamy rękami pomocy świętej?

Szlachta tłoczyć się zaczęła do dłoni przeora i ze łzami w oczach, wołać:

— Czynimy ofiarę z życia naszego na cześć Bogarodzicy!

— Żadnych układów! Przepędzim Szweda, gdzie pieprz rośnie!

— Nie straszny nam heretyk, skorośmy płaszczem Najświętszej Bogarodzicy osłonięni...

Ci z zakonników, którzy o możliwości wytrzymywania oblężenia wątpili, ze skruchą do winy się przyznawali, a przeor łagodnie, po ojcowsku ich karciał, nie szczędząc nauk pełnych mądrości.

Pan Michał Chlebowski również winnym się uczuł, iż tak lekkomyślnie za układami ze Szwedem przemawiał i srodze to sobie wyrzucał, w czym mu Pasek szczerze dopomagał.

— Rozważ waszmość, — prawil — jakiego bigosu mógłbyś nakwasić. Bo insza rzecz, iż się jeden i drugi mniszek uląkł, a nawet przeor wieluński. Dla zakonnika, po za światem i jego obyczajami żywot pędzącego, wojna to raryt, to osobliwość, jakoby nie przymierzając dla Cygana marcypan. Jasneć zresztą, że kto wojny nie świadom, kto na nią nie patrzył, prochu nie wachał, tego lada draśnięcie szabli o wielki strach przyprawi. Inaczej nie może być.

Ale całkiem insza kategoria z nami, stanem szlacheckim, którzyśmy od wieków do rzemiosła rycerskiego przeznaczeni. Nasz brat, skoro o sprawach wojennych rozpowiada, to słuchają go wszyscy na okół i zdanie jego do serca biorą, bo przez jego usta gada, jeśli nie eksperyencya osobista, to ów zmysł przeczucia, osobliwym przywilejem szlacheckim będący, który mu pozwalała w sprawach żołnierskich jako w domu własnym się rozpatrywać.

— Nieinaczej, nieinaczej, moi towarzyszu — potakiwał Chlebowski — przyznaję i mocno żałuję pochopności swojej. Jużci mnie nie wstydać, bo... com chciał rzec?... oczu trudno mi podnieść na ludzi. Co tu gadać: omylnem stworzeniem jest człowiek, często najprzezorniejszy bąka utnie, aż miło...

Teraz, gdy ks. Kordecki dokumentnie wszystko wykalkulował, bielmo mi z oczu zeszło i pewny jestem, że choćby nie jeden Miller, ale stu na Jasną Górę nastąpiło, nie wykukaliby nic, ile, że potęga Pani Anielskiej nad tem miejscem czuwa...

— Z waści, widzę, godna osoba, — napomknął Pasek — jeno wszystko defigurujesz, o czym przeor Kordecki już wspominał. Ale, przyznaj waszmość: — dodał, zmieniając materję rozmowy — przeor jasnogórski potrafi do serca przemówić, co?

— Cycero, Demostenes wody za nim nie godni nosić! — z zapałem wykrzyknął pan Chlebowski. — Słowami rozgrzewa, niby najteższym petercymen-tem... Człowiek inszym się staje, słuchając jego nauk. Święty małż, apostołskie w nim tchnienie.

Tu Ołtarzewski szepnął Paskowi:

— Panie Janie, wartałoby pani Branickiej nowinę zanieść o Millerze... Pójdiesz ze mną?

Pasek na to, palcem mu wygrażając:

— Ejże, Franusiu, niepoprawnyś! W świętem przebywając miejscu, nie możesz pokusy poskrocić...

— Co waści? — oburzenie udał Ołtarzewski. — Tobie, panie Janie, zawdy w mózgownicy krotochwile fermentują, a nie zawdy wczesne. Stolnikowa przecież pod naszą niejako jest opieką. Wiesz nadto, że sama nas obligowała, iżby żadna nowina, Szwedów dotycząca, jej nie uszła. Obowiązek kawalerski nakazuje o tem pamiętać, co z pewnością Balcerowicz potwierdzi.

— Że Sewerynek potwierdzi, o tem gadania niema — roześmiał się Pasek—z jedneście wy mąki, do jednego ciągniecie, jedno wam w mózgownicach świta. Jemu Krysia Drozdowska, a tobie wojszczanka. Zaprzaj się, zdrajco, jeśli ci sumienia starczy?

— Głodnemu chleb na myśli... — mruknął Ołtarzewski.

— Jakto głodnemu? Co głodnemu? — podkreślił wesa z fantazyą Pasek. — Gdybym był głodny na wdzięki panienek owych, do których wam serca aż skwierczą, to obudwóch was dawnobym od nich odsadził, niby kotów od śmietany, bo jeden i drugi brać się do rzeczy nie umie. Zresztą z płcią nadobną osobliwie mi się szczęści. Kto wie nawet, czybym tego nie uczynił, w inszych warunkach się znajdując. Ale w miejscu świętem, przez heretyka za-

grożonem, o tem nie myślę, gdyż tak rozumiem, że niecnotliwość byłaby podwójna.

— Panie Sewerynie — zwrócił się do Balcerowicza Ołtarzewski — pójdźmy sami do stolnikowej. Z Paskiem się nie dogadamy, zaczął młynkować po swojemu.

— Czekajcież, — przerwał Pasek — nie puszczę was samych. Rozamorowane głowy łącno koźła wywracają, z czego na ich kompanów wstyd i odpowiedzialność spada. Bo i czemże jest człowiek amatorami przeniknięty? Rozum jego omamiony, chodzi nieprzytomnie, a prawi od rzeczy. Bodajto serce mieć opancerzone i afektom gwałtownie przystępu do niego nie dawać...

— Waszmości, panie Janie, nie przegadać — westchnął Balcerowicz.

— Z przekupką krakowską łącniejbyś się uporał — dodał Ołtarzewski. — Kasa, przymawia, zuchwałuje, a o onem jego opancerzonym sercu długoby prawić. Do każdej przysiadalby się, gdyby jeno go nie rekurowano...

— O sobie prawisz, Franusiu, swój konterfekt malujesz! — znów się roześmiał Pasek i zanucił półgłosem: „Kto afektu nie zna, ten żywie szczęśliwy, ma nockę spokojną i dzień nietęskliwy...”

Pani stolnikowa Branicka zajęta była ze skarbnikówną, wojszczanką oraz z kilku innymi szlachciankami wyskubywaniem szarpin i przygotowywaniem bandaży, których zapas czasu wojny nigdy nie bywa zbyt wielkim. Skarbnik przy kominku siedział, różaniec przesuając w palcach, a podsędko-

wa w innem miejscu drzemała. Skarbnikówna i wojszczanka, ujrawszy wchodzących kawalerów, zaczerwieniły się okrutnie, spojrzały na siebie, potem zaraz oczęta spuściły i zaczęły z niezwykłą pilnością nad szarpinami pracować; Pasek zaś, szurgnąwszy w ukłonie nogą szarmancko, tak się ozwał już w progu:

— Dziw jest, mościwe panie i panny, że jesień twardą mamy już na świecie, a tu, w klasztorze, róże i lilije kwitną w najlepsze...

— A waszmość kroku nie postąpisz bez krotchwili lub komplimentu, — rzekła stolnikowa — bo dajto z taką naturą!

— Natura u mnie całę niezgorsza, w szczerości kapana, nie jak u inszych — skrytością się rządząca, pani stolnikowo dobrodziejko — mówiąc to Pasek znaczące spojrzenie rzucił na zapłonione panienki, następnie oczyma mrugnął w stronę Balcerowicza i Ołtarzewskiego. — Tak ci jest. U mnie co w sercu, to i na języku. Skrytość wszelką, osobliwie przy grzecznej konfidencyi, poczytuje za niepolityczną, za faryzeuszostwo, skarcenia godne. Nie wszyscy takimi argumentami się rządzą, a nawet palcem takich mógłbym wskazać w tej chwili, lecz wołę poniechać tego obowiązku, ile, że z czem innem tu przychodzim. To jest, z czem innem przychodzę ja, gdyż godnych moich towarzyszków, jak mniemam, inszy tu magnes zawdy pociąga...

— Złośliwym jesteś waszmość — zauważyła stolnikowa — a radzę, bacz, żeby ci przy sposobności równą nie odplacono miarą.

— Złośliwości, pani stolnikowo dobrodziejko, nie znaleźć we mnie ani krzty. Dobroć we mnie i słodkość taka, że za balsam kojący mógłbym służyć, byle nie Szwedom, którzy na dzień ośmnasty wizyte swoją zapowiedzieli.

— Zapowiedzieli się?

— I to na pewno?

— Przez kogo? Opowiadaj waszmość ze szczegółami...

Tedy Pasek wszystko po porządku wyłożył, — z jakimi wiadomościami i radami przyjechali O. Jacek Rudnicki i pan Michał Chlebowski, co się działo w definitarzu i jaki tam tryumf odniósł ks. przeor Kordecki.

Nowina na słuchaczach nie jednakię wrażenie wywarła. Te żegnały się, ręce składały i modlitwy szeptać poczęły; inne patrzyły wzajem na siebie po prostu z przerażeniem; lecz większość zachowała spokój, a do tych należały: stolnikowa, skarbnikówna i wojszczanka. Skarbnik, który z dniem każdym do lepszego rozumu wracał, ozwał się ze swego miejsca, dłonie do góry wznosząc:

— Oto zapamiętały wróg Rzeczypospolitej i świętej naszej religii katolickiej sam się nastęrcza, aby mu Pani Anielska na tem miejscu cudownem karę należną wymierzyła; aby sromu zaznał, hańby, przez pogrom,, jaki go tu czeka. Radujmy się, bo wiem sprawiedliwość uzyskamy rychle za krzywdy, jakieśmy od heretyka wycierpieli — za krwi potoki przelanej, za świątyń bezczeszczenie, za kapłanów Bożych udręczenie, za puszczone z dymem pożarów

wsi i miasta. Jęczyliśmy długo w poniżeniu: rychło teraz śpiewać będziemy wdzięczne „alleluja!”

— W jasnowiedzeniu prawi pan skarbnik—szepnął Balcerowicz. — Spójrzycie, waszmość panowie, jak mu się oblicze rozjaśniło, zda się, że spływają na nie blaski niebiańskie...

Stolnikowa, widząc, że niektóre z niewiast i panielnek wciąż pod wrażeniem strachu zostają, rzekła poważnie, z otuchą:

— Nareszcie i my bliżej w oczy Szwedom spojrzymy. Do tych cudów, które od wieku królowej Jadwigi stąd na Polskę naszą spływają, Boża Rodzicielka nowy, nad insze świetniejszy, przyłączy — a tym będzie pogrom Szwedów. Nie należy, nie godzi się wątpić o zwycięstwie, wszystko za niem przemawia. Głosi je przecież wielebny ks. przeor, a mąż to święty, łaską Najwyższego Pana obdarzony; głoszą też insi, że wskażę tu obecnego pana skarbnika. Wielebni O.O. Paulini, małżonkowie nasi, bracia, synowie i zgoła cała załoga męska spełni obowiązek — wszelako i my od obowiązku swego się nie uchylim. Pomagać będziem, mościwe panie i panielki, w odparciu obłężenia, ile mocy naszej, ile nas stać. Choćby przyszło w ostateczności za oręż chwycić i na wały iść, pójdziem bez strachu. A przede wszystkim winnyśmy nie wyniszczać otuchy z serc męskich, przerażenie okazując, lecz je właśnie otuchą i dobrą myślą napełniać, ze spokojem przyjmując, co Bóg da...

Ulga wielką, pokrzepieniem okazało się przemówienie stolnikowej, z twarzy niewieścich ustąpił

wyraz zatrwożenia; ta i owa szlachcianka odzywała się teraz zapewnieniem, że gdy do rzeczy przyjdzie, żadnej z nich chyba odwagi nie zbraknie. Pasek, Oltarzewski i Balcerowicz, słuchając stolnikowej, łokciami się tręcali, szeptać do siebie:

— Co to znaczy krew zacna, rycerska!... Córka nieodrodna z pani stolnikowej znamienitego rodzica swego...

— Mnie aż łzy do oczu napłynęły—mrucał Balcerowicz.

— Bo waść, panie Sewerynie, serca masz z masła, albo z wosku; — przyciął mu Pasek, nie przyznając się do tego, że jego też słowa stolnikowej wzruszyły — waść lada co usłyszysz, albo na lada dziewczkę spojrzysz, już topniejesz na szcęt.

— Co za fantazya! Jaki animusz! — dziwował się Oltarzewski.

Pasek, z wielką rewerencyą zbliżając się do stolnikowej, rzekł wesoło:

— Dali Bóg, o sto łokci urosłem, pani stolnikowo dobrodziejko, rozkoszując się jej słowami. Zdało mi się, iż to przemawia jaśnie wielmożny pan kasztelan kijowski, nasz hetman ukochany. Zaprawdę — przy takich sercach, jak przeora Kordeckiego, jak godnego brata pana kijowskiego, jak pana miecznika sieradzkiego i pani stolnikowej dobrodziejki, zwycięstwo pewne, chociażby z potencjami heretyków całego świata porać się przyszło... Ano — jakąż przedziwną moc pani stolnikowa dobrodziejka posiadasz! Przed chwilą widziałem na obliczach nie-

których trwożę, a płomienne słowa pani stolnikowej w oka mignieniu ją spłoszyły... Zaręczam, gardło w zakład stawię, że pani stolnikowa wpływem swoim i przykładem babiniec na Jasnej Górze zgromadzonej w tak grzeczną chorągiewkę przeistoczysz, że nam, żołnierzom z zawodu, przyjdzie tego się trzymać, iżby nas nie zawstydziła...

— Może to się stać — uśmiechnęła się Branicka — słyszałeś waszmość, często powtarzałam, że nie po to na Jasną Górę dążyła, aby czasu obłączenia z założonemi rękoma siedzieć.

— Stanie się z wszelką pewnością. Ci-panie, sprawna będzie chorągiewka, jak gdybym już ją oglądał. Cudów dokaże nieomylnie, ale... jeśli kondycya będzie zachowana.

— Jakaż to kondycya? — dopytywały się panienki.

— Bardzo ważna. Taka, jeśli dwie panienki, którym pani stolnikowa szarżę rotmistrzowskie w chorągiewce swojej przeznaczy, nie będą więcej pozierały na poruczników, których sobie wybiorą, niż na Szweda.

Skarbnikówna i wojszczanka znów w pons po same białka oczu, a Ołtarzewski rzekł kwaśno.

— Świta ci po mózgownicy, panie Janie, w piętę waszmość gonisz...

— Nie w piętę ja gonię, panie Franciszku, towarzyszu mój i przyjacielu, ani mi po mózgownicy świta — prawil Pasek z coraz większą werwą — lecz słowa przestrogi podsuwam tym, komu się one

przynależą. Czynię zaś to nader dyskretnie, że nikt się przestroją moją urazić nie może. Inszy, na dyskrecyi i polerunku światowym się nie znający, pewnie popuściłby wodzy językowi i wręcz oznajmił, iż one dwie panienki urodziwe—to panna skarbnikówna i panna wojszczanka: ja zaś to utrzymałem *sub rosa*... Inszy nie strzymałby się i wyznał, że panienki na poruczników swoich upatrzyły ciebie, panie Sewerynie, i ciebie, panie Franciszku: ja i to przemilczałem...

— Dyskrecyi waść przestrzegasz, ani słowa! — rozśmiała się stolnikowa, a za nią insze panie i panienki chichotać grubiej i cienieć poczęły, Zosia zaś Łozińska odważyła się z wesołym towarzyszem pancernym zacząć:

— Niechże nam pan Pasek wytłumaczy się jaśniej, bo znów myśl swoją tak wyornamentował, że ani sposobu jej dopatrzyć...

— Jeżeli ktoś kogo przestrzega życzliwie, nie zajeżdża ogródkami — dodała Krzysia.

— Dla Boga... za twoje myto, jeszcze cię obito! — zawołał rzekomo strapiony Pasek — ale skoro mi się wymknęło jedno słowo, dopowiem drugie. Panna wojszczanka i panna skarbnikówna tedy nie zaprzeczają, że je pani stolnikowa ma zamiar obdarzyć ważną szarżą w swojej chorągiewce...

— Nic o tem nie wiemy! — zaoponowały panienki.

— Oho! za późna negacya. Zdradziłyście się panny same, jako też i z tem, żeście sobie dwóch

Hetmani.

tu obecnych kawalerów za pomocników przybrać zamierzyły....

— Ależ pan Pasek wykręca na wszystkie strony swoje wymysły i wmawia w nas to, o czym nam się ani śniło... — broniły się panny, coraz bardziej zapłonione.

— Owóż — nie słuchając wymówek, ciągnął Pasek — przestroga moja da się wyrazić tym kształtem (już całkiem jasno... bez ogródek): kuso będzie z rotmistrzami pani stolnikowej i z ich pomocnikami, jeżeli, zamiast na obroty szwedzkie, na siebie będą pozierali, co, przypuszczam, stać się bardzo może...

— Już ja zaręczam, że gdybym pod buzdygan panny wojszczanki dopuszczon został, bylibyśmy oboje bezpieczni — podchwycił skwapliwie Ołtarzewski.

— A waszmość, Sewerynku? — zagadnął Pasek Balcerowicza.

— Na mnie panna Krzysia mogłaby polegać w zupełności... — odparł Balcerowicz, nieśmiało oglądając na skarbnikównę.

W dłonie plasnęła stolnikowa:

— Patrzajcież państwo! ani się obejrzelim, jak pan Pasek i chorągiewkę wysztytował, i szarże w niej porozdawał. Jenó o sobie przepomniał. Rzadka doprawdy bezinteresowność...

— Pani stolnikowo dobrdziejko — na to Pasek — dla mnie się jeszcze w chorągiewce niewieściej szarża nie znajduje; mniemam jednak, że z cza-

sem wyszukam ją sobie, ile, że mi się całe celibat nie uśmiecha...

— Jakże, mości panny, — zwróciła się stolnikowa do Krzysia i Zosi — mamże was zatwierdzić w szarżach, przez pana Paska mojem imieniem ofiarowanych? I, z kolei, zali wy przyjmujecie pod swoją komendę tych kawalerów?

— Przyjmują! przyjmują! — odpowiedział za panią Pasek.

— Skądże pan Pasek może o tem wiedzieć? — szepnęła Zosia.

— Eksperyencya, panno wojszczanko... Żyje się w świecie, patrzy się i widzi to i owo...

— Wracając do naszego mianowania — odezwał się Ołtarzewski — skoro mamy komendantów, musim też ich barwy nosić. Taki zwyczaj. Suplikuję tedy uniżenie pannę Zofię, iżby mi ofiarowała bodaj wstęgę jaką, inaczej forma nie będzie dopełniona.

— Ja o to samo śmiem pokornie obligować pannę skarbnikównę — szepnął cicho Balcerowicz.

— Całe teatrum mamy z łaski pana Paska — śmiała się stolnikowa. — Ano, panią, takich prośb się nie odtrąca...

Musiały panny, acz nie bez wzdragań i pieczenia raków, ofiarować podkomendnym swoim po wstążce, które oni przyjęły z wielką ostentacją i z rozradowaniem niemałym.

— A co, Franusiu? — zagadnął Pasek Ołtarzewskiego, gdy do swojej kwatery zmierzali — będziesz się boczył na mnie za to, com uczynił?...

— Złote masz serce, Jasieczku, i kanclerską mózgownicę! — odparł Ołtarzewski, ściskając go.

A Balcerowicz, z drugiej strony obejmując Pas-ka, dodał:

— Do zgonu ci, panie Janie, wdzięcznym osta-nę!....

VII

Nadszedł ósmnasty listopada — termin zapo-wiedzianej wizyty Millera z potęgą szwedzką.

W klasztorze wszystko na przyjęcie tych gości było przygotowane, ile środki, zasoby i przezorność ludzka starczyły. Straże na wieży i bastyonach czuwały, działa stały narychtowane, prochy i kule znajdowały się pod ręką, ludzie tylko znaku czekali, żeby się zabrać do odpierania szturmów. Nie zapo-mniano także wysłać w stronę Wielunia rączych i sprawnych gońców, którzy mieli o zbliżaniu się Szwedów, ich postojach i zgoła o całym marszu za-wiadamiać klasztor.

Przeor na ów dzień ósmnasty zapowiedział uro-czyste nabożeństwo. Jakoż odprawiło się ono, z ce-lebrą samego ks. Kordeckiego, a wszyscy modlili się z żarliwością wielką, bo intencją nabożeństwa było uproszenie Boga i Pani Anielskiej pomyślnego upo-rania się ze Szwedami. Z kazalnicy podczas nabo-żeństwa przemawiał O. Jan Stradomski, słowa zaś

jego dużo serca podniosły. Inni Ojcowie pracowali w konfesyonałach, gdyż nie było takiego z pośród znajdujących się w klasztorze, któryby nie pragnął, przed zajrzeniem Szwedowi w oczy, z grzechów się oczyścić i Chlebem ze Stołu Pańskiego się pokrzepić.

Po nabożeństwie przeor ujął w dłonie Najświętszy Sakrament, zabrzmiały wszystkie dzwony spizowym hymnem, ozwały się kotły, rozległa się pieśń prastara: „Przed tak wielkim Sakramentem upadajmy na twarze!“ i procesya wysunęła się z kościoła, aby trzykrotnie okrążyć obwałowania twierdzy.

Było już dobrze po południu, pogoda dopisywała piękna. Słońce bawiło się na niebie niby w dzień letni, powietrza nie przewieszały mgły, łagodny wietrzyk kiedy niekiedy się zrywał, roznosząc świeżość jędrną. Procesya posuwała się zwolna, miarowo, pełna rycerskiego zapału i majestatu świętego. Więc krzyż trzymał jej czoło, dopieroż postępowała kapela, grzmiąc na kotłach, rogach, trąbach i innych instrumentach, których odgłosy szparko rozstrzelały się w przestrzeni i chwywane przez echa, szły falisto dalej a dalej, we wszystkie strony ziemi polskiej. Za kapelą niesiono chorągwie różnobarwne, z pozłocistemi jabłkami i krzyżykami na szczytach, a wiatr proporce one zwijał, skręcał, rozkręcał, wydymał je, furkotał jedwabnemi, lśnjącemi frędzlami, tak, że sprawiały wrażenie jaskrawo upierzonych ptaszków, które zabawkę sobie sprawiają, trzepocąc się gromadnie na wiecowisku swoim. Za chorą-

gwiami ciągnął sznur białych habitów zakonnych. Szli Ojcowie i Bracia, po dwóch w szeregu, ze świecami gorejącemi w dłoniach, z oczyma wzniesionemi w górę, z obliczem osuntem słodyczą ascetycznego zatopienia się w Panu. Dalej widziałeś chłopięta w białych komeżkach, z purpurowem obramowaniem u szyi, z trybularzami srebrnemi, które, rozmachiwane silnie, wydychały z rozżarzonych ust swoich wonne dymy, a te fałdowały się i kłębiły, tworząc sine obłoki. One obłoki sine, co chwila kształty zmieniające, wciskały się pod baldachin złocisty, niesiony przez pana skarbnika Drozdowskiego, oraz panów Mosińskiego, Krzyżtoporskiego z Bogdanowa i Skórzewskiego. Pod baldachinem pan miecznik sieradzki Zamoyski, wespół z panem Piotrem Czarnieckim, wspierali ramiona przeora, niosącego złotą monstrancyę, dar króla Zygmunta Augusta. Kroczył przeor z monstrancyą, z oczyma powiekami przysłonionemi, a wyraz oblicza miał święty, zachwyty niebiański oznajmujący. Na twarz ową, poważną a słodką, padały blaski od monstrancyi, tworząc dokoła niej jak gdyby aureolę... Dalej już tłumnie szła szlachta, w barwnych kotuszach, z pozarzućcanemi w tył wylotami, szły niewiasty i dziatwa; dalej jeszcze załoga klasztorna, czeladź szlachecka; a na samym końcu dreptała gromadka żebractwa sędziwego, z Kostuchą nieodłączną.

Snuła się procesya wśród brzmień dzwonów, dźwięków kapeli, wśród odgłosów pieśni, naprzód ku czci Najświętszego Sakramentu a potem Bogarodzicy. Wybrał zaś przeor na dzisiaj pieśń starodawną

a niezmiernie rzewną, którą śpiewały dwa chóry,
Więc gdy jeden podjął:

„Zdrowaś bądź, Maryo, Niebieska Lelijo,
Panu Bogu miła, Matko litościwa,
Tyś jest nasza ucieczka, Najświętsza Maryo!“

drugi mu zaraz odpowiadał:

„Maryo Wielebna, ukaż drogę pewną,
Przykazania Twego, Boga Wszemchnego,
On-ci wszystka nadzieja zbawienia naszego.“

Śpiewali tę pieśń wszyscy, od pacholąt poczawszy a na starcach sędziwych kończąc, ten chór zaś nieuczony, domorosły, kierowany sercem i wiarą gorącą, miał dziwny urok. Słyszac go, pierś wzbierała łkaniem, serce rozpływało się w rozkosznym omdleniu, do oczu cisnęły się łzy.

Przeor, znalazłszy się przy murach, ocknął się ze świętej kontemplacyi i po drodze błogosławił Najświętszym Sakramentem wały, mury, bastiony, działa, stopy kul i prochów, oręż, wartowników, zgoła wszystkie szczegóły obrończe twierdzy. Błogosławił widomie a modlił się w duchu, by to jego błogosławieństwo stało się puklerzem Bożym, by osłoniło miejsce święte a w narodzie ukochane, od krzywdy wroga, by stało się posiewem zbawienia Ojczyzny, oczyszczenia serc, skalanych zwątpieniem. Modlił się, a w odstępach intonował w dalszym ciągu pieśń. Więc poddawał:

„Łaskiś pełna Pańskiej, czystości anielskiej,
Pannaś nad Pannami, Świętaś nad Świętymi,
O Najświętsza Maryo, módl się dziś za nami!“

Wnet chór drugi, niby ziarnka różańca niżąc,
snuł następną strofę:

„Pełna wszech światłości, wielkiej pokorności,
Bez grzechu-ś poczęła, wielką sławę wzięła,
Przez Twoje narodzenie świat wziął pocieszenie.“

Właśnie procesya drugi raz obchodziła mury klasztorne, gdy wysłani gońce wrócili w pełnym galopie, oznajmiając zdyszanemi głosami:

— Już nadciągają! Są tuż! W tym momencie się ukażą!

Słyszeli to wszyscy, niektórych dreszcz przebiegł mroźny, lecz nikt nie okazał, żeby go wiadomość obeszła, nikt nie przerwał modłów, procesya wciąż posuwała się miarowo, majestatycznie, a ks. Kordecki donośniej zaintonował:

„Pan stworzył Adama, ludzkiego plemienia
Ojca, Ewę matkę, co zgrzeszyła jabłkiem,
Aleś Ty naprawiła, co Ewa straciła.“

Chór ciągnął, również wzmagając głos:

„Z Tobą był Duch Święty, Syn Boży poczęty
W Twym żywocie czystym, Trójcy Świętej miłym,
I z Ciebie się narodził obyczajem dziwnym.“

Wedle zapowiedzi gońców, ledwie moment upłynął, już się zaczęła wysnuwać od strony Wielunia szarańcza szwedzka — piechota, jezdni, artylerya,

tabory, a wyłoniwszy się z dali, rozszerzała się coraz większym łukiem, jak gdyby pragnęła całą twierdzę objąć jednym uściskiem i w tym uścisku judaszowym ją skruszyć. Tętent kopyt, parskania koni, brzęk oręża, skrzyp wozów, turkot dział, krzyki żołdaczce: wszystko to z każdą chwilą rozbrzmiewało wyraźniej a groźniej, zbliżało się ku klasztorowi, który modlić się nie przestawał. Pieśń rozlegała się nieprzerwanie:

„Błogosławionaś Ty nad wszystkie stworzenie,
Pan Bóg Wszechmogący dał przez Cię zbawienie,
Jezus, Syn Twój, odkupił wszystko ludzkie plemie.
Tyś jest litościwa, Matko nasza miła,
Jaśniejsza nad słońce w najświętszej zasłudze,
W Twojej-ci są obronie wszyscy grzeszni ludzie.“

Szwedzi zbliżali się szybko, a Miller ze sztabem wysunął się naprzód; ciekawość go parła spojrzeć na ów, jak go zapewniał Weyhard — kurnik, z którym przybywał się zmierzyć. Zmierzyć? Omyłnie się rzekło. Wsławiony wódz szwedzki nie przypuszczał oporu ze strony zakonników. Weyharda mogli zakonnicy zbyć lada czem, ale on co innego. Rozgłos niezwyčajzonego idzie przed nim i postrach sieje, a przecież ma także siłę z sobą poważną.

Wysunął się tedy Miller aż za Częstochówkę i okiem doświadczonego wojownika jął badać klasztor. Patrzył i marszczył się, chmurzył, wąsa rozczapierzonego przy końcach podkręcając, ale słowem się nie odezwał. Natomiast landgraf heski uczynił zgryźliwą uwagę:

— Jak na kurnik, cale imponująco się to miejsce przedstawia.

— Ależ to twierdza w całym znaczeniu! — zawołał Sadowski szczerze. — Trudno z pierwszego wejrzenia ocenić jej oporność, w każdym razie samo położenie dobrze jest obronne...

— Ani słowa! — potwierdził landgraf heski. — Na honor! jenerale, musimy starannie zęby wyostrzyć, żeby ją zgryźć i szeroko usta do jej połknięcia otworzyć.

W tej chwili do uszu Millera doleciały brzmienia pieśni:

„Między niewiastami, czystemi pannami,
Tyś Sama najczystsza, Królowa Anielska,
Nie była Panu Bogu żadna nad Cię miłsza.“

Więcej się jeszcze zmarszczył Miller, wzrok baczniej wyteżył, a spostrzegłszy snujące się chorągwie procesyi, zagadnął:

— Co to? Pieśń? Chorągwie! Mnisi festyn jakiś wyprawiają?

— Zabobony odprawiają rzymskie — mruknął graf Horn, który dotychczas w Krzepicach, jako komendant załogi tamtejszej, siedział, a teraz, razem z Millerem, pod Częstochowę ściągnął.

Skrzywił się niemiłosiernie Miller.

— Czarami nas witają — szepnął, jak gdyby do siebie. — Wymawiają się od tego papiści, zارعzają, że żadnych czarów nie znają, a jednak nikt mnie nie przekona, żeby tak nie było. Miałem dowody. Zresztą... teraz oto. Najwyraźniej prak-

tyki czarne czynią przeciwko nam, rozumie się. To jasne!

Od twierdzy dochodziły słowa pieśni:

„Błogosławion ówoc żywota Twojego,
Jezus miłościwy, Syn Boga żywego,
Bądź-że Jemu cześć chwała, z dobrodziejstwa Jego.“

— Skwierczy mi w uszach ten wrzask nieznośnie... — zachnął się Miller, aż koń pod nim uszami zastrzygł i na tyle przysiadł. — W porę się wybrali ze swemi praktykami cudacznemi!

— Według obyczaju swego nas witają — przygryzł niemilosierny w szyderstwie landgraf heski.

Spojrzał na niego niechętnie stary jenerał i już miał na wargach uwagę szorstką, lecz nie zdążył jej wyrazić, gdyż nowa go spotkała niespodzianka, arocy nieprzyjemna. Regimenty polskie pułkowników Seweryna Kalińskiego i Jana Zbrozka, oraz inne oddziałki pomniejszych, z Polaków złożone, uczyniły demonstrację na rzecz klasztoru. Stało się to pomimo ich woli. Żołnierze tych oddziałów szli ze Szwedem niechętnie, a niechęć ich wzmagala się w miarę, jak się zbliżali do Jasnej Góry. Sumienia ich przemówiły. Gdy się znaleźli wobec świętego miejsca, serca ich wezbrały niepokojem, a widok uroczystej procesyi, brzmienia dobrze znajomej pieśni, napelniły je niemal skruczą. Więc, porwani tem szlachetnem uczuciem, zagrzani wiarą, która nigdy w ich sercach nie wygasala, bezwiednie pozsiadali z koni, obnażyli głowy i stali tak struchleli, zawstydzeni, pytając wzrokiem jeden drugiego:

— Zali odważym się, zali przystoi nam, katolikom, podnieść dłonie na świętości nasze? Zali staniam się matkobójcami, uderzając na stolicę Królowej Anielskiej, Pani i Matki naszej?

Tak stali moment, z zapartym w piersiach oddechem, wreszcie, idąc za popędem wiary, zaczęli postępować równolegle z procesyą, wciąż z obnażonemi głowami, wtórując pieśni, dobiegającej z klasztoru. Brzmiała zatem pieśń potężnie, tryumfująco, zwycięsko:

„Twoje zmiłowanie, Jezu Chryste Panie,
Racz dać ludu Twemu, tu dziś zebranemu,
Przez zasługi Matki Twej, domieść chwały wiecznej.
Amen! wszyscy rzeczmy — wierni chrześcijanie,
Cośmy się tu zeszedli ku chwale Tej Pannie,
Zachowaj nas od złego Twojemi prośbami!“

Oślupiał Miller, patrzył czas jakiś na Polaków, wtórujących modłom klasztornym, naraz złość go ogarnęła. Wrzasnął:

— A to co za komdeye? Co za hece? Bunt! Wyraźny bunt! Gdzież pułkownikowie tej hołoty?! Jak śmieli pozwolili?

— Jenerale, miarkuj się, bądź ostrożnym z naszymi sprzymierzeńcami — przestrzegł ks. heski. — Co zaś do pułkowników, przecież widzisz, że podkomendnym swoim towarzyszą.

Istotnie — Zbrozek i inni przywódcy oddziałów polskich, oprócz Kalińskiego, który się był w ubocz cofnął, również wtórowali modłom klasztornym, a to Millera tak oburzyło, że lżyć począł wszystkich Polaków ostatniemi wyrazami. Horn,

Sadowski, landgraf heski mitygowali go energicznie.

— Na Boga, jenerale! — mówili — niech Polacy usłyszą coś podobnego, a sprawa z klasztorem niechybnie przegrana! Spokoju! W naszym położeniu na wiele trzeba patrzeć przez szpary.

— Tysiąc szatanów i najjaśniejszych piorunów! — parskął stary jenerał, karmazynowy z gniewu. — Zapamiętała ciemnota!... O! zawszem mówił, że papizm utrzymuje czarami swój zabobon.

— Mniejsza o to, jenerale, czarami, czy nie czarami, — rzekł Horn — ale z tego zdarzenia czerpmy naukę...

— Jaką znowu naukę? — oburknął się Miller.

— Taką — kończył Horn — że Polaków za sprzymierzeńców pewnych uważać nie możemy.

— Ja więc powiem, — dodał landgraf heski — mianowicie, że w naszych warunkach jeden krok fałszywy może nas przyprawić o klęskę.

— Co graf przez to rozumiesz? — zapytał Miller.

— Nic do tyła subtelnego, czegoby oczy same nie mogły dostrzedz. Polacy, naród krewki, porywczy, dobroduszny, łatwowierny. Sami poczciwi do szpiku kości, ufają też każdemu i łącznie słuchają złudnych podszeptów, skąd właśnie nieszczęścia na ich Ojczyznę płyną. Ale naród ten nie jest pozbawiony zdrowego zmysłu. Wyprowadzony w pole, rychło poznaje, iż po manowcach kroczy i wtedy — biada temu, kto go w pole wyprowadził! Naród

ten, jenerale, pełen jest honoru, a miłością dla Ojczyzny przewyższa inne w Europie...

— O czym świadczy najlepiej to, że króla prawowitego wypędził i Ojczyznę powierzył obcym dłońom — wtrącił szyderczo Weyhard.

— Za komplement odpłacę się komplementem i powiem, że hrabia bardzo niedaleko widzisz — odparł z przesadnym ugrzecznieniem landgraf; następnie, ton zmieniając, kontynuował: — Owóż, jenerale, jeśliśmy się tu znaleźli, to dzięki łatwowierności Polaków. Ułudzili ich zdrajcy, zapewniając, iż Jan-Kazimierz dybie na ich przywileje i wolności, że zagraża dobru ich Ojczyzny, a ułudziwszy, wskazali, jako belkę ratunku, króla jegomości szwedzkiego. Chwycili się tej belki Polacy, a ponieważ nadto z innymi wrogami porać się muszą, przeto najjaśniejszy Karol-Gustaw bez zachodu odbywa po tym kraju pochód tryumfalny.

— Jakkolwiek się stało, jesteśmy panami tego kraju, temu nikt nie zaprzeczy... — zauważył niecierpliwie Miller. — Odłóż, mości książę, dysertacye uczone na inszy czas, teraz nie pora...

— Słowo jeszcze, jenerale. Rzekłeś: nikt nie zaprzeczy, iż panami tego kraju jesteśmy? Ja pierwszy wątpliwość stawiam, a stawiam z tej racyi, bo uważam, że Polakom oczy się rozwierają i trzeba jeno okazji, aby nastąpiła reakcja. A wtedy będzie z nami krucho, bardzo krucho...

— Książę reakcyi owej z pewnością oczekujesz? — zagadnął złośliwie Weyhard.

— Z pewnością. I kto wie, czy właśnie ten

„kurnik“, jak hrabia wzgardliwie nazywasz klasztor jasnogórski, okazały po temu się nie stanie...

— Głosem Kassandry przemawiasz książę — rzekł Weyhard. — Dziwna to, w pełni tryumfu się znajdując, przeczuwać klęskę. W takim razie, racz wytłumaczyć, dlaczego z nami się znajdujesz?

— Ja tu nic stracić nie mogę, przeciwnie, zyskać mogę dużo. Straty, w danym wypadku, czekają najjaśniejszego króla jegomości szwedzkiego i... usłużnych jego doradców — odparł sucho landgraf.

— Do stu tysięcy szatanów! — huknął Miller, dłonią machnąwszy — nic nam po dysputach... Za długo też trwa ono teatrum mnisie... Panowie oficerowie-komendanci, rozkaz mój taki, aby niezwłocznie przygotować się do szturm; ja tymczasem wyślę pismo do ogłupiałych mnichów, którzy udają żołnierzy.

Poszedł do kwatery, naprędce przygotowanej, a oficerowie-komendanci jęli badać położenie i lokować wojsko w miejscach, które im się wydały najstosowniejszymi do prowadzenia szturmów.

W klasztorze zaś przybycie Szwedów nie sprawiło wielkiego wrażenia. Nabożeństwo, kazanie O. Stradomskiego i procesya uroczysta wlały otuchę w serca nawet najtrwożliwsze. Wiele też ku temu przyczyniła się skrucha oddziałów polskich, ze Szwedem sprzymierzonych, którą okazały, uczestnicząc, acz z daleka, w procesyi. Mówiono tedy w klasztorze:

— Z potęgą nielada przyszedł heretyk, ale nic

nie wskóra. Zbłąkanych braci naszych już, za sprawą Najświętszej Paniienki, sumienie ruszyło, z czego konkluzya, iż heretyk, również za Jej sprawą, postrada fantazyę...

— Rozpoczęła się godzina cudów — dodawali inni.

— Kary dozna zuchwały poganin, wstyd sobie przygotowywa, sromotę, hańbę!

Słyszając to, przeor Kordecki radował się niewypowiedzianie i dziękował w duchu Pani Anielskiej, wierzył bowiem mocno, iż to Ona obdarza wigorem umysły zamkniętych w klasztorze.

Zaledwie zdażył zwlec z siebie szaty obrzędowe, jużci mu dano znać, że pismo przyniesiono od Millera do klasztoru. Pośpieszył niezwłocznie dowiedzieć się, co też stary generał wykoncypował, celem przerażenia go i zmuszenia do oddania klasztoru. Zakonnicy i szlachta też byli ciekawi konceptu szwedzkiego, chociaż każdy z góry był na to przygotowany, że w piśmie nic nad pogroźki i obietnice podstępne się nie znajdzie. Tedy wszyscy zgromadzili się w definitarzu, otoczyli przeora, ten zaś pismo głośno odczytał. Miller tym tenorem je skreślił:

„Przewielebni Ojcowie i insi zakonu klasztoru częstochowskiego Mieszkańcy, Panowie i Przyjaciele Czcigodni! Wiadomo czynię waszmościom, z doniesieniem usług i laski, że Najjaśniejszy Król Szwedzki, Pan mój Miłościwy, o niektórych rebelizantów w Wielkiej Polsce usiłowaniach pewne ode-

brawszy wiadomości, nietylko na poskromienie ich, ale też pogranicznych zamków, przeciw wszelkim inwazyom, opatrzenie prezydyami, mnie z należytym wojskiem musiał wysłać. Więc kiedy na tę granicę przystąpiłem i już ku klasztorowi Waszemu królewskie wojsko zbliżyło się, któremu to klasztorowi, aby słuszne nadane było prezydium, za poważnym J. K. Mości mandatem, dla lepszego waszego umyśliłem Was przestrzedz o tem. Co, gdy czynię, napominam, abyście bez wszelkiej wymówki, swoich pełnomocnych z wolną władzą wysłali, aby o liczbie prezydium i o innych do tego należytościach ze mną oni deliberowali. Uczynicie przez to miłą rzecz J. K. Mości, który Was nie opuści i Wasz klasztor w łasce królewskiej mieć i bronić będzie. Inaczej nie rozumiecie, tylko, że Wasze wszelkie poświęcone rzeczy nie tknięte będą, ani nabożeństwu Waszym przeszkoda zelżywa jaka stanie się, gdyż nic innego, jeno opieki Królestwa i bezpieczeństwa granic szukamy. W ostatku, jeśli cała Wielka i Mała Polska już w mocy J. K. Mości szwedzkiego, a w tak zdesperowanych wszelkich pomocach opierać się poważycie, nie mogę inaczej, tylko terażniejszym oręża sposobem, gorącym prawem Was i spaleniem klasztoru do usług J. K. Mości szwedzkiego przymusić. Co, żeby nie stało się Wasza powinność będzie wyrokowi nie sprzeciwiać się, ale przystojnem poddaniem się Najjaśniejszego Króla naszego Miłościwego łaskawość przyjąć. Dan w obozie, 18 nowembra, 1655 r. Wasz naj-

przyjaźniejszy — Burhard Miller, jenerał-leytenant, mpr.“

Wyczytawszy list, ks. Kordecki ramionami wzruszył, szepnąwszy:

— „Najprzyjaźniejszy!“ Powtarza do słowa weyhardowego kuranta.

— I jak Weyhard niepysną rejteradę stąd uczyni — zauważył pan Piotr Czarniecki.

— Uczyni, chociaż pewnie szturmowania spróbuje, bo na łeb na szyję rychtuje harmaty — dodał pan Mosiński.

— Niech huka i puka, ile mu się podoba, despekt go mimo to spotka, iż z nosem na kwintę pójdzie... — rzekł pan Zamoyski.

A ks. przeor zapytał:

— Kto pismo przyniósł?

— Chłop ze Lgot, włości naszej, klasztornej — odparł O. Gołdonowski.

— Niech-no ja go obaczę — powiedział przeor. Wprowadzono chłopka.

Taki był on biedak wystraszony, że drżał, trzął się całym ciałem, niby zimnicą miotany, czyż miał łzami zasłże.

— Filip? — rzecze do niego przeor żartobliwie.

— Takież to katolik i klasztoru poddany, że heretykowi służysz i pisma od niego z pogrózkami na Panienkę Najświętszą nosisz?

Rzucił się do kolan przeora chłopak i, szlochając, jął prawić szybko:

— Ja, proszę wielebności waszej... gdzie zaś... Ja... niechże mnie Pan Jezus i nasza Panienska Aniel-

» Nie niszczyć książek

ska ciężko pokara... Ja, nigdy... Wierny jestem... jeno — kazali, za kark chwycili, kulą w łeb grozili...

— Wiem, wiem, żeś z musu, pod groźbą, usłuchał heretyka. Ano, uspokój się, grzechu w tem niema... Nie drzyjże, nie bec, czyżeś to — baba?

— Ale bo, proszę jegomości, sądny dzień te psubraty wyprawiają... — lamentował chłopiec — niczem szarańcza, niczem wilkowie wściekli... Gdzie ich noga przekłeta, takich a takich synów, stąpi, jużci tam krew się leje i popieliska tleją... Nie oszczędzają nikogo, nic... Zaraza na nich i potępienie!

— Z nami przecież jeszcze nie zaczęli — nadmienił przeor.

— Owa, nie zaczęli! — jęknął chłopiec, łzy garścią ocierając. — Nie zaczęli, a już i w Lgotach, i w Częstochówce gospodarują.

— Jakże to może być? Chyba strach przez ciebie gada, mój Filipie. Przecież ich komendant, Miller, pismem, któreś przyniósł, do deliberacyi nas zaprasza, a takie prawo jest, które cały świat obserwuje, iż przed ukończeniem deliberacyi, strony wojujące krzywdy sobie nie czynią...

— Głupi mój rozum chłopski, proszę wielebności waszej, na prawo i obyczaj; jedno tegom świadom i to rozpowiadam, na co oczy moje patrzyły... Szwed grabi włości klasztoru, bydło z obór wygania i rzeza, ludzi morduje. Z gumiennego, co to w Częstochówce siedział, już trup! Rozszczepili go za to, że dobra klasztornego bronil.

— Konopskiego Jana?

— Jużci. Na Boskim już sędzie niebogi... Nachmurzył się przeor.

— Mości panowie i Ojcowie wielebni, proszę z sobą na mury — rzekł — musim się przekonać, zali prawdą jest, że „najprzyjaźniejszy“ nam pan komendant szwedzki Miller w taki sposób do deliberowania się zabiera, jak od tego tu biedaka słyszeliśmy.

Jakoż przekonano się, że chłopiec nie przesadzał. Szwedzi co duchu do szturmów się szykowali, a insi gwałt czynili mieszkańcom Częstochówki — z domów ich wypędzali, mordowali bezbronnych nie-ludzko, jatki wprost stwarzając ohydne...

Zgroza zdjęła wszystkich, wołać zaczęto:

— Zguba im za zdradę i pogwałcenie praw, przez narody świata całego szanowanych!

— Harmatami z nimi deliberować i korespondować!

— Ks. przeorze! oni w najlepsze zaczęli, a my czekamy...

— Ks. przeorze, rzeknij wielebność wasza słowo...

Przeor chwilę jak gdyby się modlił — poczem głowę do góry wznosił, wyprostował się, strzelił ze źrenic iskrami piorunowemi i rzekł donośnie:

— Boże Wszchemogący, w Trójcy Świętej Jedyny! Błogosławiona Maryo Dziewico, Pani i Królowo, Majestat Wasz niebieski za świadectwo biore, iż nie od nas wychodzi początek srogiego krwi rozlania... Wobec takiego gwałtu, o żadnych deli-

beracych mowy być nie może... Poczynajmy z Bożą i Maryi pomocą... W imię Ojca i Syna...

— Z Bogiem! na cześć i w obronie Pani Anielskiej! Pokotem zbójów! — zawołała szlachta, do broni się rzucając.

Wnet też ryknęły paszcze armatnie, zawtórowały im rusznice, hakownice, organki, a ten i ów z łuku starodawnego, korbą naciąganego, strzały puszczał, które, powietrze szyjąc, bzykały złowrogo... Huk wstrząsnął powietrzem, klasztor otoczyły kłęby dymów siwych i zapach prochów, dziwnie podniecający animusz. A wśród tej kanonady, piekło przypominającej, rozlegały się okrzyki:

— Jak w jasną świecę!

— Gińta szatańskie nasienia, pociotki Antychrysta!

— Dogodzimy wam, zbójceckie dusze!

— Pluć żwawiej, mości panowie! Niech poczują pludry, z kim wzięli się w udry!

— Pokotem psubratów! Uczyńmy im uciechę...

Przeor Kordecki zaś, otoczony białemi habitami Ojców i Braci, chodził od działka do działka, od rusznicy do rusznicy i, krzyże kreśląc w powietrzu, głośno śpiewał antyfonę:

— Pod Twoją obronę, uciekamy się Święta Boża Rodzicielko...

Strzały klasztorne, spadając na niespodziewających się czegoś podobnego Szwedów, popłoch wśród nich wielki uczyniły. Były przytem dziwnie celne, więc trupa gęstego kładły, w taborze również szkodę dużą sprawując. Miller w pierwszej chwili osłu-

piał. Pairzył na skąpany w wieńcach dymów klasztor, na dziesiątkowane szeregi swoje, wreszcie, ogarnięty wściekłością, jał wrzeszczeć:

— Kanalie! Zatracony pomiot papistów! No, sami gardła pod nóż nadstawiają! No! będą mieli, czego chcą! Nó! wygniote, wyrzeżam, żywego ducha nie zostawię, wszystko w perzynę obróć i solą posypię... Milion siarczystych piorunów! Panowie oficerowie-komendanci... do roboty... Piękniem za nadobne...

Rozbieżali się oficerowie na wszystkie strony, aby wydać odpowiednie rozkazy, ale w onym rwetesie i tartasie, sprawionym przez niespodziany atak klasztorny, trudno było doprowadzić żołnierzy do należącego ordynku. Wprawdzie niebawem działa szwedzkie także grać zaczęły, odpowiadając salwom jasnogóskim, lecz ich strzelanina garści pakuł nie wartała. W pośpiechu źle je ustawiono, źle rychtowano, więc pociski miały się z celem, były bezowcnemi. A ogień klasztorny, trwając wciąż, szarpał szeregi szwedzkie bez miłosierdzia, aż się oficerowie jego skuteczności dziwowali.

— Inkluzów powsadzali w paszcze swoich harmat i w rury muszkietów — mówili do siebie. — Jeszcześmy takiej prażuchy nie kosztowali.

Miller zaś dąsał się, jadował coraz bardziej i coraz zawzięciej wąsa rozczapierzonego szarpał, zięjąc przytem przekleństwa, by z rękawa. Gryzła go strata, ale więcej wstyd. Garść mnichów, o kunszcie żołnierskim pojęcia nie mających, garść szlachty, również—wedle twierdzenia Weyharda—z woj-

ną regularną nieobeznanej, śmiała wystąpić zaczepnie przeciwko armii kilkunastotysięcznej, dowodzonej przez niego, wstawionego tyłu zwycięstwami, i wystąpieniem o wem przekonania, że zdyt ją lekce- ważył. Nadto wódz szwedzki, wielce zabobonny i przesądny, powodzenie załogi klasztornej za zły omen poczytał. Więc wściekłość go żarła, wstyd palił, a złości swoich nie miał na kim wyrzucić. Pędził na koniu od baterji do baterji, od oddziału, do oddziału, kpał puszkarczów, żołnierzy, oficerów nawet, częstował ich krociami i furbeczkami piornów i szatanów, lecz ulgi nie uczuwał, przyznając w duszy, że czyni niesłusznie. Do tak rozjadowanego przypadł w susach landgraf heski, wołając:

— Jenerale, trza coś obmyśleć, bo owi kurowie z rzekomego kojca czy kurnika wystrzelają nas do nogi...

— Drwisz, mości książę, chyba! — rzucił cierpko Miller. — Co tu obmyśleć można? Chyba w pokorę uderzyć i o zawieszenie broni prosić...

— A choćby... — odezwał się Sadowski, który z drugiej strony nadjechał.—Weyhard nas w ka- bałę wplątał, niechże on teraz radzi.

— Znowu przekąsy — burknął Miller. — Wła- śnie pora do tego. Dajcie raz pokój hrabiemu, czło- wiek z niego najlepszych chęci pełen. Zresztą wie- cie, że zajęcie klasztoru leży w planach króla na- szego.

— Przypuśćmy, że leży, — rzekł landgraf — lecz z pewnością plany najjaśniejszego króla jego- mości nie wymagają, żeby nas mnichy wystrzelali

do ostatniego... Poślij, jenerale, do klasztoru, zapro- ponuj układy...

Wstrząsnął głową Miller.

— Upokarzać się? Upokarzać się, po wezwaniu, które im posłałem? Hańba byłaby, dyshonor!

— Spójrz, jenerale, co się dzieje — perswado- wał Sadowski — żołnierz zdemoralizuje się na szczęt.

— Przecież niema mowy o cofnięciu się, skoro nas już tutaj złe losy przyniosły — dodał landgraf heski. — Idzie o to, żeby mnichów skłonić jakim- kolwiek pozorem do zaprzestania ognia, a tym spo- sobem zyskać czas na roztasowanie się, rozpatrze- nie w pozycyi, uczciwe ustawienie baterji...

— Zawszeć to będzie z naszej strony... no, do szatana! będzie niejako przyznaniem się do bezsil- ności.

— Przesada, jenerale! — wzruszył ramionami Sadowski. — W wojnie wszystkie fortele uchodzą, a to będzie właśnie najzwyczajniejszy fortel żołnierski.

Dał się w końcu namówić stary jenerał i wy- słał do klasztoru dwóch poruczników polskich z od- działu Zbrozka: Gołyńskiego i Aleksandra Paproc- kiego, z żądaniem zawieszenia broni.

Przyjął Kordecki tych posłów uprzejmie, ale patrzył na nich smutnie, z politowaniem. Oni zaś przeczuli w tem jego spojrzeniu wyrzut, przeczuli żal, jaki serce świątobliwe i prawe napełnia widok grzechu. Więc sumienia ich silnie się poruszyły, więc winę zdrady i zaprzania się obowiązków wzglę- dem Ojczyzny uznając, stali zasromani, chrząkając

i wasy muszcząc, a słowa im w krtaniach uwięzły, że na żaden sposób wydobyć ich stamtąd nie mogli. Kordecki z pomocą im przyszedł:

— Odprawujcie poselstwo, mości panowie — rzekł. — Rozumiem ja, co was w tej chwili gnębi. Żle się stało, ale... stało. Widzę jednak, że zatwardziałości w was niema, dobry to znak. Gdzie serce nie z kamienia, tam droga do poprawy nietrudna.

Paprocki do rąk przeora się rzucił, wołając:

— Ojcie wielbny, jasnowidzeniem Bóg cię da-rzy, w sercach czytasz, niby w rozwartej księdze...

Gołyński również ku dłoniom przeora się nachylił, mrużąc basem, przez łzy:

— Tak to, tak, panuleńku, w takich się człowiek kolizyach psich nalazł...

— Z wolnej przecież, nieprzymuszonej woli — uśmiechnął się przeor. — Ależ wyłuszczone, waszmość panowie, jądro poselstwa....

— Ano, Ojcie wielbny, — rozpoczął Paprocki. — Miller zawieszenia broni uprasza.

— Tak prędko zmiękł? — roześmiał się pan miecznik sieradzki.

— Myśmy się jeszcze nie rozgrzali, a Szwedom już gorąco — wtórował mu Czarniecki.

— Bo gorąco, panuleńku — podchwycił Gołyński.—Tak serdecznie go klasztorne harmaty i muszkiety przywitały, że zbaraniał!

— Wszyscy oficerowie szwedzcy głowy potracili, a Millera pasya omal nie rozerwie.

— Pianą z gęby fruska, resztki kudłów ze łba rwie...

— Prawdęż waszmość panowie powiadacie? — zapytał ks. Kordecki.

— Najszczęszą. Bateria klasztorne tumultum srogie pomiędzy Szwedami wzniciły. Padają heretyki, jak muchy od muchomoru — odparł Paprocki.

— A w nas się dusza raduje, panuleńku, i myślim sobie: „Dobrze ci tak, psia jucho! A nie było zaczepiać świętego miejsca...”

— Jakże to może być? — znów zagadnął przeor — cieszyć się waszmoście z porażki własnej?

— Omylnie powiedziane, ks. przeorze panuleńku, omylnie powiedziane. Nie z własnej porażki się cieszym, jeno z porażki heretyka.

— Na jedno wychodzi. Jesteście sprzymierzonymi heretyka, *ergo* — jego porażka, jak gdyby wasza.

— Juści — potwierdził Pasek. — W takiej komitywie znachodzicie się, że jeśli Szweða trzepnąć po tebinkach, to was zaswedzić powinno.

— Bez urazy waszmości — ozwał się Paprocki — fałszywać waść wywiódł konsekwencyę. Przyszlim tu ze Szwedem, prawda jest, ale żaden z nas na święte miejsce ręki nie podniesie.

— Zaprzysiądz na to możemy, panuleńku.

— Chwali się waszmościom intencya, bylebyście dotrzymali — rzecze pan Zamoyski—ale w takim razie wytłumaczcież: dlaczegoście tu przyszli?

— Służba. Panowie pułkownicy królowi je-

gomości szwedzkemu zaprzysięgli i rozkaz wydali...

— Tacy to pułkownicy i taka ich przysięga! — zawołał Pasek. — Alboż nie przysięgali Janowi Kazimierzowi? A czy ich kto z tej przysięgi rozwiązał? Jeśli zaś nie rozwiązał, to przysięga królowi jegomości szwedzkemu naboju wystrzelonego nie warta, ba! grzechem jest śmiertelnym. Może i to fałszywa konsekwencya?

— Ostaw, panie Janie, spierkę, niech ichmoście sumienia głosu słuchają — ozwał się ks. Kordecki, a potem zapytał parlamentarzów: — Więc zawieszenia broni generał Miller żąda?

— Tak jest, panuleńku. Żąda i upewnia, że sam też jednego strzału na klasztor puścić nie pozwoli, dopóki z Ojcami wielbnymi się nie rozmówi...

Pomyślał chwilę przeor.

— Na zawieszenie broni zgoda — rzekł — z tą przecież kondycją, że generał wojsko od murów cofnie i krzywdy włościom klasztornym wyrządzać nie będzie...

— Odniesiem mu to do słowa, ks. przeorze wielbny... — chrząknął Paprocki.

— Odniesiem, jako należy, panuleńku, a co do nas, może ks. przeor być pewnym, że do oblężenia klasztoru, panuleńku, palca nie przyłożym...

— Ani my osobiście, ani nasi... — dodał Paprocki.

— A służba? — podchwycił Pasek. — Skoro pułkownikowie rozkaz dadzą...

— Nie dadzą, bądź waszmość spokojny — odparł Gołyński. — Są pomiędzy nimi, wstyd powiedzieć... no... niecałkiem cnotliwi, ale nie do tyła, żeby przeciwko świętemu miejscu armować się poważyli...

— Tak ci. Łoter jest Kaliński, łoter Kuklinowski, Pracki z przyjacielem swoim, Maciutą, także ich nie uszedł, ale... z Jasną Górą nie zaczną. Zresztą, panuleńku, z nami liczyć się muszą. A my, to jest mniejszej szarży oficerowie i towarzysze, wręcz im powiedzielim, że nas do świętokradztwa nie zażyją...

— Jeżeli waszmość panowie taki afekt dla Jasnej Góry żywicie, — zauważył Czarniecki — to mniemałbym, lepiej byłoby i godniej ujawnić go czynem i dopomódz nam do odpędzenia Szweda...

— Racya! — potaknął Pasek. — We dwa ognie wziąć heretyka, ci panie, i pokazać mu, gdzie raki zimują...

— Panuleńku, nie można, byłaby zdrada. Przytem nie zdzierzylibyśmy im. Przewagę mają wielką... — odparł Gołyński.

— Przewagę wielką — dodał Paprocki — i... w każdym razie związani jesteśmy przysięgą, rygiorem... Trudno! Od nas pomocy w oblężeniu nie będą mieli, raz jeszcze ks. przeora wielbnego zapewniamy...

— Ano, wracajcież do swego generała i kondycję moją mu zanieście — rzekł przeor. — Od klasztoru fora i niech włości klasztornych nie tyka.

A układy prowadzić możem. Owszem. Klasztor wojny nie pożąda, zgody, spokoju pragnie. Napaźnięty — bronić się musi. Idźcież z Bogiem. Niech was Panienska Najświętsza myślą dobrą natchnie...

Odeszli parlamentarze, a ks. Kordecki szepnął, jak gdyby do siebie:

— I za to Bogu dziękować, że w zbłąkanych owieczkach sumienia już się wagują. Dobrze o tem wiedzieć.

— Et! ks. przeorze wielebny — zamruczał Pasek — cóż z tego, że się w nich sumienia wagują, kiedy z onego wagowania pożytek żaden. Taką skruchą jeno hakownicę nabić i na wiatr wypalić.

— A waszmość odrazu nadzwyczajnych rzeczy żadasz... — uśmiechnął się przeor. — Wiedz, że więcej warta taka skrucha, która fermentuje w duszy i wtedy jawnie się okazuje, gdy fusów się wszelakich pozbędzie, niż taka, która wybucha nagle, klaru przekonania nie osiągnąwszy. Jakkolwiek jest, lepiej przecież, że do obłężenia Szwedowi pomagać nie będą. To coś znaczy... Pójdźmyż teraz obaczyć, jak Millerowi nasza kondycja się podobiała...

Wieczór już zapadł, poszarzało dobrze, ale ruchy nieprzyjaciela można było jeszcze obserwować. Łatwo też dostrzeżono, że Miller nie przyjął warunków przeora, — ani od murów się cofnął, ani w Częstochowie gospodarować przestał. Co więcej, dobrał się do nieopodal od klasztoru stojących śpichlerzów, w których znaczne zapasy zbo-

za się znajdowały, i rozporządzał się tam, jak w obejściu własnem.

— Ks. przeorze — ozwał się Pasek — podstępnie zażył heretyk, żeby czasu zyskać na rozejrzeniu się w pozycyi... Zali mamy patrzeć z założonymi rękami, jak on powróz na szyje nasze kręci?

— Słusznieś rzekł, panie Janie, — potwierdził Czarniecki — uważam, że należy znów korespondencyę ogniową rozpocząć.

— A przedewszystkiem od śpichlerza Szweda odsadzić — dodał Zamoyski. — Nie powinien z zapasów klasztornych pożytku mieć.

— Prawdać, wojna jest — westchnął ks. Kordecki. — Poczynajcież waszmoście *de noviter*...

— Śpichlerz ja na swoją głowę wezmę — rzekł Pasek, zakasując rękawy.

— Ja zaś waszmości będę pomagała... — ozwała się stolnikowa Branicka, która niespodzianie z wojszczanką i skarbnikówną przy armatach się znalazła.

Pan Piotr Czarniecki za głowę oburącz się pochwyił, wołając:

— Oleńka, a ty tu po co? Zmiataj mi zaraz w bezpieczne miejsce, bo pod areszt pójdiesz...

— I panienki oraz — dodał Pasek — dla Boga! — usuńcie się panie: już kule świszczą na dobre...

Strzelanina znów się istotnie rozpoczęła zajądła, więc także przeor domagał się, żeby stolnikowa z panienkami niezwłocznie opuściły posterunek dla bezpieczeństwa zdradny, a Balcerowicz z Ołtarzewskim, Zaruckim, Kościuszkiewiczem i pan mie-

cznik sieradzki popierali owe przynaglania dosadnie. Stolnikowa jednak uparła się i odejść nie chciała, obok zaś niej trzymały się obiedwie panienki.

— Nic nam się nie stanie, — upewniała zuchowato — pod opieką Najświętszej Panny jesteśmy. A zresztą, czy to ks. przeor do załogi jasnogórskiej nas nie wpisał? Mam przecież chorągiewkę z komputem białogłowskim pod sobą, a nie posiadając dostatecznej eksperyencji żołnierskiej, co również o rotmistrzach moich, tu obecnych, da się powiedzieć, musim się o nią starać, korzystając z wszelkiej okazji. Przy waszmościach, w ogniu, praktyka najprzedniejsza, dlatego nas tu widzicie.

— Zamęt jeno w głowach czynicie — przerwał zniecierpliwiony pan Piotr. — Nie żarty są, nie zabawa! Do szarpin, do infirmaryi, tam wasze miejsce! Toć na rozum węz, Oleńka, i złego przykładu nie dawaj...

— Szarpin jest podostatkiem, infirmarye jeszcze puste. Niechże stryjo tak się nie sroży i słusznego prawa do praktykowania wojny nam nie zaprzecza. Na walne obleżenie, na potężne szturmowanie się zanoszą, a czasu takiego wszystka załoga z ogniem i dymem prochowym winna być obeznana...

— Ostańże pani stolnikowa dobrodziejka, — rzecze przeor — kto wie, na co się to przyda. A ty, panie Janie, zabierz się do harmaty i ze śpichlerzami porządek należyty uczyn. W imię Boże!

Pobłogosławił działo, rychtowane przez Paska, który, popisać się pragnąc, z osobliwym starunkiem do strzału je przygotowywał. Zmiarkowawszy, że

narychtowane w samą miarę, podał lont stolnikowej, mówiąc:

— Skoro wola, do praktyki puszkarskiej panią stolnikową inwituję. Tu, w to miejsce, trza lontek przyłożyć i zaraz w bok uskoczyć, bo nietylko płeć białogłowska, ale także harmaty fanaberye miewają przeróżne...

Stolnikowa ujęła lont, do zapalu go przyłożyła. Twarz jej przytem pobladła, usta nieco drżały. Gruchnął strzał — kula ogniasta z groźnym warkotem z paszczy działa wypadła, zakreśliła łuk świetlny w powietrzu i w poszycie słomiane śpichlerza środkowego się wświdrowała, druzgocąc je na strzępy.

— Szczęśliwą ma stolnikowa dobrodziejka rękę — rzekł pan miecznik sieradzki. — Za taką panią matką wszystko idzie gładko. Dalejże! Walić w śpichlerze, ani pytać i w oną zgraję, co to się dokoła nich wałęsa...

— Żwawo! Ostro! Pokotem! — wołał Pasek, sam się krzątając przykładnie.

— Pluć im w ślepie bez pardonu! — zachęcał pan Piotr Czarniecki.

Kule ogniaste jedna za drugą uderzały w śpichlerze, pociski z muszkietów i innych strzelb gradem również w tamten punkt godziły. Stolnikowa skwitowała z puszkarstwa, za to muszkietu z rąk nie wypuszczała, a trzeba przyznać, że godnie ze strzelbą ręczną obchodzić się potrafiła. Mierzyła celnie, bynajmniej się nie gorączkowała, każdy jej strzał

kładł trupem, lub przynajmniej ranił nieprzyjaciela. Powodzenie dodaje śmiałości — więc stolnikową animusz ogarniał coraz bardziej: na jagodach zapłonęły rumieńce, oczy jej błyszczały, z każdą chwilą czuła się pewniejszą i swobodniejszą.

— Dostał! Zadałam mu bobu! Juźci po nim! — wołała po każdym strzale, zadowolona, a Pasek i inni ze szlachty, tuż stojącej, rozgłośnie jej tryumfom aplaudowali.

— Patronie mój święty! — powtarzał Pasek, szczerze zachwycony — aleć stolnikowa dobrodziejka pierwszej wody celmistrz! Rzadko pomiędzy oszczędzałem żołnierstwem naleźć równego strzelczyka...

Panienki z początku boczyły się, usuwały od strzelania, lecz rychle wojszczanka za przykładem stolnikowej poszła i hukąła z podawanych przez Ołtarzewskiego muszkietów aż miło. Skarbnikówna, mniej wojowniczego temperamentu, strzały z łuku puszczała, w czem jej Kościuszkiewicz, łucznik zawołany, dopomagał. Ani jedna, ani druga mierzyć się celnością ze stolnikową nie mogły; serduszka obudwóch dygotały mocno, dreszcz ich ciała białe przebiegał, ale ambicya nie pozwalała im opuszczać placu. Dopieroż przeor, który wszystko miał na baczości, zręcznem słówkiem onych rotmistrzów fartuszkowych stolnikowej do opuszczenia wałów skłonił.

— Dosyć tej praktyki żołnierskiej na dziś — rzekł — wszystko ma swoją miarę. Usuniecie się tedy panienki, siłaście nadokazywały. Całemu pre-

zydyum o waleczności waszej się ogłosi, ale teraz słuchajcie mego ordynansu i na lewo zwrot uczynicie. Rygor wszędy musi być przestrzegany, a cóż dopiero w szeregach, czasu wojny.

Usunęły się panienki, rade z tego ordynansu przeora, stolnikowa jednak pozostała i w dalszym ciągu, na równi z innymi żołnierzami, Szweda gromiła.

Pasek, zapowiedziawszy, że śpichlerze na swoją weźmie głowę, dopóty się z nimi porał, dopóki ich ze szczeniem nie zniszczył. Celne pociski działowe niebawem ogień wśród tych budowli wzniciły, a płomienie, materyał po temu napotkawszy, snadnie go w popielisko obróciły. Szwed przytem znaczną poniósł stratę w zabitych, rannych oraz w zapasach wojennych.

Miller, patrząc na klęskę, od zmysłów niemal odchodził. Wściekłość go szarpała, wstyd gnębił, a obok tych uczuć, zdumienie go ogarniało. Skłonny do uznawania zabobonów umysł jego coraz więcej utwierdzał go w przekonaniu, iż ma do czynienia z czarami. Powtarzał to głośno oficerom podkomendnym, pomiędzy którymi również znajdowali się pochopni do wiary w gusła.

Landgraf heski i Sadowski dolewali oliwy do ognia, nie szcędząc staremu jenerałowi przycinków.

— Skoro jest pewność, że mnichy bronią kurnika swego czarami — mówił pierwszy — to najlepiej będzie skwitować z obłężenia. Siła ludzka przeciw kunsztowi czarodziejскому się nie ostoi.

— Nieinaczej — przytakiwał Sadowski. — Szko-

da prochów, kul, ludzi i czasu. Chyba, że generał również tajemnice kunsztu czarnoksięskiego posiadasz...

— Tajemnic kunsztu onego nie posiadam, mimo to nie ruszę się stąd, dopóki mnichom rozumu do ich płæk golonych nie napędzę! — krzyczał Miller w uniesieniu. — Nie ruszę! Jakem Miller, generał-leytenant, wódz zaufany króla jegomości Karola Gustawa. Macie, panowie, na to słowo moje. Chociażby mi przyszło własnymi pięściami do bram onego przeklętego klasztoru się dobijać i osobiście na mury się drapać, — raz powziętego zamysłu nie porzucę. Zajmę tę opokę, zająć muszę, pioruny siarczyste, regimenty całego piekła bez skarcenia mnichów mnie stąd nie odpędzą....

— Szkoda żółci, jenerale — mitygował go Weyhard. — Ślepej kurze ziarno się zdarzy naleźć, tak samo zdarzyło się mnichom dziś korzyści niejake osiągnąć. Nic w tem zresztą dziwnego. Aniśmy się w miejscowości rozpatrzyli, ani zdążyli z drogi otrząsnąć i szyku sprawić, gdy oni już nas zaczęli z całym impetem. Śród takich okoliczności nic łatwiejszego nad tryumf pozorny. Ale po takim tryumfie gorzkie rozczarowanie następuje nader szybko. Tu inaczej nie będzie z wszelką pewnością...

— Jest w tem słuszność — mruknął Miller trocha udobruchany — w każdym razie zuchwalstwo mnichów przechodzi pojęcie. Anim przypuszczał, żeby się do zaczepki posunęli.

— Właściwie mówiąc — wycedził przez zęby

landgraf heski, brodę muszcząc — myśmy zaczęli, pozwalając wojsku plondrować włości klasztorne...

— No i przyznaj, hrabio — dodał Sadowski — ów tryumf mnichów chwilowy, jak mniemasz, kosztuje nas bardzo, bardzo słono. W walnej potyczce tyle żołnierza nie pada, ile nam dziś oni z swoich harmat i muszkietów położyli. Przytem straty w taborach mamy poważne. Rzecz, mości panowie, podziwu godna...

W tej chwili granaty klasztorne strzaskały nadwątlony pożarem śpichlerz największy, a upadające belki i krokwie zmiażdżyły kilkunastu Szwedów, którzy się, jakby umyślnie, w miejsce niebezpieczne posunęli, wozy z prochami prowadząc. Oczywiście, że wozy również się nie ostały. Żarzące się belki zgniotły je i wybuch straszliwy wywołały, od którego ziemia zadrżała..

Ten huk piekielny, jęki rannych i konających, znów przyprawiły o wściekłość Millera. Znów począł się miotać, rzucać, szaleć, przeklinać, głowę tracić, rozkazy nedorzeczne wydawać. Landgraf heski, zawsze umiejący krew zimną utrzymać, odezwał się stanowczo:

— Jenerale, ośmielę się z radą wystąpić, a rada moja taka: zabastujmy na dzisiaj, odstępmy stąd. Mamy przed sobą kilka godzin nocy. Przez ten czas zdążym sprawić szyk należyty, w odpowiednich pozycjach się rozstawić tak, że równo ze świtaniem będzie można przypuścić szturm do klasztoru wedle wszelkich reguł wojennych.

— Rada dobra, a nawet powiem, że w tej chwili

li jedyna. Głosuję za nią skwapliwie — rzekł Sadowski.

Jenerał milczał przez chwilę, w końcu machnął ręką i mruknął:

— Wydajcież ordynanse. Kością mi w gardle stanął dzień dzisiejszy...

Skierował konia ku kwaterze swojej, lecz na polowie drogi wstrzymał go, obrzucił okiem klasztor, przesłoniony kłębam dymów, które na tle nocy wyraźniej niż we dnie się odbijały, i wznosząc do góry pięść zaciśniętą, syknął z nienawiścią:

— Do jutra! Jutro inaczej zaśpiewacie... Na honor! nie byłbym Millerem, gdybym za despekt doznany nie odpłacił... Zburzę te mury, minami potrzaskam opokę, mnichów żywcem ze skóry poobdzieram!... Nie obroni ich rzekoma Orędowniczka, o której cudach tyle bają. Wizerunek Jej, on za święty uważany, w wodzie spławię, a potem na stosie spalić każę... Tak się stanie i niech mnie piekło pochłonie, jeżeli tego nie dotrzymam!...

Naraz Miller umilkł, oczy szeroko rozwarł i szarpnął konia silnie.

— Co to? — szepnął! — Jawa, zali oman?

Dłoń po czole przesunął, jakby chcąc się przekonać, czy nie śpi; znów szepnął:

— Nie! Nie roi mi się... Widzę przecież dobrze, przy zmysłach jestem zdrowych...

Z natężeniem wpatrywał się w klasztor, który wysunął się nagle z po za rozsnutych dokoła dymów i powoli mknął coraz wyżej, a wyżej w górę...

Wstrząsnął się Miller, trwożę uczuł, znów dło-

nią czoło potarł i z natężeniem przypatrywał się zjawisku.

Gmach klasztorny zniknął w ciemnościach nocy, przez chwilę nie można go było dostrzedz; dopiero po jakimś czasie znów się ukazał, lecz w zwykłym miejscu, na szczycie opoki.

— Osobliwe! Nadzwyczajne! — mruczał Miller, kiwając wielką głową. — Nie uwierzylbym, gdybym na własne oczy tego nie oglądał... Hm! Sztuczki to golonych pałek, nic innego. Ale trafiła kosa na kamień: nie przerażą mnie, nie odwiodą od postanowienia. Dotrwam, osiągnę, com postanowił. Do jutra, mości rycerze w habitach!

VIII

— Ho! ho! Szwed nie próżnował w nocy... — mówił pan Piotr Czarniecki do przeora, obchodząc z nim dnia następnego, wczesnym rankiem, wały.

— Prawda — potaknął ks. Kordecki — rozstawał się na dobre i uważam, że chyba niebawem szturm regularny rozpocznie...

— Może to być — wtrącił pan miecznik sieradzki — chociaż do szturm regularnego jeszcze się w całej należytości nie przygotował.

— To też zwija się z przygotowaniami na łeb, na szyję — nadmienił Pasek.

— Trzeba przyznać, że krząta się sprawnie — dodał pan Mosiński.

— Sprawnie, ani słowa, — rzekł pan Piotr — mimo to nie ukończy dziś przygotowań.

— Obaczmy — szepnął ks. Kordecki. — Myśmy za to gotowi na wszystko. Nie tak-li, mości panowie?

— Na wszystko, ks. przeorze dobrodzieju! —

podchwycił energicznie pan Zamoyski. — Nawet na przelanie ostatniej kropli krwi w obronie tej polskiej stolicy Królowej Anielskiej...

Tak rozmawiając, pilno przypatrywali się szwedzkim zabiegom oblężniczym, prowadzonym z pośpiechem gwałtownym. Miller bowiem, idąc za radą landgraфа heskiego, czas nocny spożytkował na rozpoznanie dokładnie miejscowości i wyznaczenie stanowisk poszczególnym oddziałom wojska. Więc landgrafowi heskiemu i pułkownikowi Sadowskiemu wyznaczył pozycję przy kościele Ś-tej Barbary i przy nowicyacie, sam zaś, z głównymi siłami, rozłożył się w Częstochówce, od strony wschodnio-północnej klasztoru, stąd bowiem snadniej mógł dokuczyć twierdzy jasnogórskiej, ile, że mury z tej strony były słabsze, oraz iż łatwiej można było wzniecić pożar w zabudowaniach klasztornych, krytych gontem z tej strony.

— Ma głowę nie od parady Miller — rzekł pan miecznik sieradzki, zbadawszy roztasowanie się nieprzyjaciela. — Ano, nie dziwota! Wódz doświadczony, w obozach zęby zjadł, sztukę oblężniczą praktykuje siła czasu... Odrazu zmiarkował, skąd nam można dopiec najbardziej.

— Zmiarkował, lecz głowę dałbym za to, że nieswoim rozumem — mruknął pan Czarniecki. — Wskazania musiał mieć jakoweś.

— Wskazania? — powtórzył pan Krzyżtoporski. — Skąd? Od kogo?

— Szpiegów nie brak, a nie tajno, że heretyk chętnie wcale się niemi posługuje.

— Czy aby waszmość nie przesądzasz rzeczy? Przecież mamy się na baczości, niepodobna tedy przypuścić, iżby wskazania z warowni naszej otrzymywał. Zdrajców pomiędzy nami niema.

— Tak się zdaje i dałby Bóg, aby tak było istotnie — mówił pan Czarniecki. — Ale, rozważcie, mości panowie, że, jeżeli wszystkim, obecnie znajdującym się w klasztorze, ufać można i jeżeli od czasu, jakżeśmy bramy zawarli i ostrożność wszelką zachowywać zaczęli, zdrada po za mury twierdzy przemknąć się nie może, to mogła ona tu myszkować wcześniej. Onże Maciuta, podstolego Prackiego kamrat najserdeczniejszy, co w przebraniu i pod zmyślonem nazwiskiem się tu dostał, zali nie żywił zamysłów szpiegowskich? Bystrego oka to łotr, starczyło mu krótkiego czasu na spenetrowanie naszych słabizn. Nie zwracało się też uwagi na innych, którzy pod pozorem nabożeństwa nawiedzali Jasną Górę w czasach ostatnich, boć człek nie posiada ducha przenikającego, a kontrola ścisła przechodziła możność ludzką; wszakże wolno dopuszczać, iż równie pomiędzy nimi szpiegowie się znajdowali.

— Przypuszczenie dorzeczne, z którego oraz nauka dla nas płynie — rzekł przeor. — Taka zaś nauka, iżby z twierdzy żywej duszy nie wypuszczać, dopóki oblężenie trwać będzie.

— *Bene dixisti, reverendissime!* — potaknął pan Czarniecki — a ja przydam: ta jeszcze nauka płynie, iżby parlamentarzów najściślej strzedz, wyróżnienia pomiędzy nimi nie czyniąc...

— Ola! Ola! — przerwał Pasek nagle — my tu gwarzym politycznie, jak za czasów błogiego pokoku, a heretyk już nas kąsać zaczyna...

— Gdzie? Z której strony? — zapytano gromadnie, lecz, zanim Pasek zdążył odpowiedzieć, kuła armatnia, wyrzucona z baterji, ustawionej w Częstochówce, zawarczała głucho w powietrzu i zakreśliwszy łuk potężny, upadła z drugiej strony, po za warownią.

— Z kiepska po węgiersku rychtują harmaty — roześmiał się Pasek — ks. przeorze wielebny, jako od hetmana, oczekujem znaku na grzeczną odpowiedź...

A przeor, krzyż z piersi zdjęwszy, przeżegnał nim mury twierdzy i stojącą w pogotowiu załogę, nadmienając:

— Oni, nie my, za dzieło krwi zniszczenia i rozlewu odpowiedzą przed Bogiem...

Jakoż działa i muszkiety klasztorne przemówiły, a bez porównania skuteczniej, niż nieprzyjacielskie.

Te bowiem снаć nadto pośpiesznie, nadto gorączkowo były rychtowane, więc albo przenosiły twierdzę, albo nawet nie sięgały murów; jeżeli zaś dostawały się w obręb murów, to nie trafiały nikogo.

— Śmiechu warte takie strzelanie! — mówili obrońcy Jasnej Góry — toć, gdy jabłoń trzęsiesz, bądź gruszę, łatniej od spadającego owocu guza oberwiesz, niż od strzelczyków takich. Śpiączkę ma chyba na ślepiach heretyk...

Było się czemu dziwić, bo szturm trwał zażarty, Szwed prochu i kul nie żałował. Sypały się pociski gradem, lecz wciąż niedołęźnie rzucane, a ich bezowocność coraz więcej zajadłości wzniewała w Szwedach, do tego stopnia, że żołdactwo pod same niemal mury twierdzy, konno i pieszo, się przysuwało i bluźniąc straszliwie, miotając obelgi na zakonników, paliło z muszkietów bez opamiętania.

— Sami cel dają — pomrukiwał Pasek, uwijając się gorliwie przy działach, bądź też ręcznej zażywają broni. — Uprzejmie to z ich strony, człek się nie wysila i strzela, jak do płota.

Polacy, jak to przyrzekli przeorowi Gołyński i Paprocki, trzymali się na uboczu, palca nie przykładając do szturm; ale znalazła się garść zdrajców pomiędzy nimi (co prawda nie z regularnych oddziałów, lecz z gromad, przyprowadzonych przez Prackiego i jemu podobnych), którzy na równi ze Szwedami godzili na Jasną Górę. Prym pomiędzy tymi przedawczykami trzymał on Atanazy Supilski, który, posłując do klasztoru od Weyharda, zemstę Paskowi zaprzysiągł. Ten najwięcej zuchwałstwa okazywał, najbardziej pod mury się zbliżał i najohydniej zakonnikom uragał.

— Furda gadanie wszelkie! — wrzeszczał — wojna to wojna! W taki czas na nic się nie zważa. Co tam świętość! Co tam klasztor! Co tam mnichy! Szwedom służym, więc kto przeciwko królowi jego mości szwedzkiemu staje, to nasz wróg także, dalejże na niego! Mores żołnierski i rygor, dyscyplina — oto świętość...

Darł się zdrajca tak głośno, że go Pasek spostrzegł i usłyszał, a oburzony do najwyższego stopnia, krzyknie z całej mocy:

— Mości Atanazy Supilski! mości skórko na buty! mości gnojku, któren cześć i sumienie za halerze heretyckie sprzedajesz! Obiecowałeś mi dogodzić, ale ja tobie wprzód, ekstrakcie wszelakiego łoterstwa, dogodzę!... Żywot dasz nikczemny, za zdradę i bluźnierstwo, żegnaj się z duszą!

Trzymał wtedy Pasek luk w rękę, więc strzałę nałożył i w Supilskiego wymierzył.

Zdrajca jednak nie stracił miny. Również poznał Paska i wrzasnął:

— A! mości Pasek, służka mniszy!... Waść nie przy miechach kościelnych? Toć dziwno... Grozisz mi wzięciem żywota, niecnotko? Ho! Ho! Pewnyś siebie! A oto inaczej się stanie, bo, com obiecał, to dotrzymam i kulka ci gębę przewiercę...

Gruchnął z muszkietu, ale spudłował, tedy chwycił od kompana inszą strzelbę i, celując, wydziwiał:

— Trzymaj się wiatru, mniszy pacholiku! Wnet poznasz Supilskiego, jakoteż poznają go i wielebni Ojcowie... Furda wszystko! Co tam klasztor! Co Najświętsza Panna! Dobierzem się do Jej dukatów, a mnichom palce w kurki powkręcamy! Szwedom się służy i tyle...

Naraz umilkł, w tył się zachnął na siodle, dłonie, z których mu strzelba wypadła, rozkrzyżował i krwią się zalał, bo mu strzała Paska przeszła gardziel nawskroś...

Śmierć zdrajcy, poniesiona w chwili, gdy bluźnił tak szpetnie, przeraziła jego kompanów, a nawet trwogą przejęła szwedzkie żołdactwo, które też cofnęło się od murów i straciło animusz.

Szturm jednak nie ustawał. Miller wciąż przy-
naglał puszkarzy do utrzymywania gwałtownego ognia, postanowiwszy, iż dnia tego musi coś zyskać, a w tym zamiarze utrwalał go Weyhard, naszeptując:

— Miotać na klasztor pociski, sypać, ile można, ile się zmieści bomb i granatów, zgniebić mnichów, osołomić, ogłuszyć, przerazić, a z pewnością zmiekną...

Więc kanonada piekielna nie ustawała na chwilę, wstrząsając ziemię, napełniając powietrze oddech tamującym zapachem prochu, osnuwając warownie jasnogórską tumanami gęstego dymu...

Najwięcej pocisków rzucono z pozycyi w Częstochówce, tam bowiem Szwedzi, jak się rzekło, zgromadzili siły największe, przytem zabezpieczyli się najlepiej, działa między domami a płotami postawiawszy, w ścianach zaś i dachach domów urządziwszy strzelnice. Nie uszły bacności załogi klasztornej owe zabezpieczenia, wnet też zaczęły padać na budowlę Częstochówki kule ogniste, które zrobiły swoje: wzniciły pożar. Płomienie objęły naprzód ogromne sterty siana, skąd przeniosły się na strzechy słomiane. Niebawem cała Częstochówka ogarniętą została istnem morzem szalejącego żywiołu, który z wielką gwałtownością niszczył wszystko, co jeno napotkał po drodze. Szwedzi w pierwszej chwi-

li nie spostrzegli niebezpieczeństwa, zanadto byli zajęci walką. Spostrzegłszy, stracili przytomność, płomienie bowiem opasywały ich ze wszech stron. Przerazenie ich dosięgło najwyższego stopnia, gdy rozległ się straszliwy huk, gdy w górę wystrzelił słup ognisty, a potem nastąpił trzask, łomot, gruchot i płomienie przysłonione zostały ciemnymi falami dymów... To prochy, zgromadzone w ilości znacznej, wybuchły, rozsadzając trzy największe działa...

Szaleństwo niemal ogarnęło Szwedów... Ciskali broń, na oślep rzucali się w otchłań dymów i płomieni, wydając krzyki nieludzkie. Wielu zginęło w tem piekle, niemało też padało od celnych strzałów klasztornych, wydostawszy się na otwarte miejsce....

A właśnie, gdy wojsko Karola Gustawa ponosiło taką klęskę, na murach oblężonej twierdzy ukazała się procesya z Najświętszym Sakramentem i snuła się majestatycznie, powoli. Jednocześnie ozwały się z wieży kościelnej dźwięki kapeli, grającej oną prastarą pieśń bojową, która przed wiekami rozbrzmiewała na Zielonem Polu, gdy rycerstwo polskie zadawało cios sępom germańskim. Widok Boga Zbawiciela świata, utajonego w monstrancyi złocistej, którą przeor błogosławił na prawo i lewo, podniecał męstwo obrońców Jasnej Góry, a pieśń święta, znana i umiłowana przez naród, napełniała ich piersi większą jeszcze otuchą i rozradowaniem. Czuli niejako, że serca im rosły, że sił im przybywało, że błogosławieństwo Boże na nich spływa, że stają się niezwalczonymi. W rozradowaniu onem mimowoli za-

częli wtórować kapeli i rychło po przez dymy prochowe, wśród grzmotu, huku, brzęku i świstu bojowego, unosiły się słowa:

„Bogu Rodzica Dziewica,
Bogiem sławiona Marya,
U Twego Syna, Gospodyna,
Matko zwolena, Marya,
Ziszci nam spust winam.
Kyrie eleison!”

Brzmienia pieśni przedarły się do szeregów szwedzkich, budząc zdumienie, a procesya napęłniała obawą zabobonne umysły. Miller, zgnębiony nową klęską, widząc bezsilność swego szturmu z jednej, a pomyślność oręża załogi klasztornej z drugiej strony, galopem przypadł do kościoła Ś-tej Barbary i już zdaleka wołał do znajdujących się tam na stanowiskach komendantów:

— Dzieją się rzeczy niesłychane, przechodzące imaginację! Golone pałki wciąż zuchwalują i, trzeba przyznać, z naszą szkodą... Milion piorunów siarczystych! Z pozycyi tak doskonałej, jaką zająłem, jestem zmuszony ustąpić...

— Fortuna kołem się toczy — ozwał się sentencyonalnie landgraf heski — drobne jednak niepowodzenie nie stanowi dostatecznego powodu do zwątpienia.

Stary jenerał począł burczeć:

— Kto tu o zwątpieniu mówi? Książę umyślnie przeinaczasz znaczenie słów moich... Wyrażam je-

no zdumienie nad zuchwalstwem mnichów i nad okolicznościami, które się dla nich pomyślnie składają. Znow nam wysadzili prochy w powietrze, no, a wybuch wyrządził stratę w ludziach i rozsądził trzy działa...

— I tu nam dziesiątkują szeregi — wtrącił Sadowski. — Już bo musim przyznać, że bronić się umieją...

— Chwilowa to pomyślność — nadmienił z boku Weyhard — lecz praktyk tej miary, jak wasza miłość, nie powinien dziwić się, ani przejmować kaprysem wypadków. Nawykłego do świetnych zwycięstw tryumfatora najdrobniejsza przeszkoda niecierpliwi, to zrozumieć łatwo, ale od czego rozważa?

— Hrabia jest zaiste niewyczerpany w refleksjach! — rozśmiał się landgraf heski.

— Kroćset szatanów! — zaklął Miller — nie o dysputy tu idzie, ale o upamiętanie mnichów! Trzeba chyba znow parlamentarza do nich wysłać... Jak radzicie, panowie oficerowie-komendanci?

W tej chwili do uszu naradzających się wczdów szwedzkich doleciały brzmienia kapeli i głosy, śpiewające tę właśnie strofę pieśni pobożnej:

„Ni srebrem, ni złotem nas dyabłu odkupił,
Swą mocą zastąpił.
Dla ciebie, człowiecze,
Dał Bóg przebość sobie ręce, nodze obie.
Krew święta szła z Boga, na zbawienie tobie...”

— Mocnym czuć się musi on kurnik, skoro podczas szturmów muzyką się zabawia — zauważył Sadowski.

— Fantazyi szuka w kantach, strach niemi chce przytłumić — wtrącił Weyhard.

— Raczej na urągowisko, przeciwko nam wymierzone, ono śpiewanie patrzy — bąknął landgraf heski.

— Zapłaci im się za te kuranty i za wszystko! — wyszeptał ponuro Miller. — Roztopionym ołowiem gardła im nastroję, konopiane smyki ofiaruję... Poznają, żem szczodry...

— Ale tymczasem nie zawadzi spróbować jeszcze paktowania — nadmienił Seweryn Kaliński, starosta braclawski i pułkownik jednego z oddziałów polskich. — Niechby trocha żołnierz wytchnął, bo srodze mu kule klasztorne doskwierają...

Popatrzył na niego Miller zaczerwienionemi oczyma, wreszcie rzekł:

— A waszmość, panie starosto, podjąłbyś się funkcyi paktowania?

— Czemu nie. Sztuka niewielka, głowy nie narażę. Może też mnichy na traktament godny się zdobędą, szanując szarżę i krew niepodłą.

— Jedź waszmość tedy, może przywiedziesz do rozumu zapamiętałych. Nie żałuj języka, nie szczędź przedstawień i symulacyi wszelkich. Powiedz, że trwam jeszcze w najlepszych dla klasztoru chęciach, ale cierpliwość ma granice...

— Na elokwencyi mi nie zbywa — roześmiał się

Kaliński — bądź wasza miłość pewnym, że misyę wypełnię należycie.

— Nie od rzeczy byłoby, żebyś się waszmość z kim w klasztorze pokumał — nadmienił Weyhard z przyciskiem i przeciągle — ot, na ten przykład, z puszkarzem jakim...

Miller zwrócił się do mówiącego i zapytał:

— Hrabia co masz na myśli?

— Mam na myśli, — odparł chytrze Czech — że pomiędzy puszkarzami na Jasnej Górze są Niemcy, a to przecież naród polityczny, łąco dostrzeżga sens, jeśli do niego przemówić grzecznem słowem...

— A! a! — mruknął Miller — tedy hrabia mierzysz?...

— Czy wasza miłość oponuje przeciwko temu?

— Bynajmniej, wcale nie oponuję. Owszem, jeżeli panu staroście coś podobnego się uda...

— Co do tego wątpię, — rzekł Kaliński — delikatna materya, a mnichy zachowują ostrożność...

Ruszył z kopyta ku bramie klasztornej, powiewając chustą białą, zatkniętą na szabli.

Gdy odjechał, Sadowski szepnął do Weyharda:

— Przyjmij, hrabio, gratulacyę — pomysł znakomity!

— Nieprawda? — zapytał, uśmiechając się złośliwie Weyhard — trzeba było nam wcześniej drogę taką przygotować...

— Na hrabiego wina w tej mierze spada, — odparł Sadowski — bo żaden z nas nie odważyłby się podjąć tak *delikatnej* materyi.

— Czasu wojny każdy sposób godziwy, byleby do celu prowadził...

— Ano tak, i byleby honoru nie plamił — odparł sucho Sadowski.

— Nie rozumiem pułkownika — bąknął Weyhard, siląc się na beczelność.

— Powiedziałem, mości hrabio, że podłość zawsze i wszędzie zostaje podłością... — rzucił pogardliwie Sadowski i zaczął rozmawiać z Hornem.

Kalińskiego przeor Kordecki przyjął uprzejmie, pogodnie, starosta zaś usiłował zachowaniu się swemu i słowom nadać pozór szczerej serdeczności.

— Księżę przeorze wielebny, — począł, w defenitarzu się znalazłszy — na Bóg miły, co najlepsze go czynicie? Zgubę i sobie, i Ojcom, i całej załodze, i miejscu świętemu przygotowujecie... Jakże można! Wejdźcie w stan rzeczy, zastanówcie się... Z ogniem igracie, a to igraszka niebezpieczna, zwłaszcza w takim czasie.

— Nie igraszka to z naszej strony, lecz mus, ostateczność, do której zostaliśmy gwałtem popchnięci — rzekł przeor.

— Co znowu! — podchwycił Kaliński. — Popchnięci? Zmuszeni? Jako żywo, inaczej się *status quo* przedstawia... Klasztor się przeciwko okolicznościom nie ostoi, toć jasne, nikt temu nie zaprzeczy, chyba... pozbawiony zdrowego sensu. Tłumaczył wam dokładnie wszystko graf Weyhard, którego, jako katolika, o złą wolę dla miejsca świętego i dla was, Ojcowie wielebni, posądzać niepodobna; Miller również chciał się z wami załatwić po przyjacielsku,

godziwie, pokojowo: a wy chęci najlepsze odtrącać...

— Obowiązek tylko spełniamy święty, panie starosto, czy waszmość tego nie rozumiesz?

— Obowiązek? Zmiłujże się, ks. przeorze dobrodzieju, rozważ, czy wobec nieodwołalnej konieczności opór z waszej strony można spełnieniem obowiązku nazwać? Jan Kazimierz pokonany, sam Ojczyznę w niebezpieczeństwie opuścił, a tym sposobem z korony własnowolnie zrezygnował. Karol Gustaw wszędzie już tryumfuje, cała Rzeczpospolita jego orężowi zwycięskiemu się poddała i wam przeto, Ojcowie wielebni, nic innego nie pozostaje uczynić, jak zgodzić się z nowym porządkiem rzeczy... Zresztą, o co tu idzie? O zmianę panowania, zmianę głowy ukoronowanej. Rzeczpospolita pozostanie, jak była, przy wszelkich prawach, przywilejach i wolnościach, zmienia się jeno tron. Prawda? A przynajmniej, Ojcowie że na tej zmianie zyskujemy niepospolicie, bo Jana Kazimierza, chwiejnego, lada podszeptu słuchającego, ani porównać można z królem jegomością szwedzkim. Potężny to pan, roztropny, bohaterski, w prowadzeniu wojny szczęśliwy i doświadczony, charakterem wzniosły, rozumem głęboki. Znaną jest jego ludzkość i łaskawość...

— Dowiódł tej ludzkości i łaskawości, ogniem i mieczem kraj nasz polski gnębiąc, nie szczędząc kościołów, kapłanów, starców, niewiast i dzieci... — zagrzmiął groźnie pan Czarniecki.

Starosta, jak gdyby tego nie słyszał, dalej prawił:

— Stawszy się zwycięzcą, do czego zmierza? Oto do tego, żeby najskuteczniej bezpieczeństwu granic zaradzić i odwrócić tym sposobem od obywateli klęskę, któraby w razie przeciwnym niechybnie na nich spadła. Te właśnie względy zmuszają go do zajęcia Jasnej Góry, jako twierdzy, na granicy Śląska leżącej, i osadzenia tu załogi. Wyłuszczywszy rzecz, zapytuję was, Ojcowie wielebni, czy nie jest słusznem z waszej strony uleść woli najłaskawszego, a potężnego monarchy? Pilno to rozważcie. Wierzajcie mi, Polak przecież jestem i katolik, lepiej uległością na przychylność jego zasłużyć, niż oporem gniew i zemstę wywołać. Pamiętajcie, iż monarchowie całego świata zawdy jednaką rządzą się zasadą: oszczędzać uległych, a wojować upornych...

— Mości starosto,—ozwał się Kordecki—przemawiasz waszmość wciąż imieniem króla jegomości szwedzkiego, a zda się najjaśniejszego Karola Gustawa w obozie pod Jasną Górą niemasz?

— Ale jest jego pełnomocnik, w osobie jenerała Millera, który mi to właśnie wyłuszczyć polecił...

— Pełnomocnik? Bez urazy waszmości, kwestya się tu stawia, zali jenerał Miller jest w rzeczy samej pełnomocnikiem najjaśniejszego króla jegomości szwedzkiego? zali do zajęcia Jasnej Góry upoważnienie posiada?

— Któżby o tem śmiał powątpiewać?

— My, starosto mościwy, a to na podstawie nie błahej, bo na podstawie własnoręcznego zapewnie-

nia najjaśniejszego Karola Gustawa, iż klasztor nasz zaczepionym przez wojsko jego królewskiej mości nie będzie.

Kaliński słów nie znalazł na odparcie tak doraźnego argumentu, zdołał wybąknąć:

— Widzę, że zachodzi nieporozumienie, lecz z pewnością nie ze strony jenerała...

— I nie z naszej! Posiadamy bowiem czarne na białem, dokument z podpisem monarchy. Rozpatrzmy się w dokumencie onym ponownie i jutro jenerałowi Millerowi na domagania jego odpowiemy.

— Dlaczego nie dziś, zaraz?...

— *Festina lente*, starosto mościwy, ta przestroga nasuwa się tem bardziej w danym razie, gdyż wchodzą tu w grę rzeczy święte, o których się przecież mówi: *ne misceantur sacra profanis*.

— Wrócić tedy mam z niczem? — ociągał się Kaliński.

— Niezupełnie, starosto mościwy—odparł przeor — słowa twoje skłaniają nas do skrętnego zbadania onej powikłanej sprawy, która w tak kłopotliwym położeniu i nas, i komendanta szwedzkiego stawia...

— Więc jutro jenerał Miller respons ostateczny od Ojców wielebnych dostanie?

— Z wszelką pewnością, panie starosto.

Kaliński, pamiętając o uwadze Weyharda, rad był nieco dłużej zabawić w klasztorze, zerknąć okiem tu i owdzie, pomyszkować, tego i owego na słówko wyciągnąć; lecz przeor tak pokierował, że opuścił

Jasną Górę niezwłocznie, nic nie zyskawszy, w humorze, oczywiście, kwaśnym. Przed Millerem wydrwiwał zakonników, lekceważąco o nich mówił, starając się tym sposobem nieudane poselstwo osłodzić, ale z wyjawieniem decyzji przeora ociągał się. Stary generał odgadł, że poseł z próżnemi rękoma wrócił. Rzekł do niego pochmurnie i cierpko:

— Uważam, iż w klasztorze grzecznego trójniaku na traktament nie żalowano, z czego pan starosta nieomieszkałeś skorzystać. Okazuje się to z relacji: kaducznie mętna, treści w niej niema.

Kaliński się obruszył trocha.

— Mętna jest relacja, bom mętneho doznał przyjęcia—odparł.

— Jakto mętneho?

— Ano... na perswazyje moje i przekonywania, przeor Kordecki replikował uprzejmie, z rewerencyą, nawet uniżenie, ostatecznie jednak wykrętem zbył. Powiada, iż nieporozumienie jakieś musi zachodzić...

— Nieporozumienie? — powtórzył Miller.

— Z tej rzekomo racyi, — kończył starosta — ponieważ klasztor posiada salwę-gwardyę z własnoręcznem najjaśniejszego Karola Gustawa podpisem, *ergo*, wasza miłość niesłusznie się Jasnej Góry czepiasz.

Zatrząśł się Miller z oburzenia, ciemny pons szerokie oblicze mu oblał, jał pięścią po stole bić:

— Ja się czepiam niesłusznie? Ja? Piekło i szatany! Ależ to szalone zuchwalstwo. To obelga! To nowe wyzwanie! Ja im pokażę, ja ich nauczę, ja...

Sliną się zachłysnął, a starosta tymczasem nadmienił:

— Prosimi o cierpliwość do jutra. Jutro ową salwę-gwardyę zaprezentować mają...

— Ani myślę czekać! — wrzeszczał podrażniony Miller — ani myślę! Ja niesłusznie się czepiam? W ten sposób mnie odpowiadać, mnie, generał-leytenantowi króla jegomości? Zgroza!

— Bez alteracyi, jenerale, — odezwał się landgraf heski — ściśle biorąc, niema tu powodu do gniewu. Mnichy mówią o nieporozumieniu, chcą dokumentem jakimś usprawiedliwić swoją oporność, cóż w tem złego? Zaczekajmy, do jutra niedaleko, a wy-poczynek bardzo nam się przyda, bardzo!

Horn, Sadowski i inni oficerowie poparli landgrafa, Miller też powoli ochłonął i zgodził się czekać do jutra na poselstwo z klasztoru.

Po rozprawach co do tej kwestyi, Weyhard, na stronę wzięwszy Kalińskiego, szepnął mu:

— Jakże, mości starosto, nie upatrzyłeś w klasztorze kogo?

Kaliński, wciąż jeszcze w złym sosie będąc, spojrzął przenikliwie na Czecha i burknął:

— Rzekłem, iż delikatna to nazbyt materya, do której też trza rąk innych, nie szlacheckich, jak moje.

— Taki z waści skrupulant, panie starosto? — roześmiał się ironicznie Weyhard. — Mniemam, że w obecnem położeniu naszym na tego rodzaju skrupuły miejsca niema... Kiedyś grzyb, leż do kosza.

Alea jacta est, zresztą... necessitas est durum telum...

Na to starosta dobrodusznie;

— Wprawdzie można zaprzeczyć, iż *malus ipse, fies me si malis convixeris*, do mnie jednak raczej należy stosować to zalecenie pogańskiego poety: *medium tenere beati*. Niechże wasza miłość o tem pamięta!

Gdy nazajutrz ukazali się w obozie szwedzkim dwaj wysłani przez ks. Kordeckiego Ojcowie, rzucił się do nich Miller, już z daleka wołając:

— Nareszcie! A cóż u stu tysięcy piorunów myślicie sobie, wy, młyny pobożności i zbawienia, że mam tak wiele czasu do stracenia?! Gdzie ten dokument? Okazujcież dokument!

Jeden z posłów, Ó. Sebastyan Stawiski, rozwinął pismo, zaopatrzone w pieczęć właściwą, a rozpoczynające się od słów: „My, Karol Gustaw, z Bożej łaski król Szwedów, Gotów i Wandalów, Wielki Książę Finlandyi, Estonii, Karelii, Bredy, Werdy, Szczecina, Pomeranii, Kaszubów i Wandalii, Książę Rugii, Pan Ingryj, Wismarku i Bawaryi, jakoteż Hrabia Palatyn Reński, Juliaku, Kliwii, Bergu i t. d.“

Pismo nosiło datę 30 września, dane było w Kazimierzu, pod Krakowem. Zwracał się w niem król jegomość szwedzki do: „Senatorów, dygnitarzy i wszystkiej szlachty ziemi lełowskiej w województwie krakowskiem z łaską i przychylnością szczególniejszą“, z temi słowy: „Przyobiecuję Wam utrzymanie, bez wszelkiej zmiany, wolności religii; powstrzymam żołnierzy moich od wszelkich gwałtów,

napadów, łupiestw i rabunku szlachty, miast, zamków i poddanych; stosunki handlowe z sąsiednimi krajami ubezpieczę; będę miał wzgląd słuszny na wszystkie wymagania, dotyczące godności i przywilejów Waszych.“

Dokument O. Stawiski odczytał głośno, w czem mu Miller nie przeszkadzał, dopiero, gdy czytanie skończył, rzucił drwiąco:

— Więc to ma tłumaczyć oporność waszą?

— Fundament, jako mniemam, dostateczny — odparli Ojcowie. — Jasna bowiem z dokumentu konkluzya, że w układy o umieszczenie w klasztorze prezydyum żadną miarą wchodzić nie możemy. Żądania waszej miłości przeciwią się swobodom Króciola.

W Millerze już gniew nurtował, już w nim wzbierał i szarpał go. Wierząc krwią nabiegłemi oczyma zakonników, spokój i godność niewzruszenie zachowujących, zawołał:

— Wiedźcież, że dokument wasz traci moc wszelką, wobec pełnomocnictwa, jakie posiadam od króla mego najjaśniejszego... Polecił mi niezwyciężony monarcha uskramiać buntowników orężem, na jakiegokolwiek drodze ich spotkam, oraz w taki sposób, jaki sam za stosowny uznam... Rozumiecie?

— Myśmy od wszelkich buntów dalecy. Modlitwa, chwała Boża, uczynki Najwyższemu Panu miłe, toć zakres działania naszego, nasza rola, którą uprawiamy i pielęgnujemy — brzmiała odpowiedź.

— Buntownikami jesteście! — zahuczał Miller.

— Jakże? wzbraniacie mi zajęcia klasztoru, a to mi przecież król najjaśniejszy zalecił...

— Czynim to nie przez lekkomyślność, lecz przez niezbędną w czasie tak niespokojnym przezorność. Trzymamy bramy klasztoru zawarte, bo upoważnia nas do tego przyrzeczenie szwedzkiego króla jegomości...

— A gdybym was przekonał — wtrącił zjadliwie Miller — że król jegomość inaczej o klasztorze waszym postanowił?

— Odnieslibyśmy to jego wielebności przeorowi. Jego tu wola rządzi.

— Jego wola rządzi wami, łbami golonemi, ale nad nim jest wola Karola-Gustawa. Horn! zaprezentuj tym pałom szalonym rozkaz najjaśniejszy...

Horn rozłożył, wcześniej już snać przygotowane, pismo własnoręczne Karola-Gustawa, po niemiecku wyrażone, z pieczęcią odpowiednią, nakazujące istotnie Millerowi zająć i obsadzić załogami szwedzkimi: Bolesław, Wieluń, Krzepice i Częstochowę.

— I Częstochowę! — powtórzył kilka razy z naciskiem Miller. — Chcieliście dowodów? — macie! Przedstawiam je, chociaż z ujmą jest stanu i godności mojej, że się przed zgają nierycerską mnichów do eksplikacji posuwam. Czynię to dlatego, żeby was o moich dobrych chęciach przekonać. Chyba już teraz do wykrętów uciekać się nie będziecie. Wracajcież do przeora, niechże dłużej nie mądrzy i żądanie moje spełni. Frysz! wam służę tylko do jutra, to zapamiętajcie.

Oicow stanęli przed ks. Kordeckim nieco stro-

pieni: dokument królewski usuwał stanowczo posądzenie Millera o samowolę. Przeor jednak nie wziął relacyi Ojców do serca. Uśmiechnawszy się, rzekł:

— Miller nie zrozumiał rozkazu swego króla.

Nic więcej na razie nie powiedział.

Nazajutrz przypadła niedziela i święto Ofiarowania Najświętszej Panny, tedy nabożeństwo przeciągnęło się dłużej. Po nabożeństwie przeor obniósł w procesyi Najświętszy Sakrament dokoła murów, pomny na opowieść Pisma Świętego, iż Izrael, pragnąc zapewnić sobie zwycięstwo nad Filistynami, Arkę przymierza dokoła obozu swego obnosił. Miller, od wczesnego rana spodziewający się z klasztoru odpowiedzi stanowczej, niecierpliwił się, zżył, kłął, wydziwiał, ale czekał. Wreszcie w południe przyniesiono mu pismo przeora, które atoli wcale co innego zawierało, niż się spodziewał. Opie- wało bowiem:

„Niechaj się dowie Wasza Dostojność, iż nie jest naszym powołaniem wybierać królów, jeno wybranych przez Wysokie Stany Królestwa szanować i być im posłusznymi. Przeto kogo mężowie, czuwający nad Rzeczpospolitą, wybierają, temu i my siebie samych, jakoteż miejsce święte, zostające po dziś dzień w największej czci monarchów, kornie poddajemy i poddawać będziemy. Lecz do tego nie zmusza nas oręż, bo rycerstwo nie naszym jest rzemiosłem, ani mamy po temu siły, żeby się opierać potędze królów. Widzieliśmy rozkaz Jego Królewskiej Mości, a ponieważ mamy dostateczną zało-

gę do powstrzymania napadu na miejsce święte, przeto rozkaz rzeczony w wielką wprowadził nas wątpliwość, tembardziej, że klasztor nasz z kościołem ma od wieków innego pana i zowie się *Jasną Górą*, miasto zaś *Częstochowa* wcale do klasztoru nie należy. Wobec tego, błagamy usilnie Jego Dostojność, abyś zechciał zostawić w spokoju zgromadzenie nasze oraz kościół, Bogu i Najświętszej Bogarodzicy poświęcony, iżby w nim cześć Boga na przyszłość pozostała, gdzieby zarazem błagano Majestat Boży o zdrowie i powodzenie Najjaśniejszego Króla. Tymczasem my, niegodni, zanosząc nasze prośby, polecamy się najusilniej łaskawym względem Waszej Dostojności, posiadając ufność w Jego dobroci, po której i na przyszłość wiele sobie obiecujemy.“

Miller, odczytawszy pismo, w pierwszej chwili osłupiał. Czas pewien wodził po twarzach zgromadzonej starszyny skołowaciałym wzrokiem; odsapnąwszy, grzmotnął pięścią po kolanie, rzucił pismo na ziemię, starł je na miazgę obcasem, wołając urywanie:

— Przechery! Niecnoty! Łotry! Lisy! Tak z nimi uczynię — na proch! na proch! A! milion milionów regimentów piorunów siarczystych!... patrzajcież gdzie uskoczyli! Jasna Góra to nie Częstochowa... Co za wykręt! Sam Belzebub nie wykonypowałby dowcipniejszego! Na proch! Ze szczętem! Mości oficyerowie-komendanci, cóż wy na tak bezeczne szelmstwo?...

Landgraf heski nie podzielał oburzenia starego

jenerała; odezwał się ze zwykłą, sardoniczną flegmą:

— Fundamentem mądrości jest utrzymać krew zimną *quam in sago, tam in toga*. Nie powinniśmy o tem zapominać. Wprawdzie tryumfy twoje, jenerale, upoważniają cię do mniemania, iż jesteś z tych szczęśliwych wybrańców, o których mówią, iż są *fruges consumere nati*, więc nic dziwnego, że każdy opór cię rozdrażnia; z drugiej jednak strony rzecz biorąc, trzeba przyznać, że pałki golone przedstawiły argument nie do pogardzenia. Rozważmyż. Mamy rozkaz zająć Częstochowę; jeżeli zaś ich kurnik zowie się Jasną Górą, słusznie przeto zapytują: *quo jure?*

— Książę masz chyba źle w głowie! — wrzasnął Miller. — Wykrętu bezecnego bronisz...

— Za pozwoleniem, jenerale. Nie ulega wątpliwości, iż rozkaz mówi o klasztorze, ale ponieważ nie postarano się dokładnie określić nazwy, mnichy z tego nie omieszkały skorzystać. Trudno! W kancelaryi królewskiej popełniono przeoczenie, a wszak już miodosławny Horacy przestrzegał: *quidquid delirant reges, plectuntur Achivi*.

— Książę jesteś przekorą, duchem sprzeciwieństwa, rebelizantem! — wybuchnął Miller. — Książę mnie chcesz o śmierć przyprawić wściekłemi swojemi przycinkami... Niech piekło pochłonie Horacego i wszystkich bazgrołów pogańskich! Tu o mnichów idzie, którzy nam fimfy pod nos puszczaia, którzy z nas drwią, którzy...

Za głowę się schwycił i krzyknął w największej pasyi:

— Teraz im pokażę! Teraz im sprawię! Mości panowie oficyerowie-komendanci! do szturm w tym momencie... Walić ze wszystkich dział, uruchomić całą armię, całą garścią sypać pociski... Nasz honor w grze! Mości panowie, musim na cztery wiatry rozwiać to gniazdo zabobonów i czarów rzymskich! Za mną! za mną!

IX

Zdażył Szwed, w czasie bezowocnych układów, pięć szafców nowych wznieść, tym razem w miejscach właściwszych i bliżej nieco. Pierwszy usypał naprzeciw bramy głównej twierdzy; drugi, czterema działami najeżony, przy Częstochówce; trzeci, największy, od strony północnej; czwarty zachodnim murem warowni groził; z ostatniego miano burzyć sam kościół i budowle świątyni przyległe. Owóz, na znak rozjadowanego odpowiedzią ks. Kordeckiego Millera, z trzech onych baterji, od północy i od południa, jednocześnie zagrzmiały działa i mździerze. Pomknęły ku Jasnej Górze kule, granaty, zwoje sznurów płonących, smołą napuszczonych i również płonących szczap, kreśląc we wszystkich kierunkach smugi świetlne, do błyskawic podobne. Od blasku tych pocisków luno wykwiwały na niebie, warkot i świst groźny szedł. I zdało się, że to piekło z czeluści swoich wypuściło zastępy smoków potwornych, aby stolice polską Królowej Anielskiej, zwojami

cielsk swoich opasawszy, zmiażdżyły; aby ją strawiły płomiennymi żądłami swoich paszcz.

Obleżeni spodziewali się szturm. Stali w pogotowiu na murach, czuwali na dachach budynków. Ci trzymali zapalone lonty i broń ręczną, do strzału wymierzoną; tamci osękami strącali z dachów pociski, zalewali wodą miejsca, zagrożone pożarem. Wszędzie ład był i posłuch na skinienie wszelkie przywódców, którzy dawali pilne baczenie na każdy zakątek. Lecz nie odrazu klasztor odpowiedział na nową zaczepkę. Spokojnie wytrzymał pierwszą gwałtowność szturm, dopiero, gdy dym gęsty, zasłaniający nieprzyjaciela, rozwiął się trochę, a kapela na wieży zaczęła wygrywać pieśni pobożne, przypominając oblegającym świętość miejsca i ich szatańską zuchwałość: dopiero wtedy ks. Kordecki krucyfiks, w dłoniach trzymany, wznosił, niby hetman buławę; na ten znak zaś gruchnęły działa i rusznice obrońców Jasnej Góry, prażąc szanice szwedzkie i wysuwających się z po za nich żołdaków.

Wrzał bói, zawziętość Szwedów z każdą chwilą się wzmagala, lecz po to tylko, żeby doznać tem większego upokorzenia. Przewaga bowiem obleżonych na każdym kroku widniała. Snać Opatrzność Boża stała po stronie tak niesłusznie uciśnionych i udaremniała zakusy ich nieprzyjaciół. Większość pocisków szwedzkich albo trafiała w opokę, albo górą przenosząc twierdzę, godziła w przeciwnie szanice nieprzyjaciół, sprawiając w nich zniszczenie; te zaś, które przypadkiem dachów zabudowań klasz-

tornych sięgały, czuwający na dachach onych gasilili łącno i strącali na ziemię.

Zauważono też, że pociski Szwedów jak gdyby niewidzialna ręka od murów twierdzy i świątyni odpychała, bo pękały tuż przed niemi, nie czyniąc im żadnej szkody. Zauważono nadto zdarzenia, wprost o cudzie świadczące. Oto bomba ognista wpadła przez okno do izby, przytoczyła się do koleby ze śpiącą dzieciną i zgasła bez wybuchu. Słowem, zdało się, że w tych chwilach straszliwych żaden cios, żadne niebezpieczeństwo nie mogło osiągnąć tych, którzy szczerem sercem oddali się opiece Bogarodzicy.

Noc nie wstrzymała zajadłości Szwedów, również przez dwa dni następne nie przestali szturmować do twierdzy i coraz nowemi okopami ją otaczać. Niepowodzenie jątrzyło ich i czyniło do tego stopnia zuchwałymi, że w szanicach nocowali, nie starając się o porozstawianie straży należytych. Spostrzegł to pan Piotr Czarniecki i postanowił oną nieopatrność wyzyskać. Jakoż za przyzwoleniem przeora, sześćdziesięciu ochotnika ze sobą wzięwszy, tajemnym przełazem, w nocy, udał się z twierdzy na wycieczkę. Za murami, część ludzi zostawił przed baterią nieprzyjacielską, z pozostałymi zaś z tyłu zahaczył baterię.

Szwedzi, z dwóch stron znienacka zaskoczeni, głowy formalnie potracili i, zamiast napastników, samych siebie tłukli. Rzeź wielką pomiędzy nimi sprawili obrońcy Jasnej Góry. Usiekł wtedy własnoręcznie pan Czarniecki de Fossisa, słynnego ar-

tylerzystę, serdecznego przyjaciela grafa Weyharda; poległ komendant baterii, kulą przestrelony; Horn, komendant krzepicki, kosą ranę przez pierś otrzymał, która go w miesiąc potem o śmierć przypawiła. Zresztą wystrzelano lub wycięto niemal wszystkich Szwedów, nocujących w obrębie baterii, kilku jeno, uchodząc śmierci, znać dało Millerowi o klęsce. Lecz, zanim stary generał zdążył się połapać z myślami, zanim rozkazał larum na trąbach i kotłach grać, już pan Czarniecki zwycięsko wracał do twierdzy, z łupem niemałym, zagwoździwszy przytem nieprzyjacielowi dwa największe działa. Z ludzi jego tylko jeden, Węgrzyn Janasz, poległ.

Ozwały się działa i muszkiety szwedzkie, ale po harapie. Ich kule ogniste oświecały miejsce niespodzianej, okrutnej klęski. Miller z komendantami objeżdżał pobojowisko w milczeniu, rozpatrując się przy blaskach pochodni w stracie, która spadła na niego, niby piorun z pogodnego nieba. Ogarnięty zdumieniem, mówić nie mógł. Wzrokiem osłupiałym wodził po stosach trupów, krwią ociekających, wargi mu drżały, trzęsły się ręce... Przez chwilę trwogę uczuwał, a nawet przychodziło mu na myśl, czyby nielepiej zaniechać oblężenia onej warowniki niepozornej, która na każdą jego zaczepkę odpowiadała groźnię, z niezłomnością bohatera, zapewnionego o swoim tryumfie? Lecz jednocześnie przed jego oczyma stanął wstyd, upokorzenie, stała hańba, jaką sprowadzi na głowę swoją, przez uznanie własnej bezsilności wobec garści zakonników, wobec „gawiedzi nierycerskiej,” jak sam obrońców Ja-

snej Góry z pogardą nazywał. On, wódz dotychczas niewyciężony; on, którego tryumf rozbrzmiewały szeroko po świecie, miałby ustąpić przed habitami mnichów?... Przenigdy! Musi opanować Jasną Górę, musi zawładnąć onem gniazdem zabobonów katolickich, musi przekonać świat, że nawet z czarami znienawidzonych papistów potrafi dać sobie radę... Musi za jakąbądź cenę, — użyje wszystkich sposobów...

Rozważając tak, stary generał z pod oka patrzył na oficerów podkomendnych, wyczekując od nich pierwszego słowa. Oni jednak wciąż zachowywali milczenie posępne. Więc w piersi jego znów wściekłość nurtować poczęła, jał kłać, złorzeczyć, obwiniać wojsko swoje o brak czujności, o lekceważenie surowych jego ordynansów. Nie oszczędzał nikogo, każdemu się dostała wymówka gwałtowna, brutalna, dotkliwa. Landgraf heski, który nigdy nie dał sobie grać po nosie, i tym razem ostro przeciwko burczeniu Millera wystąpił:

— Zwracam uwagę waszej miłości — rzekł, dumnie podkręcając wąsa — że strofować należy tylko tych, którzy na to zasłużyli. Nie przeczę, powodem klęski dzisiejszej jest brak czujności, lecz tylko ze strony komendanta baterii, któren też ukarany chyba został dostatecznie, boć poległ śmiercią walecznych. Myśmy zaś niewinni. Wymówki miłości waszej ten jeno skutek wyrzucić mogą, że więcej nas jeszcze zniechęcą do imprezy, która, wszystkim to wiadomo, z samego początku nie miała w nas zwolenników...

— Jak to mam rozumieć? — zapytał Miller szorstko. — Książę mówisz, jakbyś zamierzał opuścić obóz...

— I do tej ostateczności przyjść może, jeżeli wasza miłość nie będziesz hamował swoich uniesień. Myśmy tu, powtarzam, niewinni. Jeżeli kto na ostre wymówki zasłużył, to chyba graf Weyhard, który nas do oblężenia klasztoru tak gorliwie podmawiał... Stało się jednak, a skoro się stało, ratujmy położenie nie waśnią, nie wymówkami, lecz zdrową radą. Graf Weyhard — temu nikt nie zaprzeczy — w fałszywym świetle przedstawił nam Jasną Górę. Wprawdzie nie jest to twierdza silna, pierwszorzędna, ale także nie „kurnik,” któryby można zdobyć skinieniem palca. Samo położenie broni tej warowni, przytem mnichy zaopatrzyli się we wszelkie po temu środki...

— O konkluzję prosim, mości książę, o ową „zdrową radę” — przerwał Miller.

— Konkluzya prosta: przy oblężeniu gruntem jest piechota, a tej posiadamy za mało, postaramy się zatem o więcej; dalej, ponieważ działa nasze okazały się zbyt lichemi wobec murów Jasnej Góry, trzeba zażądać od Wittemberga, aby nam jak najprędzej przysłał z Krakowa wielkie kolubryny do kruszenia murów...

— Niezależnie od tego, — dodał Sadowski — trzeba atakować warownię, ponawiać szturm, prowadzić miny, podsuwać szańce, ile można najbliżej murów. O układach również nie radziłbym zapo-

minąć, oczywiście wybierając w tym celu ludzi zręczniejszych, niż dotychczas...

— Wszystko to trafia w myśl moją — rzekł Miller — do Wittemberga pchnę gońca w tym momencie, a jutro znów spróbujemy układów z mnichami... Możebyś hrabia się do nich udał? — dodał, zwracając się ku Weyhardowi.

Czechowi propozycya nie w smak poszła.

— Rozkazu usłucham — odparł, jękając się — mniemam jednak, że należałoby posłać kogo z Polaków. Swój ze swoim łatwiej się porozumie... Mamy przecież pod ręką kilku znakomitszych szlachciców, którzy chętnie się podejmą paktowania z klasztorem...

— Wybierz tedy hrabia odpowiedniego z nich, twojej to pozostawiam głowie — zgodził się Miller.

Jakoż nazajutrz do bramy klasztornej zapukał sędziwy jakiś personat, z długim, zawieszonym, mlecznej białości wąsem, z twarzą poważną, nacechowaną wyrazem poczciwej godności. Opowiadał, iż przypadkiem jeno znalazł się w obozie szwedzkim, a korzystając ze sposobności, pragnie pomodlić się na miejscu świętem, ofiarę złożyć na intencję zagrożonej Ojczyzny, której synem najwierniejszym się mienił. Dziwili się Ojcowie Paulini, że Miller do klasztoru go puścił, lecz personat łatwo to wytłumaczył, mówiąc z uśmiechem:

— *Auro quaeque janua panditur... pecuniae obedient omnia...* nie oparł się też Miller temu doświadczonemu sposobowi.

Tłumaczenie rozproszyło podejrzenia Ojców,

zresztą niepodobna było męża o tak poważnej postawie, którego nadto otaczał urok sędziwości, posądzać, iżby miał działać podstępnie. Trza dodać, iż personat ów zachowywał się z wielkim taktem, przemawiał słodko, serdecznie, złożył ofiarę znaczną na kościół i długo a żarliwie modlił się w kaplicy cudownego wizerunku. Więc Ojcowie pozbyli się nieufności, przyjmowali go uprzejmie, gościnnie, a nawet pozwolili samemu obejrzeć twierdzę, z czego też skwapliwie skorzystać nie omieszkał. Dokończywszy przeglądu, bogobojny rzekomo personat spożył w refektarzu obiad, przyczem zawiązał z Ojcami i szlachtą rozmowę poufną. Wtedy z płaczem niemal jął się rozwódzić nad smutnym stanem Rzeczypospolitej.

— Zaiste! — mówił, wzdychając, oczyma przewracając i składając dłonie — srogich czasów do czekała się miła Ojczyzna nasza... Jakże? — możliwym i szlachcie, temu sercu narodu, odjęto głos wolny, muszą oni uleść konieczności, która narzuca nam Szweda! Uszedł z kraju Jan Kazimierz, pomawiany przez wszystkich (czy słusznie? o tem potomność sąd wyda...), jakoby gardził królestwem, zaskoczonym klęskami... Cała Rzeczpospolita, jak szeroka i długa, uległa potędze króla jegomości szwedzkiego, wy tylko, Ojcowie najmilsi, stawiacie opór jego zapędom, chociaż, wybaczcie szczerłość, tym sposobem jeno klęskę na kraj sprowadzić możecie...

Otarł chustą oczy z łez i dalej prowadził, coraz i rzewniej i serdeczniej:

— Wybaczcie, powtarzam, szczerłość, — mi-

łość Ojczyzny, obowiązek, słowa mi dyktują. Opór wasz zaostrzy jeno gwałtowność zemsty wroga, przeto lepiej wcześniej wejść z nim w układy, niż czekać smutnej ostateczności, niż później żałować zgubnego kroku. Zgubnego, mówię, bo spowoduje on zagładę miejsca świętego i jego obrońców...

Rozejrzyjcie się dokoła. Wszak jądro wojska naszego, one pułki kwarciane, przekonawszy się, iż opór do niczego nie doprowadzi, chorągwie swoje i oręż przed potęgą szwedzką złożyły. Wszyscy przewodnicy kraju, i duchowni, i świeccy, widząc, iż gwałtowny pęd zdarzeń wojennych wytrącił wiośła z ich rąk, nie śmiąc przeciwie się wezbranemu potokowi, żagle swoje właściwie do składu okoliczności skierowali. Postąpili słusznie, inaczej należałoby o nich powiedzieć: *reti ventos venaris*. Wy, Ojcowie najmilsi, zamykając oczy na konieczność, niepomni, że *leges bello siluere coactae*, uparcie powtarzacie: *etiamsi omnes, ego non!* Czyniecie to *bona fide*, ale usiłowań waszych pochwalić niepodobna. *Infundis amphoram in Danaidum dolium!*

Oto staję przed wami ja, upelnomocniony najszczerzym dla Ojczyzny i tego miejsca świętego afektem, doświadczeniem lat i stanu rzeczy znajomością, stanu, którego z po za murów klasztoru osądzić nie możecie; staję i z głębi serca radę wysnuwam: postąpcie jako inni, jeżeli was dobro własne obchodzi; nie sądźcie, iż podolać będziecie mogli rozumem własnym temu, czemu cała Rzeczpospolita podolać nie zdoła. Uznajcie *digitus Dei* w klęsce i zgódźcie się z wolą nieba. Tak radzę, Ojcowie

przewielebni, aczem niepowołany, i nadmieniam: mądrą jest rzeczą odwołać się do wspaniałomyślności zwycięzcy, ale omylnie czyni, kto zapala jego zawziętość, przeciągając strunę cierpliwości. Wy właśnie, Ojcowie, na omylnej jesteście drodze, dlatego przestrzegam was: jeśli *sine mora* nie zaniechacie swego oporu, to rozjątrzony zwycięzca klasztor w perzynę obróci, a was przytłoczy (Boże nie dopuść tego!...) jarzmem okrutnej i srogiej zemsty...

Obowiązki powołania nakazują wam, Ojcowie, unikać spraw światowych. Czy powinniście mieć cośkolwiek do czynienia ze zgiełkiem wojny, wy, którym prawa zakonne przeznaczają modlitwę i samotność? Ach! baczcie, iżby oręż, który ujęliście, zamiast różańców świętych, zguby wam nie przyniósł. Wiem to z pewnością, iż król jegomość szwedzki ani myśli naruszać praw, wolności i swobody świętej naszej wiary katolickiej. Nie zamierza on bynajmniej niszczyć i ograbiać miejsca, wślawionego cudami Orędowniczki Niebieskiej, pragnie jeno zająć warownię, aby ją silniejszą załogą osadzić, gdyż tak nakazuje mu przezorność.

Tedy — *imo pectore*, Ojcowie najmilsi, radzę wam: zaniechajcie oporu. To prawda, *data occasione* wspomnieć o tem winienem, — poddając Millerowi twierdzę, poniesiecie niejake wydatki, zwłaszcza na dowodzącego artylerją, do którego, wedle prawa wojny, w twierdzy poddającej się należy wszystko, co w niej jest ze spiżu, mosiądzu lub miedzi i zgoła, co do odlewania dział jest przydatne. To wszystko będziecie musieli u niego okupić. Ale... *ex*

malis eligere minima! Dlatego, Ojcowie mili, zgódźcie się z koniecznością, chociaż twardą...

W posępnem milczeniu wysłuchano słodkich i układnych słów personata, on zaś, skończywszy zdradliwe uwagi i podszepty, prosił, żeby mu pozwolono jeszcze pomodlić się w kaplicy wizerunku cudownego. Nie poszedł jednak od razu do kościoła, myszkował wprzód pomiędzy załogą, rozpowiadając o niezwycczonej potędze szwedzkiej i zapewnając o bezskuteczności oporu. Szczególniej starał się o tem przekonać puszkarzy, z którymi też dłużej i dziwnie tajemniczo rozprawiał.

Tymczasem Ojcowie i szlachta rozważali jego słowa. Niektórym trafiły one do serca, więc ci byli zdania, żeby ich usłuchać, a nawet prosić personata o wyjednanie u Millera najkorzystniejszych warunków poddania twierdzy. Przeor atoli inaczej myślał. Cierpliwie ważył głos każdy, gdy zaś już wszyscy się z mniemań swoich zwierz yli, rzekł donośnie i silnie:

— Ludzie małej wiary i krótkiego wzroku, aza-li nie rozpoznaliście, iż w słowach rzekomego czci-ciela Maryi ukrywa się kuszenie szatańskie? Powiadam wam: w człowieku tym, tak z pozor u czci-godnym i prawym, wąż fałszu i przewrotności niecnej na nas się zasadził. Zdrajca jest, a gorze nam, jeśli ucho jego podszeptom damy!

Ten i ów usiłował zaprzeczyć podeirz entom przeora, lecz ks. Kordecki, dłoń do góry wzniosłszy, powtórzył jeszcze dobitniej:

— Zdrajca jest! Sumienie mi tak mówi i wy-

rzuca, żem się z początku dał uwieść złudnemu pozorowi. Więc kajam się za popełnienie błędu i wołam w pokorze z Psalmistą: *Eripe me, Domine, ab homine malo, a viro iniquo eripe me! Custodi me, Domine, de manu peccatoris, et ab hominibus iniquis eripe me!*

Ukląkł, zwrócony do krucyfiksu, który w refektarzu nad wizerunkiem Bogarodzicy wisiał, i żarliwie odmawiał rozpoczęty psalm Dawida. Za przykładem poszli wszyscy — jakoż o mury refektarza odbijały się korne błagania:

„Broń mnie, mój Panie, od ludzi złośliwych,
Broń od podstępów sprośnych, niewstydliwych,
Którzy w swem sercu zdradę tylko knują,
A na mnie wojska ustawnie szykują,
Ostrością zębów podobni wężowi,
Jadem bystremu równi padalcowi...”

Pod koniec psalmu wrócił do refektarza personat; — wówczas przeor zwrócił się do niego i rzekł:

— Mości panie! Łuski nam z oczu, dzięki natchnieniu Ducha Świętego i Błogosławionej Dziewicy Maryi, spadły. Nie staraj się nas ludzić.

Zadrzał personat, przybladł, chciał miną nadrabiać:

— Co to znaczy? — zapytał. — Chyba źłem usłyszał...

— Nie staraj się nas ludzić! — zagrzmiął potężnie ks. Kordecki. — Zdrajca jesteś! Wysłał cię

heretyk, żebyś nas pozorem sędziwości i słów gładkich do grzechu przywiódł. Ale puklerz Bogarodzicy nad nami — przejrzelismy. Wracaj do Millera, któremu poczciwość zaprzedałeś, i powiedz mu, że wojny z nim nie chcemy, ale od świętego obowiązku nie nas odwieść nie zdoła. Bronim się, przymuszenni, bronić się będziem, da Bóg, nie bez skutku. Chce układów — myśmy nie od tego, lecz niech nam przedstawi godziwe warunki. Pierwszy zaś warunek: niech nie gwałci swobody świętej wiary naszej, domagając się, iżbyśmy mu pozwolili wprowadzić na miejsce czci Bogarodzicy poświęcone, heretyków, Jej wrogów zawziętych...

Personat, słuchając przeora, bladł i czerwieniał naprzemiany, ręce mu się trzęsły; wargi drżały, oczu podnieść na obecnych nie śmiał. Zaledwie przeor skończył, gestem energicznym drzwi wskazując, on skwapliwie wysunął się z refektarza i, czapkę natuliwszy na uszy, biegł ku bramie, jak gdyby go kto gonił. Znalazłszy się za bramą, jeszcze żwawiej podążył ku obozowi szwedzkiemu.

Właśnie wtedy Miller, snać zniecierpliwiony oczekiwaniem na posła, kazał strzelać z dział, na zaczepkę zaś armaty klasztorne nie omieszkały odpowiadać. Zdrajca przeto został pochwycony w dwa ognie. Przerażeniem zdjęty, oczy przymknął i pędził bez pamięci na oślep, wśród piekielnego świstu kul. Jedna przeleciała mu tuż nad uchem. Rzucił się na ziemię i, dygocąc ze strachu, przeleżał do zmroku. Dopiero gdy ściemniało, odważył podnieść się, ale dotarłszy do obozu, nie stanął z relacją

przed Millerem. Wstyd i upokorzenie go szarpały. Nazajutrz jednak Miller sam go wezwał. Zjawił się w jego kwaterze zmieniony, posępny, na zapytanie, jak sprawił poselstwo? — dłonią zamachał i bąknął niewyraźnie:

— Szkoda było fatygi. Mnichy nie mają rozumu... Zuchwali są, szaleni...

— Coś jednak odpowiedzieć musieli? — dopytywał się Miller.

— Powtarzać niewarto... Na układy się zgadzają, ale z tym warunkiem, żebyś wasza miłość od klasztoru odstąpił...

— Przy takim składzie rzeczy o układach mo- wy być nie może! — zakrzyknął Miller. — Istotnie, szaleństwo ich ogarnęło!... Ano, trzeba przyznać, żeś się waszmość spisał wcale nietęgo...

Personat głowę podniósł, złe błyski ze źrenic jego strzeliły, uśmiechnął się złośliwie.

— Wasza miłość sądzi usiłowania moje nazbyt pochopnie — rzekł, cedząc wyraz po wyrazie. — Prawda jest, z mnichami nic nie wskórałem, trudnoż z pomaconymi rozumami ładu dojść; alem rzucił w klasztorze ziarno, z którego spodziewam się pożytku.

— Tłumacz się waszmość wyraźniej! — burknął niechętnie Miller.

Personat nachylił się do niego i coś mu szeptał do ucha, a w miarę tych zwierzeń, szeroka, rozlana twarz starego jenerała rozjaśniała się, nawet uśmiech zadowolenia na grubych, wywiniętych wargach się zjawił.

— Zwracam honor! — zawołał w końcu. — Tak, z tego może być pożytek i, jeżeli będzie, potrafię się waszmości odwdziaczyć. Ale trzeba nie usta- wać w rozpoczętem...

— Już o tem napomknąłem Weyhardowi, a on poczynił kroki stosowne...

— Doskonale! Weyhard ma głowę na karku. Doskonale! No, byleby się tylko udało...

Śmiał się, dłonie zacierał, wąsa podkręcał, po- wtarzając wesoło:

— Doskonale! Byleby się udało...

Zdrajca nie przechwalał się fałszywie, zape- wniając Millera, iż w klasztorze zostawił węzowy swój posiew. Wprawdzie chwilowo zachwianych Ojców niektórych i tych ze szlachty, co się byli do niecnych podszeptów skłaniali, przeor przywrócił do równowagi, demaskując nikczemnika i przemawia- jąc do nich płomiennymi słowy; ale zdrajca zdołał owoładnąć umysłami pewnej części załogi. Zwłasz- cza potrafił oplątać świetnymi obietnicami jednego z puszkarzy, Niemca, imieniem Fajwer, który też niezwłocznie a kryjomo zaczął podmawiać do zdra- dy towarzyszków i kogo jeno mógł z żołnierstwa za- ciężnego. Aliści knowania w łeb wzięły, co się stało tym kształtem.

„Piątaki“, swoim zwyczajem, pomimo silnych przymrozków, każdej nocy obchodzili stanowiska, sprawdzając, zali wszystko znajduje się w porząd- ku. Owóż, nazajutrz po bytności zdrajcy, już byli dokonali zwykłej lustracyi i ku kwaterze się zwró-

cili swojej, gdy naraz Paskowi przyszła myśl obejrzeć raz jeszcze bastyon wschodnio-północny.

— Pludry, psie juchy, wałą w niego najzjadlej, ile, że z tej strony przystęp do warowni snadniejszy; tedy musim rozważyć, jakby ono miejsce ubezpieczyć? Noc ciemna, ale nic to: skrzyszem ognia i obaczym, co potrza.

— O dniu taka robota, nie w pociemkach nocnych — zauważył Zarucki, poziewając.

— Nie drzej waść gęby, panie Herakliusz, i lada czego nie gadaj — ofuknął Pasek. — Na ordynansach Paniienki Najświętszej zostajem, tedy grzech śmiertelny popełniasz, ociągając się w pilności, oraz narażasz honor żołnierski, czasu oblężenia zostawując przezorność do rana.

— A waść zaraz językiem pytlujesz... Babską masz w tym względzie naturę, panie Janie — mruknął Zarucki.

— Nie ten ma babską naturę, któren godnych przestróg kamratom udziela, ale ten, któren gotów jest obowiązków poniechać dla pierzyny i ciepłego piwa...

— Ależ noc! — przerwał ów poswarek przyjacielski Kościuszkiewicz. — Nic rozejrzeć, choć w pysk daj...

— Wicher potrosze się zrywa, to może chmury rozpędzi — nadmienił Balcerowicz.

Gwarząc tak, postępowali zwolna ku bastyonowi; wtem Pasek zatrzymał się, szepcząc:

— Cichaj! Coś słyszę niezwykłego...

Przystanęli i nadstawili uszu.

— Ktoś z naszych dyskurs prowadzi z kimś z po za murów... Dziwna. Baczość! mości panowie, w tem jakiś kaduk tkwi... Ano — chyłkiem w tę stronę...

Skradali się ostrożnie, dążąc ku miejscu, z którego dochodziły jakieś szepty.

— Puszkarz Fajwer z kimś dyskuruje — zauważył Ołtarzewski.

— Ani słowa, na Bóg miły... — przestrzegł Pasek — to jakby zdradą pachnie — słuchajmy!

Umilkli i z natężoną uwagą zaczęli nadsluchiwać.

— Powiedzcie grafowi Weyhardowi, że jeżeli nie jutro, to pojutrze opuścim warownię — szeptał ktoś z muru — ale musi do trzosa głębiej sięgnąć; nie o fraszkę przecież tu idzie.

— Nienasytek z ciebie, kmotrze — mruknął inny, z po za murów — dać ci palec, ty zaraz dwie garści chwytasz.

— Żelazo na gorąco pod młot się bierze, a jeno głupi nie korzysta z nadarzonej sposobności — roześmiał się pierwszy. — Co chcesz, kmotrze: karku nadstawiamy, osobliwie ja. Zważ, że na swoją głowę wzięłem wszystko, tedy, gdyby mnichy przewachali, byłoby ze mną krucho... Zresztą robota warta dobrej zapłaty. Jeśli się uda, klasztor wasz.

— Uda się, jeno zakrzątnij się szczerze. Masz ty olej w mózgowicy, kmotrze Fajwer, znamy się nie od dziś.

— Ślizga rzecz okrutnie: — westchnął pierwszy.
Hetmani.

szy — mnichy ostrożne, patrzą na ręce dniem i nocą. A panowie szlachta jeszcze gorsi. Ten Zamoyski i Czarniecki słyszą, nie słuchając, i widzą, nie patrząc... Ba! a ci towarzysze, których pan kijowski z Siewierza przysłał? Bodaj ich zabito! Ci najgorši. Liszka przed nimi się nie wykręci...

— Gadasz, żeby więcej wyciągnąć, kmotrze Fajwer. Majster z ciebie. Prawda, rzecz ślizga, ale sowicie się opłaci. Z Weyhardem masz do czynienia, on zaś nie skąpi, gdy jest za co.

— Szczodry on w obiecywaniu, nie w płaceniu.

— Powiadam ci: nie troskaj się. Stary szlachcic już ci sumienie posmarował, a tu oto masz jeszcze na zachętę. Trzymaj!

Coś z brzękiem upadło, z po za murów rzucone, Fajwer podniósł to zwinnie.

— Marna obrada! — mruknął.

— Na zachętę tylko — powtórzył ów z po za wałów. — W rachubę zapłaty to nie wchodzi. Więc jutro?

— Jutro może, a pojutrze pewnie. Czasu trza na wszystko. Zważ: nie wszyscy mają ochotę, muszą z nimi kręcić. A tu jeszcze działa zagwoździć i z prochnią dokonać porządku. Siła skreću.

— Więc pojutrze — pamiętaj!

— No, no, byle graf o dukatach nie przepomniał...

Pasek, słuchając umowy zdradzieckiej, wrzał z oburzenia, czterej jego towarzysze również ledwie na miejscu ustać mogli. Roztropność jednak nakazywała im wysłuchać niecných konszachtów do koń-

ca. Dopiero, gdy Fajwer — po głosie odrazu poznali łotra puszkarza — z muru się podniósł, poże-gnawszy szwedzkiego namówcę, oskoczyli go ze wszystkich stron. Struchlał łotr, oniemiał, przytomność stracił.

— Tuś mi, ptaszku! Taki z ciebie furfant! — syknął Pasek przez zaciśnięte zęby, potrząsając zdrajcą.

— Powróż mu na szyję i na bronie obwiesić! — zawołał Zarucki.

— Niechaj się Weyhard wcześniej dowie, iż nic z jego niecnego podstępu!

— A! bratku... będziesz rachował szwedzkie dukaty, ale w piekle...

— Skończyć z nim w tym momencie!...

— Hola! hola! — odezwał się Pasek, ochłonawszy z pierwszego wrażenia. — Rozwagi nie traćmy, mości panowie, i upamiętania, to grunt. Przedewszystkiem trwogi nie czynimy. Bóg łaskaw, żeśmy wczas zdradę domacali. Jasno, że Opatrzność nas tu przywiodła... Com chciał rzec?... a! Tandem rygoru się trzymajmy. Ks. przeor tu regimentarzem, jemu naprzód raport zdać trza. Pójdź, psi synu, oto żeś się złapał! Ha! cierpnie na tobie skóra? Trafiłeś na tych najgorszych? Poczekaj gałgańskie nasienie, ścierpiesz jeszcze bardziej, gdy uczujesz stryczek na gardle... Do ks. przeora, mości panowie!...

Zaprowadzili zdrajcę do przeora, który niezwłocznie Ojców starszych i znaczniejszą szlachtę na radę zwołał. Przytem okazał, jak zawsze zresz-

tą, krew zimną, spokój, rozwałę, na co inni zdobyć się nie mogli.

— Smutne to, — rzekł — iż zdrada pomiędzy nas wstęp znalazła; ale, z drugiej strony, w tak snadnem i rychłem jej ujawnieniu, łaskę Bogarodzicy winniśmy dostrzedz, świadectwo, iż czuwa Ona nieustannie nad polską stolicą swoją. Zaiste, otuchę, pokrzepienie, czerpmy ze zdarzenia tego. A jednocześnie przyznajmy się do wielkiej nieopatrzności. On personat zdołał nas uwieść, pozwoliliśmy mu myszkować wszędy bez kontroli i oto skutek. Nasza, a raczej moja bardzo wielka wina, moja nieogłędność, pozwoliłem się bowiem figurze czciogodnej z pozorów i słowom gładkim uwieść. Trudno: *Cuiusvis hominis est errare, nullius nisi insipientis in errore perseverare*. Nauka stąd dla wszystkich, jako powiedział Psalmista — *et nunc reges intelligite: erudimini, qui iudicatis terram!*

Przystąpiono do badania zdrajcy-puszkarka.

Okazało się, że nikczemnik od dłuższego czasu miał porozumienie ze Szwedami, a ostatecznie ów personat skłonił go do zdrady. Ze strony Szwedów głównym podżegaczem w tej mierze był Weyhard. Wyznał dalej Fajwer (sam jasno widząc bezowocność wypierania się), iż pomiędzy załogą dwóch jeno żołnierzy zdołał pociągnąć bez trudności; inni wahali się, obawiali, ociągali, ale i tych miał nadzieję ułudzić ponętnymi obietnicami. Przyrzekł zaś Weyhardowi, iż nietylko większość załogi potajemnie uprowadzi z warowni, lecz nadto zobowiązał się

zagwoździć działa jasnogórskie i podłożyć ogień pod prochnię.

— Łoter do szpiku kości! — oburzała się szlachta — jużci się od powroza nie wykreści...

— Prawo wojenne nie zna miłosierdzia!

Przeor dalekim był od srogiego dekretu.

— W obozach insze prawo rządu, — rzekł — ale zważcie, mości panowie, że tu nie obóz. Konieczność nas, zakonników, zmusiła do uchwycenia za oręż, bronim miejsca świętego, przywilejów świętej wiary naszej; wszelako nie przestaliśmy być sługami Bożymi, dla których prawem właśnie miłosierdzie i łaska! Zaraza dotknęła stado nasze, dobry zaś pasterz w takim razie wszystkich owiec pod nóż nie przeznacza. Precz usuwa zarażone, insze ostawia i pilne baczenie dawa, aby jad zaraży ponownie ich nie dotknął. Tak i my uczynimy.

To powiedziawszy, zgromadził całą załogę i oznajmił jej spokojnie, bez uniesienia:

— Mili moi, oto daliście ucho pokuszeniom złym, a wszak wiadomo, że złe długo ukryć się nie może. Jakoż nie ukryło się: zdrada, niby oliwa, na jaw wypłynęła. Główny rozsiewacz kąkolu, na uczynku gorącym schwytan, wyznał wszystko; was szczególnie badać nie będę, zapytuję tylko: zali trwacie w zatwardziałości grzechu? zali opuścicie twierdzę, zaniechacie obrony tej stolicy Pani Anielskiej? zali przenosicie potępienie wieczne nad słodką nagrodę Bogarodzicy? Albowiem nie sądzicie, iżbyście za zdradę inszą korzyść odnieśli. Złoto, któ-

re wam wróg Maryi ofiaruje, toć marność doczesna, a raczej mamidło szatana, który, za pomocą tej ponęty, usiłuje dusze wasze zagarnąć i w czeluście piekła rzucić, kędy wiecznie trwa płacz i zgrzytanie zębów... Wybierajcie.

Łagodnie przemawiał ks. Kordecki, lecz słowa jego były uderzeniami piorunów dla obłąkanej załogi. On zaś, widząc poruszone serca, mówił dalej i to osiągnął, że w sumieniach omamionych odezwała się skrucha. Rzekł przeto:

— A teraz, gdym wam szpetność zamysłu waszego i skutki z niego płynące przedstawił, niech wystąpią ci, którzy Bogarodzicę opuścić zamierzają. Niech wystąpią śmiało, karać ich nie będę: Bóg najwyższy, nierychliwy, lecz sprawiedliwy, sam im karę wymierzy. Co do mnie, odłączywszy ich od towarzyszków, w których poczciwość nie wygasła, furtę im otworzę, niech idą za pokuszeniem szatańskim...

Żaden z żołnierzy nie wystąpił — wszyscy rzucili się do kolan przeora i, obejmując je, całując jego szatę zakonną, z płaczem błagali o przebaczenie, złorzeczyli Fajwrowi i Szwedom, przyrzekając wierność i wytrwanie. Kordecki, wciąż łaskowość nadzwyczajną okazując, tylko Fajwra i dwóch żołnierzy, którzy mu w namowach zdradzieckich pomagali, z klasztoru usunął, reszcie przebaczył i nawet żołd im podwoił. Musieli jednak uroczyście, w kaplicy cudownego wizerunku, zaprzysiądz, iż już żadnym pokuszeniem ułudzić się nie dadzą. Tak załatwiwszy sprawę, znów udał się na radę z Ojca-

mi i szlachtą. Trzeba bowiem było przedsięwziąć ściślejsze środki ostrożności, zaprowadzić większy porządek.

Więc na tem stanęło, iżby w chórze nocnym starsi tylko Ojcowie zasiadali, młodzi zaś i w sile wieku mieli na posterunkach bojowych zostawać, ile im czasu od nabożeństwa dziennego zbędzie. Na wałach podwojono strażę. Do obrony każdego bastyonu przeznaczono jednego szlachcica z czeladzią, dwóch bieglejszych w kunszcie swoim puszkarzów, dziesięciu zdolniejszych do broni zakonników i kilkunastu płatnego żołnierza. Nad każdym puszkarzem ustawiono dozór pilny, a nad całą gromadką czuwał jeden z doświadczeńszych szlachty i jeden ze starszych Ojców.

Przeto dowództwo nad północno-wschodnim bastyonem powierzono panu Zygmuntowi Mosińskiemu i O. Hilaremu Sławoszewskiemu; nad północno-zachodnim — p. Mikołajowi Krzyżtoporskiemu i O. Ignacemu Mieleckiemu; nad południowo-wschodnim — p. Piotrowi Czarnieckiemu i O. Adamowi Stypulskiemu; nad zachodnim — p. Janowi Skórzewskiemu i O. Danielowi Rychtalskiemu. Nad strażami wałowemi czuwać mieli Ojcowie: Marceli Dobrosz i Zacharyasz Małachowski; dwa inni Ojcowie kierowali zabezpieczeniem dachów od ognia. Dozór nad armatą, oraz wszelką bronią i amunicją, przypadł O. Piotrowi Lasocie, który także obowiązany był, podczas ciemnych nocy, oświetać okolice wałów, za pomocą kul ognistych, żeby Szwed nie zbliżył się do nich zniemacka. O. Lasota nadto miał

na szczycie wieży najwyższej utrzymywać nieustannie znaki płomieniste, jako wskazanie dla spodziewanej odsieczy, że twierdza wciąż się jeszcze trzyma. Dowództwo ogólne nad całym tym szykiem bojowym Jasnej Góry, oraz baczenie, gdzie i komu posiłek w razie potrzeby wypadal, przeor Kordecki zawierzył panu Stefanowi Zamoyskiemu i O. Ludwikowi Czarnieckiemu, samemu sobie zostawiając kierunek najwyższy obroną miejsca świętego. Tak skrętnie zarządziwszy wszystkiem, wyczekiwał biegu wypadków, wciąż się krzepiąc nadzieją, że albo Miller, rozmyśliwszy się, oblężenia zaniecha, albo też klasztor doczeka się posiłków ze strony Jana Kazimierza.

Ale w Millerze zawziętość rosła, pobudzana dotkliwymi stratami, jakich przy każdym szturmie doznawał. Porażki dyplomatyczne, ponoszone przy traktowaniu z zakonnikami, niemniej ją podsycaly. Odkrycie spisku również go rozjątrzyło, a nawet sprawiło, że zaczął patrzeć koso na Weyharda. Z niecierpliwością oczekiwał kolubryn wielkich z Krakowa, chociaż ludził się wciąż, że uda mu się zawładnąć klasztorem drogą układów.

W tem mniemaniu trwając, rychle po odkryciu spisku na Jasnej Górze, znów się tam zjawił od niego poseł, z zapytaniem: czy wreszcie Ojcowie do poddania twierdzy się nie skłonią? Kordecki, któremu na zwłocę zależało, nietylko dlatego, że odsieczy spodziewać się nie przestawał, ale także z tego powodu, iż podczas układów trwa zawieszenie broni, postanowił utrzymywać Millera w tem prze-

konaniu, że pozostaje w chęci doprowadzenia ugody do skutku. Przeto nic stanowczego parlamentarzowi nie odpowiedziawszy, wyprawił z nim do Millera dwóch Ojców, Sebastyana Świckiego i Marceliego Dobrosza, którzy rzekomo mieli nawiązać traktaty ugodowe.

— Uzbróćcie się w cierpliwość i przezorność, — zalecał im na odchodnem — idzie o to najbardziej, iżbyśmy na czasie zyskali. Pamiętajcie o tem. Może też potraficie złamać zapamiętałość Szweda. W każdym razie — nie drażnić go, nie jątrzyć finałnem wynurzeniem, iżby się z nadzieją wprowadzenia załogi heretyckiej na Jasną Górę pożegnał; owszem, mówić mu o dobrych moich chęciach. Ufam rozumowi i doświadczeniu waszemu, Ojcowie, i polecam opiece Bogarodzicy. Niech Ona myślą i słowami waszemi kieruje.

Miller, gdy mu zakonnicy oświadczyli, że przeor gorąco pragnie zgody, niezmiernie się ucieszył, do tego stopnia, że na znak radości swojej sześć ryb ogromnych niezwłocznie posłał dla zakonników do klasztoru, następnie Ojcom delegatom przedstawił szereg warunków nowych, których atoli sensem było: oddanie twierdzy klasztornej, wyrzeczenie się Jana Kazimierza, uznanie Karola Gustawa panem Rzeczypospolitej.

— Okażem te warunki naszemu wielebnemu przeorowi, on na zgromadzeniu ogólnem Ojców je rozpozna — rzekł O. Dobrosz, zabierając się do odejścia.

— Jakże — przybyliście bez pełnomocnictwa do prowadzenia traktatów?

— Wolno nam tylko w nich pośredniczyć.

Stary jenerał pokręcił głową.

— Idźcież, — rzekł — ale pamiętajcie, że stanowczą decyzję najpóźniej jutro otrzymać muszę. Kołkiem w gardle mi to krętarstwo stało. Najpóźniej jutro! I niech mi przeor pośredników bez pełnomocnictwa właściwego nie przysyła, to mu nadmieńcie.

— Dokładnem echem słów miłości waszej będziem — skłonił się O. Dobrosz. — Ośmielę się jednak zwrócić uwagę, iż skoro traktaty trwać mają, należałoby, aby obiedwie strony dały zakładników...

— Zakładników? — powtórzył Miller zgryźliwie. — Rozumiem! Nie dowierzacie mi?

— Wola przeora — ręce rozłożył O. Dobrosz. — Utrzymuje on, iż to zwyczaj wojenny...

— Zgoda na zakładników. Aleć niechaj będą osoby znaczne. Ja z mojej strony godnego oficera wyprawę, z waszej zaś powinien ofiarować się pan miecznik sieradzki.

— Pan Zamoyski?

— On, ten burzyciel, któren was — wiem dobrze — do oporności podmawia. Widzicie teraz, żem istotnie pełen dla was dobrej woli; zgodnego porozumienia z pożytkiem dla was pragnę.

Owa „dobra wola“ rychło okazała się jasno, gdyż Miller, niebawem po odejściu posłów, wyprawił na Jasną Górę zakładnika, w tym przecież sna-

dnie poznano marnego żołdaka, przebranego w mundur oficerski. Odesłano go więc z wymówką, Miller zaś oburzenie udał wielkie, lecz innego zakładnika nie dostarczył.

Nazajutrz stawili się w jego kwaterze Ojcowie: Maciej Bleszyński, lektor filozofii, i Zacharyasz Małachowski — mężowie w językach obcych biegli, wymowni, usposobienia powściągliwego i stanowczego. Tym powtórzył przeor instrukcję: nie odejść Millerowi nadziei porozumienia, ale do czego się nie zobowiązywać.

— Macie pełnomocnictwo do podpisania traktatu? — zapytał ich stary jenerał zaraz na wstępie.

O. Małachowski odparł:

— Przełożeni nasi oświadczają miłości waszej, iż poszczególnym warunkom poddania się nic do zarzucenia nie mają...

— Więc sprawa skończona! — zawołał Miller uradowany. — Pozostaje tylko nakreślić na dokumencie podpisy...

O. Małachowski mówił dalej:

— Ale zachodzi tu okoliczność, że żadną miarą praw i opieki króla Jana Kazimierza zrzec się nie mogą, dopóki, zwyczajem przodków, inny król według ustaw obranym i przez najdosłojniejszego prymasa Rzeczypospolitej nie będzie ogłoszonym.

— Co? Co? — znów przerwał Miller. — Wciąż jedna piosnka? Jan Kazimierz? On przecież dobrowolnie z kraju uszedł, a tem samem korony i praw wszelkich monarszych się zrzekł...

— Nie jest rzeczą zakonników — odezwał się

O. Bleszyński — prawami królów się zajmować, lecz obowiązkiem ich, według świętych kanonów i przykazań Bożych, dochować wiary, posłuszeństwa i czci temu, którego stany wysokie ogłosiły prawnie wybranym. Jeśli tak się zdarzyło, że niektórzy odstąpili króla prawego, to odstępstwo ich nie może służyć nam za przykład. Myśmy gotowi przypieczętować krwią wierność dla króla naszego. Tedy, wedle sił naszych, będziemy strzegli nienaruszalności praw Boskich i ludzkich. Oto, co nam przełożeni polecili oświadczyć miłości waszej.

Miller już się trząsał ze złości, spowodowanej za wodem, już wrzał, już ciskał pioruny z oczu, krwią zaszytych. Wreszcie począł krzyczeć, wygrażając pięściami zakonnikom:

— Więc bunt! Więc otwarcie przyznajecie się do zdrady? Więc bez ogródek wypowiadacie wojnę? Takież to wasze chęci? Takież usposobienie zgodne? Krętacze! Kłamcy! Dobrze! Będziecie mieli, co sami chcecie... Klasztor w gruzy obróć, a was... was... powywieszam do jednego! Żadnego nie oszczędzę. Powywieszam, jak psów! Wszystkich — z przeorem wielebnym i z tymi, którzy wam doradzaniem szalonej oporności w waszych pałkach golonych przewrócili...

— Miłość wasza niech zważy... — chciał perswadować O. Małachowski.

Lecz Miller, tupnąwszy nogą, zagłuszył go wrzaskiem:

— Nic nie zważam! Nic już słuchać nie chcę! Igraszkę sobie ze mnie czynicie, ze mnie — pełno-

mocnika tak potężnego monarchy, jakim jest król jegomość szwedzki? Konopie dla wszystkich, bez żadnej ekscepcyi, szubienica — oto odpowiedź na drwiny wasze! A zacznę... od was!

Uderzywszy w dłonie, na który znak warta przyboczna się zjawiała, dodał:

— Weźcie ich, te pałki golone, tych buntowników, szalbirzy i zamknijcie w chlewie jakim! Strzedz pilnie, z nikim z klasztoru widzieć się nie mają! Strzedz pilnie — życiem za nich odpowiadacie... A wygod żadnych! żadnych! Chlew, gnój, dla takich wystarczy... Precz z nimi! precz!

Ojcowie nie stawili oporu, żołdacy zaś porwali ich i zaprowadzili, wśród bezecnego urągowiska godnych swoich towarzyszków, do próżnego chlewu i tam na chłód i głód zamknęli.

Miller zaś niezwłocznie posłał do klasztoru z oznajmieniem, iż cierpliwość jego już się wyczerpała, iż posłów nie wypuści, dopóki kapitulacya twierdzy nie zostanie podpisana. I to jeszcze kazał dodać:

— Niech wiedzą mnichy, że, jeżeli bodaj jeden strzał padnie z Jasnej Góry, uwięzieni posłowie natychmiast zginą haniebną śmiercią.

Niesłychany gwałt Millera wywołał w klasztorze oburzenie i wielkie rozgoryczenie. Kordecki nie mógł odpowiedzieć na to znieważenie świętych praw, przez narody całego świata uznanych, jakby należało; był skrępowany nie tylko znaczną przewagą nieprzyjaciela, ale jeszcze zagrożeniem życiem Ojców. Nie mógł również przeszkodzić Szwedom sy-

pania szaińców, ustawiania baterji i czynienia podkopów, do czego, korzystając z zapowiedzi Millera, pochopnie się rzucili. Wszelako nie upadł na duchu. Ufny w zwycięstwo wytrwałości, w pomoc Pani Anielskiej i Rzeczypospolitej, wysyłał do Millera list po liście, wyrzucając mu bezecne złamanie prawa narodów, żądając uwolnienia podstępnie uwięzionych zakonników. Miller zaś, mniemając, iż właśnie gwałt dokonany na posłach sprowadzi skutek dla niego pożądany, zbywał wszelkie listy przeora jedną odpowiedzią:

— Poddajcie się! Podpiszcie kapitulację!

Aż dnia pewnego zjawił się na Jasnej Górze, w poselstwie od Millera, Kuklinowski, ów zdrajca-pułkownik oddziału polskiego.

— Cóż, Ojcowie wielbni, — przemówił szjerdczo — jakież u was nowiny?

— Trwamy w ufności, — odparł Kordecki — że pan jenerał Miller upamięta się wreszcie i uznając swój gwałt, wypuści posłów naszych w dobrem zdrowiu. Mniemamy też, że w waszmości, jako rodaku, szczerzy w tej mierze sukurs najdziemy, jak również spodziewamy się tego po wszystkich pułkownikach polskich, chwilowo w obozie szwedzkim zbłąkanych... Może waszmość z taką właśnie nowiną przybywasz?

— Nie, ks. przeorze wielbny, od Millera ustepstw się nie spodziewajcie. Srodzeście się mu narazili. Temu trudno zaprzeczyć, iż postąpił nader krewko z posłami, ale wina w tem wasza. Przeciągnęliście strunę cierpliwości...

— I to słyszę od Polaka? I tak mówią usta katolika?

— Dobrym jestem Polakiem i niemniej dobrym katolikiem — odparł czelnie Kuklinowski — dlatego właśnie nie łudzę was, jeno oczy wam na prawdę, na stan rzeczy istotny otwieram. Czego się spodziewacie? Na co czekacie? Odsieczy ze strony Jana Kazimierza, a może posiłków tureckich? Żał mi was, jeśli tak mniemacie. Wejrzyjcie w okoliczności, zastanówcie się: kraj cały, z Krakowem i Warszawą, uległ Szwedowi, czy przeto nie szaleństwem jest myśleć, żeby jeden klasztor zdołał oprzeć się jego potędze?

— Waszmość zatem, mości pułkowniku, chcesz nam odjąć ostatnią nadzieję? — odezwał się z wymówką Kordecki.

— Pragnę wam otworzyć oczy — powtórzył Kuklinowski — a czynię to z najgłębszej dla was życzliwości, z obowiązku. Jeżeli nawet kasztelan kijowski odstąpił sprawy Jana Kazimierza...

— Fałsz! Fałsz bezecny! — przerwał pan Piotr Czarniecki gwałtownie. — Brat mój, Stefan, ani żaden z rodu naszego, zdrajcą nie był i nie będzie! Odwołaj to, mości Kuklinowski!

— Odwołaj, albo słowa haniebne temi oto pięściami wtłoczę ci do gardzieli! — krzyknął Pasek. — A! zgroza! Na ukochanego hetmana naszego podejrzenie rzucać?! Mości Kuklinowski, wiemy, żeś pochopny do żeglarstwa za wiatrem korzyści osobistej, ale ta pochopność cię tym razem uniosła na niebezpieczne tonie...

— Hetman Czarniecki sprzymierzeńcem Szwe-
da? Nigdy się na dyamencie rycerstwa i hetmanów
polskich skaza taka nie ukaże! — wołał Ołta-
rzewski.

— Odwołaj waszmość kalumnię, chceszli ze
zdrowiem do przyjaciela swego, Szwe-
da, wrócić! — naciskał Kuklinowskiego również oburzony Kościu-
szkiewicz.

— Ola! mości panowie, *lente*, bez armidrum —
rzekł Kuklinowski z szyderstwem w głosie. — Na
równi z wami czuję uwielbienie dla pana kasztela-
na, podziwiam jego niezrównane męztwo i serce nie-
pokalane; tedy przeciwiłbym się sumieniu własne-
mu, skazę na jego cnotę usiłując rzucić... Szlach-
cic zresztą jestem, przeto od wszelkiej niepoczi-
wości stronie. Powiedziałem, iż pan kijowski od-
stąpił sprawy Jana Kazimierza, bo tak jest w rze-
czy samej. Proszę z sobą na wały, tam przedsta-
wię świadectwo potemu...

Udali się, przeor, Ojcowie i szlachta, z Kul-
linowskim na wały, tam ów przyjaciel szwedzki jął
machać czapką, widocznie dając znak umówiony.

— Teatrum jakoweś waszmość dla nas przygo-
towałeś... — mruknął pan Czarniecki.

— Cierpliwości trocha — rzekł Kuklinowski —
wnet waszmość inaczej zaśpiewasz i uniesienia swego
chyba pożałujesz.

Niebawem z obozu szwedzkiego wymaszerował
oddział kilkuset piechoty, w którym łącznie poznano
wojsko kwarciane, oddane pod dowództwo Stefana
Czarnieckiego. Na czele onych regimentów jechał

pułkownik Wolf, a i tego Pasek od spojrzenia roz-
poznał. Regimenty rzezone przesunęły się dokoła
twierdzy, smutne, ze zwieszonymi głowami, mając
przy sobie, po obudwóch stronach, żołnierstwo
szwedzkie.

— Oto świadectwo niezbite — odezwał się Ku-
klinowski, wskazując kwarcianych.

— Niby świadectwo czego? — zapytał z prze-
kąsem Pasek.

— Jaktó czego? — obruszył się Kuklinowski. —
Wiadomo przecież, że te oddziały w Siewierzu z pa-
nem kijowskim były; jeżeli tedy znajdują się tutaj,
toć jasne, że wraz z wodzem uznały sprawę Jana
Kazimierza za przegraną... A teraz co, mości pano-
wie? Zarzućcie mi kalumnię?

Pasek splunął z pogardą.

— Tfy! do kopy dyabłów! — zawołał. — W wać-
panu nitki pocziwej nie ostało, skoro tak czelnie
możesz farbować rzeczy na ład szwedzki... Pie-
chota królewska, z pod pana kijowskiego, to praw-
da; ale wątpliwości nie ulega, że niedobrowolnie się
tu dostała. Co znaczy bowiem przy nich straż
szwedzka? Zali byłaby potrzebna, gdyby się ona
piechota uważała za sprzymierzeńców waszych?

— Nieinaczej — potaknął pan Piotr Czarniec-
ki. — Jeńce to są, a nie sprzymierzeńce. Kaduk
was wie, jakim sposobem ich aż tu ściągnęliście, to
wszelako pewna, że nie przyszli dobrowolnie. Cho-
ciażby zresztą garść wojska hetmana swego odbie-

gła, to nie dowód, żeby sam hetman króla swego prawowitego zdradził. Marne twoje świadectwo, mości Kuklinowski!

— A co teraz, mości Kuklinowski? — dorzucił Pasek, ujmując się pod boki. — Szukaj w mózgowiu nowego bezpieczeństwa na poparcie haniebnych fałszów!

— Wypraszam sobie obelgi! — mruknął Kuklinowski. — Zapominacie waszmoście, iż jestem posłem...

Śmiechem mu odpowiedziano.

— Powołujesz się waćpan na prawo nietykalności posłów, a jak twój godny pryncypał, Miller, z naszymi posłami postąpił? Zali ich nie uwięził?! — krzyknął Pasek.

— Nie do waszeci tu przybyłem, a do ks. przeora, jako głowy i rozporządciciela tego miejsca! — odciał się Kuklinowski ze złością. — Księżę przeorze wielebny, Miller zapytuje: czy wciąż trwacie w uporze lekkomyślnym? Szczególniejsze przecież dla klasztoru okazuje on względy, nawet szturmów silnych nie podejmuje, chociaż już to uczynić był powinien; oceńcież tę jego względność, weźmijcie ńa rozsądek. Pamiętajcie i o tem, że upór wasz zagraża bezpieczeństwu zatrzymanych Ojców.

— Mości pułkowniku, — odparł Kordecki — do zawarcia układu jesteśmy wciąż gotowi, ale niechajże ten układ będzie słusznym i szacownym. Do traktatów jednak, wobec łamania praw narodów, wobec gwałcenia nietykalności posłów, przystępować nie mogę. Niechaj pan generał uwolni Ojców,

niech nadto zapewni, że na przyszłość, podczas traktatów, będzie szanował wolność osobistą traktujących, wtedy rawiążemy układy... Co do bezpieczeństwa drogich towarzyszków naszych — wola Boża. Grozi pan generał ich życiu, lecz my wierzym, że włos im z głowy nie spadnie bez Bożej woli. Jeżeli krew ich ma okupić cześć i wolność miejsca świętego — umrą, zwiększając poczet męczenników za wiarę, za honor Pani Anielskiej. To odnieś, mości pułkowniku, panu generałowi, a nadmień, że my również przywilejów religii naszej, wiary ojców, wiernie, do ostatniego tchnienia, bronić będziem.

Miller przyjął z pasyą relacyę Kuklinowskiego.

— Z kamienia ten przeor wyciosany chyba! — burczał — niczem go nie poruszyć... I powiadasz waszmość, iż odrazu wyrozumiał nasz koncept z Wolfem i jego ludźmi? Frant! Dar jasnowidzenia posiada, albo co? Żadnym sposobem podejść go nie można... Kanclerzem mu być, nie mnichem.

Piechota królewska, jak snadnie się w klasztorze domyślono, nie z dobrej woli znalazła się w obozie szwedzkim; zagarnął ją Miller podstępem, łamiąc niegodnie umowę, którą Wittemberg był zawarł z panem kijowskim. Dopuszczając się czynu haniebnego, — sprowadzając ono zdradą pochwycone wojsko pod Jasną Górę i kłamiąc przed zakonnikami, jakoby samo opuściło swego hetmana, mniemał, że zdoła tak ukartowanym podstępem przerazić O.O. Paulinów, zdoła ich ostatecznie przekonać o bezużyteczności oporu.

Przerachował się.

Teraz, z porady Weyharda, acz Czech już dużo w jego opinii stracił, oprowadził uwięzionych zakonników po obozie, żeby się własnymi oczyma przyrzeli jego potęgę, następnie jednego z nich do klasztoru wyprawił, z poleceniem namawiania obleżonych do poddania się Szwedom.

— Może przeor wasz sądzi, iż nazbyt w swoje siły dufam? — mówił. — Dajcież świadectwo prawdzie, wam przecież uwierzy. Ale wysyłam was, Ojczy, pod słowem powrotu. Jeśli nie wrócicie, towarzysz wasz zginie śmiercią najhaniebniejszą.

Posel istotnie za poddaniem warowni przemawiał, bo mu potęga Millera zaimponowała.

— Zuchwalstwem jest z naszej strony — nadmienił — opierać się tak przeważnej sile. Miller się zarzekł, iż musi zdobyć klasztor. Sam słyszałem, jak prawił: „Jeśli nie harmatami, to głodem ich wezmę!“ — Lada dzień przybędą mu znaczne posiłki w piechocie i wielkie działa burzące, a przy ich pomocy zmiecie klasztor ze szczytem. Nie umiem radzić, mówię, co mi sumienie dyktuje. Zaniosę mu postanowienie przełożęństwa, lecz powtarzam: Daremnie drażnimy Szweda. Potomność nazwie nasz opór lekkomyślnością.

— Bracie mój — odparł Kordecki — ze smutkiem widzę, żeś zwątpieniu dał przystęp do siebie. Ocknij się, rozejrzyj w duszy swojej, a postrzeżesz, iż zgrzeszyłeś wielce, tracąc ufność w łaskę Bogarodzicy. Ocknij się, wzbudź w sobie skruchę za grzech, modlitwą podnieś serce... Bracie mój, zły wiatr cię owionął... Zali nie powtarzasz z Psalmistą Bożym:

„Stąd wedle ciebie tysiąc głów poleże, stąd drugi tysiąc; ciebie nie dosięże miecz nieuchronny. A ty przedsię swemi oczyma ujrzysz pomstę nad grzeszonymi...“ Bracie, zali odważysz się jeszcze powtórzyć, cośmy przed chwilą słyszeli?

Mówiąc tak, patrzył w oblicze przysłanego zakonnika, który, pod wpływem słów łagodnych rzekomo, lecz dziwną w rzeczy samej moc posiadających, zmieszał się, głowę pochylił i szepnął nieśmiało, ze wstydem niemal:

— *Peccavi...*

— Wracaj zatem do Millera i powiedz mu, co zresztą Kuklinowskiemu zanieść poleciliśmy: o traktatach nie może być mowy, dopóki wy, posłowie klasztoru, niewolnikami zostajecie. Trwamy przy tym warunku *sincere et constanter*. Idź, a chroń serce od powiewu zwątpienia, które w naszej sprawie jest posiewem szatańskim.

Stary jenerał nieprzystojnemi słowy skarcił niezręczność, jak powiadał, zakonnika; wnet drugiego Ojca do klasztoru wyprawił, również pod solenną kondycją powrotu, mniemając, iż ten coś więcej wskóra. Lecz drugi zakonnik przyniósł to samo:

— Jeśli wasza miłość chcesz do układów przystąpić ze zgromadzeniem, powróć nas, jako wolnych, klasztorowi. Co do nas, ochotnie ofiarę z życia dla chwały Bożej poniesiem...

Miller obrzucił go gradem obelg.

— Kanalie! — wykrzykiwał. — Taka śmiałość! Takie zuchwalstwo! Szaleńcy! Głupcy! Zgraja zatraconych chytrków... Nauczyć ich muszę, pokazać,

że ze mną nie przelewki!... A i wy dwaj... bohaterowie z golonemi palkami! Milion siarczystych piorunów!... tak się dam przeorowi i całemu zgromadzeniu waszemu we znaki, że w waszem niebie katolickiem pamiętać będziecie!... A zacznę od was. Tak, od was! Miarka się przebrała...

Przymilkł, sapał chwilę, złość wyparskiwał.

— Dlaczego milczysz, mnichu? — zapytał naraż.

— Nic do powiedzenia nie mam — odparł pokornie zakonnik.

— Wziąć mi precz z oczu klasztorne wywołanie i z tamtym zamknąć! — wrzasnął Miller na żołdaków. — Jutro z nimi koniec uczynim. Dziś przygotować szubienice, a wysokie, żeby bliżej mieli do Panny Maryi...

W czas niejaki zapytał żołnierzy, którzy odprowadzali zakonnika do więzienia:

— Cóż mówią mnichy o dekrecie? Niechybnie wyrzekają na srogość? przeklinają mnie? drżą ze strachu?

Żołdak głową wstrząsnął.

— Gdzie zaś! — bąknął — niewyczaśni z nich jeńce, jeszcze takich nie oglądał, chociaż siła wieku pożywam chleb żołnierski. Całkiem niewyczaśni, aż ckliwość chwyta, gdy się na nich patrzy...

— A tobie może ich żal? — roześmiał się Miller. — Przyznaj się, może ci wsunęli garść dukatów, żebyś za nimi gadał?

— Słowa do mnie o tem nie przemówili, jako żywo! — zapewniał rajtar — mimo to ośmielę się

napomknąć waszej miłości, że lepiejby mnichów onych wyprawić z obozu bez krzywdy... Dziwnie patrzają, wciąż jeno kłęczą ze złożonemi rękoma i szepcą coś, kto wie, czy nie zaklęcia na szkodę naszą... Wiadomo, że ministrowie papieżników znają się z mocami nieziemskimi, a mnichy jasnogórskie to pono najprzedniejsze meystry w czarownictwie. Przekonalim się o tem sami. Toć, proszę miłości waszej, nie sposób, żeby ta trocha murów tyli czas, dwie niedziele z okładem, o zwykłej sile pociski naszych harmat wytrzymała... Rzucamy na nią ogniem ze wszech stron i ani weź. Mury stoją, jak stały, krzepko, kule imać się ich nie chcą, również ogień nie ima dachów klasztornych, chociaż z drzewa są... Niesłychana rzecz!...

— Hm... rozpuściłeś język, jak baba — mruknął Miller.

— Bo też jest o czem prawić — ciągnął rajtar, ośmielony. — Myśmy im żadnej szkody dotychczas wyrządzić nie zdołali, a oni już nam kaducznie dopiekli. Szkody w ludziach mamy znaczne, harmaty nam psowają, do prochów już dwa razy trafili... A ta ich wycieczka nocna? Czarami sobie pomagają, inaczej nie może być...

— Czarami, powiadasz? — powtórzył w zamyśleniu Miller.

— Nieomylnie, proszę miłości waszej, każdy to przyzna, kto się rozpatrzy w zdarzeniach. Niewiasta ona im dopomaga, do której się modlą, a którą Matką Bożą zowią. Niewiasta i jakiś starzec. Nasi widują te osoby, zawdy w powietrzu, nad klaszto-

rem. Niewiasta ukazuje się w bieli, z płaszczem gwiaździstym, który przeciwko kulom naszym rozpościera. Gdzie się ukaże — kule moc tracą wcale. Starzec zaś nasze pociski ogniste gasi i z dachów klasztornych strąca. Ma to być jakiś Paweł z nieba, także opiekun klasztoru. Co z takim czarodziejstwem poradzić?

Millera przeszły dreszcze — przypomniał sobie, że sam widział nocy pewnej, jak klasztor, od opoki się oderwawszy, ku niebiosom pomykał; rozważał też inne zdarzenia nadzwyczajne, zaszłe podczas oblężenia. Umysł jego zabobonny zaczął się poddawać złym przecuciom. Więc, żeby się z nich otrząsnąć, pociągnął krupniku i rzekł buńczucznie:

— Głupstwo! Mogą oni czarami nam przeszkadzać, ale w końcu muszą uledez. Niech jeno kolumbryny wielkie nadciągną...

Po chwili zagadnął:

— No, a mnisi uwięzieni? Zapowiedź śmierci przerazić ich musiała?

— Właśnie osobliwa, że radość zamiast trwogi okazują. Mówili do nich: „Jego miłość fryszt waszemu żywotowi daje do jutra“; oni zaś na to: „Czemu dziś, w tym momencie, nie mogę położyć życia za Boga, za wiarę, za króla, za Ojczyznę naszą?“

— Junakowali pewnie dla oka ludzkiego...

— Chyba nie, proszę miłości waszej — zaprzeczył rajtar. — Śladu frasunku w nich nie postrzegłem. Spokojni są, oblicza mają rozjaśnione, jak gdyby gody weselne ich czekały...

Millera opowieść rajtara mocno zastanowiła. Długo rozważał w samotności, pomrukując:

— Czarami ducha podtrzymują i czarami walczą... Kaduk nadał taką wyprawę. Ale stało się: rozpocząłem i nie mogę się cofać. Hańbę na głowę ściągnąłbym.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, zaprowadzono uwięzionych Ojców na miejsce kaźni. Szubienice stały gotowe, dokoła tłoczyło się żołdactwo, śmiejąc się, przedrwiwając zakonników, bluźniąc Najświętszej Pannie i wierze katolickiej. Skazańcy zbliżali się do szubienic spokojnie, z pogodnym obliczem, z modlitwą na ustach. Tłuszcza szwedzka na ich widok podwoiła urągania. Niektórzy z żołnierzy przysuwali pięści zaciśnięte do twarzy Ojców, szarpali ich szaty zakonne, ciskali w nich kulami śnieżnemi. Skazani, zdało się, nic nie widzieli, ani słyszeli. Ciałem jeno przebywali na ziemi — dusze ich obcowały z niebem. Śród bezecnego urągawiska przetrzymano ich do południa. O południu zjawił się adyutant Millera.

— Wykonanie dekretu jego miłość, pan jenerał Miller, odłożył na inszy czas, teraz Ojców wielobnych zaprasza na obiad — oświadczył.

Tłuszcza zdumiona umilkła, a O. Małachowski, porozumiewszy się wzrokiem z towarzyszem swoim, rzekł:

— Pokornie dziękujemy panu jenerałowi za zaszczyt, z którego wszelako korzystać nie będziemy. Nie godzi się skazanym na śmierć haniebną niewolnikom zasiadać do uczyty społem z tym, który życie im bierze.

Zgryzł Miller upokarzającą odmowę bez gniewnego wybuchu; znów zamknięto Ojców, lecz tym razem w izbie dość wygodnej.

W godzinę potem zagrzały działa klasztorne, rychło też szwedzkie odpowiadać zaczęły. Kanoada zaś trwała, zapowiadając się na długo. Miller chrapał po sutym obiedzie, zakropionym, jak zwykle, gęstemi kielichami. Odgłos strzałów wziął z początku za przywidzenie senne. Przekonawszy się, że to jawa, nie wiedział, co ma sądzić o tej strzelaninie. Trwało przecież zawieszenie broni... Wyszędłszy z kwatery, dowiedział się od Weyharda, że zaczepka wyszła ze strony klasztoru. Oburzył się wielce i już wołać począł, żeby uwiezionych Ojców niezwłocznie zgładzono, gdy landgraf heski w porę pośpieszył z wyjaśnieniem.

— Hrabia źle waszą miłość objaśnił — rzekł — zaczepka wyszła z naszej strony. Myśmy przecież nie przestali prowadzić podkopów, zbliżaliśmy do murów twierdzy szanice, czego zawieszenie broni nie dopuszcza. Niedość tego — żołnierze nasi ustawicznie drażnili załogę klasztorną. Zbliżali się pod same mury, rzucali obelgi na zakonników, szlachtę i religię katolicką. Sam to słyszałem, a chyba jestem świadkiem wiarogodnym. Miarka cierpliwości obleżonych się przebrała wskutek braku u nas subordynacyi.

Miller zwrócił się do Weyharda:

-- Hrabia niezawsze jesteś należycie ścisłym -- odezwał się szorstko.

Strzelanina wszakże nie ustawała, działa i rusz-

nice klasztorne grały dziarsko a skutecznie, zmiotając Szwedom ludzi i konie. Dopiero z nadejściem nocy ogień ustał. Miller dnia następnego wysłał do klasztoru oficera z wyjaśnieniem, jak mówił — „nieporozumienia“, a przy sposobności domagał się, żeby zakonnicy podpisali warunki, proponowane przez niego. Przeor odpowiedział, jak poprzednio:

— Niech pan jenerał uwolni przedewszystkiem uwiezionych Ojców. Przeciwiąc się temu żądaniu do myślenia daje, że gotów jest wszelkie inne warunki złamać.

Landgraf heski i pułkownik Sadowski stanowczo poparli żądania obleżonych.

— Słuszność oczywista po stronie klasztoru — mówili. — Boć przyznajemy, z ręką na sercu, zali byśmy inaczej się zachowali, w ich położeniu się nalazłszy? Zatrzymując posłów i śmiercią im grożąc, dopuściliśmy się fatalnego błędu. Jeżeli przedtem nie mogliśmy zdobyć ufności klasztoru, tembardziej nie możemy myśleć o jej zdobyciu teraz. Skłoń się wasza miłość do kondycyi, wszakże mieliśmy dowód, że przeor gotów jest życie onych posłów poświęcić...

— Łatwo gardłować za upokorzeniem się temu, kogo wstyd stąd nie dotyka... — bąknął Miller niechętnie.

— Jenerale — podchwycił Sadowski — skoro dysputujem otwarcie i to przyznajmy, że uwieszenie posłów źle bardzo wpłynęło na posiłkujących nas Polaków, którzy i bez tego patrzą na nas wcale nieżyczliwie...

Miller roześmiał się lekceważąco, a landgraf he-ski dodał z naciskiem:

— Pułkownik Sadowski uczynił uwagę miary głębokiej, nie godzi się zbywać jej śmiechem. Oddziały polskie przyciągnęły z nami bez dobrej woli, nietylko w oblężeniu nie uczestniczą, ale łatwo dostrzedz, że akcja nasza je drażni... Zatrzymanie posłów więcej je, że się tak wyrażę, podminowało. Posunąć się krok dalej na tak niepolitycznej drodze, a bunt z tej strony gotowy.

— Bunt garści małej można stłumić w jednym momencie — rzekł Miller.

— Wasza miłość zapominasz, że bylibyśmy wzięci we dwa ognie, bo klasztor wtedy nie pozostałby chyba bezczynnym...

Miller splunął i mruknął:

— Obmierzła mi ta wyprawa, żółć ostatnią porusza! Na wszystkie piekła! niesłychana rzecz, żeby nieprzyjaciel miał w oficyerach przeciwnika swego raczej mecenasów...

A po chwili dorzucił:

— Niechże oni posłowie wrócą do klasztoru. Obaczym, jak powolność nasza ocenioną zostanie przez mnichów.

Wrócili przeto Ojcowie na Jasną Górę, Miller zaś przez dni kilka wyprawiał tamże posłów za posłami, domagając się zawarcia umowy. Parlamentarze wysilali się na słowa przekonywające, zachodzili przeora z tej i owej strony, Kordecki jednak za każdym razem zbywał ich zręczną wymówką. Dnia pewnego Kuklinowski, funkcyę parlamentarza

spełniając, tak się zapalił, przemawiając za Szwedem, że go Zamoyski mitygować musiał.

— Wiedźcie, Ojcowie, — prawil przedawczyk, w ferwor wpadłszy — że gdy wielkie działa burzące nadejdą z Krakowa, wtedy Miller nie będzie próbował układów. Przekonacie się wówczas, jak zgubnem jest walczyć zuchwalstwem i dumą z tak potężnym wodzem. Nie mniemajcie bowiem, iżby żołnierz ten — powtarzam — dał się czemkolwiek skłonić do odstąpienia od tej marnej warowni... Zaiście, klasztor wasz nie skazi jego sławy!

Zamoyski na te przechwałki odparł:

— A przecież, mości Kuklinowski, zanosi się na to. Marna warownia stoi nienaruszona, chociaż prochów i kul nie żałujecie...

Rzucił się Kuklinowski niecierpliwie i nuż wymawiać Zamoyskiemu:

— Mości mieczniku sieradzki... zali tu sejmik się odbywa, że usiłujesz igraszkami dowcipu obalić wolę najjaśniejszego króla jegomości szwedzkiego? Przestań waszmość podburzać Ojców wielebnych zgubnemi radami, grożą one bezpieczeństwu ich życia i narażają miejsce święte na zagładę... Zdołasz-li waszmość wynagrodzić ze swojej fortuny szkody, jakie wojsko szwedzkie, szeroko dokoła klasztoru grasując, włościom zgromadzenia i braci szlachty wyrządza i wyrządzać będzie, dopóki trwa opór z waszej strony? Zdołasz-li zmyć sumieniem własnym krew zakonników świętobliwych, która się z pewnością poleje, gdy rozjątrzony żołnierz lekko-myślność waszą pokona?... Ojcowie mili! lepszej ra-

dy szukajcie i to rychle, dopóki wściekłość Szwedów nie otoczy was ostatecznem niebezpieczeństwem i w zgłiszczach klasztoru nie pogrzebie...

Przeor, patrząc w oczy Kuklinowskiemu, rzekł łagodnie:

— Pozwól waszmość, że ja z kolei zapytam, wyręczając pana miecznika: zali z odstąpieniem od króla prawowitego również religii katolickiej odstąpiłeś?

Zmieszał się Kuklinowski.

— Skąd to pytanie, ks. przeorze?... — wybuchnął.

— Stąd, iż waszmość ufasz potędze szwedzkiej, a potęgę Pani Anielskiej, Opiekunki miejsca tego, za nic ważysz! Stąd, że namawiasz nas, iżbyśmy tu, na miejsce święte, heretyków, największych wrogów Matki Boga i wiary katolickiej, wpuścili, co znaczy, iżbyśmy pozwolili na zdeptanie tej wiary i honoru Maryi...

Kuklinowski tym razem nie argumentował, opuścił klasztor, jak zmyty.

Niebawem Miller nadesłał przeorowi pismo Wittemberga, które surowo upominało konwent, iżby niezwłocznie Jasną Górę opiece Karola Gustawa oddał. „Uręczamy Waszej Wielbności — tak brzmiało zakończenie pisma — że klasztor, ani zgromadzenie nie poniesie stąd żadnej szkody, owszem, zupełne bezpieczeństwo z tej zaszczytnej protekcji spłynie; gdy w przeciwnym razie na opornych spadnie kara, a będzie ona także dla innych przykładem.“

Kordecki odpowiedział uniżenie, z pokorą zakonną:

— Najchętniej się oddaję opiece najjaśniejszego króla jegomości szwedzkiego, lecz załoga inowierców postać w świętym przybytku katolickim nie może w żaden sposób. Znagleni potrzebą, zdobędziem się na odparcie złej woli ludzi swawolnych, zagrażających czci wiary naszej.

Po tej odpowiedzi, Miller nakazał nowe szturmowanie, a chociaż prowadził je zawzięcie, wciąż dalekim był od pożądanego skutku. Klasztor pokonywał każdą napaść, bez nadzwyczajnego wysiłku, bez żadnej niemal szkody. Mury trzymały się krzepko, a nadwyrężenia obłożeni natychmiast naprawiali. Puskarze szwedzcy okazywali poprostu niedołęstwo. Strofowani przez Millera, tłumaczyli się, iż klasztor bronią czary katolickie. Wciąż powtarzali, że dziwna jakaś postać niewieścia, w czasie szturmów osłania Jasną Górę płaszczem swoim, gwiazdami i promieniami słonecznymi przetykanym; to znowu, że kule od właściwego celu odwraca starzec jakiś sędziwy, również jak owa niewiasta, w powietrzu się zjawiający. Za ich sprawą gasły pociski ogniste, pękały działa i muszkiety, zapalały się prochy. Miller, słuchając tych opowieści, na duchu upadał, widział też, że zniechęcenie ogarnia żołnierzy.

Tak nadszedł grudzień, a z nim mrozy bardzo silne. Położenie Szwedów stawało się coraz uciążliwszem; nietylko marzli, zmuszeni obozować pod gołym niebem, ale jeszcze przymierali głodem. O żywność dla ludzi i paszę dla koni było coraz trudniej

w splondrowanej przez nich samych okolicy, musieli wszystko sprowadzać ze stron dalszych; nadto z amunicją liczyć się musieli. Ciężko też było uszkodzone szańce i baterye naprawiać, nie mówiąc już o podkopach. Bo Miller wciąż podkopy prowadzić kazał; gdy, z nadejściem mrozów, przekonał się, iż siłami własnymi nie podminuje opoki, posłał do Olkusza po górników tamtejszych.

Klasztor trzymał się niewzruszenie, chociaż załoga także znużenie uczuwała. Od czasu do czasu przejawiał się wśród niej cień upadku duchowego, ale baczny na wszystko Kordecki niezwłocznie złemu zaradzał — słowem mądrym, błogosławieństwem, modlitwą. Oko jego do głębi serc sięgało i gdy w nich dostrzegło niebezpieczeństwo, wnet mąż świątobliwy zwracał się po natchnienie do Boga i tym orężem zwalczał słabość ludzką.

W wigilię święta Niepokalanego Poczęcia Maryi do bramy klasztornej zapukał pan Piotr Śladkowski, podstoli rawski. Znał go przeor Kordecki doskonale, wiedział, że to szlachcic prawości nieugiętej, patriota w całym znaczeniu, więc się zdziwił niemało, iż z obozu szwedzkiego przychodzi. Zdziwienia swego nie taił i wręcz zapytał:

— Panie podstoli... oczom nie wierzę! Jako— i waszmość stronę heretyka trzymasz?

Obruszył się pan Śladkowski:

— Ja? A toż śmiałeś jegomość taką na mnie kalumniję rzucić? Wypluj jegomość te słowa, bo gotowem wielebność waszą wyzwać na ogórki!

— Więc waszmość, panie Piotrze, nie posłem od Millera?

W czoło stuknął palcem podstoli, potem dłonie zatarł i roześmiał się serdecznie:

— Tędy droga! — rzekł. — Ano, prawdę mówiąc, poselstwo sprawiam, ale mimo wszelkiej woli. Tego oto... ogarnęli mnie rajtary onego psubrata Millera (z Prus wracałem do domu) i do obozu przywlekli... Miller, tego oto, do mnie: „Masz asan gleit?“ Ja na to: „Kein gleit.“ On, prawdę mówiąc: „Albo asan w poselstwie ode mnie do klasztoru, tego oto, pójdziesz, żeby Ojców do poddania się namawiać; albo bez okupu cię nie puszcze.“ Myślę sobie, prawdę mówiąc: bodaj cię, taki synu, zła krew zalała... Ale przyszło mi do głowy: dlaczego nie mam mu wygodzić? Tego oto... przy okazji z ks. przeorem się obaczę, hołd Najświętszej Pannie złożę, no i, prawdę mówiąc, jestem...

Patrzył na podstolego przeor uważnie i głową kręcił:

— Widzi mi się, panie Piotrze, że waść krotochwilisz... — rzekł.

Ramiona do góry podniósł Śladkowski.

— A ktoby w taki ziąb krotochwilił!... Prawdę mówiąc, powiadam, jak jest. Więc, tego oto, spełniając misję rzeke: Górą nasza, ks. przeorze wielebny, bo Szwed zaczyna prąść cienko...

Znów zatarł ręce i oczyma znacząco mrugnął.

A Kordecki, Ojcowie i szlachta nuż cisnąć się do niego z pytaniami:

Hetmani.

— Coś waszmość powiedział? Powtórz, na Bóg miły? Zaczyna prąść cienko?!

— Jeżeli chcecie, żebym jak należy poselstwo sprawił — wyznał podstoli — to... prawdę mówiąc... nie żałujcie kapki czego na rozgrzanie, bo ziąb w języku mi siedzi. Mróz nie żartem. Człek, tego oto, nie może zebrać myśli....

W mig postawiono przed Śladkowskim dzban z piwem grzanem, przeor zaś naglił:

— Rozgrzewaj się, panie Piotrze, ale nas nie trzymaj w niepewności. Rzekłeś słowo ważne.

— Pogodzę jedno z drugim: *et haec facienda, et illa non omittenda*... — odparł podstoli, ciurkając smakowitą polewkę, korzeniami zaprawną. — Tego oto... com powiedział, powtórzę: odwróciła się karta na naszą stronę, ze Szwedem krucho... Budzi się sumienie w narodzie, oczy się otwierają... Prawdę mówiąc, musiało przyjść do tego. Szwed (potępienie psubrata nie minie!) przechwalał się, zapewniał, uręczał, że przyszedł nas ratować od Kozactwa, Moskwy i Tatarów, a tymczasem, okazuje się, tego oto, co? Gnębi nas, niszczy, plondruje, rabuje, gwałtów i okrucieństw dopuszcza się niesłychanych. Niczem jego zapewnienia, niczem pisma z pieczęcią. Dwory szlacheckie pali, świątynie Pańskie bezcześci i grabi, ludzi wszelakiego stanu, wieku i płci morduje po katowsku... Gdzie jeno się zjawi — wszędzie płacz, jęk, krwi przelanie, wołanie o pomstę do nieba! Taki to jest Szwed! Taka u niego wiara! Takie sumienie!

Kłeskę, niesłychaną kłeskę ponosi od heretyka

Rzeczpospolita! Prawdę mówiąc, niczego innego nie można się było spodziewać od wroga wiary katolickiej i Panny Najświętszej... Więc tego oto... miarka się przebrała — zaczynamy do rozumu przychodzić. Szlachta do kupy się garnie — jedni ku Śląskowi, do Jana Kazimierza dążą, insi tłuką Szweda tu i owdzie, aż miło. Wojska, które nieopatrznie odstąpiły prawowitego pana, znów się wracają do niego, słowem, prawdę mówiąc: opuszcza Fortuna Szweda i basta!

— A! Bóg cię zesłał, panie Piotrze! — zawołał przeor uradowany. — Juści możemy ci wierzyć pewnie...

— Na sumienie, na duszę przysiądz mogę, iż na włos nie przesadziłem. Igrał z nami heretyk, a teraz przyszła kolej na nas. Jużeśmy zaczęli mu płacić i, da Bóg! popamięta tę naszą zapłatę. Tego oto — zmierzam do sensu: ani myślcie poddawać się, Ojcowie wielebni! Niech wam to do głowy nie przychodzi... Trzymajcie się niewzruszenie, jakeście się dotychczas trzymali. Szlachta o was już radzi, już o odsiecz słyhać. Miller o położeniu rzeczy wiedzieć musi, przeto spodziewać się należy, że rychło sam zwinie chorągiewkę. Jeno trzymajcie się, trzymajcie, trzymajcie, nie słuchając żadnych przedstawień, obietnic, upewnień, bo to wszystko — fałsz, kłamstwo, szalbierstwo, podstęp niecny! Z serca to powiadam, za prawdę rękę zbawieniem dusznem, tak mi, Panie Jezu i Najświętsza Panno, przy skonięciu dopomóżcie!...

Przeżegnał się podstoli, w piersi uderzył, a przeor rzekł:

— Oto pociechę i umocnienie zsyła nam Pani Anielska w wigilię swego święta... Radujmy się, Ojcowie i moi panowie: kres próby się zbliża, wytrwałość cnotliwa nie ostanie bez nagrody.

— Już ją macie — wtrącił podstoli, z uciechą poglądając na rozjaśnione twarze i serdecznie odpowiadając na uściski, któremi go ze wszystkich stron darzono. — Podziw wzbudziła wasza wytrwałość, zdumieniem, wstydem przejęła umysły zbłąkane. Takci — ona to sprawiła, że ocknęły się sumienia zaślepionych synów; że, winę uczuwszy, z całej duszy naprawić ją pragną; że odstępują zdradzieckiego heretyka, któren, pod płaszczem szlachetnego protektora, chowa chciwość wygłodzonego wilka i przewrotność liszki, a garną się do opuszczonej matki-Ojczyzny, by błąd naprawić... I naprawią. Tylko czekać, a heretyk umykać będzie, jak niepyszny, ze wstydem i sromotą...

— Amen! — dokończył przeor, poczem zaraz myśl jego zwróciła się ku niebiosom, więc rzekł: — Za pociechę wdzięczność tymczasem chociaż modlitwą okażmy. Proszę do kaplicy, na litanię.

Ręce na piersiach skrzyżowawszy, ruszył do świątyni i niebawem w kaplicy cudownego wizerunku rozlegały się błagania:

— Boża Rodzicielko, Panno nad pannami, Matko Najśliczniejsza — módl się za nami! Zwierciadło sprawiedliwości, Domie złoty, Różo mistyczna — módl się za nami!

Zacny podstoli kilkakrotnie powtórzył zapewnienia o zmianie umysłów w Rzeczypospolitej, wciąż przydając z naciskiem:

— Wytrwajcie, trzymajcie się, nie wierzcie Szwedowi!

Pełen najlepszych chęci, wpadł na myśl zbawienia tego kształtu:

— Jeśli wisieć, to za obie nogi! Zdradziłem Millera, więc przypięczętuję zdradę dobitkiem. Zamiast do domu wracać, kopnę się na Śląsk, do króla jegomości, aby dla Jasnej Góry wyjednać odsiecz najrychlejszą... Jakże — koncept niezgorszy, ks. przeorze?

— Złoty, równie jak serce waszmościne — odparł Kordecki.

— Mój podstoli, a dajże gęby! — zawołał pan Zamoyski, rozrzewniony ofiarą Śladkowskiego.

Pasek zaś, podkrecając węża, nucił półgłosem:

— „Szumi las, szumi las, szumi gałązeczka! Wolny kraj, czysty kraj, a ze Szweda sieczka...“

Nazajutrz znów oblężonych czekała niespodzianka. Przed nabożeństwem wdarł się na wały Jacek Brzuchański, w przebraniu szwedzkim, i rzucając pismo, wykrzyknął śpiesznie:

— Zasiłki z Krakowa dla Millera ciągną — wielkie kolubryny i dwa sta piechoty... Nic to przecież, bo zanim nadciągną, pewnie król Jan Kazimierz przyśle odsiecz klasztorowi, ile, że znaczną pomoc tatarską lada moment otrzyma... Muszę umykać, reszta nowin w piśmie...

Znikł, jak mara, a dobrze, iż go poznano, bo był-

by życiem przypłacił wiernie swoje dla klasztoru służby.

Pismo było z konwentu Paulinów krakowskich, od O. Paszkowskiego, który wystawiając straszliwe gwałty i grabieże Szwedów, równie jak Śladkowski, zaklinał i błagał Kordeckiego, żeby się nie dawał uwieść zradnym ich, układnie cukrowanym słowom i nie otwierał bram klasztornych. „Żadnej bowiem—tak pisał — niema u Szwedów wiary, żadnej religii, nic Boskiego, ani ludzkiego nie uszanują, najsoleniejsze przyrzeczenia łamią haniebnie.“

Zaledwie przeor odczytał te przestrogi, aż tu oznajmują mu, że wojsko polskie, z obozu szwedzkiego, najkorniejszą zanoszą suplikę, iżby mogło w dniu tak wielkiego święta, jakim jest święto Niepokalanego Poczęcia, pomodlić się w kaplicy cudownego wizerunku. Kordeckiego prośba nietylko nie zdziwiła, ale owszem, przyjął ją, jako spodziewaną. Niektórzy z Ojców i ze szlachty byli za odmową, obawiając się zdrady; przeor atoli oświadczył:

— Przeciwno zdradzie łącznie się ubezpieczym, wpuszczając łąkające duchowego pokarmu owieczki do klasztoru małymi partyami i dając pilne na nie baczenie. Odmawiać im pociechy dusznej nie mogę żadną miarą, przeniewierzyłbym się obowiązkom.

Stało się, jak powiedział. Kwarcianych wpuszczono po za bramę bezbronnych, po kilkunastu, oni zaś sławili dobroć przeora, dziękowali mu ze łzami w oczach, jeden przez drugiego upewniając, iż nie zmusi ich heretyk niczem do podniesienia ręki na miejsce święte. Przydawali oraz:

— Przez nieszczęsny skład okoliczności należim się w obozie Szwea. Ale woli naszej w tem niema i pono rychle na Śląsk, do króla Jana Kazimierza, pociągniemy.

Był pomiędzy onymi gośćmi klasztornymi Scyta jeden, który, acz poganin, korzył się przed ołtarzem Maryi, gdyż wiele słysząc o Jej potędze i cudach, czuł skłonność ku wyrzeczeniu się bisurmaństwa. Ten oto poganin gorąco zachęcał obłączonych do wytrwałości, a przekonanie wyrażał, iż Szwed niebawem z hańbą musi odstąpić od klasztoru.

— Zmierzył on sobie niepowodzenie, jakiego tu doznaje,—mówił — a zresztą głośno słyhać, iż sułtan i chan już w porozumienie weszli z królem polskim. Tyli czas już klasztor wytrzymał, niechże w ostatnim terminie się nie zachwieje. Wielki jest Allah, ale potężna też Matka Jezusa, którego my prorokiem wyznawamy, a która wami się opiekuje...

Umocnieni w ten sposób na duchu, odpierali walecznie szturm Millera. Przez dni kilka prowadził je stary generał jakby ospale, dopiero w tydzień, podciągnawszy działa bliżej twierdzy, co mu się udało wskutek zupełnie ciemnej nocy, przypuścił szturm bardzo gwałtowny, obrawszy sobotę, dzień poświęcony nabożeństwu Najświętszej Panny. Rozpoczął ogień zaraz po rozświcie, a zdało się, że moce piekielne rzuciły się na opokę klasztorną, godząc w nią głównie z dwóch stron: od północy i południa. Klasztor nie odpowiadał. Straże czuwały na murach, zresztą wszystka załoga znajdowała się na nabożeństwie, które odprawiano ze zwykłą solennością.

Po Mszy odśpiewano jeszcze suplikacyę, następnie przeor, ujawszy monstrancyę, wyszedł z procesyą i prowadził ją dokoła twierdzy. Nad głowami wiernych huczały pociski ogromne (niektóre ważyły po 26 funtów), złomy mur z trzaskiem rozsypywały się przed nimi, osnuwając ich tumanami rozpylonej cegły i wapna, dym prochowy pełzał po chorągwiach: mimo to nikt się nie odłączał od nabożeństwa. Dopiero po modłach, na znak przeora, wszyscy podążyli na stanowiska i walka trwała do południa.

Dnia tego klasztor poniósł znaczniejszą szkodę: pocisk nieprzyjacielski zgruchotał koła u armaty przy baszcie północnej, z ludzi zaś trzech młodzieniaszków śmierć poniosło. Wszyscy trzej nosili imię Jana i to rzecz osobliwa, że w szturmach poprzednich również czterech Janów poległo. Więc ozwał się żartem Oltarzewski do Paska:

— Krucho z Janami tego czasu, chyba i ty bądź gotów.

Na to Pasek:

— A ty, Franusiu, w język się wprzód ukaś, zanim z niego spuścisz słowo plugawe. Mam poledz na ordynansie Paniienki Najświętszej, to polegnę, chociaż widzi mi się, że dla mnie jeszcze kula nie ulana. Krucho z Janami, prawda, ale miarkuję, że jeno z Chrzycielami, jam zasie Chryzostom.

— Oto sobie wytłumaczył! — roześmiał się Czarniecki. — Silny u waszmości animusz, panie Janie.

— Starczy go na Szweda i jeszcze ostanie dla inszego psiarstwa!

O południu przysłał Miller dobosza z zapytaniem, zali Ojcowie nie mają dosyć szturm i czy się do poddania nie skłaniają?

— Niech pan generał zostawi nam czas do namysłu — brzmiała odpowiedź.

Znów tedy szturm się rozpoczął, z większą jeszcze zajadłością. Nieprzyjaciel rzucał kule tak gęsto, że ich trzysta czterdzieści w ograniczeniu klasztoru dnia tego znaleziono. Oblężeni odpowiadali rażno. Gdzie chęci słabły, tam zaraz zjawiał się Kordecki, krzyżem, którego z ręki nie wypuszczał, błogosławił omdlewajcego ducha i podnosił go słowami ognistemi. Brzmiały te jego słowa, jak nakaz niebieski, miały w sobie moc ożywczą — obawa, zniechęcenie, zwątpienie ustępowały przed niemi, jak ustępuje martwość zimowa od tchnienia wiosny.

Byłby Miller przeciągnął szturm do późnej nocy, gdyby nie nowe zdarzenie nadzwyczajne. Puszczarz klasztorny, Niemiec, zajmujący posterunek przy baszcie wschodniej, jakoś opieszale pełnił służbę. Zauważywszy to, Pasek wręcz mu oświadczył:

— Pludrze jeden, chcesz-li ująć łba rozplątania, to zwijaj się, jak należy! Zdradę czuć od ciebie!

Warknął Niemiec, ale się nie poprawiał. Naraz kula z muszkietu szwedzkiego kontuzję mu przyniosła w nogę. Rozsierzdził się tak, że opatrzywszy ranę zawołał:

— Teraz im pokażę!

Jakoż pokazał. Zaraz pierwszym strzałem zgruchotał działo szwedzkie i położył puszczarza trupem; niebawem zgruchotał drugie ich działo, zapalił pro-

chy, a te, wybuchając, znów innego puszkarza uśmierciły i jeszcze pięciu ludzi, temuż pomagających, oślepiły. To skłoniło Millera do przerwania szturm.

Dni następnych jednak wciąż je ponawiał, a po każdym wzywał klasztor do poddania się, otrzymując zawsze odpowiedź:

— Tak ważna sprawa potrzebuje namysłu.

Trudno wyrazić, do jak wielkiej wściekłości owe odpowiedzi go doprowadzały. Z nikim gadać nie chciał, nawet od Weyharda się odwracał, ba! cierpkie mu czynił wymówki, iż go przywiódł do oblężenia warowni, bronionej przez czary (jak utrzymywał). Wiara zaś w oną pomoc rzekomą czarów utwierdziła się w nim jeszcze bardziej, gdy siostrzeniec jego, którego osobliwie miłował, poległ dziwnym zaiste przytrafunkiem, w namiocie własnym, już do łóżka się kładąc, i to od śmigownicy szwedzkiej. Śmierć ulubieńca w pierwszej chwili przeraziła go, ale wnet ochłonął z przerażenia, natomiast ogarnęła go dzika żądza pomsty. Zarządził nowe szturm, wysłał się na gwałtowność, lecz wszystkie wysiłki okazywały się daremnymi. Przez dni kilka sprzyjały Szwedom mgły gęste, pozwalając im sypać szańce bliżej twierdzy; ale Kordecki polecił najświętobliwszym z Ojców, żeby przeciwko mgłom, nasłanym, jak się domyślano, przez guślarskie zabiegi heretyków, zażyli egzorcyzmów. Skutek był pomyślny. Mgły się rozwiały, a oblężeni znów odpedzili Szwedów dalej, zniszczywszy ich szańce celnymi strzałami. Nie ostały się również przed działami klasztorne drewniane wieże oblężnicze, które Szwedzi

dzi pozataczali naprzeciwko baszty wschodniej; zdruzgotano je łatwo.

Ale przyszły także na Kordeckiego ciężkie chwile: oblężeni zaczęli upadać na duchu. Pochop do tego dali dwaj szlachcice, którzy przybyli do klasztoru, żeby z niego wywieźć żony i dzieci, tem się tłumacząc, iż fama powszechna utrzymuje, jako dni warowni są już z pewnością policzone. Domyślił się Kordecki, że to nieprzyjaciel rozsiewa pogłoski fałszywe, celem przerażenia załogi; przeto wyjaśnił przybyłym, jak rzeczy stoją, zaręczył, iż nikomu w klasztorze włos nie spadnie z głowy, i z tem ich odprawił. Odjechali, lecz zostawili posiew zwątpienia. Młodszy zakonnicy zaczęli, nieśmiało wprawdzie, szeptać pomiędzy sobą, iż opór może doprowadzić do smutnej ostateczności, bo snąc Bóg wyrokiem swoim Rzeczpospolitą w moc szwedzką oddał, skoro już wszystko uległo Karolowi Gustawowi.

— Czy nie lepiej — mówili — uleż losowi, tembardziej, że nieprzyjaciel zapewnia nam nietykalność wiary i swobodę wykonywania obowiązków zakonnych?

Nie uszły baczości Kordeckiego szept trwożliwych, zgromadził ich przeto i odezwał się do nich takim kształtem:

— Nie dziwi mnie, bracia najmilsi, iż was, ludzi nierycerskich, przeraża niebezpieczeństwo, w jakim zrządzenie Boże nas postawiło. Zaiste, wielkie ono i straszne, ale znów nie do tego stopnia, żeby nas miano zachwiać w obronie wiary świętej, miejsca cudownego i własnego dobra. Wszelako nie-

którzy z was mniemają, że, ponieważ heretyk zwycięża z woli Bożej, przeto możemy wszystkie nasze rzeczy, święte i nie święte, oddać jego swawoli, z tym jednak warunkiem, żeby cześć Boża na tem miejscu nie wygasła; żeby obraz cudowny miał zawsze dostatek sług, gwoli należytemu pełnieniu obrzędów, jak godność Bogarodzicy tego wymaga. Przypuśćmy, że wszyscy do onego mniemania się skłonią i zapadnie decyzja: oddać się Szwedowi. Atoli wówczas my, którzy inaczej trzymamy, którzy pragniemy do tchnienia ostatniego odpiąć ciosy *falla fortunae*, pomnąc na mądrą przestrożę, którą niedawno jego wielbność kanonik Starowski królowi jego-ności szwedzkiemu w oczy rzucił, gdy ten, po wzięciu Krakowa, groby monarchów naszych na Wawelu zwiedzał. Król, stanąwszy przed grobem Łokietka, pychę zdjęty, ozwał się, iż z Janem Kazimierzem nie będzie, jak z Łokietkiem, który kraj trzykroć opuszczać musiał, mimo to zawsze wracał i jako król polski żywota dokonał, na co mu rzeczony kanonik powiedział: *Deus mirabilis, fortuna mutabilis*: owóż my, którzy pomni na tę przestrożę, wierzym w zmianę fortuny i, *Deo favente*, trwamy przy niedopuszczeniu stopy heretyckiej na miejsce cudowne, zapytamy wówczas: którzy z was zechcą pozostać tutaj, aby chwała Boża nie ustała? Zapytamy dlatego, gdyż z nas żaden się nie zgodzi obcować z narodem heretyckim...

Nie odbierając na zapytanie odpowiedzi, kolejno się zwracał do każdego z tych Ojców, którzy upadek ducha ujawnili, a widząc, iż żałują skwapliwości

swojej, podnosił ich serca upomnieniem pełnem mądrości:

— Spodziewacie się, iż, oddając Szwedowi miejsce święte, unikniecie jego okrucieństwa? Jakże omylnie spodziewania! Szwed dlatego Jasnej Góry nienawidzi, ponieważ tu wiara nasza katolicka, której on jest wrogiem zajadłym, tryumf święci, ponieważ Bóg zlewa tu na nią obfitość łask swoich. Czy tedy nawet przypuszczać można, że ją uszanuje należycie? Przeciwnie, wszystko za tem przemawia, że stara się miejsca święte opanować dlatego, aby je splugawić, zbezczęścić; aby zburzyć przybytek Boży i zdeptać honor Paniarki Najświętszej. A powiedzcie: co nas zmusza do sromotnego poddania się? Czy nie możemy, przy obronności miejsca, dobrej woli i pomocy Boga odeprzeć srożącego się wroga? Jakże to wiara nasza, jaka miłość i wdzięczność dla Najdobrotliwszego Ojca i Pana, jeżeli najłżejsze zagrożenie bezpieczeństwa naszego odwołuje nas od strzeżenia i zachowania skarbnicy nieprzebranej Jego darów? Czy nie roztropniej bronić całości i honoru domu Bożego, wiary świętej, niż porzucać to wszystko i zaprzedać się w haniebną niewolę? Nie zbywa nam przecież na broni, amunicyi i żywności; zapał i waleczność załogi rokują zwycięstwo; słyszymy o odsieczach rychłej... Gdyby nas nawet wszelkie ziemskie środki zawiodły, to czy wolno nam zwątpić o pomocy Boga, którego sprawie służymy? Będzie On wspomagał usiłowania nasze, jeno nie upadajmy na duchu i chętnie znośmy trudy, ku obronie czci Jego!

Jakby dla poparcia słów przeora, znaleziono na wałach pismo szlachcica z pod Sandomierza, pana Maja, który zawiadamiał, iż znaczne posiłki Tatarów już ciągną w pomoc Janowi Kazimierzowi. Wiadomość pokrzepiła obleżonych, lecz nie na długo. Szwed bowiem przypuszczał coraz gwałtowniejsze szturm, godząc najzawzięciej w mury kościoła i usiłując go zapalić pociskami ognistemi. Drżała świątynia w posadach swoich, zdawało się, iż lada moment runie. Pył z opadającego tynku i druzgotanych cegieł zapełniał jej wnętrze złowrogim, szarym tumanem, świece na ołtarzach pękały i gasły, chwiały się sklepienia... Naraz, pewnego dnia, rozległ się trzask straszliwy: to olbrzymia kula działowa wdarła się przez okno do kościoła i, upadłszy na posadzkę, toczyła się po niej z turkotem. Przerażeni zakonnicy zaniechali nabożeństwa i uciekli, mniemając, że kościół się wali... Jednocześnie udało się wtedy nieprzyjacielowi przedziurawić wrota zwodzonego mostu, belkę wyższą tegoż zgruchotać oraz cztery bomby, przy murze wiszące. Szkody te wznieciły popłoch wśród szlachty. Kilku udało się do przeora, żądając, iżby się nie ościagał z zawarciem układów.

— Odsieczy nie widać, a warownia dłużej się już nie ostoje — mówili. — Rozum dyktuje przyjąć warunki Millera, dopóki czas; wcale są łagodne i godziwe. Gdy gwałtem dobędzie klasztoru, okrutne postawi w rozjątrzeniu i na żadne ustępstwa się nie zgodzi.

— Krucha w was wiara, mości panowie, i kru-

chy dla Najświętszej Panny afekt — odparł Kordeczki. — Obowiązkiem moim jest nie dopuścić, żeby heretyk znieważał obecnością swoją stolicę polską Bogarodzicy, a Miller właśnie pragnie doprowadzić do tego; zatem, czy mogę, bez przeniewierzenia się sumieniu, na jego warunki się zgodzić? Wy, miłośnicy panowie, pragniecie układów, mniemacie bowiem, że uwolnią was one od niewygód wojny i pozwolą wam wrócić do używania dobrodziejstw błogiego pokoju... Mylicie się: poddanie Jasnej Góry pokojiu nie sprowadzi. Król jegomość najjaśniejszy, Jan Kazimierz, wierzajcie mi, nie uważa się za zwyciężonego, nie zapomniał o królestwie swoim i znajdzie siłę na pokonanie zuchwałego najeźdźcy. Tak będzie z pewnością. Na jego hasło staną przy nim hufce bohaterskie, bo przecież nie wszyscy obywatele Rzeczypospolitej popadli w haniebny grzech zdrady. Uważcie przeto, co zyskamy, poddając się wrogowi? Zyskamy to, że, uniknąwszy chlubnej walki z wrogiem za Boga, będziemy musieli bronić heretyka, hańbę na pamięć naszą ściągając, lub — co snadniej przypuścić — będziemy traktowani przez heretyka jako podejrzani, jako tacy, którym zaufać nie można. Zaprawdę, mówię wam — źródłem klęsk i nieszczęść stałoby się poddanie, hańbą wieczną i wstydem!

Malkontenci dali się przekonać na razie i przez kilka dni panowała w klasztorze silna otucha. Utrzymywało ją to, że Szwed przy szturmach ponosił znaczne straty, tudzież świadectwo, iż sprzymierzone ze Szwedem oddziały polskie, wedle przyrzeczenia, ani myślały uczestniczyć w świętokradzkim

dziele obłączenia. Udało się bowiem panu Aleksandrowi Jaroszewskiemu z Lubidzy zawiadomić przeora, iż kwarciani, łowiąc ryby w stawie, znaleźli zatopione tam srebra klasztorne, których jednak nie oddali Millerowi, chociaż się uporczywie tego domagał, ale zachowali w miejscu bezpiecznym, żeby je, przy pierwszej sposobności, zwrócić klasztorowi. Dowódcy polscy solenne przyrzeczenie, na piśmie, przysłali w tej mierze ks. Kordeckiemu, a podpisał je nawet Kaliński, który, posłując do klasztoru od Millera, tak gorąco gardłował za tymczasowym pryncypałem swoim.

— Baccie, mości panowie — mówił z tego powodu przeor do szlachty — jaka zachodzi odmiana umysłów! Omen to dla nas pocieszający, tedy nie traćmy serca.

Miller znalezienie sreber usiłował wyzyskać na swoją korzyść. Jakoż chwycił się fałszu. Oznajmił zakonnikom, iż, chcąc im dać dowód swoich dla nich chęci najlepszych, zapewnia, że ani myśli niszczyć tak słynnego klasztoru, zagrabiąc jego skarbów, przyrzeka srebra klasztorne, które się w jego ręce dostały, wrócić im nienaruszone i jeszcze innemi dobrodziejstwami miejsce święte obdarzyć, ale pod warunkiem, że klasztor pod jego władzę oddadzą i pozwolą osadzić w nim załogę szwedzką, pod komendą katolika. Przeor, nie zdradzając się, iż wie, jako srebra w miejscu bezpiecznym się znajdują, nie zaś pod dyspozycją Millera, podziękował najpokorniej za przyrzeczenia łaskawe, znów nadmieniając,

że załoga heretycka żadną miarą nie może rezydować na Jasnej Górze.

— Niepodobna wpuszczać inowierców, znanych z nienawiści dla wiary katolickiej — przydał jeszcze — pomiędzy wiernych katolików, nie znoszących obrazy Boga i Najświętszej Matki Jego. Gdyby załoga heretycka w klasztorze osiadła, to ludzie różnych stanów, zewsząd na nabożeństwo tu przybywający, którzy hojnością swoją nas wspierają, albo byliby obdzierani, albo zgola do miejsca świętego nie dopuszczani. Honor i świętość wiary naszej doznałyby sromotnego zdeptania, a my, zakonnicy, pozostalibyśmy bez środków do życia.

Klął Miller, przekonawszy się, że z Kordeckim najzręczniejszy nawet podstęp nic nie wskóra i dalej prowadził szturmy. W tym czasie przypędzono górników z Olkusza. Miller kazał im dniem i nocą łamać skałę, celem podminowania klasztoru. Czynili to gwarkowie niechętnie, pod przymusem, więc też robota nie szła. Twarda opoka przytem ustępowała z trudnością, opierała się żelaznym drągom i kilofom.

W klasztorze zaraz się dowiedziano o sprowadzeniu górników, słyhać zresztą było w porze nocnej łomot, sprawiany przez nich. Niepokój znów ogarnął obłączonych, a zwiększył się, gdy gruchnęła pogłoska, wymyślona przez Szwedów, jakoby górnicy znaleźli przejście podziemne, prowadzące aż do kościoła. Kordecki doraźnie ujawnił fałsz onej pogłoski:

— Ludzie słabej wiary i płochliwego umysłu!—

rzekł do zatrwożonych — zali do tego stopnia popadliście w zwątpienie, że wyraźnego kłamstwa poznać nie umiecie? Jeżeli bowiem Szwed przejście podziemne znalazł i prochami je podminował, jak się przechwala, to dlaczego ich nie zapala? dlaczego nas nie wysadza w powietrze? na co czeka? Zamknijcie uszy na fałsz zgubny, a słuchajcie raczej Bogarodzicy, która nam ze stropów swego majestatu nakazuje: *Cave, ne cadas! Alta petisti, alta tene!*

Pan Zamoyski, żeby ostatecznie obawy co do rzekomego podminowania klasztoru rozwiązać, postanowił urządzić wycieczkę. Wybrawszy kilkudziesięciu ochotników, w dzień biały, o południu, wyruszył z klasztoru tajemnym otworem, prowadzącym do głębokiej fosy, a z tej się wydostawszy, naprzód na górników napadł i dwóch tylko przy życiu zostawiwszy, rzucił się na najbliższe baterie, dwa działa zagwoździł, sporo nieprzyjaciela trupem położył, wreszcie, pod osłoną dział klasztornych, na Jasną Górę nawet z łupem wrócił, straciwszy jeno jednego ciurę.

Miller z osłupieniem słuchał raportu o nowej klęsce, a wściekłość jego zwróciła się tym razem na Weyharda. Na dobitkę, tegoż samego dnia, wieczorem, gdy się w kwaterze swojej winem na frasunek zakrapiał, siedząc przy stole z oficerami, kula działa, przewierciwszy ścianę, wpadła pomiędzy biesiadników, zdruzgotała stół z całą zastawą, rozpryskując na wszystkie strony trzaski z kielichów, gąsiorów i stołków. Wszyscy pouciekali, a Miller natychmiast do innej kwatery się przeniósł.

We trzy dni potem, nadciągnęły Szwedom z Krakowa posiłki piesze, zapasy amunicji, wielkie działa burzące oraz inny sprzęt oblężniczy. Oblężeni znów popadli w trwogę, nie pomagały perswazyje wytrwalszych, głośno narzekano na przeora, oskarżano go, że chyba umyślnie chce zguby Jasnej Góry i wszystkich, którzy się tu schronili. Wreszcie otwarcie wystąpiono z żądaniem poddania klasztoru Millerowi. Wzburzenie i niechęć doszły do tego stopnia, że jak się zdawało, zażegnać ich nie było podobna. Ale Kordecki poruszyć się nie dał; wezwał pomocy Orędowniczki z nieba i natchniony Jej łaską, tak do wątpiących przemówił:

— Mówicie: Szwed dobędzie Jasnej Góry, a nie oglądacie się na to, iż zajedno nam, czy przez opór, czy też dobrowolnie pod jego władzę się dostaniem. Zajedno, bo klasztor w każdym razie złupiony zostanie, a my precz iść stąd musim, ile, że Karol Gustaw (słysząc to) na gruzach klasztoru zamek potężny wznieść postanowił. Poddając się tedy dobrowolnie, złamiemy wiarę Bogu, sprzeniewierzym się Przenajświętszej Rodzicielce. I czy to konieczność zmusza nas do takiej hańby? Czy żywność nam się wyczerpała? Czy to na środkach obrony nam zbywa? Czy sił nam brakuje? Dlaczego wątpić o pomocy ze strony najjaśniejszego Jana Kazimierza? Dlaczego popełniać grzech przeciwko Duchowi Świętemu, rozpaczając o miłosierdziu Bożem? Dlaczego zapominamy o najświętszym obowiązku obstawania przy Bogu i oddania dla Niego nawet życia, gdyby zaszła ku temu potrzeba? Dlaczego nie

myślimy o tem, że raz się poddawszy, nie będziemy mogli skutków oplakanych, jakie z tego błędu wynikną, naprawić? Bracia moi, wiary! wiary! wiary! Wszak broniąc tej polskiej stolicy Pani Anielskiej, bronimy Kościoła Bożego, czci Maryi, bronimy najukochańszą Matkę-Ojczyznę naszą! Jakiż to dla nas honor, jaki zaszczyt! A im więcej stałości okażem, im większe niebezpieczeństwo pokonamy, tem dla nas większa chwała. Bracia moi, zaprawdę mówię wam, jeżeli Bóg postanowił Ojczyznę naszą do dawnej przywrócić świetności, o czem wątpić byłoby niegodnym, to ocalenie jej musi spłynąć z tej Jasnej Góry, która sama jedna potopem szwedzkim dotknąć się nie pozwoliła. Tu Najdostojniejsza Pani nieba, poczytując za rzecz miłą i przystojną nazywać się Królową Polską, zasiąść przed wiekami raczyła, Jasną Górę stolicą swego królestwa ziemskiego obrawszy; stąd obfite źródło łask zlewa na wiernych, leczy ich dusze i uzdrowia ciało, stąd czerpie zdrowie i siły całe ciało Ojczyzny naszej... Przeto ta Najchwalebniejsza Pani okaże znów łaskę dla Polski, podźwignie ją z upadku, a to na znak, iż wiara żadnej potędze ziemskiej przełamać się nie da.

Po tych słowach, upadł na kolana i wzniosłszy ręce, zawołał głosem wielkim:

— O Pani nasza, Orędowniczko, Pocieszycielko, Pośredniczko nasza, w upadku ducha naszego przyjdź nam z sukursem niebieskim, abyśmy się stali godnymi miana wiernych Twoich... Pod Twoją obronę uciekamy się, a nie racz gardzić prośbami...

Jak uderzenia gromów oczyszczają powietrze od

ciężkich oparów, tak pełne zapału i proroczego natchnienia słowa przeora oczyściły serca obłączonych z obawy i zwątpienie. Prąd zbawienny wstrząsnął umysły niedawno wątle i chwiejne, — nikt już nie wspominał o poddaniu, natomiast każdy powtarzał:

— Trwajmy, a zwyciężym...

Tymczasem nadeszła wigilia Narodzenia Pańskiego. Szwedzi wielkie czynili przygotowania do nowego szturm, który też zapowiedział nowy list Millera. Jenerał wzywał obłączonych do poddania „raz ostatni“ — tak pisał — grożąc, gdyby odmówili, zaraz „razajutrz stanowczem klasztoru zburzaniem. Kordecki w odpowiedzi upraszał o zawieszenie broni przez czas świąt, dołączył też pismo do Weyharda, wyrażając ufność, iż on, jako katolik, prośbę jego u Millera poprze. Miller odpowiedzi nie dał, Weyhard zaś szeroko się rozwiódł o „zuchwałości“ zakonników, o ich rzekomej „niewdzięczności“, z jaką odrzucają ofiarowaną im łaskę królewską, — w końcu zaś oświadczył, iż szturm odłożony być nie może. „Jeśli dziś się nie poddacie — nadmieniał — to klasztor i kościół w gruzy zmienim jutro, ku czemu maszyny już są gotowe.“ Kordecki żadnego na groźby owe nie dał responsu, natomiast załodze swojej pilność szczególną zalecił.

Noc przeszła spokojnie, jak również część dnia następnego. Dopiero w samo południe rozpoczął się zapowiedziany szturm. Był on w samej rzeczy nad wszelki wyraz strasliwym. Kule olbrzymie, gęsto puszczane, zwłaszcza od strony południowej, dziu-

rawiły mury klasztorne, napelniając korytarze i przy-
sionki chmurami pyłu. Gmachy wszystkie i opoka,
na której stały, co chwila doznawały wstrząśnień
tak silnych jak gdyby uderzane pięścią bajecznych
Tytanów. Z odgłosem dział, rusznic, moździerzy,
hakownic, organków, łączył się trzask murów, brzęk
wypadających szyb, świst kul, huk wybuchających
bomb i krzyki obłączonych, wszystko zaś to tworzyło
prerażający chaos, że chyba gorszego w piekle usły-
ścić nie można.

Nieprzyjaciel najwięcej miotał pocisków ogni-
stych i to rozmaitego gatunku. Więc padały z nie-
wierzchem z konopi ukreconę pociski, z jednej strony
niebiańska i solenne, z drugiej zaś z jednej strony występo-
wały potężne siły ludzkie, wzmożone wszelkimi
środkami, przez człowieka na zgubienie bliźniego wy-
myślonemi, z drugiej zaś wiara i miłość Ojczyzny,—
patrzyła ze zdumieniem cała Polska, uciemżona
i zgnębiona jarzmem szwedzkim, patrząc zaś, czu-
ła, iż duch w nią wstępuje nowy, iż z Jasnej Góry
spływa na nią tchnienie odrodzenia się w poczuciu
godności i obowiązku...

Oblężeni trzymali się dzielnie. Pokrzepieni na-
bożeństwem, które się dnia tego ze zwykłą odbyło
solennością, stali na posterunkach niewzruszeni, bez
trwogi. Modlitwa serca ich na ten dzień próby
straszliwej osłoniła pancierzem niezachwianej nie-
złomności, a hartował je nadto niestrudzony Kordec-
ki, który był wszędzie, tam zwłaszcza, gdzie naj-
większe groziło niebezpieczeństwo.

— *Sursum corda!* — wołał głosem potężnym,
rozbrzmiewającym zwycięsko po nad rykiem zawzię-
tej bitwy. — Bracia! walczymy za Boga! za wiarę!
za cześć Najświętszej Panny! za Matkę-Ojczyznę!

Głos jego zdwajał męstwo walecznych, a on
sam przypominał onego z Apokalipsy Archanioła,
odpierającego zastępy Antychrysta. Jeno zamiast
miecza płomienistego, krzyż miał w rękę—znak zba-
wienia był jego buławą hetmańską.

Trwał szturm, wróg wszystkich sił dokładał, aby
zburzyć Jasną Górę, która jednak wytrzymywała
zaciekłość jego statecznie. Trwał szturm — a na tę
walkę nierówną, w której z jednej strony występo-
wały potężne siły ludzkie, wzmożone wszelkimi
środkami, przez człowieka na zgubienie bliźniego wy-
myślonemi, z drugiej zaś wiara i miłość Ojczyzny,—
patrzyła ze zdumieniem cała Polska, uciemżona
i zgnębiona jarzmem szwedzkim, patrząc zaś, czu-
ła, iż duch w nią wstępuje nowy, iż z Jasnej Góry
spływa na nią tchnienie odrodzenia się w poczuciu
godności i obowiązku...

A gdy bój się przedłużał, z wieży kościoła ozwa-
ły się słodkie dla serca polskiego tony kolendy:

„Narodzi się Jezus w Betleem, niebardzo po-
dłem mieście! Narodził się w ubóstwie, Pan wszel-
kiego stworzenia“...

Pieśń starodawna nowem się stała dla oblężo-
nych pokrzepieniem. Błogość uczuli dziwną, moc
nadmierzającą i oto wśród piekła walki snuła się pro-
stacza pieśń pasterska, sławiąca Zbawiciela, który
przyszedł w nędzy aby świat z otchłani grzechu

wyrwać; snuła się ta pieśń śród huku dział, śród dymu tumanów, niby wstęga złocista, spowijając obroń-

Naraz w obozie szwedzkim rozległ się huk tak ców wiary i Ojczyzny aureolą po wszystkie wieki. straszny, jak gdyby strop niebieski upadł na ziemię, poczem cisza nastąpiła grobowa. Oblężeni nie wiedzieli, co to ma znaczyć. Domyślano się jakiejś katastrofy i rzeczywiście — stratę ponieśli Szwedzi, bowiem największa kolubryna przy wystrzale pe-
kła...

Niebawem Miller znów pismo do klasztoru przysłał, żądając albo niezwłocznej kapitulacyi; albo zaprzysiężenia królowi szwedzkiemu wierności oraz złożenia 60,000 talarów, tytułem okupu za zakonników i szlachtę, a raczej tytułem odszkodowania „za długotrwałą opór.“ W razie nieprzyjęcia jednego z tych warunków, groził stary jenerał zburzeniem nie tylko twierdzy, ale także wszystkich miast i wsi w promieniu trzech mil dokoła Jasnej Góry, oraz zniszczeniem wszystkich dóbr i posiadłości szlachty, która w oblężeniu uczestniczy. „Wy sami nadto — tak groził Miller — ani w twierdzy, ani na zewnątrz jej nie będziecie bezpiecznymi; za tę tak wielką złość Waszą i upór, najsrońszej kary godny, — nie kruszcem, ale ciałem, nie pieniędzmi, ale krwią płacić będziecie.“

Przeor dopiero nazajutrz odpowiedź Millerowi posłał przez starą Kostuchę — bo do obozu szwedzkiego nikt iść nie chciał, z obawy narażenia się na uwięzienie, — brzmiała zaś ta odpowiedź, jak zawsze, pokornie, uniżenie, lecz z zachowaniem godno-

ści. Ubolewał mianowicie ks. Kordecki, iż Miller z samego początku okupu nie zażądał, gdyż wtedy klasztor mógłby się na żadaną sumę zdobyć; teraz, wobec zniszczenia przez wojska szwedzkie włości zakonnych, nie jest w stanie tego uczynić. Zresztą klasztor wojny nie wszczywał, owszem, został najniesłuszniej w świecie napadnięty i o znaczne przyprawiony szkody, przeto zakonnicy nie widzą żadnego powodu, któryby żadaną kontrybucję usprawiedliwiał. Do listu załączył przeor kolendę: opłatków paczkę oraz książeczki, po łacinie i po niemiecku, z podobiznami cudownego wizerunku Bogarodzicy i z opisem dziejów tegoż wizerunku.

Stary jenerał, ku zdziwieniu wszystkich, przyjął odpowiedź ks. Kordeckiego bez zwykłych ataków wściekłości; odczytawszy pismo, przesunął dłonią po czole, obrzucił wzrokiem komendantów i rzekł:
— Mości panowie, dosyć mamy wojny z mni-
chami. Nie pozostaje nam nic, jak rejterować stąd. Wydajcie odpowiednie rozkazy.

— Nareszcie! — odezwał się ks. heski. — Szkoda, żeśmy o tem nie pomyśleli sześć tygodni temu...

— Tak, szkoda — potwierdził Miller. — Wina to grafa Weyharda, który niedźwiedzią nam okazał przysługę, zatrzymując nas tyle czasu pod Jasną Górą... Zda mi się, że król jegomość podziękuje mu za to...

Wstał, narzucił płaszcz futrem podbity.

— Przejdę się trocha, bo mi łeb pęka i tchu w piersiach braknie...

Wyszedłszy z kwatery, stanął naprzeciwko klasztoru i zamyślił się.

Odgłos kapeli, skoczne wygrywającej kolendy, śpiewy wesołe oraz liczne wystrzały z dział i rusznic, zbudziły go z zadumy.

— Co to? — zagadnął Kalińskiego. — Zaczepka? Także się rozzuchwalili?...

— Nie wojenne to strzały, jeno wiwatowe, jak mniemam — objaśnił Kaliński. — Święto mamy drugie Bożego Narodzenia, przytem imieniny dwóch panów Zamoyskich: ojca i syna:

Westchnął Miller i dłonią rzucił.

— Mają się z czego cieszyć, wielkiego ognidziela, zmuszając mnie z taką siłą do... zedzieliły pomruknała, a po chwili do... równie, smołą obla... wypełnione, ciągnąc za sobą ogon płomienisty, który je do komet czynił podobnemi; to znowu upadały na dachy kościoła i klasztoru pociski kształtu jabłka ognistego, z poprzczipianami rurami żelaznemi, z których wytryskał ogień i ołów... Ludzie, na dachach czuwający, spychali te dyabelskie koncepta osękami lub drągami, bądź też gasili je wodą, a tak skutecznie, że żaden pożaru nie wzniecił; tyle sprawiały, iż swąd duszący i dym roznosiły dokoła.

Obleżeni trzymali się dzielnie. Pokrzepieni nabożeństwem, które się dnia tego ze zwykłą odbyło solennością, stali na posterunkach niewzruszeni, bez trwogi. Modlitwa serca ich na ten dzień próby straszliwej osłoniła panczerem niezachwianej niezłomności, a hartował je nadto niestrudzony Kordeczki, który był wszędzie, tam zwłaszcza, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo.

a dokoła Niej istny rój uskrzydłonych postaci, hołd Jej oddających. I zdało mu się jeszcze, że słyszy precudne granie, jakoby fletów i cytr... Zwrócił się do Kalińskiego, za rękę go schwycił:

— Mości pułkowniku! patrz tam! słuchaj?

— Beczki smolne porozpalano w klasztorze, znać dla uczczenia święta i solenizantów — rzekł Kaliński.

— Ale nad klasztorem? No, czy nic nie dostrze-

? I ta muzyka, te śpiewy?

zburz, Hm... kolendy śpiewają — odparł pułkownik. zaciekiłość głowę zwiesił i spiesznie do kwatery powalkę nierówną, w której... wały potężne siły ludzkie, wzmożone wszelkimi środkami, przez człowieka na zgubienie bliźniego wymyślonymi, z drugiej zaś wiara i miłość Ojczyzny, — patrzyła ze zdumieniem cała Polska, uciemieniona i zgnębiona jarzmem szwedzkim, patrząc zaś, czuła, iż duch w nią wstępuje nowy, iż z Jasnej Góry spływa na nią tchnienie odrodzenia się w poczuciu godności i obowiązku...

A gdy bój się przedłużał, z wieży kościoła ozwały się słodkie dla serca polskiego tony kolendy:

„Narodzi się Jezus w Betleem, niebardzo podłem mieście! Narodził się w ubóstwie, Pan wszelkiego stworzenia“...

Pieśń starodawna nowem się stała dla obleżonych pokrzepieniem. Błogość uczuli dziwną, moc nadzwyczajną i oto wśród piekła walki snuła się prostacka pieśń pasterska, sławiąca Zbawiciela, który przyszedł w nędzy aby świat z otchłani grzechu

cinał powrozy niezbożników, zawstydzeni i nazad obróceniu zostali, albowiem Syon mają w nienawiści... Chwalcie Pana, albowiem dobry jest! Hallelujah!”

Długo przemawiał ten hetman zastępu Bogarodzicy, a postać jego jaśniała świętością wybrańców Bożych. Po kazaniu zaś, udał się do kaplicy cudownego wizerunku, upadł krzyżem przed ołtarzem i noc całą wdzięczność wyrażał Królowej Anielskiej modlitwą gorącą, łzami obfitemi zroszoną. A wtedy już nad Polską wschodziły zorze odrodzenia się z upadku...

X

Podwójną przeto radość miała Rzeczpospolita w końcu r. 1655—jednocześnie z rocznicą narodzin Zbawiciela przypadło jej cieszyć się świtem nadziei zrzucenia jarzma szwedzkiego. Przeor Kordecki okazał się prorokiem, hasło odrodzenia się ducha narodu wyszło z Jasnej Góry; z tego miejsca, rozświetlonego łaskami Bogarodzicy, spłynęła na naród moc, spłynęło opamiętanie się i obowiązku poczucie. A sprawczynią dzieła wiekopomnego stała się wiara. Przez nią Polska w rządzie państw europejskich się znalazła, przez nią potęgę osiągnęła, — przez nią teraz z upadku powstawała. Śród omdłego z rozpaczny narodu zjawił się hetman w sukni zakonnej, ukazując mu godło Zbawienia wołał, jak ongi Konstantyn:

— Pod tym znakiem zwycięstwo!

Proroctwo swoje czynem poparł, ocalając z miżerną garścią Jasną Górę od wielu tysięcy szwedzkich, a przykład bohaterski skuteczną stał się po-

budką. Wnet obok hetmana wiary znalazł się hetman miecza: pan Stefan Czarniecki ruszył resztę wojska swego ze stanowisk, pociągnął w Bełskie, porozumiał się z chorągwiami kwarcianami i oto w Tyssowcach zawiązała się konfederacja, na której czelę stanęli obydwaj hetmani koronni i rada, z posłów województw utworzona. Konfederacja natychmiast wezwwała wszystkich obywateli, pod czcią i wiarą, do obrony Ojczyzny. Rozpoczął się ruch zbawczy. Jan Kazimierz opuścił Śląsk, dostał się szczęśliwie do Lwowa. Wszędzie po drodze garnęła się do niego szlachta, garnął się lud, pobudzony przez kapłanów. Zabrano się do Szwedów dziarsko i sprawiano im odwet krwawy, gdzie się tylko dało. Czarniecki wciąż hetmanił w tej sprawie, cudów zaiste waleczności dokazując.

Bramy Jasnej Góry znów stanęły dla wszystkich otworem — zewsząd też dążyły na miejsce świetnem zwycięstwem ukoronowane, tłumy szlachty oraz ludu pospolitego, każdy bowiem chciał oczyma własnymi przekonać się o nowej łasce Pani Anielskiej, otuchy zaczerpnąć od Jej wybrańca, przeora Kordeckiego. Nie zapomniano przytem o ofiarach. Wiedziano, że Szwed po barbarzyńsku z włościami klasztorami się obszedł i że sam klasztor, po sześciotygodniowem oblężeniu, potrzebuje zasiłków. Więc ciągnęły ku Częstochowie wozy, ładowne zbożem sianem i innymi zapasami, pędzono bydło, inwentarz wszelki. Tu przykładem świecili: Andrzej, graf Cellary, pan na Lublińcu i Radziątkowie; bracia Warszycy — Stanisław, kasztelan krakowski

i Paweł, wojewoda, oraz generał wojsk mazowieckich; pan Krzysztof Żegocki, gubernator babimojski, pan Sebastian Bogdański, pan Stefan Jackowski i inni... Oni to najpierwsi ze wspomżeniem klasztoru pospieszyli.

Kordeckiego nie upoiło zwycięstwo—natomiast szczerze go radował widok skutków onego, ów zwrót umysłów, ducha podniesienie, owa gorliwość, z jaką kraj się kwapił ku naprawieniu błędów swoich. Gdy mu wieszowano tryumfu, na hołdy i uwielbienia, któremi go zewsząd zarzucano, odpowiadał z godnością:

— Nie moje to dzieło, nie moja zasługa. Najświętsza Panna uttrzymała mnie, sługę Jej niegodnego, przy zachowaniu nieskażonej wiary Bogu, Ojczyźnie i królowi jegomości.

W sam dzień Nowego Roku, najniespodziewaniej zjawił się w klasztorze pan Stefan Czarniecki. Przyjechał bez parady, w kilkanaście koni, również z gratulacją dla przeora, a także, iżby dać upust pobożności swojej i w kaplicy wizerunku cudownego Bogarodzicy oręż swój polecić. Oczywiście, że takiego gościa podejmowano z zapalem, chociaż się od wszelkich aplauzów wymawiał. Grzmiały tedy na wiwat działa i moździerze, wygrywała kapela marsze i insze kuranty, palono świetne fajerwerki i ognie barwne.

— Ucieknę, jak mi Bóg miły, ucieknę!—wymawiał się zawsze skromny pan kijowski. — Wstyd mi one owacye przynoszą. Nie mnie się przecież one należą jeno wam, ks. przeorze wielebny i pod roz-

kazami waszemi zostającym walecznym. Ja co? Uległem Szwedowi i w Siewierzu, niby mysz pod miotłą, siedziałem tyli czas...

— Wolne żarty, jasnie wielmożny kasztelanie— odpowiadał Kordecki. — Nie uległeś Szwedowi, ale mądrej przezorności słuchając, uległeś nieprzyjaznym okolicznościom, z zamiarem chwili sposobnej wyczekania. Jakoż nadeszła ta chwila i oto gromisz wroga, nowe laury do dawnego wieńca chwały zbierając. Myśmy tu również dopełnili obowiązku, z wyraźną jednak pomocą Panią Najświętszej. Wszelako, jeśli Jasna Góra tryumf nad Szwedem odniosła, to część zasługi na jasnie wielmożnego kasztelana również spada. Przecież raczyłeś nam jasnie wielmożny pan przysłać czterech towarzyszków, którzy się kunsztu żołnierskiego w twojej szkole przestawnej uczyli, a którzy niewymownie dzielnie okazali się dla nas podczas oblężenia wsparciem — sukces zaś uczniów zawdy także ich mistrzowi, wedle sprawiedliwości, przypisywać należy...

O ile pan kasztelan kijowski na wszelkie chwalby, jego osoby dotyczące, marszczył się i zżymał, o tyle rad słuchał, gdy dobre o jego żołnierzach dawano świadectwo. A tu nietylko przeor, nietylko pan Piotr Czarniecki, Zamoyski, Krzyżtoporski, Mościński i Skórzewski, Paska oraz trzech jego towarzyszków wysławiali, ale słów dla nich nie mieli zgoła wszyscy inni, którym oblężenie przetrzymać wypadło. Więc pan kasztelan brodę gładził, pochrząkiwał, oczyma mrugał, nadmieniając z zadowoleniem:

— Juścim się tego spodziewałem, że panowie towarzysze wstydu mi nie przyniosą... Ano, zakarbuję sobie w pamięci, jako ordynanse moje wiernie spełnili. Nagrodę mają w sumieniu swoim, w zasłudze dla Najświętszej Panny i Ojczyzny, wszelako godzi się, żeby inną jeszcze dla nich obmyśleć, w czym już moja głowa. Tymczasem ze sobą ich zabiorę, boć na Jasnej Górze już nie potrzebni.

Mówił to pan kasztelan przy wieczerzy, w której uczestniczyła, pomiędzy innymi: pani stolnikowa Branicka, pani podsędkowa Krywicka z Zosią, pan skarbnik Drozdowski z Krzysią, Balcerowicz i Pasek z towarzyszami pancernymi. Wojszcżanka, na ostatnie słowa kasztelana, przybladła i mimowoli, jakby z przestachem, na Ołtarzewskiego spojrziała, co nie uszło baczności Paska, któremu śnać jakaś myśl dobra w tej chwili strzeliła, bo uśmiechnął się, miodu wystającego napił się raz i drugi, a węża podkręcając, rzekł:

— Ordynans wodza przedewszystkiem, więc acz z żalem, jednak opuścim Jasną Górę, gdzie się nam przy wielebnym ks. przeorze tak dobrze działo. Tę będziemy mieli pociechę, że uwieziem stąd profit, w osobie pana pisarza Balcerowicza, z którym zawiązałem przyjaźnielstwo osobliwe. Pragnie on zaciągnąć się pod znak jasnie wielmożnego kasztelana, a tuszę, że jasnie wielmożny regimentarz ofiary jego waleczności nie odrzuci...

Z kolei przybladła skarbnikówna, Balcerowicz zaś, tak obcesowo zaskoczony, chociaż istotnie o za-

ciągnięciu się do chorągwi nie myślał, nie mógł jednak Paskowi zaprzeczyć. Tedy wstawszy, kłaniał się kasztelanowi i mruczał coś niezrozumiale, rzekomo słowa przyjaciela potwierdzając. Czarniecki bystrem spojrzeniem go obrzuciwszy, głową kiwnął, mówiąc:

— Balcerowicz... A! przypominam sobie, widzieliśmy się już w Siewierzu. Zgoda — chętnie w waszej nowej towarzyszki witam. Rekomendacja panna Jana ma u mnie walor... Ludzi walecznych nam potrzeba, każda garść dziś więcej niż kiedykolwiek się ceni. Prezencję masz waćpan dobrą, ufam, że nie zaśpiesz gruszek w popiele. Zatem — rzecz skończona. Gotuj się waszmość, bo jutro musimy ruszyć...

— Otóżęś mu zadał bobu — szepnął Kościuszkiewicz do Paska, który znów na fantazję miodem się pokrzepiwszy, w te słowa się odezwał:

— Takie ukontentowanie pan pisarz uczuwa, iż trudno mu ono wyrazić. Po co tu zresztą słowa, kiedy z oblicza jego można radość wielką wyczytać. Widzimy, że promienieje ono, błogością płonie, a nie taję, iż poniekąd z podziwem na to patrzę... Zdumiewa mnie mianowicie, że pan pisarz ofiarę na ołtarzu Ojczyzny składa z takim zaparciem się wszelkich innych afektów. Zaiste, przynosi mu zaszczyt, iż dla obowiązku obywatelskiego porzuci — mniemam czasowo jeno — to, co nad życie umiłował...

— A prawde waszmość do zrozumienia, bo objeżdżasz rzecz, jak Cygan przed wojskiem... —

przerwał kasztelan, domyślając się jakiejś krotkochwili.

— Dojadę ja do jądra, jasnie wielmożny panie, jeno o chwilę cierpliwości suplikuję, bo sprawę wyłuszczam ważną — odparł Pasek, a potem dalej prowadził: — Nie bez przyczyny u nas w obyczaju jest, iż na każdy rok dziewczki kłoc włóczą, a młodzieńcy kobiel z drożdżami, że się nie pożeniłi, po rynku, po ulicach, od domu do domu noszą, jakoby niedbalstwo swoje okazując. Nie bez przyczyny, powtarzam, taki u nas obyczaj istnieje, bo prawo Boże osobom świeckim małżeństwo nakazuje. Każdy przeto oną wolę Bożą czuje, ale nie każdy wypełnia ją z należytą przecznością. Bywa często, iż kawaler jeno gładkiej towarzyszki życia szuka, nie pomnając, jako z gładyszczą wiela kłopotu. Boć słusznie mędrzec rzekł jakiś: „Wolałbym worek pcheł, po łące rozpuściwszy, paść i zasie na każdy wieczór je do woru zgarńnić, niż warty przy żonce gładkiej się podjąć.“ Inszy, obok urody, szuka cnotliwości, pamiętając, iż cnotliwość w niewieście wszelkie insze zalety przenosi. Pan pisarz tu obecny, jako w lecach po temu będący, wolę Bożą również czuje, a czując — krząta się, aby jej uczynić zadość, ale rozumnie. I właśnie w chwili, gdy znalazł dyament poszukiwany, nadobność przedziwną wespół ze cnotą anielską, w osobie także tu obecnej panny skarbnikówny Drozdowskiej, — Ojczyzna powołuje go do obowiązku, on zaś nie waha się przedmiotu uwielbiań swoich odstąpić, śpieszy na pole walki, z długu największego Ojczyźnie się wypłacić... Przeto zdumiewam się słusznie

jego bohaterstwu i tak mniemam, że sprawiedliwość nakazuje osłodzić mu ono. Lukrem zaś i kanarem stanie się dla niego ofiara, jeśli pan skarbnik dobrodziei i przezacna panna skarbnikówna ku afektom jego finalnie i wyraźnie się skłonią, nie pozwalając, iżby do chorągwi bez pierścienia zrękwiniowego odjeżdżał...

Roześmiał się kasztelan i w dłonie plasnął, śmieili się także inni spółbieszcznicy, Krzysia kręciła się, jakby na węglach rozżarzonych siedziała, a pan skarbnik, wąsa mlecznej białości muskając, poglądał na nią z rozrzewnieniem. Pasek, w ferwor wpadłszy, jeszcze prawił:

— Ani wątpię, że pan skarbnik tyranem dziecka własnego nie będzie i z taką przychylnością związek serc dwojga zatwierdzi, jaką pani podsędkowa Krysicka ku pokornej suplice przyjaciela mego i komilitona godnego, jegomość pana Franciszka Ołtarzewskiego, poweźmie, zezwalając tą drogą, aby córkę jej, nadobną pannę Zofię, za towarzyszkę dożgonną poślubił. Nie czas na długie pertraktacje, bo Szwed jeszcze na karku — w razach nadzwyczajnych termin skrócony się dopuszcza; dlatego też miarkuję, iżby obydwaj przyjaciele dziś otrzymali pewność, jako po mrozach wojny, słodka nagroda oczekiwać ich będzie...

Ołtarzewski do podsędkowej się rzucił, a Krysicka oczy wytrzeszczyła, dłońmi tłustemi zatrzaśniała, pokrzykując:

— Zośka! Zośka! wrono utrapiona... kochasiu marynowany... toż co się dzieje?!

A wrona utrapiona pociągnęła za kontusz Ołtarzewskiego.

— Plackiem, panie Franciszku! Razem suplikujmy!

Nielatwo przyszłoby Ołtarzewskiemu z podsędkową się uporać, ale z sukursem mu pieśpieszyli: pan kasztelan kijowski, przeor, wreszcie pan skarbnik. Ten ostatni rzekł:

— Mościa dobrodziejko... już taki los rodzicielski, żeby z dziatwy ofiarę składać... Za łaskę Bożą, za szczęście poczytać trzeba, jeśli ją nam zabiera nie śmierć okrutna, nie wróg zajadły, lecz — jak teraz oto wypada — jeśli za afektem idą w godziwe ręce, aby przeznaczenie wypełnić... Nie wzdragaj się, mościa dobrodziejko, pobłogosław. Pan Ołtarzewski, kawaler rodu pocziwego (znam jego parantelę) dziewczki waćpani nie skrzywdzi, uszanować ją potrafi. Setny jest żołnierz, substancję ma pono grzeczną, czego więcej chcieć? Ja bo panu Balcerowiczowi z ufnością wszelką moją Krzysię daję...

— Nie wzdragaj się, mościa dobrodziejko — przemawiał ze swojej strony pan kasztelan kijowski — za pana Franciszka ręczę.

— Ręczę i ja — nadmieniła pani stolnikowa Branicka. — Kto tak statecznie honoru Najświętszej Panny i Ojczyzny zagrożonej bronić potrafi, jak pan Ołtarzewski, ten małżonkę od wszelkiej równie ochroni poniewierki.

— Na taką porękę możesz pani podsędkowa się spuścić — naglił przeor. — Co do mnie, z góry powiadam: amen.

Podsędkowa, zewsząd nagabywana, westchnęła:

— Ano... kochasiu marynowany... niech was Bóg błogosławi... — rzekła. — Bierz sobie tę wronę utrapioną, panie Ołtarzewski, zaleje ci ona sadła za skórę....

— Wiemy, bo w panią matkę córuś się wdała! — wtrącił Pasek i półgłosem zanucił, zerkając znacząco na zapłonione panienki:

I ty śliczny rozmarynie,
Już cię ono szczęście minie,
Kiedym cię łamała,
Paniętom dawała...

Błogosławił też pan skarbnik swoją parę, młodzi zamienili pierścienie, które ks. Kordecki przeżegnał, poczem wszyscy obecni zaręczonym i ich rodzicom życzenia pomyślności wszelkich, wedle zwyczaju, składali. Drozdowski ze łzami w oczach za afekt dziękował, a do pana kasztelana z taką się zwrócił prośbą:

— Żem nie jest ów Galba, abym garnącą się w dom mój Fortunę za progi miał rugować i konkurujące miał alienować szczęście, dlaczego przyjąłem *nova vincula fortis et amicitiae* w dom koligacyi mojej, gdym córkę moją jegomości panu pisarzowi ziemskiemu, Balcerowiczowi, przyrzekł. Boć rozumiem, że *thesaurum inveni*, gdy dożywotniego przyjaciela córce mojej, któremu godność imienia, równość fortuny, *nec minore dat pretium virtus*. Tuszę, że jaśnie wielmożny pan zechcesz mieć *ratum* i *gratum* to *sacramentum* i te *unionem animorum*,

która *nexum* tak *alti sanguinis*, jako wszelkich talentów *nervum* skoligowała domowi memu, *in libra Judicis* poważać będziesz. Weselnemu aktowi termin naznaczy się właściwy. Że zaś to wesele całego domu powinno być *Hillaria*, najpokorniej tedy upraszam *in partem solatii* osoby jaśnie wielmożnego pana, bo bez niego *miscerentur haec gaudia luctibus*, i prawie jako *sine sole dies*, tak ten być ledwie może dzień wesela. Wyglądać tedy będę onego wschodu, który i mnie, i weselnemu aktowi uczyni *sine nube diem*. Boć to nie będzie u nieprzyjaznego Twesta uroczyść, abyś jaśnie wielmożny pan, jako drugi Febus, miał zaszczytnej swojej umknąć prezencji...

Tak mówiąc, do kolan kasztelana się pochylił, aby je uścisnąć, na co Czarniecki nie pozwolił, natomiast sam objął starca i całując go, odparł serdecznie:

— Ale bądź pewien, skarbniku mój, że nieodwoalnie się stawię, byleś termin weseliska wymiarował odpowiedni. Stawię się, słowo masz szlacheckie, i pannę młodą od ołtarza odprowadzę, Byłoby foremnie — dodał, na Ołtarzewskiego patrząc — iżbyś waszmość jednocześnie z panem pisarzem gody weselne sprawił. Mógłbym, czasu nie tracąc, i twojej wybranej przy Sakramencie ojcować. Jak myślisz, uda się tym kształtem rzeczy ułożyć?

— Musi się udać! — wyręczył Ołtarzewskiego w odpowiedzi Pasek.— Taki zaszczyt mając przyobiecany, ten nowy Tezeusz, który przestaje się już błakać *in Labirynto* afektów, znalazłszy, *ex filo* Boskich

predestynacyj Aryadnę, gdy stanął *in meta votorum* frasunków swoich, niebo i ziemię poruszy, byle tylko łaska przyrzeczona jaśnie wielmożnego pana go nie ominęła. Ano, panie Franciszku, dziękuj jaśnie wielmożnemu kasztelanowi, jest za co...

Dziękował tedy panu kijowskiemu i Ołtarzewski, i Balcerowicz, i skarbnik, i podsędkowa, i panienki obydwie, a wszyscy z obrotu okoliczności, ściślej zaś mówiąc — z polityki Paska, szczerze byli zadowoleni. Podsędkowa trocha nosem czmychała, poszeptując:

— Wszystko to jakoś na urwany łeb, kochasiu marynowany, ani się można z myślą rozgarnąć...

Lecz Kościuszkiewicz ugłaskał jejmość, tłumacząc:

— Mościwa dobrodziejko, dwojaki pożytek z takiego nawy losu jej córki pokierowania: nasamprzód panna Zofia, pożądanego przez się nawy onej sternika znachodzi, zaczem aśćka dobrodziejka będziesz dla świata przystępniejszą. Córa dorosła przy macierzy, która przecież od życia nie sieroctwa żałośliwego, ale szczęśliwego towarzystwa spodziewać się może, skrępowaniem jest uciążliwem. Rozważ to dobrodziejka i skalkuluj, a sama nieomylnie racye mi przyznasz.

Trafił do przekonania jejmości Kościuszkiewicz, klapnęła go po ramieniu i rzekła:

— A prawda! Masz waćpan olej w głowie. Dzieje się wola Boża, kochasiu marynowany.

Opuścił pan kijowski Jasną Górę, według zapowiedzenia, nazajutrz, bo będąc na głównego kiero-

wnika obrotów wojennych powołanym, musiał wciąż nieprzyjaciela mieć na oku. Niezależnie od tych obowiązków, dawał baczenie ten hetman prawdziwie chrześcijański oraz na wszelkie inne sprawy publiczne i zda się on to głównie wpłynął, że Jan Kazimierz myśl najchwalebniejszą w świecie powziął ofiarowania kraju Bogarodzicy i podniesienia stanu pospolitego, który uciśniony był srodze nietylko przez najeźdźców, ale także czasu pokoju, przez swoich.

Powziął tę myśl zbawienną król i miał szczerzy zamiar w czyn ją wprowadzić, czego świadectwem były wykonane w katedrze lwowskiej śluby. Odbyły się one z uroczystością wielką, w obecności najpierwszych dygnitarzy duchownych i świeckich, mnóstwa szlachty, ludu miejskiego i wioskowego. Pamiętnego dnia 1 kwietnia 1656 r., znajdowali się tedy w przestarzej katedrze lwowskiej oboje królestwo, z dworem; Piotr Vidoni, biskup laudeński a nuncyusz Papieża w Polsce; Andrzej, hr. na Lesznie, arcybiskup gnieźnieński, prymas Rzeczypospolitej; Piotr Gębicki, biskup krakowski, a ks. siewierski; Jan Tarnowski, arcybiskup lwowski a opat mogiłnicki; Floryan, ks. na Klewaniu, Czartoryski, biskup wrocławski i pomorski; Jan Stefan Wydźga, biskup łucki. Dalej z dostojników świeckich asystowali ślubom królewskim: Stanisław z Potoka na Podhajcach Potocki, hetman wielki koronny, wojewoda i jenerał ziem kijowskich, starosta krasnostawski i sokalski; Stanisław z Brzezic Lanckoroński, hetman polny koronny, wojewoda i jenerał ziem ruskich, starosta

skalski i rohatyński; obydwaj hetmani litewscy — Sapieha i Gosiewski; marszałek koronny Lubomirski; Krzysztof Tyszkiewicz, wojewoda czernichowski, starosta sykomiński; Andrzej z Potoka Potocki, oboźny jeneralny, starosta winnicki; Jacek Szembek, starosta bogusławski; Stanisław Służewski, starosta horodelski; Stanisław Domaszewski z Winnicy, sędzieja łucki; wreszcie pan kasztelan kijowski i wielu innych jeszcze.

Na uroczystość, prastara katedra przystroić się odświętnie. Lśniły i mieniły się w potokach światła jarzącego marmury, złote i srebrne ozdoby, makaty wzorzyste, wspaniałe szaty dostojników, zbroje rycerstwa, żupany mieszczan i skromne siermięgi chłopków. Mszę solenną odprawił Vidoni, zaczem król pokłękł na wzniesieniu, przed ołtarzem wielkim ustawionem; tuż przy wzniesieniu pokłękł pan Czarniecki, z szablą obnażoną; obok zaś niego: chłopek z kosą na sztorc zatkniętą; chorąży z proporcem Rzeczypospolitej; Waclaw z Brzezin Lanckoroński, rotmistrz usaryi, uskrzydłony, ze skórą lamparcią przez plecy; Jan Sadowski, towarzystwa pancernego namiestnik. Za tą grupą stanął marszałek Lubomirski i senatorowie; hetmani z prawej strony ołtarza mieli miejsce. Prymas na klęczniku, przed królem, księgę Ewangelii położył, Jan Kazimierz zaś, jedną dłonią jej dotykając, a drugą, z dwoma palcami wyprostowanymi, do góry wznosząc, tak ślubiwał wśród ciszy najgłębszej, głosem nieco wzruszonym:

— Wielka Boga-Człowieka Matko, a Przeczy-

sta Panno! Ja, Jan Kazimierz, z łaski Twego Syna, Króla królów, Pana mego, i z Twojej łaski król, u stóp Twoich najświętszych na kolana padając, obieram Cię dziś za Patronkę moją i moich państw Królowę, i polecam, Twojej szczególnej opiece a obronie, siebie samego i moje Królestwo Polskie, z Księstwami: Litewskiem, Ruskiem, Pruskim, Mazowieckiem, Żmujdzkiem, Inflanckiem, Czernichowskiem, jako też wojska obydwóch narodów i wszystkim mój lud.

Wzywam pokornie, w tym oplakany królestwa mego stanie, Twego miłosierdzia i pomocy, przeciw nieprzyjaciołom Świętego Kościoła rzymskiego. A ponieważ największemi dobrodziejstwami Twemi zobowiązany, czuję w sobie gorące pragnienie służenia Ci z narodem, tedy przyrzekam mojem, rządców moich i ludu mego imieniem, Tobie i Synowi Twojemu, Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi, że cześć Twoją wszędzie po krajach mego królestwa rozszerzać będę. Przyrzekam wreszcie i ślubuję wyjednać u Stolicy Apostolskiej, skoro tylko za przemożnem Twojem pośrednictwem i wielkimi Syna Twego miłosierdziem, zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi, a szczególnie nad Szwedami odniosę, aby dzień ten corocznie dla Ciebie i Syna Twojego, na zawdzięczenie łask, po wieczne obchodzono czasy i święcono, nadto, dołożę z biskupami królestwa starania, ażeby moje obietnice przez ludy moje wypełnione były.

A że z wielką boleścią serca mego widzę, iż wszystkie klęski, które w ostatnich siedmiu latach na królestwo moje spadły, więc: zaraza, wojny i in-

ne, zesłane zostały przez Najwyższego Sędzie, jako chłosta za jęki i ucięwienie chłopów, tedy przyrzekam i ślubuję, iż po odzyskaniu pokoju, użyję ze wszystkimi stanami wszelkich sposobów, ażeby lud mego królestwa od wszelkich ciężarów niesprawiedliwości i ucięwienia uwolnionym został. Spraw to, o Najmłosierniejsza Królowo i Pani, abym do wykonania moich przedsięwzięć, któremiś mnie Sama natchnęła, łaskę Syna Twojego otrzymał. Amen.

Tak przysięgał Jan Kazimierz, a naród w łzach radości się rozptywał, bo wierzył mocno, iż gdy sprawiedliwość wszystkie otrzymają stany, wówczas Panienka Najświętsza przyjąć raczy tytuł Królowej Polski i kłęski od Rzeczypospolitej odwracać będzie. Potężna też radość brzmiała w dźwiękach odśpiewanego następnie, przy dzwonów biciu i salwach armatnich, hymnu „Ciebie, Boże, wychwalamy,“ a samo niebo nawet zdawało się błogosławić zamiarom królewskim, bo zasnuty od rana chmurami firmament najpiękniej się wyjaśnił, słońce zapanowało na nim w blasków pełnym majestacie, kąpiąc nierozbudzoną jeszcze ze snu zimowego ziemię w ciepłe rozkosznych złotych promieni. Aliści nadzieje zawiodły, los inaczej zrzędził: śluby królewskie w zapomnienie poszły, a za przeniewierstwo Bóg na Rzeczypospolitę rychłe pioruny kary ciskać począł...

Tymczasem jednak nie przewidywano, iż śluby Jana Kazimierza czczemi się okażą, więc kraj cały najszcześliwszą roil sobie przyszłość. Bo wiadomość o zamiarach królewskich z szybkością błyska-

wiczną po wszystkich zakątkach ziemi polskiej się rozbiegła, witana wszędy z pożądaniem gorącym, jako zwiastunka dni błogich, w których prawda ewangeliczna ze słowa martwego w ciało rzeczywistości się przyoblecze.

Na Jasną Górę przywiódł ową dobrą nowinę pan Czarniecki, bo mu droga, zaraz po uroczystości lwowskiej, tamtędy wypadła, a tak się złożyło, że właśnie tego samego dnia ks. Kordecki oczekiwał na powrót wizerunku cudownego z Lublińca. Ucieszył się z fortunnego zbiegu rzeczy pan kasztelan, rzekł do przeora:

— Bogu niech będą dzięki, zem się w chwili pożądanej tu nalazł; za łaskę Panny Najświętszej poczytuje, iż będę mógł asystę przy tryumfalnym powrocie Jej konterfektu cudownego trzymać. Prowadzę zę sobą, jakby umyślnie, kilka grzecznych chorągiewek, tedy Królowa Anielska i Polski, boć teraz tak Bogarodzicę tytułować prawo słusznie mamy, będzie miała oraz honory rycerskie, które według mego rozumienia, wdzięcznie przyjąć raczy...

— Niewątpliwie, jasnie wielmożny kasztelanie— potwierdził przeor. — Miłuje Pani Anielska rycerstwo polskie, bo ono zawdy o chwale Bożej pamięta i zanim miecza dobedzie, Jej imienia ku pomocy wzywa pieśnią Ś-go Wojciecha—tedy hołd wiernych Jej niezmiennie czcicieli i wyznawców przyjmie chętnie i nie ostawi go bez nagrody, która w zwycięstwach oręża jego się wyrazi.

— A rychłoz przybycie wizerunku spodziewane? — zagadnął Czarniecki.

— Miarkuję, że o południu nastąpi.

— To czas najwyższy żołnierzyków moich sprawić, iżby w pogotowiu byli. Dysponuj *ergo*, wasza wielbność, jak oną asystę urządzić...

Przeor niedługo się namyślał: zdecydował, iż najwłaściwiej będzie, gdy pan kasztelan przy kościółku Ś-go Jakuba z wojskiem swoim się ustawi i stamtąd, doczekawszy się procesyi, wizerunkowi cudownemu towarzyszyć na Jasną Górę będzie. Niezwłocznie też zakrzętnął się Czarniecki około przygotowań po temu, a tak pilił, że ze skarbnikiem Drozdowskim, który również na uroczystość do klasztoru ściągnął, ledwie pobieżnie się przywitał.

O południu wartownik z wieży kościelnej znak otrąbił, iż zbliżanie się kompanii z wizerunkiem cudownym spostrzegł. Przeor, który na to hasło czekał, z wszystkimi zakonnikami, z kapelą klasztorną i chorągwiami, naprzeciwko podążył. Spotkanie nastąpiło w połowie drogi od kościółka Ś-go Jakuba do klasztoru. Gdy rydwan, ze skarbem Jasnej Góry, bogatemi kobiercami wysłany, sześciorgiem białej zupełnie maści zaprzężony koni, znalazł się w odpowiedniej odległości, zakonnicy na kolana upadli, intonując:

„O Maryo! o Królewno!

Z Tobą nikt nie stanie równo,

Przy tronie Boskim z prośbami,

Ty się zawsze módl za nami!”

Po odśpiewaniu hymnu, zdjęto wizerunek z rydwanu, umieszczono go na noszach ręcznych, materyą

jedwabną, złotem i srebrem dierzganą, oraz gierlandami zieloności wczesnej przystrojonych, które ujęły z przodu O. prowincyał Bronowski i przeor Kordecki, a z tyłu pan kasztelan oraz Andrzej Celary, graf na Lublińcu i Radziątkowie, poczem ruszył pochód uroczysty ku Jasnej Górze, przy odgłosie Godzinek o Niepokalanem Poczęciu Bogarodzicy:

„Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę Świętą,
Zacznijcie opowiadać cześć Jej niepojętą!
Przybądź nam, Miłościwa Panno, ku pomocy,
A wybaw nas z potężnych rąk nieprzyjaciół mocy...”

Snuł się on pochód, z tłumów nieprzebranych utworzony, niby olbrzymie rojowisko mrówek pracowitych, związał się w skręty węzowe bez końca, mienił się w złotych blaskach słonecznych, a bił od niego majestat, skruchą serca przejmujący. Na czele niesiono krzyż, zielenią umajony i barwnymi wstęgami spowity; dalej postępowała kapela, wtórująca rozgłośnie Godzinkom; dalej bractwa różne, jasnogórskie i z miasta Częstochowy, z płonącym światłem i chorągwiami; dalej niesiono znaki tryumfalne: aparaty wojenne, palmy zwycięskie, korony z gwiazd złotych i srebrnych, buławy hetmańskie, z liliami białymi przy głowicach; dalej kroczyli plebani, proboszczowie, kanonicy, prałaci, zakonnicy jasnogórscy, z Wielunia i z Lublińca. Za nimi dopiero niesiono obraz, pod świetnym, od złota kapiącym baldachinem, tonący w dymach kadzideł, unoszących się obłocznie ze srebrnych trybularzy. Z kolei

maszerowali towarzysze pancerni, z rozwiniętymi proporcami, w pełnym moderunku; dalej szlachta, z małżonkami i dziatwą; wreszcie rzesze mieszczactwa i ludu wioskowego. Promienie słoneczne załamywały się w złocie baldachinu i rzucały w powietrze bryzgi migotliwe, że zdało się, jak gdyby deszcz brylantów mżył dokoła wizerunku cudownego; wiatr łagodny igrał z chorągwiemi kościelnymi, to odsłaniając postacie święte, to znów je kryjąc w zwojach kosztownych adamaszków i atlasów, furkotał proporcami pancernych, chwiał płomykami świec gorejących, szeleścił wylotami kontuszów, porywał dymy wonne z kadzielnic i osnuwał niemi głowy niosących skarb jasnogórski... Brzęk szabllic szlacheckich, chrzęst pancierzów ichmość towarzyszy, szelest jedwabiów szlacheckich i samodziółw chłopskich, tupot i skrzyp obuwia, wszystko to składało się na osobliwego rodzaju całość, przypominającą trocha gromy, a trocha pieszczotliwy pomruk fal morskich o wieczornej porze, który jednak rozplywał się w potężnych brzmieniach Godzinek, nuconych przez wszystkie usta pobożnego zastępu.

Snuł się pochód miarowo, z godnością niewypowiedzianą, a po nad nim unosiły się prośby rzewne i uwielbiania:

„Zawitaj, Pełna łaski, Przeczysta Światłości,
Pani na pomoc świata spiesz się, zbaw nas złości!“

To znowu:

„Zawitaj, Panno Mądra, Domie Bogu miły,
Który złoty stół i siedem kolumn ozdobiły...“

To znowu:

„Witaj Arko Przymierza, Tronie Salomona,
Tęczo, wszechmocną ręką z pięknych farb złożona...“

To znowu:

„Witaj, Świątyni Boga w Trójcy Jedynej,
Tyś Raj anielski, Pałac wstydu panieńskiego...“

Lub wreszcie:

„Witaj Miasto ucieczki, Wieżo utwierdzona
Dawidowa, bramami i bronią wzmocniona...“

Chorał ten, wzmacniany dźwiękami kapeli, falował w powietrzu, a zdało się, że porywały go skrzydła anielskie i niosły coraz wyżej, pod kopułę z błękitów, na której się wspiera Majestat Boży, gdzie też, śród rajskiego wesela, Pocieszycielka strapiionych króluje...

Ze słowami ostatniej Antyfony: „Tać jest Różdżka, w której ani ślad pierwotnej zmayı, ani skaza uczynkowej winy nie powstała“ — pochód iął się wspinać na Jasną Górę. W tej chwili również zapłonęły ognie sztuczne na basztach klasztornych, zagrzmiały z wałów salwy armatnie, z baszt paraskać zaczęły race... Drżała opoka, drżały mury warowni, lecz tym razem nie groza wojny krwawej je wstrząsała, jeno radość, iż Królowa do swojej stolicy wraca, jeno uciecha powitalna ku czci Tryumfatorki Niebieskiej. Niebawem tłum szczerlnie wypęł-

nił świątynie, zaś przeor Kordecki przemawiał z kazalnicy, głosem Jeremiaszów przypominającym:

— Wielka, cudowna i oczywista łaska Boska i Bogarodzicy, Najświętszej Panny, że w tak wielkim ogniu nieprzyjacielskim, Jasna Góra, jak ongi krzak Mojżeszów, nieuszkodzona... *Misericordiae Dei et Deiparae, quia non sumus consumpti!* Oplonęła Jasna Góra z upalów tych, ale tęższemi za honor Najświętszej Panny pałając, gotowa jest na dalsze. Ciebie tylko, o Pani Zastępów, na pomoc wzywa, Tobie zwycięstwo przyznawa i przyznawać będzie, z Bonawenturą Ś-ym: *Confiteor Tibi, Domine, in toto corde meo, et narrabo populis laudem, et gloriam Tuam...*

Późno się skończyło nabożeństwo. Ks. Kordecki, dopiero uspokoiwszy się z wszelkimi szczegółami wyjątkowej uroczystości, zamierzał wypocząć, gawędząc z panem kasztelanem. Zaledwie jednak w swojej celi do miłego dyskursu zasiadł, znów go w pilnej jakiejś potrzebie odwołano. Poszedł bez sarknięcia, bez zmarszczenia czoła, a Czarniecki nie mógł się wstrzymać od uwagi, do skarbnika Drodzowskiego zwróconej:

— Nie do uwierzenia jędrna dusza w naszym przeorze... Patrząc na niego, zapytuję mimowoli: skąd siły i wytrzymałość czerpie?

— Pani Anielska go wspomaga cudownie — rzekł skarbnik — inaczej wytłumaczyć sobie jego niepożytości niepodobna...

W niespełna godzinę, O. Jezuita Piekarski, kapelan i serdeczny pana kasztelana przyjaciel,

wszedł do celi, oznajmiając, iż ks. przeor prosi niezwłocznie skarbnika do infirmaryi.

— Musiało coś ważnego zajść — odezwał się Czarniecki — pójdę z waszmością, może się przydam...

Jakoż ujawszy starca pod ramię, udał się z nim na wezwanie.

W infirmaryi zastali przeora, pochylonego nad łożem, przy którym też krzątał się zafrasowany mocno Brat aptekarz. Spostrzegłszy wchodzących, przeor przystąpił ku nim i kładąc ręce na ramiona skarbnika, rzekł:

— Mości dobrodzieju, chrześcijańską masz spełnić powinność; nie wahaj się przeto, odpędź pokusę szatańską, jeśliby cię przypadkiem gabała...

To powiedziawszy, zaprowadził skarbnika do łoża, na którym wił się, snąc w śmiertelnej agonii, człowiek jakiś.

Spojrzał skarbnik w oblicze umierającego, pohladł, zachnął się i dłonie zaciśnięte w pięści do góry wzniosł:

— Pracki! — zawołał, trzęsąc się całym ciałem — podstoli Pracki... morderca mego szczęścia... kat serca mego...

— Ten człowiek za chwilę przed sądem Najwyższego stanie, mości skarbniku — zauważył Kardecki — czyn powinność chrześcijańska...

Prackiemu — on to był bowiem — przytomność wróciła, otworzył oczy, poznał skarbnika, rzucił się gwałtownie i wraz jęknął z wysiłkiem:

— Nie przeklinaj! Nie przeklinaj! Żałuję... Kajam się... Kruszę...

— Kacie jeden! Oprawco! — wybuchnął skarbnik oburzeniem.—Za krew niewinną, za torturę moją na potępienie idziesz...

— Skarbniku... zlituj się... moment ostatni... miej serce...

— A ty, zbóju, miałeś serce, kiedyś dom spokojny napadł, znieważył i jatki w nim wyprawił? Mogę-li zapomnieć? Mogę z serca krzywdę taką wyporać?

— Karę poniósł... z Bogiem się pojednał...—odezwał się Kordecki.

— Przebaczu... skarbniku... Bóg ci nagrodzi...—jęczał Pracki.

— Przebaczyć? Ja? Ja mam tobie przebaczyć? — zawołał twardo Drozdowski. — Z ust mi słowo przebaczenia nie wyjdzie dla ciebie nigdy! nigdy!

— Mości skarbniku — odezwał się Czarniecki— w takim terminie nie godzi się trwać w zawziętości...

— Ja mam przebaczyć... — powtarzał Drozdowski.

— I odpuść nam nasze winy, jako my naszym winowajcom odpuszczamy! — zabrzmiał mu nad uchem poważny głos przeora.

— Nadludzka to byłaby ofiara...—wzdrygnął się skarbnik.

— I odpuść nam nasze winy, jako my naszym

winowajcom odpuszczamy! — rzekł znów ks. Kordecki.

— Skarbniku... Bóg nad nami... — jęczał coraz słabiej Pracki.

— Krew niewinną darować... — chwiał się skarbnik.

— Jezu! Marya! człowiecze, duszę moją gubisz a swojej przez to nie zbawisz... — zdobył się jeszcze na wysiłek Pracki, dłonie do skarbnika wyciągając.

— I odpuść nam Boże wielkiego miłosierdzia winy, jako my krzywdzicielom naszym odpuszczamy!... — zabrzmiał po raz trzeci głos przeora, lecz teraz niemal rozkazująco.

Pochylił się nad łóżem skarbnik, ujął dłonie konającego i szepnął:

— Przebaczam! Niech ci tak Sędzia Najwyższy przebaczy...

— Amen! — dokończył przeor.

— Przebaczył... — wyrwało się z ust podstolego, zaczem nieszczęśnik rzęzieć począł, drzeć, pot kroplisty czoło mu oblał...

— Módlmy się — rzekł przeor.

Uklękli wszyscy, ks. Kordecki Litanię za konających odmawiać zaczął.

Pracki gasł szybko, lecz przez chwilę jeszcze rzucał się, targał, majaczył, wyprezał, wreszcie tchnął mocniej, zawołał już bełkotem niewyraźnym:

— Moja wina... przebaczył...

Z temi słowy ostatnie życia tchnienie uleciało.

— Skądże się naraz wziął w klasztorze Prac-

ki? — dopytywał przeora pan kasztelan kijowski, gdy infirmerię opuścili.

Ramiona rozwiódł zapytany, oczy do góry wzniosł:

— Dziwne zaiste sądy Boże! — odparł. — Nie-szczęśny ten człowiek padł ofiarą, jak mi pacholik, który go tu przywiózł rozpowiedział, swego przyjaciela Maciuty...

— Maciuty? — powtórzył Czarniecki. — Wiem! Nie odstępował ten łotr skończony podstolego od-dawna; pamiętam, że w obozie już się przy nim trzymał, zanim Pracki do Szweda przeszedł.

— Zaglądał ten Maciuta w judaszowych zamy-słach także na Jasną Górę... — nadmienił przeor.

— Maciuta... tak... — mruknął skarbnik — ku-siciel to był Prackiego. Żeby tego chociaż w ręce dostać.

— Jużci i jego na świecie niema — rzekł prze-or — obwiesili go Szwedy...

— Maciuta stracon? Poniósł śmierć hanie-bną z rąk heretyków? — zawołał zdumiony skar-bnik.

— Ano tak było. Podstoli Pracki z grabieży rozmaitych siła pono i gotowych pieniędzy, i kosz-towności zgromadził, o czym Maciuta dobrze wie-dząc, umyślił mu to wydrzeć, i z przyjaciółstwa skwitowawszy, inszego kompana szukać, ile, że w ostatnim czasie do swarów gwałtownych pomię-dzy nim a podstolim przychodziło. Jakoż upoiwszy Prackiego, złodziejską modą się zakrzętał i obra-bowawszy dotychczasowego przyjaciela, umknął

kryjomo. Aleć podpatrzył go pachol Prackiego, roztrzeźwił pana i o wszystkim go zawiadomił. Pracki do Weyharda. Weyhard ludzi mu dał, da-lej z nimi gonić Maciutę. Przyłapili go już za Wie-luniem, tam Maciuta, broniąc się, podstolego śmier-telnie postrzelił... Ze Szwedami chciał w kompromis wejść, ale Szwedy traktować z nim nie chcieli, ode-brali wszystko, co uwiózł, jego zaś samego, ponieważ ich rąbał zażarcie, na drzewinie przydrożnej obwie-śli, poczem wrócili do swoich, zostawiwszy dogo-rywającego Prackiego w czystym polu. Szczęściem, że pachol nie porzucił swego pana — coś go tknęło, żeby podstolego na Jasną Górę przywieźć. I przy-wiózł. Tu gdy się Pracki dowiedział od Brata apteka-rza, że śmierć za pasem, zażądał, żebym sam na drogę wieczności go przygotował. Spełniłem żąda-nie, a resztę waszność panowie już wiecie...

— Tak, tak, dziwne sądy Boże! — szepnął skar-bnik, jakby do siebie. — Opuściłem, dobrze się sta-ło, inaczej grzech zapamiętałości miałbym na su-mieniu...

Pan kasztelan o rannej zorzy miał wyjechać z klasztoru, aby podążyć w stronę Warki, uplanował bowiem sobie uderzyć znieńacka na zgromadzo-nych tam Szwedów. Chociaż niespełna dwie godzi-ny tylko na wypoczynek mu pozostawało, mimo to niezupełnie jeszcze ciemno było, a już do celi prze-ora pukał z pożegnaniem. Kordecki przed wizerun-kiem cudownym błogosławieństwa mu udzielił i w dziedziniec wyprowadził. Tam kasztelan przy-stanął, rozejrzał się dokoła.

— Pójdźmy trocha na wały — rzekł.

Szli w milczeniu, obadwaj zamyśleni, a stanąwszy przy bastyonie wschodnim, zatrzymali się. Czarniecki, ręce na piersiach skrzyżowawszy, wzrokiem ogarniał przestrzeń, szarym jeszcze mrokiem zasnutą. Po chwili odezwał się jakby do siebie:

— Wielkie dokonało się tu, na Jasnej Górze, dzieło.

— Chrystus Pan do narodu polskiego przemówił z tych murów — napomknął Kordecki.

— Nieomylnie! — potaknął Czarniecki. — Przemówił Zbawiciel, a głos Jego moc ożywiająca tchnął w duszę omdlałą narodu... Podniósł się naród, zapal gore w sercach, a ten ogień święty oczyści je od chwastów...

— Spraw to, Boże! — szepnął ks. Kordecki. — Żeby tylko ów ogień słomianym, się nie okazał...

Wzdrygnął się Czarniecki, dłoń przeora w swojej dłoni twardej ścisnął.

— I ja się o to obawiam — rzekł. — Król złożył śluby solenne i niewątpliwie szczerze pragnie je wypełnić, ale... znacie go: słaby jest, powodować sobą daje, łatwo się zniechęca...

— Niech modli się o wiarę silną, ona moc daje, ona hartuje serce, obowiązek przed oczy nawodzi i do wiernego mu służenia skłania... Powiedziałaś, jaśnie wielmożny panie, iż wielkie dokonało się tu, na Jasnej Górze, dzieło... A ja przydam: wiara sprawiła, ta wiara, jakiej Chrystus od nas żądał... Ty również taką masz wiarę, jaśnie wielmożny panie, przeto również wielkich rzeczy dokonasz...

— Pobłogosław mi, Ojczye wielbny, raz jeszcze, módl się do Boga o utrzymanie w takiej wierze króla, mnie, całego narodu...

Pokłąkł kasztelan, przed Kordeckim, a przeor, krzyż nad jego głową kreśląc, mówił:

— Wierz, trwaj w obowiązku, czyń, albowiem wiara bez uczynków martwą jest...

W tej chwili ptaszęta drobne świegotać radośnie zaczęły, witając świt, który rumieńcem lekkim zwołna powłóczył firmament, a brzaski złocistemi smugi spływały na one dwie postacie: hetmana wiary i hetmana czynu oreźnego.



KONIEC.

